



Dominik W. Rettinger

kommando

puff

Świat Książki

Wprowadzenie

Kiedy w 2015 roku zaprzyjaźniona reżyserka filmowa zaproponowała, abym napisał scenariusz o kobietach z Kommanda Puff, zadanie to okazało się niezwykle trudne. Przede wszystkim żadna z ocalałych kobiet, które były w takim komandzie, nie napisała wspomnień. Po wojnie bowiem odmówiono tym kobietom statusu ofiar nazizmu. Wstyd i lęk przed prześladowaniami sprawiły, że wołały milczeć i zniknąć.

Kto, w czym imieniu i jakim prawem tak potraktował ofiary chorej wyobraźni nazistów? Kto ma prawo sądzić człowieka, który doświadczając powolnego, okrutnego konania w obozie koncentracyjnym i próbując się ratować, podejmuje taką decyzję? Czy sędziowie tych kobiet tak dalece pewni byłiby swoich wyborów, gdyby znaleźli się w piekle obozu? Skazując po wojnie ofiary Kommanda Puff na ukrywanie swoich losów i niebyt, stali się następnymi ich oprawcami.

O obozach koncentracyjnych pisały osoby, które je przeżyły, i być może powinno to na zawsze zamknąć ten temat. Obozy to wyjątkowy obszar. Z pewnością nie wolno ich wykorzystywać dla literackiej czy filmowej fikcji bez głębszego przesłania. Jeśli jednak zamknęlibyśmy na zawsze temat obozów, czy następne pokolenia zechcą sięgnąć po dokumenty, książki lub filmy sprzed wielu lat? Moim zdaniem należy mówić o obozach w każdej artystycznej formie, jeśli intencje twórcy są czyste. Nie należy o nich nigdy zapomnieć. Tak, jak nie wolno zapomnieć w ogóle o Holocauście.

Na temat Kommanda Puff powstało ostatnio kilka filmów dokumentalnych, ważnych, bo przełamujących ciszę i odium odrzucenia. Nie została jeszcze napisana na ten temat powieść, nie powstał też film fabularny. Po zapoznaniu się z realiami funkcjonowania takich komand oraz losami ich ofiar, zdecydowałem, że nadszedł czas, aby opowiedzieć o nich w formie literackiej. Spróbowałem spojrzeć na te zdarzenia oczami świadka, zdać relację z wielkiego cierpienia, relację, która nie pozostawi obojętnym żadnego czytelnika. Mam nadzieję, że moja powieść w jakimś stopniu przywróci godność tym kobietom. Sprawdzi, że niełatwo będzie oceniać tamte straszne wybory z punktu widzenia współczesnej, bezpiecznej egzystencji. Zapewne niewiele kobiet z komand Puff jeszcze żyje, może jednak dzieci lub wnuki poznały ich tajemnicę i wciąż muszą się z nią mierzyć.

Należę do pokolenia urodzonego kilka lat po wojnie. Temat okrucieństw nazizmu i komunizmu obecny był nieustannie w mojej rodzinie, wychowaniu, edukacji. Ludzie, którzy mnie otaczali, przeżyli wojnę, wielu doświadczyło koszmarów obu totalitarnych systemów, wielu moich krewnych zginęło. Nazizm,

a zwłaszcza Holocaust, towarzyszył mi od zawsze jako straszne, niewyobrażalne doświadczenie, które miałem szczęście ominąć zaledwie o parę lat. Postanowiłem w końcu zmierzyć się z fragmentem tej pamięci, od strony do tej pory nigdy niedotkniętej ręką pisarza.

Druga wojna światowa, obozy, Holocaust kładą się potwornym cieniem na naszej cywilizacji. Jeśli po dwóch tysiącach lat wciąż jesteśmy wstrząśnięci śmiercią na Krzyżu, to mam nadzieję, że nigdy nie zniknie także pamięć o dzieciach umierających z głodu na ulicach gett. Ani o żadnych niewinnych ofiarach tej wojny. Dlatego należy wciąż pisać powieści i kręcić filmy o tym największym szaleństwie w historii ludzkości. Choćby po to, by zmusić do milczenia ludzi gotowych zakłamywać te zbrodnie w imię swoich niebezpiecznych celów.

Pisząc tę powieść, w części rozgrywającej się w obozie Birkenau, wykorzystałem wspomnienia byłych więźniarek obozu. Niektóre z tych wspomnień zostały wydane w formie pamiętników lub autobiograficznych powieści. Starłem się uniknąć kopiowania wydarzeń i postaci, w kilku przypadkach jednak przytoczyłem fakty tak, jak zostały opisane przez autorki. Są to niewielkie, lecz charakterystyczne dla tamtego piekła zdarzenia, uznałem, że wymagają dokładnego zacytowania. Mam nadzieję, że wpisanie faktów historycznych w narrację powieści usprawiedliwia taki zabieg.

Eliza, bohaterka powieści, ma żydowskie pochodzenie. Kultura judaistyczna jest mi bardzo bliska ze względu na jej przekaz, niezwykłą urodę oraz uniwersalne wartości, które reprezentuje. Jestem dumny, że mogę w ten sposób oddać hołd narodowi, który darzę wielkim szacunkiem oraz sentymentem. Druga bohaterka to Niemka. Wiem, że ogromna część narodu niemieckiego nie uległa fascynacji nazizmem, lecz na skutek wszechobecnego terroru nie była zdolna się mu sprzeciwić. Warto o tym pamiętać, dlatego historia Anny też ma wymiar tragiczny.

Zdarzenia i fakty opisane w powieści są inspirowane dobrze udokumentowanymi materiałami i chciałbym podziękować pani dr Agnieszce Weseli za przybliżenie prawdy o Kommandzie Puff. Dziękuję też reżyserce Magdalenie Łazarkiewicz za inspirację tym tematem. I mojej Żonie, Barbarze, za decydującą pomoc krytyczną i kreatywną w trakcie pracy nad powieścią. Oraz Zbigniewowi Kańskiemu, mojemu znakomitemu Agentowi, który przekonał do powieści wydawnictwo Świat Książki. Pani redaktor Joannie Laprus-Mikulskiej, która zaufała naszej propozycji, a potem zaakceptowała tekst powieści w obecnej formie. A także Paniom Magdalenie Szczęsny-Mrówczyńskiej i Ryszardzie Witkowskiej-Krzeskiej za świetną, wnikliwą redakcję tekstu.

Na koniec dziękuję Panu Tomaszowi Jendryczko za mądrą opiekę nad książką.

Przedziwny był zachwyty, który odczuwała Anna, patrząc na bezlitosne wydmy i roztopione w drgającym powietrzu domy z płaskimi dachami. Słońce, powietrze i brunatny piasek zlewały się w dręczącą, bolesną magmę, odbierały nadzieję płuc, oczom i udręczonej skórze. Wytrzymanie następnej minuty wydawało się próbą ponad siły, potem nadchodziła kolejna minuta i kolejna, równie niemożliwe, absurdalne.

Przez całe życie otwarta przestrzeń oznaczała rozległą, niekończącą się zielen. Tutaj wdzierała się do mózgu promieniejąca żarem nagość, żądała uległości, za odmowę groziła szaleństwem. Czas przestawał istnieć, zazdrośnie strzegł pierwotnych form życia, tajemnic plemion, które tysiące lat temu rozpoczęły wędrówkę człowieka. Oślepiające światło niesło oczyszczenie, bez oszustwa, do ostatniej bielejącej na piasku kości. Położyć się, przestać myśleć, poddać się potężnej woli pustyni. Taką ujrzał ją Stwórca, kiedy powiedział: stań się!

– *Kajfa haluk?*

Ocknęła się z odrętwienia i spojrzała na palestyńskiego kierowcę, który odwrócił się do niej z uśmiechem na pomarszczonej, brązowej twarzy.

– Jak czujesz się ty? – przetłumaczył niezdarnie na angielski.

Nie przeszkodziło mu to ominąć łukiem poganiacza i trzy osły, jakby starym chevroletem kierowała wyższa siła. Kilka wychudzonych psów nagrodziło samochód szczekaniem, tuman kurzu zasłonił poganiacza i osły; wszystko mijalo jak senna zjawia, prawdziwe było tylko cierpienie. Ma przeszło siedemdziesiąt lat, jest zmęczona i zrezygnowana, czego szuka w kraju proroków i mesjaszy? Czy można uratować tu czyjeś życie? Nadzieja rozmywała się w upale, stawała się złudzeniem umysłu.

Palestyńczyk nie przejął się jej milczeniem, z pogodnym uśmiechem pogłośnił radio i zaczął nucić monotonna, arabską piosenkę. Anna z wysiłkiem uniosła rękę, brudną chustką rozmazała na twarzy pot. Kierowca gestem dłoni przy ustach zademonstrował picie.

– Woda, dużo woda. Ty pijesz.

Sięgnął do schowka, wyciągnął butelkę z ciemnego szkła i podał ją nad oparciem fotela. Anna chwilę patrzyła na brudne szkło z mętłą wodą w środku, potem pokręciła głową.

– Niedobrze – zmartwił się Palestyńczyk.

Przytknął butelkę do ust i wypił kilka łyków, jakby chciał się upewnić, że zrozumiała jego intencję. Anna odwróciła wzrok, spojrzała na rozpaloną pustynię.

Kierowca westchnął z rezygnacją, schował butelkę do schowka i zaczął znowu nucić słowa piosenki z radia. Zapewne mówiła o miłości, bo jego oczy stały się marzycielskie, a głos rozbrzmiewał słodczą.

Chevrolet kołysał się na wyboistej drodze, skrzypiał zużyтыми resorami, zostawiał za sobą szeroką smugę kurzu, która długo unosiła się w nieruchomym powietrzu.

* * *

Jednopiętrowe budynki z blaszanymi dachami otaczały z trzech stron rozpalony słońcem dziedziniec. Mężczyźni i kobiety w zielonych, spłowiałych drelichach palili papierosy w cieniu ścian, kręcili się przy zakurzonych wozach bojowych, grali w piłkę, wylegiwali się na leżakach. Niektórzy świecili białymi bandażami. Wojna zakończyła się, ale w każdej chwili mogli zostać wysłani do udaremnienia następnych ataków nieprzyjaciela. W ich postawie i ruchach wyczuwalna była znużona gotowość do walki i zabijania; bez chwały i nadziei, które towarzyszą niedoświadczonym rekrutom.

Chevrolet zatrzymał się przed bramą, owiał kurzem trzech nieruchomych wartowników, lufy ich karabinów wymierzone były w głowy kierowcy i pasażerki. Palestyńczyk nie zdradzał niepokoju, ale jego ruchy stały się powolne i ostrożne; przekazywał żołnierzom, że jest świadomy zagrożenia i godny zaufania. Wysiadł, otworzył tylne drzwi, podał Annie rękę i pomógł wydostać się z taksówki.

– Ja zostać tutaj – powiedział głośno i pokazał ręką brunatną ziemię pod stopami. Wykonał gest podnoszenia butelki, nagląco i z niepokojem. – Ale ty pijesz.

Anna przytaknęła z wdzięcznością, potem weszła do małego budynku wartowni. Jeden z wartowników odprowadził ją pod lufą karabinu, drugi nie przestawał mierzyć w kierowcę.

Za niskim stołem siedział dwudziestoletni podoficer w rozpiętej na piersiach koszuli. Nie podniósł się ani nie odezwał. Dziewczyna w zielonym mundurze opierała się o parapet okna, przewieszony przez ramię pistolet maszynowy wycelowała w przybyszkę. Anna bez słowa położyła przed podoficerem złożoną kartkę papieru. Podniósł ją, rozwinął i w milczeniu przeczytał, potem skinął przyzwalająco głową. Dziewczyna oderwała się od okna, otworzyła drzwi na dziedziniec koszar.

Wyszły z wartowni. Słońce oślepiło Annę, unieruchomiło na kilka sekund; dziewczyna zatrzymała się i czekała z obojętnym zrozumieniem w oczach. Ruszyły w stronę środkowego budynku. Mijani żołnierze rzucali krótkie spojrzenia i odwracali wzrok. Anna odniosła wrażenie, że sprawdzają, czy jest matką lub babką wezwaną do dowództwa, aby dowiedzieć się szczegółów śmierci któregoś z nich; jej udręczona, smutna twarz pasowała do tej roli.

Weszły do budynku, minęły krótki korytarz. Dziewczyna zatrzymała się za progiem pustego pokoju, ruchem głowy pokazała dwa krzesła i stół. Anna położyła torebkę na blacie stołu, usiadła na jednym z krzesel. Dziewczyna skinęła głową, cofnęła się na korytarz i zamknęła drzwi.

Anna zastygła w bezruchu. Szare ściany pochłaniały przefiltrowane przez żaluzje pręgi światła, nieruchome powietrze nie paliło jak na zewnątrz, pozwalało swobodniej oddychać. Z dziedzińca dobiegały stłumione okrzyki grających w piłkę, o szyby okien obijały się z cierpliwym brzęczeniem muchy.

Po kilku minutach otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł trzydziestoletni oficer z dystynkcjami kapitana. Był średniego wzrostu, miał szczupłą twarz i krótkie czarne włosy, inteligentne oczy patrzyły obojętnie przez okrągłe, metalowe oprawki okularów. Postawił na stole oszronioną karafkę z wodą i szklankę.

– *Danke* – powiedziała Anna i poprawiła się: – *Thank you*.

Oficer skinął głową.

– Ma pani pół godziny – powiedział po niemiecku.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Anna chwyciła karafkę, nalała pełną szklankę wody i wypila dużymi łykami, prawie się dławiąc. Zimny strumień wypełnił ciało, dotarł do głowy; powoli zniknął dławiący ciężar. Napełniła znowu pustą szklankę.

Kiedy przytknęła ją do ust, drzwi się otworzyły, do pokoju weszła dziewczyna w drelichowych spodniach i T-shircie piaskowego koloru. Miała dwadzieścia dwa lata, delikatne rysy sprawiały, że jej twarz wyglądała młodziej, w dziwnym kontraście z oczami, które robiły wrażenie postarzałych. Usiadła na krześle po drugiej stronie stołu i spojrzała pytająco, bez zainteresowania.

Anna przyglądała się jej z ustami bezwiednie otwartymi ze zdumienia. Znała te rysy od wielu lat, miała wrażenie, że patrzy w lustro, choć w innej epoce. Dziewczyna skrzywiła się w grymasie niechęci.

– Słucham, o co chodzi? – spytała spokojnym głosem, po angielsku.

Anna odstawiła pełną szklankę, przez kilka sekund szukała słów.

– Nazywam się Anna Steinhoff. Mogę ci mówić po imieniu? Znasz niemiecki?

W jej głosie czytelna była nadzieja na lepsze zrozumienie w rodzimym języku. Dziewczyna nie zareagowała, czekała z obojętnym wyrazem oczu.

Dzieliła je przepaść, pięćdziesiąt lat, obcość przeżyć, innych wojen; jaką więc Anna miała szansę dotrzeć do tej dalekiej dziewczyny? Nie pokazała po sobie rozczarowania, mówiła dalej po angielsku:

– Szukałam twojej matki. Adwokat mojego syna, on cię znalazł.

Zapadło milczenie. Dziewczyna zawahała się, spojrzała Annie w oczy i spytała po niemiecku:

– Po co?

Anna spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej tylko grymas niepokoju.

– Jesteś Edyta, prawda?

Dziewczyna zacisnęła usta, nie odpowiedziała.

– Wolfgang, mój syn... Zetknął się z twoją matką. W czasie wojny – mówiła dalej Anna, szukając słów, jakby niemiecki nagle stał się zbyt trudnym językiem.

Spojrzenie Edyty stało się wrogie, ostrzegało przed ciągnięciem tego tematu. Anna nabrała głęboko powietrza, powiedziała z całą odwagą i nadzieją, z jaką tu przyjechała:

– Trzy miesiące temu Wolfgang został aresztowany, ktoś go rozpoznał.

Zawahała się i zamilkła. Edyta chwilę siedziała bez ruchu, potem drgnęła, jakby chciała wstać. Zatrzymał ją głos Anny, cichszy i wypełniony bólem.

– Wolfgang walczył na froncie, z Rosjanami, jak jego ojciec. Adwokat mówi, że może go uratować... ochronić przed wyrokiem tylko twoja matka, Eliza.

Anna sięgnęła do torebki, wyjęła białą-czarną fotografię i położyła na blacie. Dziewczyna patrzyła z hamowanym wzburzeniem na zniszczoną, spuchniętą twarz mężczyzny po pięćdziesiątce.

– Mój syn – powiedziała cicho Anna. – Nie doszedł do siebie, uzależnił się od alkoholu. Nie wierzę, że był w stanie kogoś skrzywdzić.

Przerwała, rozejrzała się bezradnie, jakby szare ściany pokoju mogły podsunąć jej potrzebne słowa.

– Nie zostało mu wiele życia. Nie mam nikogo, mój mąż zginął... Więzienie zabije Wolfganga, brak alkoholu go zabije.

Zamilkła znowu; pragnęła, aby każde słowo zapadło w umysł słuchającej.

– Gdzie jest twoja matka? Znasz historię jej i Wolfganga? On mówi: znajdź Elizę! Tylko tyle.

W nagłym odruchu odwagi wychyliła się i chwyciła opartą o blat dłoń dziewczyny.

– Byłaś na wojnie, widziałaś ten koszmar... Co się dzieje z ludźmi. Jeśli jest jakaś nadzieja, matka ci opowiedziała, proszę cię... Przyjedź do Niemiec, złóż zeznanie. Błagam!

Edyta zdecydowanym ruchem cofnęła dłoń. Podniosła się, jej twarz pobleadła, patrzyła na Annę, hamując złość i obrzydzenie. Wydawało się, że powie coś agresywnie albo zacznie krzyczeć. Opanowała się, odwróciła i wyszła z pokoju.

Anna skamieniała, potem opadła na oparcie krzesła, z oczami pełnymi łez. Siedziała bez ruchu, czuła, jak powoli znika nadzieja, mija napięcie. Niepotrzebnie tu przyjechała, bez sensu wierzyła, że potrafi wzbudzić współczucie.

Otworzyły się drzwi, wszedł ten sam oficer, stanął po przeciwnej stronie stołu. Rzucił wzrokiem na fotografię, potem spojrzał na Annę.

– Coś jeszcze możemy dla pani zrobić?

Pokręciła głową, starała się nadać głosowi brzmienie wdzięczności.

– Dziękuję – powiedziała. – Dobrze, że wygraliście waszą wojnę.

Oficer pokazał gestem ręki drzwi.

– Żołnierz odprowadzi panią do bramy. Do widzenia.

Anna sięgnęła do torebki, wyjęła wizytówkę hotelu w Jerozolimie, położyła na stole.

– Przekaze pan to Edycie? Tam się zatrzymałam. Bardzo proszę.

Zrobiła to bez zastanowienia. Wydało jej się, że ujrzała cień zrozumienia w oczach dziewczyny, kiedy mówiła o śmierci męża i chorobie syna. Ten naród, jak żaden inny poznał, co oznacza samotność po utracie bliskich.

Oficer nie dotknął wizytówki, odwrócił się, stanął w otwartych drzwiach. Anna wstała, skinęła mu głową i wyszła z pokoju.

* * *

Wielka tarcza słońca zniżała się nad dalekim horyzontem. Wydmy płonęły czerwonym światłem, długie, granatowe cienie kładły się na drogę, obiecywały ulgę chłodnej nocy. Chevrolet jechał w stronę ciemniejącego na wschodzie nieba, kołysał się na wybojach i warczał z wysiłkiem na podjazdach.

Kierowca Palestyńczyk nucił piosenkę z radia, następną, niekończącą się skargę miłości. Śpiewając, zerkał w lusterko i patrzył ze współczuciem na smutną, zamkniętą twarz Anny. Powiew powietrza przez uchyloną szybę poruszał jej włosami o stalowym kolorze, długie bruzdy zmarszczek wokół oczu i ust w czerwonym półmroku nadawały delikatnym rysom wyraz rzeźby, której twórca starał się wyrazić piękno i cierpienie.

Zza wzniesienia naprzeciw wyjechała wielka ciężarówka ciągnąca szeroką lorę; jej doniosły klakson oznajmił, że zajmuje całą szerokość drogi. Palestyńczyk zahamował i zjechał na piaszczyste pobocze. Ciężarówka minęła ich, na lorze znajdował się spalony i rozbity czołg. Warkot ciężkiego silnika i smród spalin wypełniły kabinę chevroleta. Kierowca przestał nucić, odprowadził wzrokiem ciężarówkę i jej ładunek; pokręcił głową i westchnął ze smutkiem.

– Ludzie są głupi, dużo głupi – powiedział po angielsku, patrząc w lusterko.

– Więcej, źli jak zwierzęta, dużo źli.

Anna nie zareagowała na jego słowa. Palestyńczyk stracił dobry nastrój, wyłączył radio. Mrucząc niewyraźnie pod nosem, wyciągnął butelkę ze schowka i wypił kilka łyków wody.

– Allah jest jeden – stwierdził i pokazał na swoje oczy. – Widzi wszystko.

Anna odwróciła głowę od okna, spojrzała na niego. Zauważył jej wzrok, skinął poważnie głową.

– Każdy ból widzi, wszystko. Arabów i Izraelczyków.

Poranne słońce nie przedostawało się do wąskiej uliczki, która wspinała się starożytnymi murami domostw na szczyt wzgórza. Pokryte bluszczem kamienne ściany z piaskowca, które zostawiały niewielki skrawek wolnego nieba, przez cały dzień oferowały zbawienny cień. Wąskie okna zasłonięte były jeszcze żaluzjami.

Na końcu uliczki, na rogu porośniętego platanami placu dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach wypełniali cementem dziury po kulach w murku osłaniającym schody hotelu. Okna domu obok, wypalone ogniem, świadczyły o niedawno zakończonych walkach. Nikt tam nie pracował, widocznie cała rodzina zginęła lub uciekła. Na środku placu, za obwałowaniem z worków z piaskiem, wystawała długa lufa pistoletu maszynowego. Trzej żołnierze siedzieli na workach, leniwie rozmawiali i palili papierosy.

Wśród kolorowego tłumku przechodniów wyróżniali się młodzi mężczyźni i kobiety w mundurach, z karabinami przewieszonymi przez ramiona, w sposób umożliwiający natychmiastowe użycie. W ich ruchach i oczach czytelne były zmęczenie i duma z odniesionego zwycięstwa oraz wyzwanie skierowane do całego świata. Byli obrońcami młodego państwa, kosztem bolesnych strat dowiedli odwagi i prawa do istnienia. Mijający ich Arabowie odwracali wzrok lub spuszczały głowy.

Odgłosy z ulicy przenikały przez żaluzje do wnętrza niewielkiego pokoju hotelowego, mieszały się z dzwonami kościelnymi i dalekim nawoływaniem muezinów z minaretów. Anna siedziała na łóżku ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha i rozmawiała, z całej siły powstrzymując płacz.

– Błagam cię, nie poddawaj się! Wytrzymaj!

Odpowiedź zaniknęła w fali szumów i trzasków, potem głos telefonistki z centrali zapytał po angielsku, z silnym akcentem:

– Rozmowa zakończona?

Anna zerwała się z łóżka, wierzchem dłoni energicznie przetarła oczy.

– Halo, halo... Mówi się! Nie, nie skończyłam, dlaczego pani przerywa? Halo, Wolfgang... Słyszysz mnie? Halo!

Zapadła głucha cisza, wzmocniona echem zerwanego połączenia. Zrozpaczona Anna rzuciła słuchawkę na widełki telefonu. W okrągłym lustrze na ścianie zobaczyła twarz ściągniętą bólem i lękiem.

Starość i bezradność uderzyły w nią, obezwładniły ciężarem serce. Przez chwilę oddychała głęboko, powstrzymując falę paniki. Nie może zostać w tym mieście, bo oszaleje.

Podeszła do szafy, wyciągnęła walizkę i dygocząc z nerwów zaczęła do niej wrzucać ubrania. W przeszłości kilka razy zmuszona była do ucieczki z bombardowanych miast i później, w czterdziestym piątym, podczas strasznej zimy, przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Ale wtedy jej los dzieliły tysiące ludzi. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna jak teraz.

* * *

Młody recepcjonista ubrany był w luźną, kolorową koszulę i spodnie od munduru, po bokach skroni nosił skręcone misternie pejsy, czubek głowy przykrywała mycka. Zza kontuaru wystawała lufa karabinu.

Najwyraźniej wiedział, w jakiej sprawie Anna przyjechała, mimo że od dwóch dni zamienił z nią tylko parę koniecznych słów, wymawiając je po niemiecku z ostentacyjną uprzejmością. Teraz odwrócił się, z półki zdjął dużą, szarą kopertę i położył ją na kontuarze.

Zdziwiona Anna patrzyła na kopertę przez szkła okularów przeciwsłonecznych, zasłaniających podpuchnięte oczy. Widziała imię i nazwisko, ale nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób jej dotyczą. Ocknęła się wreszcie, pojąwszy, że na kopercie napisane jest: Anna Steinhoff.

Z wahaniem podniosła i otworzyła kopertę. Na kontuar wyslizgnął się gruby rękopis, luźna kartka upadła na podłogę. Anna podniosła kartkę, półgłosem przeczytała odręcznie napisany list, po niemiecku.

Nie wiem, czy dobrze robię, dając Pani ten dziennik. Pomyślałam jednak, że w ten sposób nie zaszkodzę mojej matce. Przyjechała Pani pomimo świadomości, że nic tu nie uzyska. Nie odpowiada Pani za czyny syna. Proszę nie kontaktować się ze mną. Po przeczytaniu proszę zostawić dziennik w recepcji.

Anna skończyła czytać i nadal patrzyła na zapisane równym charakterem linijki. Nie pomyliła się co do uczuć Edyty, pomimo jej rezerwy. Ogarnęła ją wdzięczność, pragnęła jeszcze raz spotkać tę dziewczynę. Poczula na sobie wzrok recepcjonisty, podniosła wzrok. Zobaczyła w jego oczach zaciekawienie i niechęć.

– Chciałabym zostać jeszcze kilka dni – powiedziała spokojnym głosem. – Czy mój pokój jest wolny?

Recepcjonista w pierwszym odruchu gotów był odpowiedzieć, że tak, ale poczucie obowiązku i brak sympatii do klientki sprawił, iż sięgnął po książkę meldunkową i zaczął metodycznie sprawdzać listę rezerwacji.

– Zna pan numer telefonu kobiety, która zostawiła kopertę? – zapytała Anna. – Albo adres?

Nie zareagował na jej słowa, choć usłyszał i zrozumiał pytanie, nadal przeciągał palcem po zapisanych kartkach. Anna położyła dłoń na rozłożonej stronie książki. Recepcjonista podniósł zaskoczony wzrok.

– Powiedziano panu, że jestem matką zbrodniarza wojennego. – Anna zdjęła

okulary i spojrzała z determinacją w jego oczy. – To nieprawda, mój syn nikogo nie skrzywdził. Był żołnierzem, jak pan. Dowiodę tego.

Patrzyli na siebie ponad kontuarem. Recepcjonista nie zareagował na jej słowa, czekał w milczeniu. Anna cofnęła dłoń.

– Może pani zostać do niedzieli – powiedział po angielsku.

– Dziękuję.

Wsunęła rękopis i kartkę do koperty. Schyliła się, podniosła walizkę i ruszyła w stronę schodów. Nie oczekiwała, że recepcjonista zaoferuje jej pomoc. Uczynił tak pierwszego dnia, potem ktoś musiał go przed nią ostrzec; zapewne jeden z urzędników magistratu, gdzie Anna zwróciła się o zezwolenie na odwiedzin w koszarach.

Na pierwszym półpiętrze wzruszenie sprawiło, że zawiodły ją siły. Usiadła bezwładnie na schodku, fala gorąca odebrała jej oddech, złana potem powstrzymywała lęk. Rękopis mógł być zbawieniem lub wyrokiem. Nie potrafiła dłużej czekać, wysunęła poźólkę kartki z koperty, z kieszeni garsonki wyjęła okulary do czytania.

Długo wpatrywała się w pierwsze zdania napisane po francusku, drobnym pismem. Na szczęście uczyła się francuskiego w Landshut, w szkole prowadzonej przez siostry urszulanki, musiała jednak wyteńczyć umysł, aby zrozumieć każde słowo. Do jej uszu dobiegły zbliżające się szybkie kroki i rozbawione głosy.

Z góry schodziła szybko młoda para. Anna widziała ich poprzedniego dnia wieczorem w hotelowej restauracji; ubrani byli w mundury, siedzieli przy stoliku w kącie sali, rozmawiali przyciszonym głosem i trzymali się za ręce. Sprawiali wrażenie zagubionych i nieśmiałych. Pomyślała, że wykorzystali wojnę do nielegalnej schadzki, i będzie to ich pierwsza wspólna noc, bez wiedzy rodzin. Teraz pojawili się na schodach, roześmiani, przepelnieni odwagą i miłością. Zwolnili na widok siedzącej na półpiętrze starszej kobiety, kiwnęli głowami, minęli ją ostrożnie i przyśpieszyli. Ich głosy rozbrzmiały w hallu, kiedy pozdrawiali recepcjonistę, potem wchłonął je gwar ulicy.

Anna pochyliła się znowu nad rękopisem. Wstrzymując oddech, półgłosem odczytała pierwsze zdanie, potem w milczeniu kolejne.

Monte Carlo, 20 kwietnia 1939

Purpurowe ściany i wykładziny wielkiej sali podnoszą temperaturę krwi, zielone sukna udają niewinność, wytworne stroje maskują podniecenie i lęk. Lekko myśląc wchodzimy do brzucha bestii, pozwalamy, aby wysssała z nas człowieczeństwo, nakarmiła się naszą nadzieją, chciwością i rozpaczą.

Czuję się tu wspaniale. Przechodzę wolnym krokiem obok stolików do pokera, bakarata i blackjacka, wolno okrążam ruletkę. Spojrzenia mężczyzn dotykają moich piersi, podbrzusza i pośladków. Nie noszę bielizny, każdym ruchem obiecuję rozkosz i zapomnienie. Jestem czujna, mam zaufanie do mojej intuicji, bezbłędnie wybiorę tego, który spełni moje oczekiwania.

Nie będzie młody; raczej po pięćdziesiątce, przyjedzie tu z powodu nudy i rozczarowania. Wróci do domu i żony, kiedy poczuje jeszcze większą pustkę. Ale najpierw spotka mnie. Musi być zamożny, by stać go było na piękną dziewczynę, ale ja dam mu do zrozumienia, że nie chodzi o pieniądze. Nie jestem do kupienia, można mnie tylko zdobyć.

Widzę Karla, jest elegancki i przystojny, skupiony czeka przy stoliku do blackjacka, udaje zainteresowanie grą, obstawia małe stawki. Ma do mnie zaufanie; wie, że nigdy się nie mylę. Moje polowanie musi potrwać. Nie za krótko, bo nie jestem łatwą zdobyczą; i nie za długo, mężczyźni bowiem nie mogą się zorientować w moich zamiarach. Nie jestem jedyną kobietą, która utrzymuje się dzięki ich instynktom posiadania i rozkoszy. Jestem wyjątkowa, każdy mój ruch, oddech i spojrzenie mówią, że stworzona zostałam do miłości.

* * *

Karl i ja od trzech lat wiemy beztrudne, choć niebezpieczne życie, które zaczęło się od mojej pomyłki. Po ucieczce od męża przejechałam całą Europę, w nadziei, że zmylę tropy policji i uniknę aresztowania. Pewnego dnia, bez pieniędzy, zmęczona i zdesperowana weszłam do kasyna w Monte Carlo. Chciałam poznać mężczyznę, który przez parę dni roztoczy nade mną opiekę; nie miałam doświadczenia i dlatego trafiłam na Karla.

Karl jest Niemcem; jego ojciec zginął zagazowany na froncie we Francji, matka umarła kilka lat później. Wychował go dziadek, który przystał do SA i został zamordowany podczas tak zwanej nocy długich noży. Karl obawiał się, że odpowie

za winy dziadka, dlatego wyjechał z Niemiec. W Londynie zaopiekowała się nim starsza o dwadzieścia lat zamożna wdowa. Nauczyła go, jak traktować kobiety, czego one oczekują od mężczyzny. Dowiedział się, że są mądre, doskonale orientują się w swojej sytuacji; potrzebują uczuć i seksu w rozsądnych granicach, nie warto ich oszukiwać.

Kiedy wdowa umarła na raka, a jej dzieci zagarnęły spadek, Karl ruszył na Côte d'Azur. Od pięciu lat poznawał w luksusowych hotelach i kasynach samotne starsze panie, które zgodnie z naukami wdowy nie miały złudzeń co do jego uczuć. Spędzał z nimi kilka miesięcy, czasem rok, potem ruszał dalej, zanim rodzina zdołała poczynić kroki w celu ocalenia majątku. Nigdy nie próbował zdobyć fortuny, zadowalał się drogimi prezentami i sumami wystarczającymi na wygodne życie; ta strategia pozwalała unikać kłopotów. Miał jednak ambicję zabezpieczenia sobie przyszłości, wiedział, że kiedyś będzie musiał się wycofać. I wtedy spotkał mnie.

Brak doświadczenia spowodował, że ujrzałam w Karlu znudzonego syna bogatej rodziny. On natychmiast dostrzegł mój talent i zdecydował się mną pokierować. Tego samego wieczoru zostaliśmy kochankami i Karl zaproponował, abyśmy razem pracowali. Pomyłka uświadomiła mi, że bez opiekuna nie mam szans na przetrwanie – zgodziłam się. Myślałam potem, że nasz związek scementuje uczucie, byłam na nie gotowa. Karl jednak pilnował, aby emocje nie przeszkodziły nam działać chłodno i precyzyjnie. Pod jego okiem zmieniałam się w prawdziwego łowcę.

Mówiłam francuskim nauczonym w szkole; Karl zmusił mnie do perfekcyjnego opanowania języka, nie chciał rozmawiać po niemiecku, choć to wychodziło mi lepiej. Kupił podrobiony paszport, stałam się jego żoną i obywatelką Francji. Później powiedział, że panicznie się boi, że zostanie rozpoznany i odesłany do Niemiec, gdzie zapewne wylądowałby w obozie koncentracyjnym.

Przez trzy lata pracowaliśmy z powodzeniem w Monaco, Monte Carlo, Cannes i Biarritz. Robiliśmy krótkie wypadki do Anglii, do kasyn w Birmingham, i do Saint-Vincent w Italii. Aby uniknąć zainteresowania ochrony hoteli i kasyn, nie zostawaliśmy dłużej niż tydzień w jednym miejscu. Pomimo to oboje odczuwaliśmy, że atmosfera wokół nas się zagęszcza.

Karl kilka razy musiał stawiać się na posterunkach policji, wyjaśniać źródła naszego utrzymania i cele wizyt w kurortach. Opowiadał wciąż historyjkę o spadku po bogatym stryju, ale policjanci słuchali z coraz większą podejrzliwością.

Kilka dni temu odbyliśmy poważną rozmowę o naszej sytuacji. Dotąd nie pytałam o stan finansów, a Karl cenił moją dyskrecję. Tego wieczoru powiedziałam, że marzę o odpoczynku i zmianie. Karl też odczuwał znużenie, poza tym niepokoiła go nasza bezkarność. Wyznał, że mamy odłożonych dość

pieniędzy, aby kupić dom i kilka lat nie martwić się o byt. Przez ten czas zastanowimy się nad bezpiecznym sposobem utrzymania. Myślał o północnej Afryce, jednej z francuskich kolonii, gdzie łatwo było otworzyć biznes, a policja przymykała oczy na źródło pieniędzy. Podobała mi się ta wizja, byłam mu wdzięczna; spędziliśmy upojną noc, jak zawsze przed moim polowaniem.

Ten wieczór w Monte Carlo jest ostatni, jeszcze raz dowiodę mojego talentu, wybiorę bogatą ofiarę, potem z Karlem znikniemy. Dostrzegam już mój cel: siedzi przy stole do ruletki, ma z sześćdziesiąt lat, każdym ruchem zdradza znudzenie pieniędzmi i pustkę uczuć; obstawia od niechcienia, tak samo przyjmuje wygrane i porażki. Patrzę na niego ponad ramionami graczy po przeciwnej stronie stołu. Nie myślę się, po minucie podnosi głowę i odnajduje mnie wzrokiem. Widzę w jego oczach lekkie zmieszanie, odwraca się i udaje skupienie na grze. To ważne, nie tracę czasu dla pewnych siebie samców; moja uroda musi onieśmielać, wywoływać poczucie zagubienia, osłabiać czujność i inteligencję.

Stoję w tym samym miejscu przez kilka minut, uśmiechem reaguję na jego ukradkowe spojrzenia. Wreszcie odwracam się i odchodzę w stronę baru. Kiedy zamawiam martini, on staje za mną i mówi tonem ledwie pokrywającym nieśmiałość:

– Wygrałem trochę niepotrzebnych pieniędzy. Może zgodzi się pani, żebyśmy wydali je wspólnie?

Odwracam się z uśmiechem zaskoczenia, bez słowa przechylam lekko głowę i dokładnie mu się przyglądam. Zauważam przywiedłą skórę na policzkach i szyi; farbowane włosy w połowie są peruką.

– Nie potrzebuję pieniędzy – mówię wreszcie niskim, modulowanym głosem.

Zdobywa się na resztki odwagi.

– Nie to miałem na myśli, proszę mi wybaczyć – odpowiada szybko.

– A co? – pytam beczelnym tonem.

– Jeśli panią obraziłem... – zaczyna, gotów przeprosić i odejść.

– Nie obraził pan, raczej zaciekawiał. Mam na imię Eliza.

Podaję mu rękę. Jego mała dłoń jest spocona, niezręcznie ściska moje palce, potem podnosi do ust. Czuję miękki pocałunek, widzę ładne oczy.

– Horacy – przedstawia się.

Oboje nie ujawniamy nazwisk, anonimowość to część niepisanej konwencji. On nie zdaje sobie sprawy, że wkrótce jego nazwisko stanie się stawką w mojej grze.

– Nudzę się tak samo jak ty – mówię ze smutnym uśmiechem. Z namysłem szukam słów, które wypowiedziałam wiele razy, do wielu mężczyzn. – Drażni mnie tłum... Nie ujrzałam tu ani jednej ludzkiej twarzy, poza tobą. Przegrajmy twoją wygraną i schowajmy się przed ludźmi.

Jego oczy błyszczą, jest poruszony i zachwycony, jak wszyscy przed nim. Nie działa na mnie jego męska uroda, w to by nie uwierzył, lecz wrażliwość i głębia.

– W co chcesz zagrać? – pyta z hamowanym podnieceniem.

Zastanawiam się chwilę.

– Kości – mówię wreszcie z przekonaniem.

Zawsze gram z nimi w kości. Siedzenie przy ruletce lub kartach nie daje takich szans ekspresji. Rzuty kośćmi, z wychylonym nad stołem, prężącym się ciałem, wybuchy radości albo udawanego smutku, całe przedstawienie, któremu oddaję się z entuzjazmem, sprawiają, że mój partner wyzbywa się resztek wątpliwości. Tak bawi się kobieta wolna i beztraska, bez cienia wyrachowania.

Karl stoi z boku stołu, jak zawsze podziwia i nagradza mój występ oklaskami. Klaszczą wszyscy mężczyźni, jest ich coraz więcej, niektórzy chcą mnie poznać, oferują wspólną grę. Jestem lojalna wobec Horacego, po każdej wygranej i przegranej przysuwam się do jego boku, ściskam jego rękę, śmieję się lub udaję smutek. On wychwytuje taksujące mnie spojrzenia widzów, jest dumny. Taka kobieta to oznaka siły.

Wreszcie nudzi mi się gra. Mam szczęście, udało mi się podnieść stan posiadania Horacego. Proponuje, żebym wzięła wygraną, ale z wdziękiem odmawiam.

– Gdzie mieszkasz? – pytam, patrząc mu głęboko w oczy.

– Hotel Hermitage.

Bawi mnie myśl, że jego przygoda rozegra się w hotelu o nazwie Pustelnia. Pustelnikami zostawali czasem wielcy grzesznicy, on też będzie ukarany za grzech zdrady małżeńskiej. Poza tym w Hermitage przeżyłam traumatyczną historię i dumna byłam, że potrafiłam się opanować na widok krwi i śmierci.

Widzę, że Horacy zaczyna się bać. W tym wieku łatwo o kompromitację z młodą kobietą. Biorę jego dłoń miękkim gestem, patrzę mu w oczy.

– Nie musimy zostać kochankami... Nie od razu – mówię uspokajająco. – Nie cierpię młodocianych zapaleńców. Dojrzały mężczyzna zawsze domyśli się, czego potrzebuję.

– Jesteś niezwykła, Elizo – mówi zduszonym głosem.

– Przejdźmy się, noc jest piękna, opowiesz mi o sobie – proponuję. – Jeśli to początek przyjaźni, musimy się lepiej poznać.

Nie odczuwam najmniejszych wyrzutów, nie waham się. Od kiedy pamiętam, byłam wykorzystywana i traktowana jak przedmiot.

* * *

Wykorzystywana przez matkę, która zajęta była wyłącznie sobą i kochankami, a kiedy czas, alkohol i morfina zaczęły trawić jej urodę, nie wahała

się używać mnie za przynętę, podsuwać mężczyznom jako nagrodę za ich gotowość do kontynuowania romansów. Piętnastoletnia dziewczynka, zapowiadająca się piękną, stała się popularną, tajną zdobyczą w środowisku oficerów i artystów.

Wykorzystywana przez ojca, pułkownika, który zasługami wojennymi wywalczył sobie pozycję wśród politycznych i biznesowych elit. Zajęty karierą parlamentarzysty, wciąż przegrywający grę o władzę, ożeniony z kobietą, która przypadkiem zaszła z nim w ciążę, rozczarowany i obwiniający świat o swoje klęski, na mnie wyładowywał gniew i frustrację. Dowiedział się o kochankach, którym podsuwała mnie matka, i pewnego dnia oświadczył, że jego też muszę zaspokajać. Uratowało mnie aresztowanie ojca tej samej nocy, był zamieszany w aferę korupcyjną. Następne pięć lat spędził w więzieniu o zaostrowym rygorze. Nigdy go tam nie odwiedziłyśmy – ani matka, ani ja.

Utrata majątku i pozycji towarzyskiej załamały matkę, morfina i alkohol dokończyły dzieła. Po roku doznała wylewu, który sparaliżował połowę ciała. Nie zapomnę jej płonącego wzroku, kiedy odjeżdżała karetką do domu swoich rodziców. Nienawidziła mnie za urodę i szesnaście lat, za całe życie, które na mnie czekało, błagała o wybaczenie.

Zostałam sama, nasz dom sprzedano na licytacji. Zajął się mną brat matki, samotnie żyjący, spokojny człowiek, ukryty homoseksualista. Rzuciłam szkołę, gdzie po aresztowaniu ojca stałam się obiektem szyderstw i prześladowań, przez trzy lata pracy w firmie spedycyjnej wuja nauczyłam się handlu i języka niemieckiego, potem zostałam wydana za męża.

Był starszy o piętnaście lat, wcześniej ożenił się dla pieniędzy, które przepadły w latach Wielkiego Kryzysu. Rozczarowany tkwił u boku żony i obwinał ją o pomyłkę. Nienawidzili się z wzajemnością, aż wreszcie żonę zabrała gruźlica. Dziewiętnastoletnia, piękna dziewczyna była nagrodą za zmarnowane lata.

W noc poślubną dowiedziałam się, że mój mąż doznaje spełnienia, gdy zadaje ból. Wytrzymałam rok, aż do dnia, kiedy zostałam pobita tak dotkliwie, iż przez kilka godzin nie mogłam się podnieść. Odzyskałam siły w środku nocy, wyjęłam z szafki na narzędzia młotek, poszłam do sypialni i uderzyłam śpiącego w skroń. Użyłam całej siły, nie sprawdziłam, czy go zabiłam. Spakowałam małą walizkę, zabrałam pieniądze i biżuterię z sejfu, ruszyłam w drogę. Byłe dalej od domu, od Warszawy, od Polski.

* * *

Idziemy z Horacym jasno oświetlonymi ulicami. Jest letnia noc, ściany kamienic z piaskowca, chodnik i asfalt parują ciepłem. Ulicą przejeżdżają limuzyny z szybami zasłoniętymi firankami i kabriolety pełne rozbawionych

pasażerów. Mijamy młode pary, grupki pijanych mężczyzn z prostytutkami, spacerujących emerytów, którzy nie mogą spać.

Horacy opowiada o sobie. Słucham go nieuważnie, potakuję głową i przybieram odpowiednie miny. Słyszałam tę historię wiele razy, sama mogłabym ją opowiedzieć. Jest szwajcarskim biznesmenem, handluje mahoniem, kością słoniową i diamentami. Życie straciło smak, z trudem wytrzymuje u boku źle starzejącej się żony, nie rozumie trójki dzieci, które kłócą się o jego pieniądze i czekają, aby odszedł ze świata. Nie ma przyjaciół, związki ze znajomymi naznaczone są sztucznością i wyrachowaniem. U boku takiej kobiety jak ja zaczęłby nowe życie.

Odwzajemniam się jedną z moich opowieści. Wybieram dramat dziewczyny, której rodzice zginęli na Titanicu. Na szczęście odziedziczyła po nich majątek, ma zapewnioną niezależność. Młodzi mężczyźni nie interesują ją, to nudziarze, którzy nic nie przeżyli, albo łowcy posagów.

Mówiąc, nie spuszczam z oczu zawieszanej nad morzem tarczy księżycy. Chwilami przygasa pokonany przez latarnie albo znika za ścianami domów. Przemyka między gałęziami platanów, cyprysów i palm, aby znowu wynurzyć się w pełnej chwale na granatowym niebie, z miliardami wiernych gwiazd.

Mamy tajne porozumienie, księżyc i ja. Dawno temu, kiedy miałam piętnaście lat, schowałam się przed matką i jej kochankiem na strychu domu. Patrząc na księżyc i niebo pełne gwiazd, modliłam się żarliwie, aby ktoś zabrał mnie z domu. Nikt się nie zjawił, zostałam znaleziona i musiałam zaspokoić apetyt kolejnego mężczyzny. Tłumiąc ból i wstręt, przyciśnięta ciężkim, spoconym ciałem, nadal widziałam przez okno twarz księżycy. Obiecał wtedy, że będzie czekał, aż mój koszmar się skończy. Minęło pięć długich lat. Kiedy patrzyłam, jak pnie się powoli po granatowej kołdrze nieba, znikwały lęk i samotność.

Aż wreszcie nastąpiła noc, gdy za pomocą młotka uwolniłam się od męża. Księżyc dotrzymał słowa, towarzyszył mi jak czujny, srebrny strażnik, jasno oświetlając boczne uliczki, odprowadził na dworzec i trwał na niebie do rana, kiedy wsiadłam do pierwszego pociągu do Paryża.

Nauczyłam się dróg mojego przyjaciela. Wiem, kiedy się pojawi, którego dnia miesiąca i w której części nieba. Widzę go też za dnia, kiedy nikt nie zwraca na niego uwagi. Nie pracuję w bezksiężycowe noce. Karl zna moją słabość, w żartach nazywa mnie księżycową damą.

Horacy jest wzruszony utopionymi w lodowatym oceanie rodzicami z Titanica i losem sieroty. Docieramy do przepysznego, secesyjnego Hermitage. Hotel noszący miano pustelni kilka lat temu poraziłby mnie blaskiem luksusu, teraz czuję się tu swobodnie. Nie podobają mi się tylko spojrzenia recepcjonistów, którzy pamiętają mnie z ostatniego pobytu. Patrząc na nich wyzywającym wzrokiem, mówię bez słów, że jeśli ośmielią się przeszkodzić, mój przyjaciel

sprawi, iż stracą pracę. Rozumieją i odwracają oczy, dyskretnie komunikują wrogość i pogardę.

Horacy nie zwraca uwagi na obsługę hotelu, bierze klucz do apartamentu, zamawia szampan i ostrygi. Jedziemy windą na drugie piętro, milczący windziarz z ukłonem przyjmuje napiwek. On też mnie pamięta. Wychodzimy z windy. Przez ogromny, przeszklony dach widzę księżyc w pełni i mrowie gwiazd. Pokazuję niebo Horacemu, przytulam się do jego ramienia, jestem romantyczna, rozmarzona.

Poprzednim razem dach rozświetlały błyskawice i o szkło uderzały z hukiem strumienie ulewy. Mój ówczesny towarzysz powiedział, że będziemy się kochać przy otwartych oknach; on jak Zeus, który przybywa na skrzydłach burzy. Był greckim milionerem ze Stanów, małym, pulchnym i dowcipnym mężczyzną po sześćdziesiątce. Jego urok sprawił, że zrobiłam wyjątek i poszłam z nim do łóżka. Potem on, zanim zdążyłam zacząć dalszą część planu, w łazience strzelił sobie w usta. Od komisarza policji dowiedziałam się, że mój Grek zbankrutował na inwestycjach w Chinach po japońskiej inwazji. Komisarz nie był pewien, czy ma mi współczuć, czy oskarżyć o spowodowanie samobójstwa. Jego rozterkę rozstrzygnął Karl, oferując trzy tysiące franków.

Wchodzimy z Horacym do apartamentu. Rzucam na podłogę udające lamparty futerko z królików, mijam wielkie łóżko z baldachimem, idę przez otwarte drzwi na taras. Rozciąga się stąd cudowny widok na schodzące w dół światła Monte Carlo i rozjarzone pełnią księżyca morze. Wielki magnes przyciągający z całego świata bogaczy; oraz takich jak ja i Karl oszustów marzących o wolności od biedy.

Horacy staje obok, nieśmiało obejmuje mnie ramieniem. Odwracam się i całuję go w usta. Czuję, że cały drży, przyciskam się do jego wydatnego brzucha, ręką przesuwam po udach, obejmuję przez spodnie twardą wypukłość. Horacy jęczy cicho, potem dygocze i zatrzymuje oddech, materiał spodni i moja dłoń stają się wilgotne. Oszczędziłam sobie zapasów w łóżku. Szepczę mu do ucha, żeby się nie przejmował, bo noc jest długa, przed nami wiele dni i nocy. Horacy jest wdzięczny, odpręża się.

– Przepraszam, Elizo – mówi z zakłopotanym uśmiechem. – Tak dawno nie...

Zamykam mu usta dłonią, biorę za rękę i prowadzę do pokoju. Rozpinam zamek błyskawiczny z boku, uwalniam się z sukni, naga wyciągam się na łóżku. Rozlega się pukanie do drzwi.

– Proszę! – wołam, przykrywając się kołdrą.

Wchodzi kelner w białej marynarce, popycha przed sobą wózek z szampanem w wiaderku i półmiskiem ostryg. Horacy podaje mu napiwek i zamyka drzwi; widzę, że nie przekręca klucza w zamku. Wyciągam rękę do Horacego.

– Rozbierz się i chodź – nakazuję z uśmiechem.

Rumieni się jak chłopiec przed pierwszą nocą z dorosłą kobietą. Niezgrabnie ściąga smoking, pas i spodnie. Bawi mnie, że oni zawsze zostają w gaciach i koszulach; chodzi o zasłonięcie zwisającego brzucha, ściśniętego dotąd pasem smokingu. Wreszcie jest rozebrany, kładzie się obok mnie. Odsuwam kołdrę, przyciskam się nagim ciałem do jego boku, głaszczę owłosioną pierś, bawię się bezwładnym członkiem. Horacy leży nieruchomo, boi się normalnie oddychać.

– Nic nie musisz – zapewniam go szeptem.

Odwracam jego głowę i całuję w usta. Ważne jest, aby nie zobaczył uchylających się drzwi, nie zerwał się zbyt szybko z łóżka. Drga gwałtownie, kiedy błyska i trzaska flesz. Siada przerażony i patrzy wytrzeszczonymi, oślepiionymi oczami na Karla, który stoi na środku pokoju z małym aparatem fotograficznym i spokojnie wymienia żarówkę w lampie fleszu.

– Co to jest? – woła Horacy. – Co pan do cholery robi?!

Okrzyki i protesty zawsze są takie same, różnią się stopniem wulgarności. Nie dochodzi do aktów przemocy, bo Karl jest wysoki i mocno zbudowany. Wstaję z łóżka, nieśpiesznie się ubieram. Nie patrzę na Horacego, odczuwam coś w rodzaju wstydu, niedługo to uczucie minie. Słyszę głos Karla.

– Uwiódł pan moją żonę. O ile mi wiadomo, zdradził pan swoją. Proponuję, abyśmy doszli do porozumienia, jeśli nie życzy pan sobie skandalu.

– Szantaż? Elizo... – głos Horacego załamuje się.

Staję przed lustrem, wyjmuję kosmetyki z torebki, poprawiam makijaż. Widzę odbicie Horacego, który siedzi na łóżku z opuszczoną głową. Brzuch zwisa mu poniżej krocza, ramiona splótł na zapadniętej klatce piersiowej, jak kobieta osłaniająca piersi.

Karl zapala papierosa, czeka w milczeniu.

– Ile chcecie? – pyta wreszcie cichym głosem Horacy.

– Ile jest wart pana spokój? – odpowiada pytaniem Karl.

Znam na pamięć tę wymianę zdań. To najtrudniejsza część, domyślić się, jakie są możliwości finansowe ofiary.

– Pięć tysięcy franków – mówi Horacy.

Głos go zdradza, brakuje mu pewności siebie, zdecydowania. Karl śmieje się, potem zwraca do mnie.

– Co ty na to, kochanie? Nisko wycenia twoje uczucia.

– To nie tak – protestuje bezradnie Horacy.

Teraz moja kolej, muszę podzielić się z Karlem zdobytą wiedzą.

– Ma firmę handlową w Genewie. Sprowadza z Afryki mahoń, kość słoniową i diamenty.

– Diamenty – powtarza jak echo Karl.

Zapada cisza.

– Czterdzieści dwa tysiące franków – mówi z wysiłkiem w głosie Horacy.

Maluję powoli usta czerwoną szminką. Dziwna suma, przemyka mi przez myśl. Karl kiwa głową, siada na łóżku, klepie Horacego dłonią po nagim udzie.

– Nie chcemy cię zrujnować. Pójdziemy razem do twojego banku, pokażesz nam stan kont. Założmy, że honor mojej żony wart jest dziesięć procent ich zawartości.

Odpowiedź Horacego pada szybko, obudził się w nim duch biznesmena.

– Pięć procent.

Zawsze tak jest; wszyscy się uspokajają, kiedy rozpoczynają targi o pieniądze. Karl znowu się śmieje. Lubię jego głęboki, szczery śmiech; ma niezwykle odporny system nerwowy, czuję się przy nim bezpieczna. Kończę pudrować policzki, przeciągam szczotką po bujnych, kasztanowych włosach. Moja kolej włączyć się do rozgrywki. Podchodzę, siadam obok Horacego, uśmiecham się i całuję go w policzek.

– Jesteś cudownym mężczyzną – mówię miękkim głosem. – Gdyby nie Karl, chciałabym być z tobą. Nie denerwuj się, wszystko będzie dobrze.

Horacy zerka na mnie. W jego wzroku nie ma wrogości, tylko niepokój i coś jeszcze, czego nie potrafię zrozumieć. Rozbawienie? Jestem zaskoczona, posyłam Karlowi ostrzegawcze spojrzenie. Oboje udajemy rozluźnionych, w rzeczywistości jesteśmy skupieni i czujni. W każdej chwili nasza ofiara może zareagować w nieprzewidywalny sposób. Jak Grek, który strzelił sobie w usta, lub rosyjski arystokrata emigrant, który dostał ataku hysterii, zaczął przeraźliwie krzyczeć i ściągnął obsługę hotelu Windsor w Biarritz.

Zanim któreś z nas zdążyło coś powiedzieć, otwierają się pchnięte mocno drzwi i do środka wchodzi czterech policjantów, ze znanym mi komisarzem Dupontem na czele. Komisarz jest mały, chudy, ubrany w za długi płaszcz, jego trójkątna twarz promienieje satysfakcją.

Sztywnieję z przestachu, ale natychmiast się opanowuję. Jeśli w apartamencie nie ma podsłuchu, o nic nie można nas oskarżyć, słowo Horacego przeciw naszemu. W dobrze podrobionych papierach jestem żoną Karla, mąż przyłapał mnie na zdradzie.

– Dobry wieczór państwu – mówi Dupont z jadowitym uśmiechem i zwraca się do Horacego. – Witam w Monte Carlo, panie Bertrand. Jak pan się bawi w naszym mieście? Proponuję, aby się pan ubrał, czeka nas podróż do komisariatu.

Patrzemy z Karlem na Horacego, staramy się zrozumieć. Czterej policjanci czekają gotowi do użycia siły. Horacy podnosi się i bez słowa zaczyna wciągać spodnie; nie próbuje ukryć ciemnej plamy dookoła rozporoka. Komisarz ją dostrzega.

– Gwałtowne uczucie – mówi poważnie.

Policjanci uśmiechają się szeroko. Horacy ubiera się dalej, sprawia wrażenie

wyłączonego i zrezygnowanego. Dupont zwraca się do nas.

– Państwo też jesteście mile widziani.

Karl nieśpiesznie wyciąga papierosa ze złotej papierošnicy, pstryka zapalniczką i zaciąga się dymem.

– Z jakiego powodu, jeśli mogę zapytać?

– Może pan – zgadza się Dupont. Wyjmuje z kieszeni płaszcz złożony dokument, rozpościera go i czyta: – Nakaz zatrzymania Karla i Elizy Virion, w związku z oskarżeniem o szantaż i wyłudzenie korzyści majątkowej. Swoją drogą, pana francuski ma dziwny akcent. Jest pan z pochodzenia Szwajcarem czy Belgiem? A może Niemcem?

– Kto wniósł oskarżenie? – pyta Karl, nadal zachowując spokój.

– To się wyjaśni na komisariacie – odpowiada komisarz i chowa dokument.

Czas, abym zabrała głos.

– Chyba nie pan Horacy vel Paul Bertrand – mówię z ironią. – Znamy się od dwóch godzin.

Komisarz przytakuje skwapliwie.

– Zgadza się. Pan Paul Bertrand jest skarbnikiem partii socjalistycznej w Nantes. Po jego wyjeździe okazało się, że w partyjnej kasie brakuje osiemdziesięciu czterech tysięcy franków. Na zlecenie prokuratora śledzimy podróż Paula Bertranda, zainteresowała nas jego wizyta w kasynie. Przy okazji nasz agent postanowił zbadać tożsamość kobiety, która zjawiła się u boku pana skarbnika. Okazało się, że jesteśmy dobrymi znajomymi... w końcu kilka razy występowali państwo już w Monte Carlo. Wasze działania budziły podejrzenia, ale nie dysponowaliśmy wystarczającymi dowodami. Zadzwoniliśmy zatem do prefektur policji w Monaco i Biarritz, pani uroda i klasa nie wymagały długiego opisu. Zawsze w towarzystwie bogatych mężczyzn, którzy pośpiesznie wyjeżdżają po nocy spędzonej z panią.

– Szybko działacie – mówi Karl z podziwem w głosie.

Dupont dziękuje lekkim ukłonem, po czym wskazuje drzwi. Jeden z policjantów bierze aresztowanego pod ramię, rusza z nim do wyjścia. Pochwytuje ostatnie spojrzenie Horacego, jest smutne i rozbawione jednocześnie. Oszustka oszukana jak dziecko, mówi jego wzrok.

* * *

Byłam pewna, że Karl jak zawsze zapanuje nad sytuacją, odczuwałam jednak niepokój. Może dlatego, że po raz pierwszy zawiódł mnie instynkt. Zbyt długo odnosiłam łatwe sukcesy, zlekceważyłam ostrzegawcze sygnały. Horacy vel Paul był dobrze ubrany, zachowywał się bez zarzutu, ale powinnam zauważyć, że brakuje mu pewności siebie. Starzejący się, bogaci mężczyźni bywali nieśmiali wobec mnie, ale innych traktowali z wyższością. Horacy nie miał tej cechy.

Pomimo to nie zadałam mu prostych pytań, których nauczył mnie Karl, nie poprosiłam o firmową wizytówkę, o zdjęcia domu, żony i dzieci.

Spędzam noc w celi z prostytutkami i młodą kobietą, która zraniła nożem menedżera kasyna. Opowiada, że pod pretekstem odprowadzenia do hotelu menedżer próbował ją zgwałcić i okraść z wygranej w bakarata. Wierzę jej i wiem, że nie ma szans. Jest tu obca, zostanie osądzona i skazana na więzienie. prostytutki współczują kobiecie, proponują pomoc znajomego prawnika.

O świcie budzi nas zaspany policjant. prostytutki wychodzą na wolność, wyostał je pracujący dla alfonsa adwokat. Młodą kobietę zabierają na przesłuchanie do prokuratury. Czekam na swoją kolej, domyślam się, dlaczego to trwa tak długo. Negocjacje Karla kończą się zawsze wizytą w banku, który otwiera się o dziesiątej. Wreszcie policjanci wyprowadzają mnie z komisariatu. Na ulicy czeka Karl. Wsiadamy do czerwonego forda kabrioletu i wyjeżdżamy z Monte Carlo. Nie rozmawiamy. Moja wolność dużo nas kosztowała.

Zjeżdżamy w dół, jedziemy krętą szosą nad samym morzem. Światło słońca odcina czerwone skały od granatowej, falującej wody, palmy rzucają długie cienie. Czuję na twarzy świeżą bryzę, wdycham woń soli i wodorostów. Uwielbiam wybrzeże i tę porę dnia. Gdyby nie zdarzenia poprzedniego wieczoru, byłabym teraz szczęśliwa. Jestem niewyspana i zmęczona, czuję rosnący ucisk w żołądku. Daję znak Karlowi, że muszę wysiąść. Skręca i zatrzymuje samochód na szerokim tarasie u podnóża góry. Otwieram drzwi, podchodzę do skały wyrastającej na końcu tarasu, opieram się o chłodny, chropowaty kamień i zaczynam wymiotować. Torsje są bolesne, od wieczora nic nie jadłam i wyrzucam z siebie tylko żółć.

Uspokajam się wreszcie, wycieram usta chusteczką, oddycham głęboko. Nadal mam ściśnięty żołądek, ale gotowa jestem wysłuchać prawdy. Wracam do samochodu, przyjmuję zapalonego papierosa, zaciągam się i wydmuchuję dym.

– Lepiej? – pyta Karl z troską w głosie.

Nie interesuje mnie jego współczucie.

– Ile nam zostało?

Rozkłada ręce, próbuje się uśmiechnąć.

– Pan komisarz miał dobry dzień, najlepszy w życiu – mówi ponuro.

Zaciągam się papierosem, panuję nad drżącymi palcami. Patrzę na złotą zapalniczkę, którą Karl nerwowo zapala i gasi.

– Przestań – proszę.

Zapalniczka nieruchomieje w jego palcach.

– Powiedziałem, że to ślubny prezent od ciebie.

– Sukinsyn Dupont – mówię cichym głosem.

Karl kładzie dłoń na moim udzie, patrzy mi w oczy.

– Dał słowo, że wyczyści nas z kartoteki.

– Wierzysz mu? – pytam.

– Zabrał wszystko.

Przez kilka sekund nie mogę wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

– Nie mamy nic? – upewniam się.

– Siebie – odpowiada Karl.

Mam ochotę uderzyć go w twarz. Ja wybrałam Horacego, ale zadaniem Karla jest sprawdzanie moich mężczyzn. Wystarczy dyskretnie wręczyć sto franków recepcjoniście... zawsze czekam na telefon z ostrzeżeniem od Karla. Nie ma sensu o tym mówić, dawno nauczyłam się nie roztrząsać spraw, których nie można zmienić, ludzie tracą na to zbyt wiele energii. Śmieję się, choć nie czuję wesołości.

– Biedny Horacy – mówię. – Chciał nam oddać połowę swojego łupu. A ty byłeś gotów wziąć dziesięć procent.

Karl kręci głową.

– Grał na zwłokę. Nie bał się kompromitacji, tylko zamieszania, które mogło zwrócić uwagę policji. W banku okazałoby się, że na koncie jest kilka franków. Forsę ukradzioną partii gdzieś zamelinował, wiem to od Duponta.

– Ciekawe, czy Horacy wydobędzie się za łapówkę – zastanawiam się.

– Dupont może się bać, sprawa jest zbyt znana.

Karl ma rację; poza tym, co mnie obchodzi Paul Bertrand. Zajmuję nim umysł, aby oddalić prawdę o naszej sytuacji. Jakiś czas siedzimy w ciszy, palimy papierosy, mój ma smak rozczarowania i klęski. Wyrzucam niedopałek na żwir, którym wysypany jest taras. Patrzę na stadko mew podrywające się nad wystającą z morza skałą. Ptaki krążą i kłócą się krzykliwie, potem opadają na kołyszącą się wodę. Zazdroszczę im. Żyją chwilą, nie boją się o przyszłość, nie dręczą ich przeszłość.

Chciałabym uwolnić umysł od lęku, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Pieniądze zapewniłyby mi trochę spokoju; choć pamiętam bogaczy zabijających depresję alkoholem, narkotykami i seksem. Zwierzali się z koszmarów, które dopadają ich podczas bezsennych nocy. Czego się bali? Słyszałam kiedyś, że każdy lęk jest strachem przed śmiercią.

– Mamy robotę w Biarritz – mówi Karl.

Wzruszam ramionami.

– Jeśli wpadniemy, trafimy za kraty – odpowiadam. – Czym zapłacimy policji?

– To nasza ostatnia praca kochanie, przysięgam.

Słyszę napięcie w głosie Karla; boi się, że odmówię, a sam nie da sobie rady. Może wrócić do uwodzenia bogatych wdów, ale musi mieszkać w luksusowych hotelach, jeść w drogich restauracjach, grać w kasynach.

Nie odpowiadam, patrzę przed siebie. Mewy znowu się poderwały, lecą teraz całym stadkiem w stronę miasta. Chcą najeść się odpadków przy statkach

w porcie? A może lecą dla samej przyjemności lotu. Zazdroszczę im – białe doskonałości na bezkresnym tle, bez błędu, wahania, lęku.

Słyszę znowu głos Karla.

– Obiecałem, że będziesz wolna, i dotrzymałem słowa. Zawsze cię uwolnię, przysięgam – mówi powoli i kończy słowami, które uderzają jak elektryczny prąd:
– Kocham cię... Jak nikogo na świecie.

Sztywnieję, nie patrzę na niego. Wystrzegaliśmy się tych słów, miłość traktowaliśmy jak zakazany temat. Czuję gniew, przekroczenie tabu jest obrzydliwym wybiegiem Karla, chce złamać moją wolę. Nienawidzę swojej słabości, staram się wzbudzić w sobie odrazę. Ogarnia mnie ciepło, jestem wzruszona, od dawna czekałam na tę chwilę. Zamykam oczy i przyciskam głowę do jego piersi, powstrzymuję łzy.

– Obiecay mi, że nigdy więcej tego nie powiesz – proszę zdławionym głosem.

Dłoń Karla gładzi delikatnie moje włosy. Byłabym w stanie wpakować mu teraz kulę w głowę z rewolweru, który wozi w schowku samochodu. Potem zastrzeliłabym siebie. Spokój i wolność. Może lot nad rozkołysanym morzem, w stronę rozświetlonego słońcem horyzontu. Jaki sens ma takie życie?

Hôtel du Palais Imperial w Biarritz jest pompatyczny, mógłby służyć jako siedziba cesarzy. Usytuowany na wysokim tarasie nad oceanem, urządzony z przepychem fin de siècle'u, sprawia wrażenie olbrzymiego okrętu, który przybił do portu po kolonialnych podbojach Francji.

W restauracji z ogromnymi oknami wychodzącymi na taras niewielka orkiestra gra nastrojowego bluesa, kilka par kręci się na okrągłym parkiecie. Siedzimy w łoży z trzema Niemcami w smokingach ze swastykami w klapach, zasłonięci rozłożystymi palmami w donicach. Na stoliku kryształowy półmisek z ostrygami i puchar z kawiolem, w wypełnionym lodem wiaderku chłodzą się butelki szampana. Pomiędzy rozsuniętymi zasłonami w oknach widzę ocean i niebo z zawieszonym specjalnie dla mnie księżycem. Jestem spokojna, panuję nad lękiem.

* * *

Dotąd unikaliśmy Niemców, ponieważ Karl obsesyjnie obawiał się rozpoznania. Z tego samego powodu ja wystrzegałam się Polaków. Teraz nie mamy wyboru, jesteśmy bankrutami.

Sygnal o robocie w Biarritz i możliwość zamieszkania w Hôtel du Palais Imperial zawdzięczamy menedżerowi hotelu. Dwa lata temu Karl uratował go przed skandalem i bankructwem, wyrwał z rąk szajki wykorzystującej jego nałóg do hazardu. Odmówił wyjawienia szczegółów tej akcji. W Biarritz mówiło się, że wynajęci do brudnej roboty marynarze kogoś uprowadzili, ktoś inny utopił się w porcie.

Za poręczeniem menedżera Karl wynajął biuro w drogiej dzielnicy, urządził je meblami z afrykańskiego drewna i skórą zwierząt. Wydrukował wizytówki kilku firm z siedzibami w Afryce. Karl gra obrotnego biznesmena, który ma wpływy u gubernatorów francuskich kolonii, łupem mamy się podzielić z menedżerem. Moim zadaniem jest uwiedzenie jednego z Niemców; wyciągnę informacje o planach banków i fabryk, które reprezentują. Musimy wygrać to rozdanie; menedżer nie wie o naszej katastrofalnej sytuacji.

Dokonałam już wyboru. Mój Niemiec nazywa się Wolfgang Steinhoff, ma ze trzydzieści lat, jest wysoki i dość przystojny. Nie podobają mi się jego małe usta i zbyt wąsko rozstawione, zimne i patrzące z nieufnością oczy. To jednak niewielkie wady w porównaniu z moimi podstarzałymi ofiarami. Pójdę z Wolfgangiem do łóżka, potrafię sprawić, iż każdy mężczyzna poczuje pożar we

krwi, będzie marzył o następnych nocach ze mną. To będzie zemsta na Karlu za nasze problemy. Jest zazdrosny o Wolfganga, bawię się jego kosztem.

Dwaj pozostali Niemcy mają powyżej czterdziestu lat, są małowówni i oschli. Sprawiają wrażenie pruskich arystokratów, którzy zmuszeni zostali do odgrywania niechcianych ról. Domyślam się, że to oni reprezentują wielkie pieniądze, a mój Wolfgang jest ich przewodnikiem lub stróżem. Dowiem się wszystkiego tej nocy.

Mężczyźni palą cygara, piją whisky i szampana, rozmowa toczy się po niemiecku. Karl mówi z francuskim akcentem, opowiada anegdoty z Afryki, w której nigdy nie postawił stopy; usłyszał je od podróżników i marynarzy. Niemcy reagują powściągliwie, ale są zaintrygowani jego przygodami. Wreszcie Karl uznaje, że uzyskał wiarygodność i zaczyna swój plan.

– Konsorcjum, które reprezentuję we Francji, skupia się teraz na ropie z zachodniej Afryki – mówi wolno, z naciskiem na każde słowo. – Półwysep Synaj opanowali Brytyjczycy, a my mamy dostęp do całego kontynentu. Interesuje nas niemiecka technologia, pompy i silniki, najlepsze na świecie. Wspólna inwestycja zwróci się w dwa, trzy lata. Potem przyjdą ogromne zyski.

Niemcy kiwają z zainteresowaniem głowami.

– Kto zapewni sobie dostęp do ropy, będzie rządził Europą – stwierdza najstarszy autorytarnym, przywykłym do wydawania rozkazów tonem.

Przychodzi mi do głowy, że są oficerami, udają tylko ludzi interesu, oszuści zwodzący oszustów. Niemożliwe, abyśmy znowu tak się pomylili z Karlem. Menedżer hotelu ustalił, że Niemcy przyjechali szukać inwestycji. Uciszam wątpliwości, zwracam się z uśmiechem do Wolfganga:

– Od dawna marzę o safari w Afryce. Czy pan poluje?

– Na ludzi – odpowiada poważnie.

Dwaj starsi Niemcy śmieją się z dobrego żartu. Oczy Wolfganga są chłodne, skupione.

– Na ludzi z kapitałem – podrzuca domyślnie Karl.

Uśmiech rozciąga wąskie wargi Wolfganga. Kiwa głową, podnosi do ust kieliszek z szampanem, nie spuszcza ze mnie wzroku.

– I na kobiety – dodaje jeden z Niemców. – Steinhoff jest wybitnym specjalistą od kobiet.

– Co to znaczy? – pytam z zainteresowaniem.

– Wartość kobiety zależy od rasy, jaką reprezentuje – odpowiada Wolfgang.

Postanawiam go sprawdzić.

– Jaką rasę widzi pan we mnie? Jestem pół-Żydówką, czy to ma znaczenie?

Uśmiechy znikają z twarzy Niemców. Karl parska z naganą i chwytą mnie za przedramię.

– Moja siostra uwielbia prowokacje! – mówi przesadnie głośno. – Doskonale

wie, że obywatele Rzeszy nie gustują w Żydówkach. Eliza i ja jesteśmy pół Francuzami, pół Włochami.

Wolfgang rozluźnia napięte mięśnie szczęk, uśmiecha się z przymusem; nie spodobał mu się mój żart. Ponad jego ramieniem widzę zbliżających się trzech oficerów francuskiej marynarki wojennej; są młodzi i podchmieleni, zatrzymują się przy naszym stoliku. Jeden z Francuzów staje na baczność, przykłada dwa palce do górnej wargi, imituje wąsiki Hitlera, drugą rękę wypręża w hitlerowskim powitaniu.

– *Heil Idiot!* – woła donośnie i głośno pierdzi.

Dwaj koledzy Francuza wybuchają śmiechem. Domyślam się, że musieli dostrzec swastyki w klapach marynarek. Niemcy wstają od stolika, gotowi są do bójki. Podnoszę się, zwracam się z uśmiechem do Francuzów.

– Panowie się pomylili. Nasi przyjaciele są tajnymi agentami brytyjskiego rządu.

Mówię szybko, po francusku, odwrócona tyłem do stolika, Niemcy nie mogą zrozumieć. Francuscy oficerowie zamierają ze zdziwionymi minami, patrzą po sobie niepewnie. Kątem oka widzę rozbawione i zaniepokojone spojrzenie Karla. Wykorzystuję efekt zaskoczenia, zwracam się do Wolfganga.

– Mam ochotę zatańczyć.

Wolfgang waha się, sprawdza wzrokiem Francuzów, potem bierze mnie pod ramię. Oficerowie rozstępują się przed nami, mruczą przeprosiny. Skręcamy za palmami w stronę parkietu do tańca.

– Co im powiedziałaś? – pyta Wolfgang.

– Że jestem siostrzenicą niedawnego premiera Francji Léona Bluma – odpowiadam bez wahania.

Docenia mój żart, uśmiecha się powściągliwie.

– Tego Żyda?

Potakuję z udaną powagą. Zatrzymujemy się na środku parkietu; przyciskam się biodrami do bioder Wolfganga, zaczynam się kołysać w rytm bluesa.

– Uwolnijmy się od mojego brata i twoich nudnych przyjaciół – proponuję.

– Nie są moimi przyjaciółmi – odpowiada zasadniczym tonem.

* * *

Zatrzymuję Wolfganga w progu otwartych drzwi apartamentu, całuję go w usta. Wyczuwam lekki opór. Opieram się o niego całym ciałem, językiem rozsuwam zaciśnięte wargi. Zaczyna szybciej oddychać, jest podniecony. Dotykam ręką jego podbrzusza. Szarpie się do tyłu, plecami opiera o framugę drzwi. Przyciskam go mocniej. Odpycha mnie i odwraca, zsuwa w dół zamek błyskawiczny na moich plecach. Uwalniam się jednym ruchem z sukni, naga odwracam się do niego.

Twarz Wolfganga jest napięta i blada. Mężczyzna czeka bez ruchu. Odwracam się, zrzucam szpilki, odchodzę powoli, kołysząc biodrami, wyciągam się na wielkim łóżku. Patrzę na niego z prowokacyjnym uśmiechem.

Wolfgang zrzuca marynarkę smokingu, rozpina koszulę. Śpieszy się, traci panowanie nad sobą, nie może zdjąć spinek. Zrywa z siebie koszulę, rozdziera przy tym rękaw. Zdejmuje spodnie, zapomina o butach, zaplątuje się i siada na podłodze.

Nie mogę powstrzymać rozbawienia, śmieję się cicho. Wolfgang sztywnieje na moment, ze złością ściąga buty i spodnie. Staje w białych kalesonach do połowy ud i skarpetkach z gumkami na łydkach. Jest podniecony i wściekły jednocześnie. Śmieję się głośno, przewracam tam i z powrotem na łóżku. Patrzy szeroko otwartymi oczami, wreszcie podchodzi, chwyta mnie za przedramię i unosi. Nagłe uderzenie pięścią w twarz powoduje, że milknę i tracę oddech.

Półprzytomna reaguję odruchowo, ciało pamięta lekcje mojego męża. Wyrwam ramię z uścisku, uciekam na czworakach na drugą stronę łóżka. Cios w środek pleców na wysokości nerek jest straszny, słyszę skowyt bólu, zdaję sobie sprawę, że to mój głos.

Spadam na podłogę, jestem sparaliżowana bólem, próbuję się podnieść i zobaczyć coś przez mgłę przed oczami. Dostrzegam Wolfganga, który spokojnie obchodzi łóżko. Jego oczy mówią, że sekundy zdecydują o moim losie. Nogi są bezwładne, nie mogę wstać, jakby złamał mi kręgosłup. Na rękach wczołguję się pod łóżko, ale mocny chwyt za kostkę wyciąga mnie na środek pokoju.

Oboje dyszymy w upiornej ciszy. Słowa nie mają sensu, wiemy, że stawką jest moje życie. Odwracam się na plecy i kiedy stopa Wolfganga spada na moje podbrzusze, nagłym ruchem odsuwam się w bok. Z całej siły uderzam nogą w jego brzuch, trafiam w splot słoneczny. Wolfgang wyje przeraźliwie, zgina się wpół, uderza mnie pięścią między piersi. Słyszę trzaśnięcie kości mostka, ale czuję, że nie została złamana. Ból i szok rozciągają mnie na podłodze.

Wolfgang cofa się z wykrzywioną twarzą, chwyta się oburącz za brzuch. Mam kilka sekund, zanim dojdzie do siebie. Podnoszę się chwiejnie na czworakach, rozglądam się z panicznym lękiem. Zatrzymuję wzrok na lampie z brązu, stojącej na stoliku obok łóżka; pokonując ból w całym ciele,czołgam się do niej. Wolfgang prostuje się, przecina mi drogę, ale porusza się z trudem. Odpycham go, szarpiemy się, przewracamy na łóżko. Przyciska mnie pod sobą i chwyta oburącz za gardło. Widzę z bliska jego szeroko otwarte oczy, nie ma w nich nienawiści, patrzy z ciekawością, jak na okaz rzadkiego gatunku zwierzęcia.

Tracąc oddech i krztusząc się, wyciągam prawą rękę do lampy. Jeśli będzie za daleko, moja historia dobiegnie końca. Coś we mnie chce się poddać, zaprzestać oporu, przejść na drugą stronę, niczego nie czuć; na zawsze uwolnić się od lęku.

Uścisk rąk na gardle zelżał, Wolfgang zobaczył wahanie w moich oczach,

psuję mu grę. Patrzymy na siebie intensywnie, nie poruszamy się przez kilka sekund. Potem on przyciska swoje ciało do mojego, kolanami rozsuwa uda, wchodzi we mnie mocno, zaciska znów ręce na moim gardle. Mam zginać, dając mu rozkosz.

Wbrew sobie czuję falę podniecenia i wstrętu. Sięgam dalej, chwytam podstawę lampy. Wolfgang dostrzega to, puszcza gardło, wyciąga rękę, aby mój ruch zablokować. Z chrapliwym wrzaskiem wysiłku i nienawiści trafiam go lampą w głowę. Szklany abażur rozpada się, amortyzuje uderzenie, ale Wolfgang upada na bok, jest zamoczony. Zrywam się, przyklękam nad nim, odwracam lampę i uderzam podstawą z brązu. Tryskająca krew zalewa jego twarz. Wolfgang chwytając się za głowę, jęczy, przetacza się i spada z łóżka. Posuwam się za nim, podnoszę znowu lampę do ciosu. Uderzam w plecy na wysokości nerek. Przerażliwe wycie i cisza; nieruchomieje, zemdlął z bólu.

Wstaję z trudem, obchodzę łóżko, naga stoję nad Wolfgangiem. Z lampą w obu rękach patrzę na jego zakrwawioną głowę na dywanie. Lewe ramię jest uniesione, pod pachą widzę tatuaż: dwie małe błyskawice albo litery „SS”. Nie wiem, co oznaczają.

Uspokajam się, oddycham wolno i głęboko. Nienawiść minęła, odczuwam tylko satysfakcję. Mogę go teraz zabić, wystarczy kilka ciosów w skroń. Musielibyśmy z Karlem uciekać z Francji, bez pieniędzy stalibyśmy się łatwym celem dla policji. Odstawiam lampę na stolik, siadam na łóżku. Potrzebuję chwili, aby dojść do siebie. Ostrożnie dotykam gardła, twarzy i pleców. Wstaję, podchodzę do lustra. Skóra na policzku jest zaczerwieniona, z rozcięcia sączy się krew. Na szyi widać odcisnięte ślady palców.

Wstaję, wkładam suknię i szpilki. Wolfgang porusza się, jęczy i otwiera oczy. Podchodzę, zatrzymuję się nad nim.

– Masz złamany kręgosłup – mówię po niemiecku, powoli i wyraźnie. – Nie ruszaj się, bo zostaniesz sparaliżowany. Nic nie mów, wezwę pomoc.

Patrzy na mnie przestraszony, potem posłusznie kiwa głową. Wychodzę na korytarz, na szczęście jest pusty. Zjeżdżam windą dwa piętra, włosami zakrywam przed młodym windziarzem ślady po walce. Pakuję walizkę w moim pokoju, pokrywam twarz i szyję grubą warstwą pudru. Przez telefon ściągam boya hotelowego.

Jest prawie północ, lobby jest puste, za kontuarem nudzi się recepcjonista, z restauracji dochodzą dźwięki muzyki. Zastanawiam się, czy Karl zrealizował swoją część planu. Powinien zabrać Niemców do burdelu, który prowadzi jego przyjaciółka. prostytutki namówią ich na opium lub morfinę. Kilka zdjęć stanowić będzie zabezpieczenie na przyszłość. Znam adres burdelu, ostrzegę Karla, opowiem o przygodzie z Wolfgangiem.

Wychodzę przed hotel, portier niesie za mną walizkę, macha ręką w stronę

taksówek. Kierowcy stoją z boku, rozmawiają, paląc papierosy. Jeden z nich rzuca niedopałek, wsiada do swojego wozu.

Z hotelu wychodzi wysoki mężczyzna, kieruje się do podjeżdżającego bentleya. Ma około czterdziestu lat, ubrany jest w tweedowy garnitur. Boy hotelowy wysiada z bentleya, przytrzymuje drzwiczki. Mężczyzna siada za kierownicą, chwytam jego spojrzenie. Podjeżdża moja taksówka, portier wkłada walizkę do bagażnika. Podchodzę do właściciela bentleya, nachylam się. Nie wiem, dlaczego to robię, decyduje za mnie siła wyższa.

– Uciekam przed mężczyzną – mówię gardłowym głosem, który oznacza lęk i nadzieję. – Pomoże mi pan?

Mężczyzna patrzy z zainteresowaniem, podobam mu się. Przystojna, spokojna twarz, pewność siebie. Podejmuje decyzję, uśmiecha się, wysiada, obchodzi samochód i otwiera drzwi od strony pasażera. Mówi po francusku z angielskim akcentem.

– Dokąd chce pani jechać?

– Możemy porozmawiać po drodze? – odpowiadam pytaniem.

Przechodzę obok niego, wdycham zapach dobrej wody kolońskiej, siadam na miękkim, wyścielanym skórą fotelu. Drzwi zamykają się bezszelestnie, Anglik pokazuje portierowi, aby przełożył moją walizkę do bagażnika bentleya, potem zajmuje miejsce za kierownicą. Patrzy na mnie z uśmiechem, dostrzega przecięcie na skórze policzka i ślady na szyi, poważnieje.

– On tu będzie lada moment – mówię z naciskiem.

Kiwa głową ze zrozumieniem. Portier zamyka klapę bagażnika, mój wybawca uruchamia silnik, ruszamy z cichym szumem opon na żwirowym podjeździe. Skracamy za hotelem w ulicę prowadzącą nabrzeżem. Księżyc wisi nisko nad oceanem, jest smutny, patrzy na mnie ślepymi oczami. Wzdrygam się z niepokojem, ogarnia mnie przecucie czegoś złego. Odsuwam od siebie tę myśl.

* * *

20 sierpnia 1939

Leżę wygodnie, nieśpiesznie piszę list do Karła. Wyślę go na adres *poste restante* w Paryżu, ustalony na wypadek nagłego rozstania. Jestem sama w przedziale pierwszej klasy, wagon kołysze się lekko, usypia mnie stukot kół.

Spędziłam trzy tygodnie w towarzystwie Charlesa Bettingtona; przejechalśmy przez Hiszpanię, Italię i Grecję. Potem on wrócił do żony i dwóch córek, a ja zamieszkałam w Londynie z jego kuzynem, Tomem Bettingtonem.

Tom ma pięćdziesiąt trzy lata, wyraźną nadwagę, jest rozwodnikiem. Braki rekompensuje inteligencją, urokiem i poczuciem humoru. Po trzech miesiącach

romansu poprosił mnie o rękę, a ja zgodziłam się zostać jego żoną. Nie wiem, czy pokocham Toma; jego pozycja i dochody sprawiają, że czuję wdzięczność i przywiązanie.

Przez cały ten czas nie odezwałam się do Karla. Domyślałam się, że szukał mnie po całej Francji, Italii i Szwajcarii. Tydzień po ucieczce z Charlesem zadzwoniłam do menedżera Hôtel du Palais Imperial i usłyszałam, że Karl miał kłopoty z powodu pobicia Wolfganga i mojego zniknięcia. Był aresztowany, nie udowodniono mu jednak współudziału i wypuszczono. Poważniejszym problemem okazały się długi zaciągnięte za poręczeniem menedżera. Karl został oskarżony o wyłudzenia, musiał stanąć przed sądem. Policja przeprowadziła śledztwo, wyszło na jaw, że jest Niemcem, jego francuskie obywatelstwo jest fałszywe. Ponownie aresztowany czekał na wynik postępowania ekstradycyjnego, z którym wystąpił prokurator z Rzeszy. Menedżer uważał, że z racji panowania w Niemczech hitlerowskiej dyktatury, adwokat Karla powinien go wybronić.

Jedynym człowiekiem w Polsce, z którym utrzymywałam kontakt, był brat mojej matki. Z jego listów dowiedziałam się, że nie zabiłam męża. Cios młotkiem spowodował jednak trwałe uszkodzenie mózgu i zamienił go w zdzieciniałego debila. Rodzina męża nie zaprzestała prób odszukania mnie i ukarania. Policja rozesłała listy gończe, a prywatni detektywi wciąż nachodzili wuja.

W ostatnim liście wuj napisał, że wykryto u niego raka wątroby i zostało mu niewiele życia. Nigdy dotąd nie kierowałam się sercem i nagle zapragnęłam go odwiedzić. Nie winiłam wuja, że wydał mnie za sadystę; chciał mojego dobra, nie znał ciemnych stron przyszłego męża. Wyjazd do Polski był ryzykownym przedsięwzięciem, uważałam się jednak za obywatelkę Francji, poza tym zmieniłam się; podobieństwo do poszukiwanej Polki było przypadkowe. Najcięższe błędy popełniamy, kiedy uznamy się za bezpiecznych i szczęśliwych.

Dzień przed wyjazdem zadzwoniłam znów do menedżera z Biarritz. Wiadomość była fatalna: Karl od dwóch tygodni przebywał w więzieniu Plötzensee w Berlinie. Przeraziłam się i postanowiłam, że natychmiast po powrocie z Warszawy podejmę starania o jego uwolnienie.

Tom odprowadził mnie do pociągu, był smutny i niespokojny. Obiecałam, że wrócę na początku września i weźmiemy ślub. Wręczył mi małą paczuszkę i poprosił, abym ją otworzyła w wagonie. Były to kolczyki ze szmaragdami wielkości wisienek. Miałam łzy w oczach, nigdy nie otrzymałam tak drogiego prezentu.

Pociąg wyjechał z King Cross Station, z tyłu został przeszklony dach, wagony kołysały się na zwrotnicach. Przez okno patrzyłam na malejącą, samotną sylwetkę Toma. Poczulałam nagły impuls, aby wyskoczyć, jakby od tego zależało moje życie. Pobiegłam do drzwi na końcu korytarza i chwyciłam za klamkę; usłyszałam ostrzegawczy okrzyk i zobaczyłam ruszającego w moją stronę

konduktora. Pociąg nabrał już szybkości, skok mógłby się skończyć fatalnie. Rozdygotana wróciłam do przedziału, uspokoiłam się dopiero po wypiciu koniaku przyniesionego przez tego samego konduktora.

Kochany Karlu, to okropne, że Cię deportowano do Niemiec, ale jesteś przynajmniej wśród swoich – piszę wolno, po niemiecku. Jestem świadoma, że list będzie czytany przez hitlerowskich cenzorów. – Mam pieniądze, wynajmę dobrego adwokata. Obiecuję, że zrobię wszystko, aby Cię uwolnić. Kocham Cię, choć nie wolno nam było o tym mówić. Będziesz wolny i zaczniemy nowe życie.

Wiem, że Karl potrzebuje takich słów, dadzą mu nadzieję i siłę, poza mną nie ma nikogo na świecie. Nie zacznę z nim nowego życia, zostanę żoną Toma. Zastanawiam się, co jeszcze napisać, pióro wysuwa się z palców, zapadam w sen. Jestem spokojna i szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu niczego się nie lękam. Słyszę stukot kół i ciemność bierze mnie w posiadanie.

Marzec 1944

Huk rozsuwanych drzwi budzi z odrętwienia, w nozdrza uderza smród odchodów i ludzkiego potu. Słyszę szczekanie psów, ostre i nienawistne. Podnosi się krzyk i lament kobiet, płaczą dzieci. Ponad nimi przebijają się komendy po polsku i niemiecku.

– Wychodzić! Wychodzić!

Jechaliśmy dwa dni, ściśnięci w bydlęcym wagonie. Od dwóch dni nie dostaliśmy jedzenia ani picia. Na podłodze leżały ciała dzieci i starych ludzi, którzy umarli z wyczerpania. Bez przerwy słychać było płacz i kaszel.

Nie spałam przez dwie noce, nie było miejsca, aby się położyć ani nawet usiąść. Nogi spuchły, ciało stało się jak z drewna. Na dworcu w Warszawie zostałam wepchnięta w kąt wagonu, obok zakratowanego okna. Wiało przez nie mroźne powietrze, trzeźwiło mnie, kiedy byłam bliska utraty przytomności.

Mam wrażenie, że postarzałam się o czterdzieści lat. Przez pierwszy dzień patrzyłam z przerażeniem i współczuciem na kobiety, które próbowały osłonić i pocieszyć swoje dzieci. Potem głód, pragnienie i wyczerpanie sprawiły, że zobojętniałam, bez żadnych uczuć przyglądałam się, jak dzieci umierają, słuchałam wycia matek.

Paru mężczyzn podtrzymywało nas na duchu, inni stali odrętwiali. Jeszcze inni kłócili się, klęli i przepychali. Na początku wielu ludzi modliło się, potem ich głosy ucichły. Stara kobieta zwariowała, w środku nocy zaczęła się śmiać i przeklinać Boga. Długo nie można było jej uspokoić, wreszcie umarła przed świtem.

Pociąg zatrzymywał się, postoje trwały wiele godzin. Po torach obok przejeżdżały ciężkie transporty wojskowe na wschód. Słyszeliśmy kroki na peronach i głosy po niemiecku. Niemcy ponosili klęski w Rosji, ich wściekłość wyładowywała się w jeszcze większym terrorze. Ludzie z naszego wagonu krzykiem domagali się picia i jedzenia. Z pozostałych wagonów też dobiegały błagania. Niemcy nie odpowiadali, czasem walili kolbami w ściany wagonów i wrzeszczeli: *Ruhe!*

Od pierwszych godzin obserwowałam dziewczynę, której niezwykła uroda wyglądała w tym miejscu na nierealną. Mogła mieć dziewiętnaście lat, była smukła, miała delikatne rysy, wielkie czarne oczy, przypominała Madonnę

z obrazu Rafaela. Usłyszałam, że ma na imię Magdalena; strach i wyczerpanie sprawiły, że stawała się coraz bledsza. Lękałam się, że nie wytrzyma podróży.

Jeden z mężczyzn wciąż sprawdzał kierunek ruchu pociągu i obliczał pokonany dystans, jego zdaniem jechaliśmy do Auschwitz. Od trzech lat w Warszawie mówiło się o tym obozie, wiadomo było, że ginie tam ogromna liczba ludzi. Ale byli więźniowie, którzy potrafili przeżyć; głodowali i chorowali, pisali do rodzin listy z błaganiem o paczki z żywnością i lekarstwami. Widmo Auschwitz przerażało.

Nie potrafiłam zaakceptować tego, co mnie spotkało. To moja wina, po raz pierwszy w życiu zlekceważyłam głos, który kazał mi wyskoczyć z pociągu w Londynie. Teraz poniosę karę.

Chciałam uciec po upadku oblężonej Warszawy, wyjechałam do Francji. Moja przybrana ojczyzna była jednak w stanie wojny z Rzeszą i niemieccy policjanci uważnie przyjrżeli się mojemu paszportowi. Uznali, że jest fałszywy i trafiłam na Pawiak, do więzienia, w którym wcześniej siedział mój ojciec. Pobita przez przesłuchującego podoficera wyznałam prawdę; stałam się ponownie Polką.

Po miesiącu uwięzienia pokazano mi list gończy sprzed wojny. Polski wymiar sprawiedliwości zmienił się na niemiecki, oskarżono mnie o usiłowanie zabójstwa i spowodowanie kalectwa. Na moje szczęście Niemcy byli skorumpowani; wolność kosztowała mnie kolczyki ze szmaragdami od Toma. Wysłałam z papierami na prawdziwe, polskie nazwisko.

Wuj umarł pod koniec trzydziestego dziewiątego roku, zostawił mi wygodne mieszkanie i biuro. Biuro kupiła niemiecka firma; za te pieniądze otworzyłam ze współnikiem małą kawiarnię. Adam miał trzydzieści pięć lat, z zawodu był pianistą, jego muzyka ściągała do kawiarni klientów. Nie powiedział mi, że był też oficerem, walczył we wrześniu, uciekł z transportu do obozu jenieckiego i przystąpił do podziemia. Zostaliśmy kochankami, żyliśmy spokojnie, ja trzymałam się z dala od polityki.

W lutym czterdziestego czwartego do kawiarni wpadli żandarmi, aresztowali Adama i mnie. Zostałam oskarżona o przynależność do przestępczej organizacji podziemnej. Nie miałam pojęcia, o czym mówią przesłuchujący mnie gestapowcy. Nie bili, ponieważ grzecznie odpowiadałam na wszystkie pytania. Nie potrafiłam podać nazwisk członków organizacji, ale konfrontacje z ciężko pobitymi aresztowanymi nie dowiodły winy, nikt mnie nie rozpoznał.

Opowiedziałam gestapowcom moją historię, od ucieczki z Polski. Niczego nie zataiłam, zmieniłam tylko nazwisko Karla i pominęłam historię z Wolfgangiem; wiedziałam już, co oznaczały dwie litery „S” pod jego pachą. Dostarczyłam rozrywki całemu oddziałowi gestapo. Esesmani ściągali kolegów, kazali mi powtarzać opowieści o szantażowaniu bogatych biznesmenów, zaśmiewali się, częstowali mnie kawą i papierosami. Po miesiącu sąd skazał mnie

na pobyt w obozie koncentracyjnym, jako więźniarkę polityczną. Tak działa logika systemu. Adam został rozstrzelany wraz z pięćdziesięcioma zakładnikami.

Ruszamy do drzwi, bezwładna masa wypycha na zewnątrz stojących z brzegu, krzyki i przekleństwa wypełniają wagon. Ludzie wypadają na kamienie obok torów, krzyczą z bólu. Zbliżam się do wyjścia, walczę, aby nie zostać zepchnięta. Widzę stojących przed wagonem mężczyzn i kobiety w czarnych mundurach z naszywkami SS, niektórzy trzymają na smyczach ujadające psy. Esesmani pokazują coś po obu stronach pociągu, śmieją się.

Wynędziali więźniowie w pasiastych ubraniach pomagają przybyłym wydostać się z wagonów, pomiędzy nimi kręcą się mężczyźni i kobiety w niebieskich bluzach, spodniach z lampasami i wysokich butach; są dobrze odżywieni, na ramionach mają opaski z napisem „Kapo”. Używają gwizdków wydających ostry, wysoki ton, poganiają ludzi krzykiem i uderzeniami długich bykowców. Każdy cios wyrywa z ust uderzonych krzyki bólu. Nad tłumem unoszą się kaszel, krzyki i płacz przerażonych dzieci.

Młody więzień w pasiaku podaje mi rękę, zapadnięte w wychudzonej twarzy oczy patrzą obojętnie; z jego pomocą staję przy wagonie i rozglądam się. Obok zatrzymuje się Magdalena, jej ciało drży z zimna i strachu. Widzę kobiety i mężczyzn głośno domagających się jedzenia i picia; uciszają ich uderzenia bykowców i kopniaki.

Z wagonów po prawej wydostają się ludzie pokryci czarną mazią, kaszlą i zataczają się, sprawiają wrażenie zatrutych. Z tych wagonów wyrzucanych jest więcej zwłok niż z naszego. Po lewej widzę ludzi całkowicie białych, jakby wychodzili z młyna; oni też wyglądają na ciężko chorych. Słyszę mężczyzn i kobiety w niebieskich bluzach, mówią po ukraińsku, polsku i niemiecku, wymieniają głośne uwagi i śmieją się donośnie. Rozumiem już, co się wydarzyło. Czarni przyjechali wagonami, w których wcześniej wożono węgiel; przez trzy dni węglowy pył przykleił się do ubrań i ciał, przeniknął do płuc. Biali podróżowali na resztkach trującego wapna.

Krzyki i gwizdki kapo ustawiają nas w długą kolumnę. Twarze zgnębionych, przestraszonych ludzi wyglądają jak maski. Ponad głowami tłumu widzę szeregi długich, drewnianych baraków, za nimi z czterech kominów unosi się czarny dym. Wszystko otoczone jest wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, co kilkadziesiąt metrów stoją wieżyczki wartownicze.

Obóz jest olbrzymi, sprawia wrażenie upiornego miasta, przecinają go ogrodzenia z drutów kolczastych. Czuję obezwładniający ucisk w sercu, nie mogę oddychać. W najgorszych chwilach życia nie doznałam takiego przerażenia. Muszę się opanować, skupić. Jeśli można tu przeżyć, ja z pewnością tego dokonam. Prostuję plecy, oddycham głęboko. Patrzę na niebo, szukam wzrokiem, ale widzę tylko brudne, nisko wiszące chmury. Nie ma księżyca.

Kapo każą nam ruszać, idziemy w stronę grupy esesmanów i esesmanek. Ludzie przepychają się, potykają i przewracają. Mijamy wagony pociągu, za nimi dostrzegam następne linie baraków i druty. Popchnięta matka upuszcza dwoje małych dzieci, które niosła na rękach. Dziewczynka i chłopiec mają dwa, trzy lata; dziwię się, że przeżyły podróż. Łkają dziwnym, zduszonym głosem, brzmiącym jak jękliwa skarga. Matka nie jest w stanie ich podnieść, klęczy i zasłania dzieci swoim ciałem. Magdalena pochyla się, podnosi jedno dziecko, potem drugie. Matka wstaje, mamrocze podziękowania; ruszają popychane przez tłum. Niemcy wypuszczają psy na smyczach blisko kolumny; wilczury zanoszą się jazgotem, wyszczerzają kły, rzucają się na idących ludzi. Kulimy się i odsuwamy.

Widzę, że esesmani z przodu rozdzielają naszą kolumnę. Starsi i chorzy kierowani są w lewo, kobiety i mężczyźni w sile wieku i lepszej formie idą na prawo. W miejscu rozdzielenia kolumny panuje zamęt, rozpacz i przerażenie mieszają się ze szczekaniem psów, rozkazami po polsku i niemiecku. Kapo wyrwywają matkom dzieci, one wyją, skowyczą jak zwierzęta.

Zbliżamy się do esesmanów; palą papierosy, rozmawiają, robią zdjęcia. Wiem, że nie wolno patrzeć im w oczy. Za to przewinienie na ulicy w Warszawie można było zostać pobitym albo zastrzelonym. Wysoki Niemiec w czarnym mundurze pokazuje Magdalenie z dziećmi, żeby poszła na lewo. Z boku zbliża się kobieta w niebieskiej bluzie, z pałąk w ręku – kapo. Jest mocno zbudowana, ma prymitywną twarz z szeroko rozstawionymi oczami i niskim czołem.

– *Ne jejo*[1] – mówi po ukraińsku do Niemca.

Wyrwywa Magdalenie dziewczynkę i chłopca, wciska je w rękę matki. Esesman kiwa głową, pokazuje matce, żeby poszła na lewo. Kapo wpycha zdezorientowaną Magdalenę z powrotem do kolumny, zwraca się do mnie, mówi cicho i szybko.

– *Na lewo do hazu, na prawo na żyti. Zajmis' neju, słyszy? Bo pożalijesz!*[2]

Zrozumiałam, idący na lewo zostaną zlikwidowani. Nie pojmuję, co ma z tym wspólnego gaz. Po geście esesmana skręcamy z Magdaleną na prawo i dołączamy do kolumny, która kierowana jest do baraków za torami. Widzę, że lewa kolumna idzie w stronę dymiących kominów; kapo poganiają ludzi gwizdkami i krzykiem. Kolumna rusza biegiem, starzy ludzie, chorzy i matki z dziećmi przewracają się, są bici i kopani. Marsz ku śmierci ma się odbyć w paraliżującym strachu, zlikwidować myśl o oporze. Esesmani i strażniczki idą z boku, przyglądają się ze spokojem. Odwracam głowę, nie chcę na to patrzeć.

Nasza kolumna idzie szybkim krokiem, skręca za pierwszym z baraków. Rozlegają się gwizdki, kapo i więźniowie w pasiakach oddzielają mężczyzn, gonią ich do bramy następnej części obozu. Kobiet jest ponad setka, idziemy dalej, prowadzą nas teraz kobiety kapo, jest pośród nich ta sama Ukrainka, z boku idą trzy esesmanki. Przechodzimy przez bramę w ogrodzeniu, z wieżyczki

wartowniczej wychylają się dwaj strażnicy, palą papierosy i przyglądają się z ciekawością; obok sterczy lufa karabinu maszynowego.

Wchodzimy między baraki. Magdalena płacze, idzie chwiejnie, jakby zaraz miała zemdleć. Chwytam ją mocno pod pachę i ściskam. Ból odnosi skutek, dziewczyna przytomnieje, patrzy na mnie przestraszona, ale rusza pewniejszym krokiem.

Mijamy grupę więźniarek w pasiakach, które przechodzą eskortowane przez kapo i esesmanki. Są wynędzniałe, mają ogolone głowy, przyglądają się nam z obojętnością. Idą jak automaty, jest w ich ruchach dziwna uporczywość. Poznały piekło, nic nie jest w stanie ich złamać. Zazdroszczę im tej wiedzy; ile czasu potrwa, zanim się nauczę sztuki przetrwania?

Zbliżamy się do szeroko otwartych drzwi. Wierzę Ukraince, że nie zabiją tu nas. Nie wiem, dlaczego zdecydowała, że Magdalena ma przeżyć; może sprawiła to jej uroda. Posłucham się jej rozkazu, będę się trzymać dziewczyny. Wchodzimy do szerokiego, pustego baraku, w zamkniętej przestrzeni uderza smród naszych przepoconych ubrań i odchodów na butach. Kapo krzyczą, popychają nas. Orientuję się, że rządzi nimi Ukrainka.

– Rozbierać się! Rozbierać się brudne świnię! Do naga! – wrzeszczy. – Zatrzymać majtki i staniki!

Kobiety ociągają się, rozglądają niepewnie. Krzyki kapo stają się ostrzejsze, na głowy i plecy spadają bykowce i pałki. Odnosi to skutek, w akompaniamencie lamentów i jęków zaczynamy się rozbierać. Trzy esesmanki stoją pod ścianą, palą papierosy, przyglądają się nam, sprawiają wrażenie znudzonych widzów.

Nie czekam na uderzenie kija, szybko pozbywam się ubrania, trzymam w ręku bieliznę, szczękam zębami od przejmującego chłodu. Magdalena też zrzuca płaszcz, spódnicę, sweter i buty. Staje naga, zasłania rękami drobne piersi i podbrzusze, dygocze z zimna. Jest smukła, ślicznie zbudowana, ma alabastrową skórę pokrytą lekkim meshkiem i wystające kości miednicy, jak u dziecka. Nadal patrzy na mnie pytająco, jakby oczekiwała, że wyjaśnię jej koszmar, którego nie potrafi pojąć. Nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze – mówię miękko tonem. – Zaraz dostaniemy ubrania i coś do jedzenia.

Dziewczyna z trudem rozciąga w uśmiechu zsiniałe wargi. Widzę Ukrainkę, stoi kilkanaście kroków od nas i wpatruje się w Magdalenę.

– Przechodzić! – krzyczą kapo. – Przechodzić!

– Ruszać się, kurwy! – wrzeszczy na mnie i Magdalenę niska, krępa kobieta i podnosi do uderzenia długi drąg.

Pociągam za sobą dziewczynę. Drąg spada na głowę kobiety za nami, ona przewraca się z krzykiem, kapo doskakuje, kopie ją w brzuch. Odwracam głowę. Ostre gwizdki poganiają tłum nagich, przemarzniętych kobiet. Ruszamy w stronę

otwartych drzwi w środku baraku. Słyszę wylęknione głosy, padają pytania bez odpowiedzi. Kapo pokazują na długie rzędy ławek; siadamy posłusznie. Więźniarki z opaskami wciągają półprzytomną, zakrwawioną kobietę, rzucają ją na środek.

Dławi mnie rozpacz i wściekłość. Mogłabym gołymi rękami udusić każdą z kapo i esesmanek, zdychającym przegryzłabym gardła; zaczynam się do nich upodabniać. Jest nas ponad setka, łatwo zabiłybyśmy trzy esesmanki i sześć kapo. Ale rozpaczliwie chcemy przetrwać, będziemy zdychać w tym piekle, zamiast umrzeć z godnością. Trzy dni nieludzkiej podróży i niecała godzina w obozie wystarczyły, by stworzyć dusze niewolników.

W rękach więźniarek z opaskami pojawiają się maszynki do golenia; zaczyna się obcinanie włosów, szybkie i brutalne. Kobieta w pasiaku, która mnie strzyże, co chwilę zacina ostrzem skórę. Nie wytrzymuję i warczę na nią ze złością.

– Uważaj do cholery, bo pożałujesz!

Poskutkowało, pracuje wolniej i uważniej.

– Jestem funkcyjna – tłumaczy się. – Robię, co mi każą.

Obok spadają na podłogę długie loki Magdaleny, wylania się kształtna, wysoka czaszka; nawet bez włosów dziewczyna jest piękną. Widzę znów przyglądającą się jej Ukrainkę.

Golenie przeciąga się. Dotkliwie zimno sprawia, że z łysymi głowami i sinymi ciałami zmieniamy się w widma ze złego snu. Ogolone stajemy pod szerokimi drzwiami, czekamy ciasno stłoczone, próbujemy się ogrzać naszymi ciałami.

Zamykam powieki, tłumię strach; jestem daleko stąd, wolna, nad ciepłym morzem. Czuję się jeszcze gorzej, ucieczka w wyobraźnię nie jest metodą. Nie wiem, co innego może pomóc, jak przetrzymać następną godzinę, najbliższą noc. Widzę wpatrzona we mnie oczy Magdaleny, z niemym pytaniem. Przyciągam ją i otaczam ramieniem.

Drzwi otwierają się szeroko, uderza w nas lodowate powietrze. Stojące przed wejściem kapo pokazują na następny barak, gwizdzą. Po cholere im te gwizdki? Ruszamy biegiem, kaleczymy stopy o grudy ziemi i kamienie, widzimy przyglądających się esesmanów. Śmieją się, pokazują nas palcami. Zniknął wstyd, nie myślimy o nagości, został tylko instynkt przetrwania, marzenie o schronieniu w ciepłe, napełnieniu żołądków.

Wbiegamy do baraku, drzwi zamykają się. Na ławkach leżą kostki szarego mydła, chwytamy je, wrywamy sobie. Z wylotów pryszniców nad głowami tryska zimna woda. Dygocząc i przepychając się, zmywamy wielodniowy brud, szoruję Magdalenie głowę i plecy.

Woda przestaje lecieć. Chcę zabrać mydło, ale zauważyła to jedna z kapo i wrzeszczy, żebym odłożyła. Krzyki rozkazów i gwizdki przeganiają nas do następnego pomieszczenia. Ustawiamy się w kolejce przed lekarzem w białym

kitlu włożonym na mundur esesmana; obok stoi kilku pielęgniarzy. Lekarz każe otworzyć usta, sprawdza zęby, obmacuje mięśnie na ramionach. Odsyła na bok kobiety, które sprawiają wrażenie słabych lub chorych; kapo wyprowadzają je bocznymi drzwiami z baraku. Staram się nie myśleć, jaki spotka je los.

Przechodzimy z Magdaleną kontrolę lekarza. Widzę, jak dziewczyna kuli się pod dotykiem jego rąk. Każe jej odsłonić piersi, maca podbrzusze i uda. Potem przychodzi moja kolej; stoję ze schyloną głową, wzrok wbijam w deski podłogi. Widzę przemykającego między nogami stołu małego pająka. Jest wolny, nie obchodzą go nasze dziwne rytuały. Lekarz unosi moją brodę, zmusza do spojrzenia w oczy, patrzy z zainteresowaniem. Nie pojmuję, o co mu chodzi. Po sekundzie dociera do mnie, że wyobraża sobie, jak będzie znikła nasza uroda, uroda dwóch pięknych kobiet niszczonych przez głód, pracę i choroby. Rozumiemy się, lekarz i ja. Potwierdza mój domysł uśmiechem, gestem pokazuje, abym przeszła dalej. Dołącza do mnie Magdalena, jest upokorzona, ma łzy w oczach.

Wchodzimy do następnego pomieszczenia. Leży tu góra drewniaków oraz parujący stos spódnic i bluz w wypłowiałe pasy. Zostały przyniesione z pralni, nie zadbano, aby wyschły. Stoimy bez ruchu, ciasnym kręgiem otaczamy stos ubrań.

– *Uberajte se, na szczo czekajete?![3]* – wrzeszczy Ukrainka.

Nikt się nie porusza.

– Mokre są – rzuca z wahaniem jedna z kobiet.

Kapo reagują wściekłością, razami bykowców i pałek zaganiają do parujących pasiaków. Czuję palący ból uderzenia w plecy, schylam się, podnoszę dwie bluzy, wyglądające jak wory sukienki, pończochy i chustki. Ukrainka staje za Magdaleną, chroni ją przed biciem, łagodnie popycha. Odciągam dziewczynę pod ścianę, ubieramy się pośpiesznie. Najpierw nasze majtki i staniki, potem resztę. Skóra kurczy się pod wpływem mokrego, drapiącego sukna. Wkładamy drewniaki; są prymitywnie wykonane, będą ranić stopy.

Ubrane przechodzimy do kolejnego pomieszczenia, nadal dygoczymy z zimna, coraz bardziej przypominamy więźniarki, które widziałyśmy po drodze. Prowadzę za rękę łkającą cicho Magdalenę. Opieka nad nią uspokaja mnie trochę; może dlatego, że jest słabsza, mocniej na nią działa ten koszmar.

Kapo znów ustawiają nas gęsiego. Kolejno podchodzimy do stołu, za którym siedzą dwie esesmanki i kilka więźniarek funkcyjnych. Zaczyna się powolna rejestracja; jedna z funkcyjnych, kobieta po czterdziestce, wyczytuje nazwiska z listy. Dziwna jest niemiecka dokładność, która wyłania się spod chaosu. Wszystkie jesteśmy na liście, każda dostaje numer i literę na trójkątnym płótnie, igłę i nić. Mamy przyszyć numer do bluzy, nad lewą piersią. Mój trójkąt jest czerwony, ma literę „P”. Więźniarka za stołem mówi, że jestem polityczna. Magdalena ma identyczne trójkąt i literę. W jaki sposób to wystraszone dziecko mogło zagrozić Rzeszy? Siadamy na ławce pod ścianą, przyszywamy numery.

Potem kilka funkcyjnych tatuuje nam te same cyfry na przedramieniu. Tatuowanie jest bolesne, ale czuję, że zbliża się koniec męki i zaciskam zęby.

– Naucz się go na pamięć – mówi do mnie więźniarka funkcyjna.

– Po co? – pytam.

– Nie masz już nazwiska ani imienia – wyjaśnia. – Wołać cię będą po numerze. Nie zareagujesz, zostaniesz ukarana. Zrozumiałaś?

Kiwam głową, patrzę na przedramię. Pomiędzy kroplami krwi widzę pięć cyfr. Przedemną było tu tyle kobiet? Co się z nimi stało?

Z oczu Magdaleny płyną łzy, kiedy igły wbijają się w jej delikatną skórę. Młoda kobieta, która ją tatuuje, szepcze pocieszająco:

– Jeszcze chwilę, wytrzymaj.

Pierwszy ludzki odruch w tym miejscu sprawia, że nagle jestem gotowa się rozpląkać. Powstrzymuję się, za słabością na pewno czai się śmierć.

Zaczyna padać deszcz. W akompaniamencie gwizdków biegniemy przez błoto między barakami, przyciskamy do piersi miski i koce. Nieprzywykłe do drewniaków, potykamy się i przewracamy. Kapo doskakują do leżących, poganiają wrzaskiem i biciem. Zrzucam drewniaki, chwytam je w rękę. Podtrzymuję Magdalenę, która robi to samo ze swoimi. Na bosaka lepiej się biegnie, nie ryzykujemy pobicia. Odwracam głowę, widzę idące za nami esesmanki; zostały z tyłu, w półmroku jarzą się ogniki ich papierosów.

Zza mijanego baraku dobiega wycie. Odruchowo zwalniamy. W błocie leży dziewczyna z żółtą gwiazdą na piersi, ma piętnaście, może szesnaście lat. Dwie esesmanki biją ją gumowymi pałami i kopiają oficerkami, obok esesman trzyma na smyczy ujadającego wilczura. Młoda Żydówka wyje i zwija się z bólu, na próżno próbuje osłaniać głowę przed kopniakami. Zmęczone esesmanki odsuwają się wreszcie, Niemiec spuszcza wilczura. Pies rzuca się na dziewczynę, szarpie jej ramiona i piersi, próbuje chwycić za gardło. Dziewczyna zalewa się krwią, nie przestaje krzyczeć. Esesmani śmieją się, szczują psa.

Kapo gwizdzą i krzyczą na nas, zmuszają znów do biegu. Pociągam za sobą zmartwiałą z przerażenia Magdalenę. Rzucam ostatnie spojrzenie na Żydówkę, widzę ruch esesmana wyciągającego pistolet z kabury. Kiedy wbiegamy za barak, rozlega się suchy wystrzał. Koniec męki dziewczyny. Chciałabym dowiedzieć się, jaki błąd popełniła. Spojrzała w oczy Niemca? Może wystarczyło jej pochodzenie. Ja mam dobre, aryjskie papiery. Przeżyję.

Zapalają się wysokie lampy przy ogrodzeniach z drutu, rzucają białe, widmowe światło. Pomiędzy barakami dostrzegamy snujące się i leżące w błocie zjawy. Przerazliwie chude kobiety nie mają wieku ani rysów, tylko zastygłe maski cierpienia. Mamroczą do siebie, wykonują dziwne gesty. Makabryczny balet na cześć śmierci.

Docieramy wreszcie do baraku, w którym mamy zamieszkać. Ciasno

stłoczone przepychamy się do środka. Nie wiemy, które miejsca będą lepsze, instynktownie staramy się wejść jako pierwsze. Wciągamy za sobą Magdalенę. W nozdrza uderza ciężki odór potu i brudu, słycać kaszel. W mroku majaczą rzędy trzypiętrowych prycz i wystające głowy kobiet; patrzą na nas wielkimi oczami w wychudzonych twarzach.

– Zajmować wolne miejsca! – krzyczy jedna z kapo. – No już, kurwy!

Tłum rusza w głąb baraku, w tłoku i ciemności kobiety próbują znaleźć miejsce. Wydaje się to niemożliwe, wszystkie prycze są zajęte. Magdalena zaczyna znowu płakać. Czuję nagłą irytację.

– Przestań! – wołam gniewnie.

Przy nas pojawia się Ukrainka.

– *Na horu, skoro!*[4] – krzyczy i pokazuje na górną pryczę.

Kij Ukrainki spada na ramiona i głowy najbliższej stojących.

– *Los! Los! Platz nehmen polskie swyni! Na szczo czekajete?!*[5] Kobiety cofają się przed uderzeniami, Ukrainka krzykiem i ciosami pięści przegania dwie więźniarki z najwyższej pryczy. Podsadam bezwładną Magdalенę, wchodzę za nią. Skulona pod ścianą więźniarka cofnęła się przed ciosami, obroniła swoje legowisko; musimy się zmieścić z Magdalенą na jednej pryczy. Przez świetliki pod dachem wpada światło lamp i zacina deszcz, z obu stron patrzą na nas lśniące lękiem i gorączką oczy więźniarek. Na twarzach i rękach mają strupy, niezagojone rany są odkryte lub owinięte brudnymi szmatami. Nie wierzę, że przetrwały w obozie straszną zimę.

Magdalena wciąż płacze, nie może się uspokoić. Układam ją na pryczy, owijam kocem, potem przykrywam siebie i przytulam się do niej; za jakiś czas wyschną nasze ubrania i ogrzejemy się trochę. Hałas i zamieszanie powoli cichną; kapo kręcą się po baraku, świecą latarkami, poganiają kobiety, które nie znalazły wolnych miejsc. Ukrainka staje pośrodku korytarza, woła donośnie:

– *Teper je niczna tiszta! Zrozumily? Za rozhowir batohom i rozstril! Ktora wyjde na dwir, bude roztrielana! Dobrych snil!*[6]

Coś porusza się pod kocem, wchodzi na brzuch; drętwieję z obrzydzenia i strachu. Wszy pojawiły się w Warszawie razem z Niemcami; zawsze wyczuwają, kiedy nadchodzi ich czas, przynoszą tyfus i śmierć. Inne kobiety z naszej grupy też je poczuły, podnosi się gwar przejętych wstrętem i oburzeniem głosów.

– Koce są zawszone! Wszy!

– *Tyszyna! Zykryjte pyski!*[7] – wrzeszczy Ukrainka.

Nie pomaga, słycać więcej protestujących głosów.

– Wszy w kocach! Zarazicie nas tyfusem! Chcemy mieć czyste koce!

Widzę, że krzyczą tylko nowo przybyłe, dołączają następne, coraz śmielej.

– Dajcie nam jeść! Jeść!

Wychyłam się, patrzę w dół. Esesmanka przy drzwiach wyszczekuje rozkaz.

Ukrainka podbiega do kobiety, która zerwała się z dolnej pryczy i potrząsa kocem. Chwyta ją za ramię i ciągnie do drzwi. W świetle latarki widzę błysk wyciąganego z kabury pistoletu esesmanki. Niemka wychodzi pierwsza, za nią Ukrainka wypycha kobietę.

Zapada nagła cisza, rozlega się stłumiony strzał. Esesmanka i Ukrainka wracają do baraku. Kapo oświetlają latarkami rzędy prycz, szukają następnej ofiary. Kobiety milczą, chowają się na pryczach; słysząc stłumione łkania i kaszel.

– Proszę, proszę... – mówi zdławionym głosem Magdalena.

Głaszczę ją po głowie, uspokajam szeptem. Na nogach, plecach i brzuchu czuję ugryzienia, zaczynam się drapać. Przenikliwie zimno i wszy; z wysiłkiem panuję nad lękiem i rozpaczą. Pomimo ogromnego zmęczenia nie potrafię zasnąć. Słyszę cichy szmer, po belce przebiega małe, zwinne ciało. Co będzie, kiedy zaśniemy, zaatakują nas szczury? A kiedy dostanę okres? W jaki sposób się umyję, skąd wezmę podpaskę. Będę chodzić poplamiona krwią? Dotykam podbrzusza, próbuję policzyć, kiedy to się stanie.

Kobieta na pryczy obok przygląda się obojętnym wzrokiem.

– Nie martw się, prawie żadna nie ma okresu – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Przystajesz być kobietą.

Odwraca się i zasypia. Po chwili zaczyna się drapać, przez sen. Niedługo upodobnię się do niej, stanę się wychudzonym, chorym widmem. Muszę coś wymyślić, wyrwać się z tego baraku. Z pewnością istnieją w obozie miejsca, gdzie da się przeżyć. Tutaj zginę. Zamykam oczy, przestaję myśleć, czuć. Nie istnieję.

Karl i ja stoimy na skale, pod naszymi stopami rozbijają się rozkołysane po burzy fale. Oboje jesteśmy nadzy, rozgrzani słońcem. Boję się, kręcę przecząco głową, nie chcę skoczyć. Karl śmieje się, potem odbija mocno, jego ciało przecina wypełnione kroplami piany powietrze, wbija się w szmaragdową wodę. Wynurza się kilkanaście metrów dalej, płynie mocnymi ruchami ramion. Wpływa do osłoniętej od fal, małej zatoczki pomiędzy skałami. Patrzy na mnie roześmiany, długie mokre włosy przyklejają się do jego twarzy.

– Skacz!

Zbieram całą odwagę, patrzę na zbliżającą się falę. Jest ogromna, wzbiera, jakby oddychała, za chwilę rozbije się pod moimi nogami. Odbijam się, lecę wysoko w powietrzu. Fala cofa się, odsłania ostre skały na dnie, roztrzaskam się o nie, krzyczę przeraźliwie.

– *Tycho but!*[8]

Mocne szturchnięcie w ramię przywraca przytomność. Otwieram oczy, widzę twarz Ukrainki, czuję oddech przesączony wódką. Jest pijana i spocona, oddycha chrapliwie, podniecona patrzy na śpiącą Magdalenę. Czekam bez ruchu.

– *Jak jiji zwaty?*[9] – pyta.

– Magdalena.

– *Mene Luba*[10].

Ukrainka sięga pod bluzę, kładzie przede mną zawiniątko.

– *Na, podilitsia. Jak jiji wkradesz to ub'ju*[11].

Szeroka twarz znika w dole; słyszę, jak Ukrainka chwiejnie odchodzi. Drzwi baraku zamykają się ze stłumionym trzaskiem. Rozwijam zawiniątko pod kocem, dotykiem i węchem wyczuwam kawał chleba, cebulę i kiełbasę. Delikatnie budzę Magdalenę.

* * *

Otworzone drzwi z hukiem uderzają o ścianę baraku. Krzyki po polsku, niemiecku i ukraińsku.

– Wstawać świnie! Wychodzić! Wstawać, pobudka! Na dwór, wynocha! Wychodzić!

Otwieram oczy, paraliżuje mnie strach. Półprzytomna próbuję uświadomić sobie, gdzie jestem. Widzę celę w alei Szucha, wagon towarowy, wreszcie pamięć podsuwa obrazy z poprzedniego dnia. Nie mogę złapać oddechu, w końcu płuca przewyciężają niemoc, nabieram głęboko zatęchłego powietrza. Ciało i głowa swędzą, pokryte są strupami. Wszy! Musiałam drapać się przez sen.

Oczy przyzwyczajają się do półmroku. Wpatrzona we mnie Magdalena dusi się, sinieje.

– Oddychaj! – rozkazuję i przyciskam ręką jej brzuch.

Nie reaguje, zaczyna tracić przytomność. Pozwolę jej umrzeć, oszczędzę koszmaru i długiego konania. Przypominam sobie, że Ukrainka zagroziła mi śmiercią. Żywa Magdalena to bezpieczeństwo, pełny żołądek. Wymierzam jej mocny policzek i jeszcze raz przyciskam brzuch. Otwiera usta, spazmatycznie chwyta powietrze, jej oczy są wypełnione łzami.

– Nie płacz! – mówię ostrym tonem. – Za mazanie się rozstrzeliwują!

Pomaga. Magdalena łyka łyzy, patrzy na mnie posłusznie, jak skarcona dziewczynka.

Krzyki, gwizdki i przekleństwa kapo nie milkną. Luba szaleje pomiędzy rzędami prycz, na oślep uderza kijem uciekające przed nią więźniarki. Patrzy na mnie, pokazuje żebyśmy zeszły na dół.

– Zabrać miski! – woła po polsku, przekrzykując hałas.

Stajemy z Magdaleną na podłodze z miskami w rękach. Ukrainka jest przed nami, osłania przed innymi kapo. Ruszamy do wyjścia, tłum kobiet przeciska się, aby jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem kijów i bykowców. Słyszę szczerkanie psów i krzyki.

Wychodzimy wreszcie przed barak. Jest jeszcze noc, w ostrym świetle lamp strugi deszczu przypominają lśniące ostrza, tną boleśnie nagą skórę czaszki. Zza baraków i drutów dobiegają gwizdki i krzyki, cały obóz zaczyna nowy dzień. Kapo

wrzeszczą, popychają nas, kopią i uderzają pięściami. Mamy stanąć na baczność w rzędach po dziesięć kobiet, z miskami w dłoniach. Nie wolno rozmawiać, poruszać się ani drapać.

Kapo są mutantami, skrzyżowano je z gatunkiem z innej planety; na Ziemi nie ma tyle nienawiści i okrucieństwa. Spokojnie stojący Niemcy wyglądają przy nich jak normalne, ludzkie istoty. Są niewyspani i marzną pomimo ciepłych płaszczy, rozgrzewają się, przytupując, palą papierosy, rozmawiają. Jedna z esesmanek śmieje się głośno, z udanym gniewem uderza w głowę stojącego obok esesmana; on trzyma wilczura na smyczy. Chciałabym usłyszeć żart, który ją sprowokował. Opanowuję odruch, aby podejść do Niemców i poprosić o ochronę przed kapo.

Poganiane i bite ustawiamy się wreszcie w trzech rzędach, jest nas kilka setek. Stoimy w milczeniu. Dygoczę z zimna, staram się opanować lęk, czuję gryzące wszy. Niemożliwe, abyśmy wytrzymały cały dzień w ubraniach z prymitywnej bawełny i drewniakach na bosych stopach. Muszą nam wydać ciepłą odzież albo dostaniemy zapalenia płuc i umrzemy.

Patrzę na więźniarkę, którą przywieziono tu przed nami. Stoi bez ruchu, wbija w przestrzeń niewidzące oczy, konwulsyjne drżenie ciała przypomina tajemniczy taniec, sina skóra pokryta strupami i ranami ciasno opina sterczące kości. Nie potrafię zgadnąć, ile ma lat, trzydzieści albo sześćdziesiąt. Nie rozumiem, jaka siła sprawia, że nadal jest gotowa walczyć o życie.

Więźniarki z opaskami, funkcyjne, wynoszą z baraku zwłoki. Kilka kobiet umarło w nocy, ułożone zostają na dwukołowym wózku. W ich twarzach widać głębokie, wygryzione rany; domyślam się, że szczury zdążyły się pożywić. Funkcyjne chwytają za dyszel, ciągną wózek, oddalają się między barakami.

Jedna z esesmanek nieśpiesznie otwiera grubą zeszyt, czyta i mówi coś do stojącej obok więźniarki z napisem „Block” na opasce. Funkcyjna głośno wywołuje sześć numerów. Wywołanych sześć kobiet występuje z szeregów, kulą się przerażone. Doskakują do nich dwie kapo, popychają brutalnie w stronę przejścia między barakami. Kobiety ruszają biegiem, kapo krzyczą i poganiają uderzeniem kijów. Patrzę na więźniarki stojące obok mnie; ich oczy mówią, że wywołane poszły na śmierć.

Mój umysł pracuje, zadaje pytania. Co zrobiły skazane? Złamały regulamin, naraziły się kapo? Może były chore i o ich losie zdecydował lekarz podobny do tego, z którym miałam do czynienia. Obiecuję sobie, że dowiem się wszystkiego, kiedy będę mogła porozmawiać ze starymi więźniarkami.

Kapo i funkcyjne zaczynają nas liczyć. Liczenie przeciąga się, suma nie zgadza się z zeszytem esesmanki. W oczach przechodzącej Luby widzę strach. To zaskakujące odkrycie; kapo też są więźniarkami obozu, wyznaczone zostały do roli oprawców. Jak się zostaje kapo? Może byłabym w stanie wykonywać ich robotę.

Wzdrygam się na tę myśl, ale nie odsuwam jej. Muszę przeżyć.

Kolejne liczenie też nie daje rezultatu. Luba i trzy funkcyjne wbiegają do baraku. Po chwili wracają, krzykiem i biciem poganiają cztery wynędzniałe kobiety. Ukrainka melduje esesmanom, kaleczy język niemiecki. Te cztery ukryły się pod pryzami, aby uniknąć apelu i pracy. Niemcy kiwają głowami, przyglądają się oskarżonym.

Jedna z kobiet rzuca się na kolana, składa ręce jak do modlitwy, mówi cicho, błagalnym głosem. Esesman słucha, potem bez pośpiechu wyciąga pistolet z kabury, repetuje i strzela jej w głowę. Ciało osuwa się miękko i bezwładnie w błoto. Przez szeregi więźniarek przebiega cichy jęk.

Niemiec niedbałym gestem ręki każe trzem pozostałym kobietom dołączyć do szeregu, zabezpiecza pistolet, chowa do kabury. Wilczur obwąchuje ciało z ciekawością, zlizuje krew z twarzy. Funkcyjne chwytają zabitą za nogi, odciągają i rzucają pod ścianę baraku.

Notuję w pamięci to zdarzenie. Błagania nie ocala życia, należy zachowywać się, jakby mnie nie było. Magdalena dygocze, ugina kolana, za chwilę zemdleje. Chwytam ją pod łokciem, ściskam mocno. Ból działa otrzeźwiająco, prostuje się. Słyszę jej błagalny szept:

– Proszę, proszę...

Liczenie zaczyna się od nowa. Wrócił pusty wózek, który wywiózł trupy, załadowano na niego ciało zastrzelonej. Mija godzina, deszcz przestał padać, jest jeszcze zimniej. Nad ziemią wisi mgła, spowija baraki i szeregi nieruchomych kobiet. Wszy przestały gryźć, może one też zmarzną. Trzeba było zostać w baraku.

Nie wiedziałam, że zimno może sprawiać taki ból, tak torturować. Wpełza do wnętrza i mózgu jak wąż, paraliżuje wolę. To już nie jest moje ciało, to nie jestem ja. Dygoczę odrętwiała i odczuwam dziwną fascynację, apel jest spektaklem absurdu, tu i teraz kończy się człowieczeństwo. Zgadza się na nasze role, nic nie dzieje się przypadkiem, życie i śmierć dzieli cienka granica, łatwa do przekroczenia. Wystarczy słowo, ruch albo spojrzenie. Po co ta męka, w imię czego?

Luba melduje liczbę więźniarek. Dwieście siedemdziesiąt trzy. Esesman kiwa głową, nakazuje powtórzyć liczenie. Mało brakowało, a roześmiałabym się, w ostatniej chwili opanowuję rozbawienie. Kątem oka widzę przewracającą się kobietę. Upada twarzą w błoto, nie porusza się. Na znak Ukrainki podbiegają trzy funkcyjne, podnoszą kobietę, kładą ją na wózek. Trzeba liczyć jeszcze raz. Trwa to w nieskończoność, dwieście siedemdziesiąt dwa.

– Nie mogę, nie wytrzymam – szepcze Magdalena. – Gdzie je odwożą? Też chcę do szpitala. Chcę do szpitala.

Stojąca obok więźniarka mówi cicho, nie porusza ustami.

– Ze szpitala wyjdiesz przez komin.

– Jak to? Dlaczego przez komin? – pyta z lękiem Magdalena.

Więźniarka milczy. Następne dwie kobiety przewracają się i nieruchomieją w błocie, zostają odniesione na wózek. Liczenie od nowa. Kapo przechodzą przed rzędami, liczą głośno, podają końcową liczbę Ukraince, ona powtarza esesmance z zeszytem. Dwieście siedemdziesiąt.

Po co? Jakie ma znaczenie, ile żywych trupów pozostało? Niemcy i kapo też są zmęczeni i zmarznięci. Obłęd, którego ofiarami jesteśmy wszyscy. Niebo powoli się rozjaśnia, wiatr przegania chmury. Nad barakiem wylania się wążutki sierp księżyca, jest chorobliwie żółty. Patrzę na niego z nadzieją, wiem, że coś ważnego się wydarzy.

Magdalena zaczyna cicho nucić. Nieznacznie odwracam do niej głowę. Magdalena ma półprzymknięte oczy, usta rozciąga uśmiech. Kołysze się lekko i nuci miłosny, idiotyczny przebój sprzed wojny.

– Przestań! – syczę przez zaciśnięte zęby.

Nie słucha mnie, nuci głośniej. Za chwilę śpiew dojdzie do uszu esesmanów i będzie po wszystkim. Przed naszym szeregiem wyrasta Luba, końcem kija uderza Magdalенę w brzuch. Nucenie urywa się, dziewczyna jęczy, otwiera szeroko oczy. Ukrainka odwraca się, mówi głośno, po niemiecku.

– Dwieście sześćdziesiąt trzy!

Jeszcze siedem kobiet nie przetrzymało apelu. Nie zauważyłam, kiedy to się stało, tkwię w takim samym odrętwieniu jak Magdalena. Esesmanka kiwa głową, zamyka zeszyt. Nareszcie koniec. Co teraz?

Z boku, między barakami, pojawia się lora zaprzężona w dwa ciężkie konie. Zbliża się. Za woźnicą w pasiaku stoi parujący kocioł. Patrzę na wóz i kocioł, czuję ulgę i wdzięczność, wreszcie zostaniemy nakarmione. Woźnica wstrzymuje konie, odwraca się i podchodzi do kotła. Umysł z obojętnością rejestruje jego twarz, kocioł z gorącym jedzeniem jest najważniejszy. Przez głowę przelatuje błyskawica, z wrażenia prawie tracę wzrok. W panice wracam wzrokiem do woźnicy.

Widzę ogoloną głowę pod czapką, ostre rysy wychudzonej twarzy. Muszę z całych sił powstrzymać się, żeby nie krzyknąć. To nie może być prawda, przecież jestem przytomna, nie zasnęłam na stojąco. Woźnica zanurza długą chochlę w kotle i miesza. Odwraca się w naszą stronę, czeka. Postarzała o dziesięć lat, zapadnięta twarz, takie same jasne oczy. Karl.

Podchodzimy wolno, z obu stron porządku pilnują kapo i więźniarki z opaskami. Na piersi Karla widzę zielony trójkąt, nie wiem, co oznacza. On nie zauważa mnie w tłumie. Słyszę dudnienia serca, skronie pulsują, z wysiłkiem panuję nad sobą. Chcę wejść na lorę i poprosić, aby mnie stąd zabrał. Zawsze przecież wydostawał nas z kłopotów; czy można sobie wyobrazić większy kłopot?

Zatrzymuję się przed lorą, wyciągam rękę z miską. Patrzę w oczy Karla, który napełnia miskę ciemnym płynem. Nie widzi mnie. Stojąca obok więźniarka

wcisła mi w rękę kromkę czarnego chleba, łyżką kładzie na nim odrobinę marmolady.

– Karl – mówię cicho.

Nie usłyszał, odwraca się i zanurza chochlę w kotle. Otwieram usta, aby zawołać go głośniej, ale ktoś odpycha mnie od wozu.

– Za kontakt z mężczyznami kara śmierci – słyszę za mną. – Dla niego też.

Odwracam się, widzę tę samą kobietę, która ostrzegła Magdaleny. Ma wysokie czoło i wąskie, inteligentne oczy. Nie chcę jej słuchać. Czy jest coś, czego nie karze się tu śmiercią? Niech nas wszystkie zabiją! Za to, że oddychamy i patrzymy. To potworne przewinienia.

Bez słowa przepycham się, próbuję wrócić do wozu i Karla. Na mój bark spada cios kijem, ból paraliżuje ramię. Wypuszczam miskę ze zdrętwiałej ręki, z przerażeniem patrzę na ciecz mieszającą się z błotem. Prostuję się, przepycham przez tłum, odchodzę pod ścianę baraku. Siedzi tu Magdalena, pije z miski, połyka chleb z marmoladą, sprawia wrażenie szczęśliwej.

Podobno człowiek może stracić zmysły w ciągu kilku sekund. Jeśli Magdalena zwariowała, nie będzie nas chronić Ukrainka. Siadam obok, odbieram jej miskę, wypijam kilka łyków. To rzadka kawa zbożowa, bez cukru, jest obrzydliwa, ale gorąca. Żuję powoli ciężki chleb, marmolada prawie nie ma smaku. Nie mogę uwierzyć, że to całe śniadanie. Skąd mamy wziąć siłę? Patrzę na Karla, który wprawnymi ruchami chochli wlewa kawę do podstawianych misek.

Mój umysł pracuje jak oszalały, tworzy fantastyczne wizje. Księżyc mnie nie oszukał, Karl dowiedział się, gdzie jestem, zjawił się, aby mnie uwolnić. Przekupi Niemców, odjedziemy na południe Francji, do miejsc, które oboje kochamy.

Opanowuję się, myślę trzeźwo. Straciliśmy wszystkie pieniądze w Monte Carlo, w trzydziestym dziewiątym Karl nie był wolny, siedział w więzieniu w Berlinie, być może jest tu od dawna; nie ma pojęcia o moim losie.

Mija kilka minut. Więźniarki siedzą pod ścianami baraków, jedzą chleb, popijają cieczą z misek. Luba stoi nieopodal, rozmawia z jedną z esesmanek, pali papierosa, nad ramieniem Niemki rzuca czujne spojrzenia na Magdaleny.

Kiwam głową na znak, że panuję nad dziewczyną. Jeśli Magdalena zwariowała, ukryję to, jak długo będzie możliwe. Zmuszę Ukrainkę, aby przekazała moją wiadomość Karlowi. Jeździ po obozie z jedzeniem, jest uprzywilejowany, na pewno mi pomoże. Opuściłam go w trudnej sytuacji, ale teraz to nieważne. Nic nie jest ważne wobec piekła, w którym się znaleźliśmy.

Krzyki i gwizdki, koniec posiłku. Kapo podbiegają do więźniarek, wytrącają z rąk miski tym, które nie zdążyły wypić, krzykiem i biciem zaganiają do kolumny. Ruszamy błotnistą drogą między barakami, esesmanki i esesmani idą za nami. Nie widzę już księżyca, zaszedł za horyzont. Od jutra nie będzie go przez cały tydzień, nie zobaczy mojego trupa, kiedy wyniosą mnie z baraku podczas apelu.

– Gdzie nas prowadzą? – pyta wylęknionym głosem Magdalena.

– Do roboty – odpowiada idąca obok więźniarka.

Magdalena odwraca do niej głowę, otwiera szeroko oczy.

– Jakiej roboty? Ja nie mam siły pracować!

– To wrócisz nogami do przodu – mówi więźniarka.

Jedna z kapo podbiega z uniesionym bykowcem i wrzeszczy na nas.

– Cisza, kurwy!

Milkniemy. Przerazona Magdalena oddycha szybko, patrzy na mnie błagalnie. Jestem wściekła, odwracam się od niej. Mój los zależy od tej słabej, płacziwej dziewczyny. Wolałabym, żeby Ukrainka wybrała mnie; uprawiałam seks z kobietami, nie ma w tym nic złego.

Wychodzimy na wybrukowaną ulicę, na końcu widać wysoką bramę. Ruch przywraca krążenie w zdrętwiałych nogach, jestem gotowa pracować, praca rozgrzewa. Z przodu i z tyłu widzę następne kolumny więźniarek; tysiące kobiet w pasiakach maszeruje środkiem obozu.

Słyszę wojskowy marsz. Zbliżamy się do bramy, obok gra orkiestra złożona z mężczyzn więźniów, większość ma żółte gwiazdy na piersi. Grają dobrze, są zawodowymi muzykami. Nie patrzą na nas, skrajnie wychudzeni sprawiają wrażenie cieni. Powinna się nad nimi zlitować grawitacja, pozwolić im odlecieć. Po co ta muzyka, czego ma dowieść? Że zaczął się normalny dzień pracy, powinniśmy być zadowolone i wdzięczne? Niemożliwe, żeby Niemcy w to wierzyli. Spektakl absurdu nie zna granic, nigdy się nie kończy.

Patrzę na muzyków, wyobrażam sobie, że odrywają się od ziemi, unoszą się wysoko nad obozem. Porywa ich wiatr, oddalają się szybko. Niemcy chwytają karabiny, nie zdążają jednak wystrzelić, muzycy znikają za chmurami. Gdyby istniał Bóg, z pewnością tak by się stało. To miejsce zaprzecza Jego istnieniu.

Przy bramie stoi kobieta z drewnianą tablicą zawieszoną na szyi, jej oczy są przerażone, dygocze z zimna. Odczytuję napis na tablicy.

ZOSTAŁAM ARESZTOWANA Z CAŁĄ RODZINĄ ZA TO, ŻE MÓJ SYN UCIEKŁ Z OBOZU.

To wiadomość dla nas, gdyby przyszła nam do głowy ucieczka. Nie powstrzyma mnie ta groźba, nie wiem nawet, czy moi rodzice żyją. Stojący obok kobiety esesman pali papierosa, przygląda się uważnie mijającym go więźniarkom; sprawdza nasze reakcje, jest zadowolony.

Przechodzimy przez bramę. Ponad dźwięki orkiestry przebijają się gwizdki, krzyki rozkazów i szczekanie psów. Słychać też gwizd lokomotywy, przybył następny transport. Po lewej stronie widzę wychodzące z męskiego obozu długie szeregi więźniów. Do naszej kolumny dołączają dwaj esesmani z karabinami i pistoletami maszynowymi na ramionach, gotowymi do użycia. Zaczyna znowu siałić deszcz, zrywa się wiatr. Wychodzimy na otwartą przestrzeń. Po horyzont

ciągną się porośnięte suchą trawą i krzakami brunatne pola, cienka linia lasu zamyka widok. Wystarczyłoby dostać się tam i zniknąć między drzewami.

Ponownie przychodzi ta myśl: tysiące mężczyzn i kobiet przeciw setce Niemców. Trzeba z całych sił krzyknąć wezwanie do walki, obudzić niewolników. Mój Adam na pewno nie poddałby się bez oporu. Nie wiem nawet, gdzie leży. Niemcy pogrzebali rozstrzelanych w jakiejś zbiorowej mogile.

Brniemy po kostki w błocie, z trudem wrywamy drewniaki z klejącej się mazi. Esesmani i kapo idą po suchych ścieżkach za rowami, po obu stronach drogi. Luba trzyma się blisko nas. Kątem oka zauważam, że więźniarka, która odpowiedziała Magdalenie, potyka się i przewraca. Jedna z kapo natychmiast przeskakuje przez rów, dopada do leżącej, uderza kijem w plecy.

– Wstawaj! – krzyczy ostro.

Kobieta unosi się na czworakach, jej oczy są wytrzeszczone z wysiłku. Następne uderzenie kijem rozciąga ją w błocie. Zwalniam odruchowo, chcę jej pomóc.

– Zostaw – słyszę za sobą.

Twarze idących za mną więźniarek są nieruchome; nie wiem, która z nich mnie ostrzegła. Muszę pozbyć się odruchów z normalnego świata. Idę dalej, ale wciąż patrzę na walczącą o życie kobietę. Nie może wstać, czołga się, jęcząc. Z boku zatrzymuje się esesman. Dwie kapo chwytają więźniarkę za ręce, przeciągają przez rów i rzucają na ziemię. Esesman wyciąga pistolet z kabury. Odwracam głowę.

Strzał powoduje, że wszystkie drgamy jak uderzone prądem. Czwarty raz od wczorajszego dnia. I kobiety, które umarły w nocy. Ile nas ginie w ciągu doby? Nowe transporty mają sens, bez nich absurd szybko by się skończył.

Muzyka cichnie w oddali, idziemy niekończącą się błotnistą drogą. Drewniaki zaczynają ranić stopy, każdy krok okupiony jest bólem. Nie milkną krzyki i gwizdki poganiających kapo. Bezbłędnie dostrzegają zwalniające więźniarki, podbiegają do nich, wymyślają, biją kijami i pięściami.

Mija pół godziny, przechodzimy przez rzadki zagajnik, zatrzymuje nas ostry rozkaz esesmanki idącej przed kolumną. Trzysta metrów od zagajnika ciągnie się nasyp kolejowy, tory prowadzą w stronę obozu, bliżej stoi duża, drewniana wiata. Pola po obu stronach drogi i przy nasypie poprzecinane są rowami melioracyjnymi, przy wiacie leży stos łopat i motyk. Kapo gwizdzą, wrzeszczą na nas, pokazują narzędzia. Ruszamy przez rozkopaną ziemię, docieramy do wiaty, podnosimy łopaty i kilofy. Magdalena waha się, wciskam jej w rękę trzonek łopaty.

– Pracuj wolno, trzymaj się blisko mnie – mówię pocieszająco. – Damy sobie radę.

Kapo rozstawiają nas wzdłuż płytkiego rowu. Z ich krzyków wynika, że do końca dnia mamy pogłębić rów do jednego metra, w przeciwnym razie poniesiemy

karę. Stare więźniarki od razu zaczynają kopać, nowe stoją niezdecydowane, patrzą na rów. Pochodzimy z miasta, nie miałyśmy w rękach takich narzędzi. Kapo dobiegają do nas, wrzeszczą, zaczyna się znowu bicie i popychanie.

Wciągam Magdalenę do rowu, błotnista woda sięga po kostki. Wbijam łopatę, podnoszę z trudem, odrzucam na bok ciężką, namokniętą ziemię. Magdalena powtarza mój ruch, ale nie jest zdolna unieść łopaty. Pomagam jej, pokazuję, żeby nabierała mniej ziemi. Czuję na sobie wzrok Luby, która zatrzymała się na brzegu rowu.

Wolno mijają godziny, nie przestaje padać drobny deszcz. Pola i nasyp kolejowy przysłania wędrująca mgła. Esesmani siedzą pod wiatą, nawet ich psy znalazły tam schronienie przed deszczem. W rowach zginają się i prostują długie szeregi grzbietów, rozlegają się jęki wysiłku. Dziwne stwory, na pewno nie istoty ludzkie; nie dziwię się Niemcom, że tak łatwo im przychodzi zabijanie nas.

Ruch pokonuje zimno, ale osłabione mięśnie odmawiają posłuszeństwa, wbicie i podniesienie łopaty jest torturą. Magdalena co chwila się przewraca, gubi łopatę; pomagam jej wstać, wciskam trzonek w rękę. Cała jest pokryta błotem, łyzy żłobią bruzdy na czarnej twarzy. Ukrainka chodzi zaniepokojona wzdłuż rowu, spogląda na zegarek na przegubie. Po każdym upadku Magdaleny patrzę na nią pytająco, jakby od niej zależało, czy nasza męka kiedyś się skończy.

Kobieta pracująca niedaleko mówi do siebie cichym głosem; jak wszystkie więźniarki jest przedwcześnie postarzała, głębokie bruzdy zmarszczek na jej twarzy powstały w obozie. Jest wysoka, chudymi rękami nisko trzyma trzonek, umiejętnie podnosi łopatę, przechyla się ciałem w bok i odrzuca ziemię. Zaczynam kopać jak ona, wysiłek jest trochę mniejszy. Przysuwam się, chcę usłyszeć, co mówi.

– Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie i raz na zawsze w dębowej trumnie – szepcze wyraźnie. – Leży wygodnie, bo się ułożył tak, aby nigdy snu nie zatrwożył. Jego kochanka z różańcem w ręku zawodzi, pełna skargi i jęku. Przyszłam ci wyznać moje niemoce. Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?

Z wrażenia przestaję kopać, patrzę na nią z niedowierzaniem. Odpowiada spokojnym wzrokiem i nieznacznie się uśmiecha.

– Kopać! – słyszę krzyk kapo.

Pochylam się, wbijam łopatę w ziemię.

– To wiesz? – pytam po chwili.

Kobieta potakuje.

– Leśmian – mówi z uśmiechem.

Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Po co? – pytam wreszcie.

– Pomaga – odpowiada kobieta i dodaje: – Spróbuj.

Przez jakiś czas pracujemy w milczeniu.

– Nie pamiętam wierszy – mówię.

– A muzykę, piosenki?

Zaprzeczam ruchem głowy. Widzę, że Magdalena przewraca się ciężko na dno rowu, szarpie się bezradnie, nie może wstać; z rozpaczą w oczach nabiera ziemię rękami, wyrzuca ją z rowu. Ruszam do niej, chwytam pod ramię. Nie mam sił, aby ją podnieść, upadam na kolana. Widzę zbliżającą się esesmankę; wyciąga pistolet, repetuje, zatrzymuje się na krawędzi rowu. Przymykam oczy, słyszę ostry, przenikliwy gwizdek. Niemka z obojętnym wyrazem twarzy chowa pistolet, odwraca i odchodzi. Gwizdek oznacza przerwę. Dzielilo mnie kilka sekund od niebytu, dziwnie się czuję. Podchodzi do nas wysoka kobieta od Leśmiana, z jej pomocą podnosimy się, Magdalena i ja, wyczołgujemy na brzeg rowu.

– Darmo przymuszam uparte ciało, by się twym oczom podobać chciało – mruczy kobieta. – Przy tobie martwym ja nieszczęśliwa. Wstydzę się jeno, że jeszcze żywa.

Magdalena słyszy wiersz, patrzy na mnie zdumiona. Podejrzewam, że kobieta zwariowała, lecz nie mam siły o tym myśleć. Wyciągam się na ziemi, zamykam oczy, zapadam w sobie. Wszystkie mięśnie są odrętwiałe, nie czuję zimna. Nie podniosę się, niech mnie zastrzelą.

– Wstań, bo nie dostaniesz jeść – mówi kobieta od Leśmiana.

Jej słowa wywołują ostry skurcz żołądka.

– Daj mi spokój! – rzucam z gniewem.

Ktoś chwyta mnie za ramię i słabo pociąga. Otwieram oczy, widzę pochyloną nade mną Magdaleny, w drugiej ręce trzyma miski.

– Chodź, proszę, chodź – szepcze bezradnie, ze łzami w oczach.

Przewracam się na bok. Wzrok odmawia posłuszeństwa, widzę rozmazane sylwetki przed wiatą, długi szereg więźniarek z miskami. Skąd one się wzięły, wszystkie powinny leżeć zastrzelone na dnie przeklętych rowów. Uwalniam rękę z uchwytu Magdaleny, podnoszę się na kolana, potem prostuję z jękiem. Ruszamy wzdłuż rowu, dołączamy do szeregu. Stoi tu już kobieta recytująca wiersze, wciąż porusza bezgłośnie wargami, patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem. Boję się, że zwariuję jak ona.

Niemcy jedzą obiad przy stołach pod wiatą, rozmawiają głośno, śmieją się, rzucają kawałki mięsa i kości wilczurom. Obsługują ich więźniarki funkcyjne. Muszę stać się jedną z nich, Ukrainka jest mi to winna.

Z oddali dobiega gwizd lokomotywy, przenika mgłą i deszcz. Więźniarki gęsiego posuwają się wolno w stronę parującego kotła. Z nagłą paniką wyobrażam sobie, że zabraknie jedzenia, powstrzymuję się, żeby nie pobiec do wiaty. Widzę, że Magdalena stoi blisko kobiety od Leśmiana, a ona ją podtrzymuje. W następnej chwili zauważam Lubę; przygląda się kobiecie i Magdalenie. Nagłe uczucie zagrożenia budzi mnie z odrętwienia, nie pozwolę odebrać sobie Magdaleny!

Przesuwam się w bok, wciskam się między kobietę i dziewczynę.

– To wariatka, odsuń się od niej! – mówię zdecydowanie.

Magdalena cofa się przestraszona. Kobieta patrzy na mnie spokojnie, uśmiecha się. Odpowiadam twardym wzrokiem, odwracam się plecami. Chciałabym, aby jedna z kapo starła jej ten uśmiech z twarzy, razem z idiotycznymi wierszami. Opanowałam sytuację, ale muszę uważać, nie mogę sobie pozwolić na chwile słabości.

Podchodzimy nareszcie do wiaty. Funkcyjna wyciąga chochlę z kotła, nalewa do miski wodnistą breję. To cały obiad? Patrzę z niedowierzaniem na miskę, rozglądam się. Wszystkie dostałyśmy taką samą porcję. Stojąca obok kapo rozkazującym ruchem każe ustąpić miejsca następnym.

– Nie podoba się, to nie żryj – słyszę za sobą jej drwiący głos.

Odchodzimy z Magdaleną; nie patrzę na nią, słyszę, że znowu płacze. Siadam przy naszym rowie, zaczynam jeść. Zupa jest obrzydliwa, rozgotowane brukwie i oka ze zjełczanego tłuszczu. Do skurczonego żołądka dociera jednak ciepło, rozchodzi się po ciele. Nic więcej nie pragnę od życia.

Po nasypie toczy się wolno lokomotywa, ciągnie bydłące wagony. Za okienkami bieleją twarze i ręce ściskające kurczowo kraty. Z pewnością zastanawiają się, co oznacza zbiorowisko kobiet w cyrkowych ubraniach. Odczuwam ponurą satysfakcję, oni przejdą piekło spotkania z obozem, kapo i esesmanami; ja mam to już za sobą. Ogarnia mnie senność.

Ostry gwizdek wyrywa z odrętwienia. Widzę, jak w naszą stronę biegną, wrzeszcząc, kapo.

– Koniec żarcia, do roboty! Do roboty! Ruszać się, kurwy, do roboty!

Kobiety siedzące wzdłuż rowu wstają ociężale, podnoszą kilofy i łopaty. Trzeba kopać, zanim kapo zaczną bić. Stajemy z Magdaleną na dnie rowu, wbijamy łopaty w ziemię.

– Nie dam rady – skarży się cicho dziewczyna.

– Ruszaj łopata, oszczędzaj siły – odpowiadam. – Rzucaj ziemię, kiedy patrzą.

Pod wiatą została Luba, rozmawia z kilkoma esesmanami, pokazuje w naszą stronę. Niemcy słuchają uważnie, zadają pytania. Wreszcie ruszają, Luba idzie z nimi, zatrzymują się przed nami. Wysoki, gruby esesman zwraca się po niemiecku do Magdaleny.

– Doniesiono, że planujesz ucieczkę.

Dziewczyna nie rozumie, patrzy na mnie pytająco. Mogę przetłumaczyć jej wyrok, ale nie potrafię wydobyć głosu z gardła. Widziano nas razem, to oznacza, że jestem jej współniczką. Umysł pracuje rozpaczliwie, próbuję wymyślić jakieś wytłumaczenie. Nie znam tej dziewczyny, nic nie wiem o jej planie. Słyszę głos Luby, która mówi po niemiecku.

– To nie ta, panie oficerze. Tamta!

Ukraińska pokazuje kobietę, która stoi kilka metrów dalej. Wskazana blednie z przestachu, zaczyna niewyraźnie mamrotać, kręci przecząco głową. To jedna ze starych więźniarek, jest bardzo chuda, skórę jej nagiej czaszki pokrywają strupy. Niemcy przechodzą wzdłuż rowu, zatrzymują się przed nią, dwaj esesmani i dwie esesmanki. Patrzą uważnie, ucze się, czy więźniarka zdoła się obronić. Za próbę ucieczki z pewnością jest kara śmierci. Pozostałe kobiety przestały kopać; oparte na łopatach i kilofach czekamy w milczeniu.

– Nie, ja nic... – bełkocze niewyraźnie oskarżona.

– *Zamkny pysok!*[12] – krzyczy Luba.

Wskakuje do rowu, ciosem pięści w twarz powala więźniarkę. Ona podnosi się z trudem, nie ośmiela się wytrzeć twarzy z krwi. Esesman wyciąga pistolet, mówi powoli, wyraźnie, po niemiecku:

– Planowałaś uciec. To koniec, rozumiesz?

Kobieta kiwa głową, z rezygnacją w oczach odwraca się. Dlaczego nie zaprzecza, nie prosi o życie? Esesman przykładą lufę do jej potylicy, ona zamyka oczy.

– Powiesz, kto cię namówił? – pyta Niemiec.

Więźniarka wydaje z siebie cichy jęk.

– Pokaż, która cię namówiła, a daruję ci życie – ciągnie esesman.

Pozostała trójka Niemców przygląda się z zainteresowaniem. Rozumiem, że to urozmaicenie nudnego dnia, Luba wie, jak zapewnić im chwilę rozrywki. Esesman też zna się na dramaturgii, potrafi przedłużyć spektakl.

Więźniarka porusza się, na czworakach wychodzi z rowu. Esesman idzie za nią, wciąż celuje z pistoletu. Kobieta drży na całym ciele, wstaje, rusza wzdłuż rowu. Mijane więźniarki zamierają z lęku, starają się nie patrzeć na nią. Kobieta mija mnie i Magdalenę, zatrzymuje się przy młodej więźniarce, pokazuje na nią palcem. Wskazana otwiera usta, dygocze z przestachu. Może mieć siedemnaście lat, ma ciemne oczy i odrastające jasne włosy, pomimo wychudzenia sprawia wrażenie mocnej. Z pewnością myślała, że przeżyje obóz.

„Broń się, mów coś!” – nakazują w myślach.

Dziewczyna milczy, nie jest zdolna się odezwać. Dość przeżyła, by wiedzieć, że obrona nie ma sensu.

– Powiesz ją – mówi esesman i pokazuje ruchem pistoletu na wiatę.

Więźniarka, która wskazała dziewczynę, nie porusza się, stoi ze zwieszoną głową.

– Chcesz żyć? – pyta esesman.

Cisza.

– No już, *piszły!*[13] – krzyczy Luba i uderza obie kobiety kijem po nogach.

Ruszają w stronę wiaty, młoda dziewczyna zaczyna płakać. Wszystko się we

mnie burzy, mam ochotę krzyczeć. Dlaczego nikt nie zaprzeczy, że to kłamstwo?

Zatrzymują się przy wiacie, w ciszy słycać każde słowo. Esesman sięga do skrzyni na narzędzia, wyciąga zwiniętą linę, podaje starszej więźniarce, pokazuje wystającą poza dach belkę. Więźniarka odwija koniec liny, rzuca w stronę belki. Nie trafia, lina odbija się i upada na ziemię. Podnosi ją i rzuca ponownie, znowu chybia.

Niemcy czekają spokojnie. Jeden z esesmanów wyciąga aparat fotograficzny, zbliża się do skazanej dziewczyny, robi zdjęcia. Lina wreszcie przelatuje nad belką. Więźniarka chwyta koniec, nie wie, co ma dalej zrobić.

– Nie umiesz wieszać? – pyta rozbawiona esesmanka.

Nie czekając na odpowiedź, odbiera linę z rąk więźniarki, sprawnie zawiązuje pętlę. Luba popycha dziewczynę, ustawia pod belką, wyciąga z kieszeni sznurek, związuje jej ręce za plecami.

– *Założy!*[14] – rzuca rozkazująco.

Starsza więźniarka próbuje założyć pętlę, ale jest za wąska. Niemcy śmieją się. Esesmanka bierze znów linę, rozciąga pętlę, oddaje. Teraz pętla przechodzi przez głowę dziewczyny. Jej usta poruszają się bezgłośnie, modli się.

„Gdzie jest twój Bóg?” – myślę z bezsilnym gniewem.

Więźniarka zaciska pętlę, potem staje nieruchomo obok dziewczyny.

– Dalej, ciągnij! – zachęca ją esesman z aparatem fotograficznym.

Nie mogę odwrócić oczu, wszystkie kobiety patrzą. Magdalena dygocze jak w gorączce. Kapo nie zaganiają nas do pracy; egzekucja to rytuał, chwila szacunku dla śmierci. Starsza więźniarka zaczyna ciągnąć za linę, ciało dziewczyny prostuje się, napina, ale stopy stoją na ziemi.

– Mocniej! – zachęca jedna z esesmanek.

Kobieta ciągnie za linę z całej siły. Dziewczyna zaczyna się dusić, kaszle spazmatycznie, z jej oczu cieką łzy.

– Jeszcze mocniej! – woła Niemiec z aparatem przy oku.

Starsza więźniarka jest za lekka i za słaba, nie może podnieść dziewczyny. Zniecierpliwiona Luba doskakuje do niej, chwyta za linę, ciągnie mocno. Stopy dziewczyny odrywają się od ziemi, zaczynają spazmatycznie podrygiwać. Kaszel i jęk urywają się, z gardła wiszącej dobywa się charkot.

Esesman z aparatem robi zdjęcia konającej twarzy, szybko naciąga taśmę i spuszcza migawkę, jak sportowy fotograf. Scena się nie skończy, podrygujące ciało na linie nigdy się nie uspokoi. Czuję mdłości, mam ochotę wyć. Wreszcie dziewczyna nieruchomieje, po jej kołyszących się nogach spływa mocz, skapuje na ziemię.

Niemcy chwilę patrzą na wiszącą, potem odwracają się i odchodzą. Rozrywka dobiegła końca, na ich twarze znowu zawitała nuda. Luba wyciąga nóż, odcina linę, ciało powieszony ciężko upada na ziemię, rozciąga się w błocie.

Ukrainka popycha więźniarkę w stronę rowu, idzie za nią, krzyczy donośnie:

– *Kinec pokazu, do roboty!*[15]

Pozostałe kapo też zaczynają wrzeszczeć, z uniesionymi kijami i bykowcami zwracają się do milczących, nieruchomych kobiet. Podnosimy łopaty i kilofy, zaczynamy kopać. Magdalena nie porusza się, stoi z opuszczonymi rękami. Nie płacze, jej twarz zastygła jak maska; jedyna nieruchoma sylwetka, wyróżnia się spośród kopiących.

– Kop – mówię ostrym tonem. – No, kop!

Nie reaguje. Widzę, że esesman, który robił zdjęcia, dostrzegł bezruch, wyciąga z kabury pistolet, repetuje. Pozostali Niemcy zatrzymują się, czekają z zaciekawieniem; strzał z kilkudziesięciu metrów wymaga dobrego oka. Luba przyśpiesza, wbiega na linię strzału, zasłania Magdalenę, dopada do rowu, uderza ją kijem w nogę.

– *Skoro! Probuditsja, suko!*[16] – krzyczy i spogląda groźnie na mnie.

Magdalena nie porusza się, patrzy wprost w oczy Luby. Podchodzę do niej, mówię z gniewem.

– Zaczynaj kopać, bo cię zabiję!

Nie jest przestraszona, kiwa głową, podnosi łopatę, wbija w dno rowu, odrzuca ziemię pod nogi Luby, zasypuje jej buty. Ukrainka zaciska usta, mruży oczy z wściekłością. Wydaje się, że uderzy Magdalenę, ale opanowuje się i odchodzi. Odprowadzają ją zdziwione spojrzenia więźniarek.

1 Nie jej. (Jeśli nie podano inaczej, przypisy pochodzą od autora).

2 Na lewo do gazu, na prawo do życia. Zajmij się nią, słyszysz? Bo pożałujesz!

3 Ubierajcie się, na co czekacie?!

4 Na górę, szybko!

5 Już! Już! Zajmować miejsca, polskie świnie! Na co czekacie?!

6 Teraz jest nocna cisza! Zrozumiały? Za rozmowy bat i rozstrzelanie! Która wyjdzie na dwór, zostanie rozstrzelana! Dobrych snów!

7 Cisza! Zamknąć pyski!

8 Cicho bądź!

9 Jak jej na imię?

10 Mnie Luba.

11 Masz, podzielcie się. Jak ukradniesz, to zabiję.

12 Zamknij pysk!

13 No już, poszły!

14 Zakładaj!

15 Koniec widowiska, do roboty!

16 Szybko, obudź się, suko!

Przez otwarte okno przedostawał się do pokoju ciężki dźwięk dzwonów i nawoływania muezinów na modlitwę. Mieszały się z głosami przechodniów, szumem przejeżdżających samochodów i gorącym powietrzem.

Anna siedziała nieruchomo na łóżku, jej oczy były zaczerwienione, policzki mokre od łez. Nie była zdolna czytać dalej. Skurcz serca był tak mocny, że następne uderzenie pulsu mogło je rozerwać. Z każdym zdaniem nieubłagalnie zbliżała się chwila, kiedy pojawi się Wolfgang; po to przecież dano jej rękopis Elizy. Gdyby okazał się jednym z esesmanów, którzy mordowali, tym, który powiesił dziewczynę, Anna oszalałaby.

Słyszała o obozach, jak wszyscy w Niemczech. Kiedyś zobaczyła początek filmu dokumentalnego o Auschwitz, ale nie wytrzymała do końca, wyszła z kina. Czytała w niemieckich gazetach artykuły o masowej eksterminacji; wstrząsnęły nią.

Żadna z tych relacji nie była tak boleśnie, dotkliwie osobista, tak szczegółowa. Czytając rękopis, miała wrażenie, że staje się jedną z więźniarek, ciało kurczyło się z zimna, głodu i przerażenia. Zapominała o oddychaniu, chwyciła spazmatycznie powietrze, obsesyjnie wracała do przeczytanych już stron, opisów bestialstwa, śmierci zadawanej od niechcienia, do niewyobrażalnego cierpienia, bez granic, bez nadziei.

Kiedy w tekście pojawiali się esesmani, zamierała z trwogi. Żaden nie był Wolfgangiem, inaczej Eliza użyłaby jego imienia. Lęk wypełnił głowę Anny jak ołów, zaćmił wzrok, nie rozróżniała już liter, przestała rozumieć, co czyta. Zamknęła oczy i trwała bez ruchu nad rozłożonymi kartkami.

Po co tu przyjechała, jaką nadzieję chciała znaleźć w Izraelu matka esesmana? Powinna zostać w Niemczech, karmić się złudzeniem o niewinności Wolfganga, jak miliony jej rodaków. Zapominali o horrorze wojny, tłumaczyli je zbiorowym szaleństwem, nikt nie był indywidualem odpowiedzialny.

Jej syn też wykonywał rozkazy. I esesman wieszający dziewczynę. I ten, który robił zdjęcia. Wykonywali rozkazy. Ilu ludziom Wolfgang strzelił w głowę?

Z odrętwienia wyrwało ją pukanie do drzwi. Nie poruszyła się, chciała być sama. Drzwi otworzyły się, do pokoju wsunęła głowę młoda pokojówka.

– *Room cleaning?* – zapytała z uśmiechem.

Anna odwróciła głowę, spojrzała na pokojówkę. Nie widziała jej wyraźnie, ale dostrzegła ciemne oczy i jasne włosy. Jak tej powieszanej więźniarki.

Przez kilka sekund patrzyły na siebie bez ruchu; dziewczyna nadal się

uśmiechała, ale jej wzrok był skupiony. Uważnie oglądała siedzącą na łóżku starą kobietę. Przyzwyczajona była do dziwnych gości, którzy z całego świata zjeżdżali do tego miasta; wielu było Żydami pragnącymi odnaleźć ojczyznę albo pomodlić się za bliskich zamordowanych w czasach Holocaustu. Lecz ta była Niemką, w czasie wojny dorosłą kobietą. Dziewczyna знаła jej nazwisko, bo recepcjonista pokazał paszport.

Przeciąg od otwartego okna zwiął na podłogę kilka kartek. Pokojówka weszła do pokoju, pozbierała kartki z podłogi, położyła je obok rękopisu. Potem podeszła do okna, zamknęła okiennice. Anna wodziła za nią błędnym wzrokiem.

– Niemka? – zapytała po niemiecku dziewczyna i powtórzyła, dając do zrozumienia, że nie odejdzie bez odpowiedzi. – Jest pani Niemką?

Anna skinęła głową. Dziewczyna zbliżyła się o dwa kroki, patrzyła teraz z góry na Annę; jej głos był spokojny, ale mówiła z wyczuwalnym napięciem.

– Moi dziadkowie byli Niemcami, niemieckimi Żydami – poprawiła się. – Mieszkali w Hamburgu, dziadek był inżynierem, budował statki. Zginęli podczas wojny w obozie, na terenie Polski. – Dokończyła twardym tonem.

Anna chciała odpowiedzieć, ale głos nie wydostał się przez ściśnięte gardło. Odchrząknęła i powiedziała ochryple:

– Przykro mi.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Pokojówka chciała zapytać, co Anna Steinhoff robiła podczas wojny. Ona i jej rówieśnicy często zadawali to pytanie niemieckim turystom; z przyjemnością patrzyli potem na ich zmieszanie i słuchali splątanych odpowiedzi. Twarz starej kobiety różniła się jednak od zadowolonych, dobrze odżywionych twarzy turystów. Jej rysy zastygły w cierpieniu, jakby długo chorowała. Dziewczyna usiadła na krześle naprzeciw łóżka, w milczeniu przyglądała się Annie.

– Moja mama przeżyła – powiedziała w końcu.

Anna nie poruszyła się, słuchała.

– Uciekła z pociągu – ciągnęła dziewczyna. – Na przedmieściach Berlina dziadek oderwał deskę w wagonie i wypchnął mamę. Było ciemno, strażnicy strzelali, ale chybili. Musieli być wściekli, to hańba dla niemieckiego żołnierza, nie zabić żydowskiej dziewczynki.

Anna znowu miała wrażenie, że w pokoju zabrakło tlenu; szybko i płytko wciągała powietrze do płuc. Dziewczyna patrzyła na nią uważnie, jej wzrok złagodniał.

– Ukryli ją Niemcy, prości ludzie – powiedziała. – Miała jasne włosy, jak ja.

Znowu zapadła cisza. Pokojówka chciała kontynuować, ale nagle zrezygnowała, podniosła się z krzesła.

– Pani rozumie, dlaczego o tym mówię? – zapytała.

Anna przytaknęła. Dziewczyna odwróciła się, podeszła do drzwi, zatrzymała

się w progu.

– Tych Niemców aresztowano i stracono, a mama przeszła przez obóz w Dachau. Ten hotel do niej należy. Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani czegoś potrzebowała.

– Dziękuję – powiedziała Anna.

Drzwi zamknęły się po cichu. Anna patrzyła na kartkę rękopisu, która wpadła pod stół; nie zauważyła jej pokojówka. Powoli opuściła się na kolana, klęcząc schyliła się i podniosła kartkę. Poczowała pulsowanie krwi w skroniach, zdała sobie sprawę, że strasznie ją boli głowa. Z kartką w ręku wróciła na łóżko i znieruchomiła.

Ból trochę zelżał. Posiedzi bez ruchu, bez myśli, może uda jej się odejść w ten sposób, w jej wieku to się zdarza. Przez zamknięte okno widziała niebo z chmurami koloru krwi; zdała sobie sprawę, że to zachód słońca. Cały dzień czytała kilkanaście stron rękopisu, nie czując głodu ani pragnienia. Opuściła wzrok, spojrziała na kartkę, którą wciąż trzymała w palcach.

Zamazane litery tworzyły słowa, składały się w zdania. Powrót do obozu, kobiety upadające z wyczerpania, katowane przez kapo, strzały esesmanów. Coraz więcej zwłok niesionych przez więźniarki, Eliza podtrzymująca słabnącą Magdalenę. Żydowscy muzycy grający marsza w ciemności przy bramie obozu.

Przeskakiwała fragmenty tekstu, nie mogła czytać jak poprzednio. Walczyła z pokusą, aby nie podrzeć rękopisu. Kartka po kartce, na drobne kawałki, których nikt nie złoży w całość. Unieważni przeszłość, ukryje Wolfganga w strzępach papieru. Wyjedzie do Niemiec, będzie żyć jak inne matki. Jej syn ma dobrego adwokata, niemieckie sądy nie są surowe, wielu sędziów pamięta czasy zbiorowego szaleństwa. Znajdzie klinikę, która wyleczy Wolfganga z nałogu, będą żyć spokojnie, wolni od złych wspomnień. Tak, to było szaleństwo, inaczej nie da się zrozumieć ani wyjaśnić, nawet jednej minuty istnienia tego obozu.

Powoli uspokoiła oddech, skupiła się. Zaczynała lepiej widzieć. Jej dłoń podniosła następną kartkę. Wbrew woli. Czytała dalej.

Nie mogę zasnąć. Magdalena też nie śpi, leży z otwartymi oczami, jej twarz jest jak wyrzeźbiona z białego marmuru. Zazdroszczę jej tego otępienia. Leżymy przytulone, okryte dwoma kocami, dygocząc z zimna, czekamy, aż wreszcie wyschną pasiaki i ogrzejemy się trochę. Stare więźniarki na sąsiednich pryczach rozebrane są do bielizny, cierpliwie łowią i zgniatają wszy.

Bolą mnie stopy, pełno na nich krwawiących bąbli i obtarć. Nie będę mogła włożyć jutro drewniaków. Jutro? Straszne jest wyobrażenie o następnym dniu, nie do zniesienia. Nie wytrzymam porannego apelu, marszu i morderczej pracy. Śmierdzącej kloaki w latrynie, gdzie musiałam się załatwić, skąd wygoniły mnie wrzaski kapo. Nie pomogło tłumaczenie, że dostałam biegunki. „Wysraj się do wyra!” – wrzasnęła jedna z nich, wywołując rozbawienie pozostałych. Nie pozwoliły nam umyć się pod prysznicami; dowiedziałam się, że to jest dozwolone raz na miesiąc. Nie wierzę, że przez cały miesiąc mam nosić pasiak brudny od błota, śmierdzący potem.

Wieczorny apel przeciągnął się do północy. Nie zgadzała się liczba żywych i martwych kobiet, których zwłoki zostały przyniesione po pracy. Wściekli esesmani rozkazali kapo liczyć tam i z powrotem. Potem wysłali Ukrainkę i cztery więźniarki funkcyjne na drogę, w poszukiwaniu trupa. Mieli rację, po godzinie czekania przyniosły zwłoki kobiety, które zostały porzucone w rowie.

Esesmani dostali szału, zagrozili, że wszystkie nas rozstrzelają, jeśli nie przyznają się te, które niosły zabitą. Nie dało to rezultatu. Wybrali w końcu trzy kobiety i zastrzelili je, dla przykładu. Potem zakończyli apel.

Nie chcę obudzić się rano. Czas musi się zatrzymać albo powinnam umrzeć w nocy, bez świadomości. Przypominam sobie trupy kobiet z twarzami powyżeranymi przez szczury, sztywnieję ze strachu na wyobrażenie, że tak będę wyglądać. Przeżyję, za wszelką cenę przeżyję! Cuchnące powietrze w baraku pełne jest kaszlu i jęków, jakaś kobieta śpiewa bełkotliwie, nie mogę rozróżnić słów. Na pewno zwariowała. Ktoś ją ucisza łagodnym głosem, potem krzyczy ostro. Kobieta milknie.

Straciłam z oczu więźniarkę od Leśmiana, żałuję, że nie leżymy obok siebie. Jej uśmiech i spokojny głos pomogłyby zasnąć. Zastanawiam się, co powtarzać w myślach, aby poczuć ulgę. Myśli krążą wokół twarzy oszukanych mężczyzn i kobiet, kart blackjacka, ruletki. Przypominam sobie rozmowy, kolory, wystroje hoteli i kasyn.

Swędzenie po ugryzieniach wszy staje się nie do zniesienia. Podczas dnia

wyduszamy te, które zabrały się z nami w ubraniach, większość jednak zostaje w kocach i słomie, w ciemnościach baraku. Najedzone krwią składają jajka i czekają, aby zerować na nas nocą. Lojalne służące niemieckiej Rzeszy; zapewne zabijają nie mniej więźniów od esesmanów. Jutro wieczorem rozbiore się i będę rozgniatać wszy, teraz nie mam siły. Słyszę biegające szczury; wspinają się zwinnie po belkach, przebiegają bez lęku po posłaniach. Szukają martwych ciał, może atakują śpiących?

Drgam z przestachu, bo nad brzegiem pryczy wysuwa się nagle bielejąca twarz. Ukrainka Luba. Nie usłyszałam jej, przemieszcza się jak wielki drapieжник, jej oczy błyszczą od alkoholu i podniecenia. Wyciąga rękę, głaszcze Magdalenę po policzku, szepcze namiętnym głosem.

– *Chody!*[17]

Dziewczyna kuli się, próbuje odsunąć od dłoni Luby, obejmuje mnie ramionami.

– Boję się... Nie wolno – mówi cicho.

– *Nie bijisia, chody* – namawia Luba. – *Nu chody!*[18].

Palce Ukrainki zaciskają się na ramieniu dziewczyny, pociągają mocno. Magdalena tłumi jęk bólu, wyczołguje się spod koca, schodzi z pryczy. Luba podtrzymuje ją, delikatnie pomaga stanąć na podłodze. Obie ruszają w stronę drzwi, znikają w ciemności. Zamykam oczy. Mam nadzieję, że Ukrainka nie znudzi się po pierwszym razie; dziewczyna może źle zareagować, rozczarować ją. To byłby koniec jedzenia i ochrony Luby. Czekam cierpliwie, drapię swędzącą skórę na ramionach, brzuchu i nogach.

Zanurzam się znowu w przeszłość, obrazy stają się niewyraźne, zamazane. Nie pojmuję, dlaczego przed kasynem w Monte Carlo wisi dziewczyna. Krupier bakarata jest esesmanem, wyciąga pistolet, strzela w głowę pięknej, młodej Żydówce, która wygrała całą pulę. Karl zajeżdża zaprzęgniętą w perszerony lorą przed wejście Grand Hôtel Palais Royal, miesza chochlą breję w parującym kotle. Zbierają się dookoła niego wychudzeni goście hotelu, pod wytwornymi strojami widać brudne pasiaki. Nie mam przeszłości, żadnych wspomnień; zawsze byłam zmarzniętym, przerażonym numerem, z kilkoma miesiącami życia niezbędnymi do wykopania rowu.

Budzi mnie ruch, na pryczę wspina się Magdalena. Widzę w półmroku, że jest smutna i spokojna. Wchodzi pod koc, zwija się jak embrion, nieruchomieje. Próbuję objąć ją ramieniem, ale odsuwa się ode mnie. Zapach alkoholu w jej oddechu. Chcę zapytać, jak się czuje, ale nie ośmielam się, czekam.

Magdalena wyciąga rękę spod koca, kładzie na sienniku małe zawiniątko. Odwijam płótno, wydostaję kromkę chleba, kawałek kielbasy i cebulę. Oddycham z ulgą, zaczynam jeść, widzę wpatrzony we mnie jej oczy. Powinna odwrócić myśli dziewczyny od tego, co się wydarzyło. Domyślam się, że było to pierwsze

doświadczenie seksu, na nieszczęście z brudną, pijaną Lubą. Wzdrygam się na myśl o tym.

– Jak tu trafiłaś? – pytam delikatnym głosem.

– Z łapanki, zakładniczka – odpowiada od razu. – A ty?

– Mój facet w coś się wmieszał. Mieliśmy kawiarnię w Warszawie.

– Którą? – pyta zaciekawiona.

– Mała Czarna, na Mokotowie.

Magdalena uśmiecha się lekko.

– Byłam w Małej Czarnej, z Jankiem, moim narzeczonym. I przyjaciółką. Pięknie grał pianista.

– To Adam, mój mężczyzna – mówię i staram się zachować spokojny ton głosu, choć czuję duszenie w gardle. Niech to szlag, nie powinnam ruszać tego tematu.

– Co z nim? – pyta Magdalena.

– Nie wiem – odpowiadam bez zastanowienia.

Milkniemy obie.

– A twój chłopak? – pytam po chwili.

– Zdradził mnie z tą przyjaciółką – oświadcza Magdalena rozżalonym głosem. – Życzę mu śmierci!

Nie potrafię powstrzymać nagłej wesołości.

– Przykro mi – mówię i śmieję się cicho.

Przesadziłam, Magdalena jest dotknięta. Wyciągam rękę, głaszczę ją po ramieniu. Odsuwa się, patrzy na mnie z niechęcią, jej oczy zwięzają się.

– Trzymasz się mnie, bo Luba daje nam żarcie – szepcze. – Ostrzegła, żeby ci nie ufać. Skąd znasz niemiecki? Twój facet jest Niemcem?

– Polakiem, rozstrzelali go – odpowiadam.

– Powiedziałaś, że nie wiesz, co z nim! – szepcze coraz głośniej Magdalena.

– Okłamujesz mnie!

Muszę ją uspokoić, zanim usłyszy nas blokowa, której zadaniem jest utrzymanie porządku. Stare więźniarki uprzedziły, że nasza blokowa donosi kapo i esesmanom, opowiedziały jej historię. Na imię ma Bogna, pochodzi z małego miasteczka w Generalnym Gubernatorstwie, wraz z mężem zajmowała się nielegalnym handlem wódką i mięsem, zyskiem dzielili się z szefem niemieckich żandarmów. Z czasem Bogna rozwiodła się i została kochanką żandarma. Wpadli oboje, kiedy SS urządziło w okolicy obławę na partyzantów. Kochanek i Bogna poprzedniego dnia odbyli libację i podczas akcji pijany szef żandarmów postrzelił niemieckiego żołnierza. Pojechał za to na front wschodni, a Bogna wyładowała w Auschwitz. Jest niska, krępa, mocno zbudowana, jej twarz można by nazwać ładną, gdyby nie wykrzywiała jej zawsze złość. Bogna uważa, że została skrzywdzona przez los i może to naprawić, dowodząc esesmanom swojej

lojalności.

– Ciszej – proszę i kładę palce na ustach Magdaleny.

W jej oczach błyszczą łzy, spływają po policzkach. Oburącz chwyta moją dłoń, zaczyna ją całować.

– Przepraszam cię, przepraszam! Ja oszaleję, nie wytrzymam, Luba wzięła mnie do swojego baraku i...

– Óóó, spokojnie, nic się nie stało – przerywam szeptem i przytulam ją. – Przeżyjemy, wszystko będzie dobrze. Przeżyjemy.

* * *

Dni i noce mijają jak niekończący się koszmar; najgorsze są przebudzenia o świcie, przy akompaniamencie gwizdków, wrzasków kapo i funkcyjnych. Przed otwarciem oczu przez ułamki sekund jestem daleko, w innym świecie. Powoli dociera prawda, nie mogę uwierzyć, że zaczął się następny dzień w obozie. Najpierw czuję zimno, potem odzywa się skrzyknięty z głodu żołądek, bolące mięśnie, poranione stopy, wreszcie całe ciało pokąsane przez wszy, pokryte swędzącymi i piekącymi wrzodami. Skurcz w sercu, lęk, który jest początkiem rozpacz.

Walczę z całych sił, aby się nie poddać, nie zacząć wyć; nie pozwolę, aby mnie wywleczono na dwór i zastrzelono jako kolejną, która straciła rozum. Opanowuję się, zaczynam zajmować się Magdaleną. Jej poranki są straszne, wypełnione płaczem, jękami i rozpaczliwymi protestami. Zdarza się, że na dźwięk gwizdków i wrzasków dziewczyna przeraźliwie krzyczy ze strachu, woła na pomoc matkę. Uciszam ją, muszę zakryć usta dłonią i przytrzymać, zanim się nie uspokoi.

Nie mam na to wiele czasu, natychmiast po pobudce musimy zejść z pryczy, spóźniające się więźniarki są bite i kopane. Chore, niebędące w stanie się podnieść, wyciągają na dwór funkcyjne i wrzucają na wózek. Wiem już, że są likwidowane przez obozowego lekarza, zastrzykiem fenolu w serce. Zdarza się też, że unikają takiej śmierci, esesmani dla kaprysu zlecają kapo wyganianie ich przed apelami. Dołączają do widm, które nazywa się muzułmankami. Muzułmanki dogorywają, krążąc między barakami, nie pracują, więc nie mają prawa do wyżywienia ani pryczy. Śpią na ziemi, całymi dniami poszukują jedzenia, grzebią w śmietnikach, zebrzą i umierają. Wyglądają przerażająco, jak żywe szkielety. Nie rozumiem, dlaczego nie są zabijane, jakby były niewidoczne. System nie jest szczelny? Czasem, przed wizytą partyjnego dygnitarza lub generała SS, odbywa się zbieranie i likwidacja muzułmanek. Sprzątanie obozu.

Nauczyłam się niemożliwego, wytrzymuję długie, mordercze apele. Stoję, dygocząc z zimna, na deszczu i wietrze, zmieniam się w figurę z drewna, przestaję cokolwiek czuć. Wciąż jednak muszę uważać na Magdalenę, nie pozwolić jej zemdleć.

Pewnego dnia następuje zmiana, niemiecka maszynieria uznaje, że należy zachować nasze siły do kopania rowów. Jesteśmy zwolnione z apeli, wychodzimy od razu do pracy. Wieczorami szybko nas liczą, po jedzeniu odsyłają do baraku. Szkoda, że przekłete rowy nie zostały poddane tej samej logice; nie są do niczego przydatne, meliorowane pola nigdy nie będą rodzić plonów. Kopiemy, bo absurd musi trwać, praca ma zabijać.

Jesteśmy najgorszymi robotnikami na świecie, nauczyliśmy się kopać jak najmniejszym wysiłkiem, nabieramy łopatami mało ziemi, rzucamy wtedy, gdy patrzą kapo lub esesmani, odpoczywamy między ich spojrzeciami. Nikt nie sprawdza, ile wykopałyśmy, nie ma dziennych norm; Niemcy też wiedzą, że rowy do niczego nie służą. Pomimo to kopanie wyczerpuje i zabija, strzelający w głowę esesmani są ostatnim ogniwem systemu.

Najgorzej mają kobiety, które pojawiają się z kolejnymi transportami. Nowe często giną, zanim zdążą pojąć reguły. Są proste, ale żadna z nas, starych więźniarek, nie ma sił na nauczanie. Tę lekcję trzeba samemu odrobić. Albo zginąć.

Są jednak wśród nas wyjątki, takie jak kobieta od Leśmiana. Wciąż widzę, jak wspiera słabe więźniarki, tłumaczy im, pomaga kopać. Dzieli się nawet jedzeniem z zebrzącymi muzułmankami. Nie pojmuję, skąd bierze na to siły, po co ryzykuje życie. Nikt nie pomoże, kiedy kapo lub esesmani zdecydują, że trzeba ją zabić, na przykład w odwecie za błąd innej więźniarki. Jakimś cudem esesmani nie wybierają kobiety od Leśmiana do takich egzekucji; nawet blokowa Bogna traktuje ją z respektem. Kobieta od Leśmiana otacza dziwna aura. Jakby chroniła ją poezja.

Nie tracę sił dzięki Lubie, a czasem życia. Magdalena płaci swoim ciałem, na szczęście ona też obojętnieje. Jedzenie od Ukrainki nie wystarcza, aby zaspokoić głód, ale podtrzymuje minimum energii. Nie mogę patrzeć na moją skórę, stała się cienka i sucha jak papier, widać pod nią kości. Wyglądam jak trędowata, cała jestem pokryta strupami i wrzodami po ukąszeniach wszy. Gorzej widzę i słyszę, chodzę sztywno, jakbym miała sześćdziesiąt lat, bolą mnie kości, stawy, mięśnie. Często nie mam siły, aby wyjść do latryny i załatwiam się do kubła na odchody, który stoi między pryzcami. Zniknął wstyd, nie przeszkadza panujący w baraku smród.

Chcę zachować pamięć o wszystkim, czego jestem świadkiem. Coraz więcej jednak zamazanych obrazów, twarzy, strzałów, trupów. Na zawsze zapamiętam jednak pewną kobietę; wciąż mam przed oczami, jak odrywa się od kolumny sto metrów przed bramą, zrzuca drewniaki i pędzi przed siebie. Nie rozumiem, dokąd ucieka, jesteśmy jeszcze na terenie obozu, zaraz dogoni ją spuszczonej ze smyczy wilczur albo kula karabinu.

Rozkaz esesmana zatrzymuje kolumnę, patrzymy obojętnie na biegnącą. Porusza się z wysiłkiem, potyka, wymachuje rękami jak kukła. Pies biegnie lekko

i zwinnie, oboje zbliżają się do ogrodzenia z drutów. Strażnik z wieżyczki zrywa karabin z ramienia, repetuje i mierzy. Ostry gwizd stopuje nagle wilczura, wraca posłusznie, skomle rozczarowany. Pada strzał, niecelny. Strażnik przeklina, znowu repetuje. Kobieta przebiega jeszcze kilka metrów, wpada na druty. Trzask wyładowania i błysk światła mocniejszy od lamp, nieludzkie wycie urywa się nagle, ciało gwałtownie drga, płonie. Po kilku sekundach dym się rozwiewa, zwęglone zwłoki osuwają się na ziemię. Koniec.

Kapo wskazują dwie funkcyjne, one ruszają biegiem w stronę truchła. Skąd wiadomo, że wystarczą dwie, tak mało waży spalone ciało? Wiele kobiet uciekło w ten sposób z obozu.

Tracę rachubę czasu, pewnego dnia o świcie zaskakuje mnie widok księżycy w pełni. Minęły dwa tygodnie czy półtora miesiąca? Ponad miesiąc, bo niedawno mogliśmy umyć się pod prysznicami. Niedziela, dzień bliski szczęścia, woda była zimna, poganiały nas kapo, ale i tak poczułam się urodzona na nowo. Nasze pasiaki odesłano do odwyszalni, przywieziono je z powrotem konną lorą. Pomieszany, śmierdzący gazem stos, w którym nie sposób było odnaleźć swojego ubrania. Nadal były w nich żywe wszy. Niemcy stracili nawet przysłowiową solidność, przecież bali się tyfusu nie mniej od nas.

Księżyc wisi ogromny, żółty, poprzecinany drutami kolczastymi. Założono obozy na księżycu? Niech mnie tam wyślą, z pewnością będzie mi lepiej niż na ziemi. Zrozumiałam, że znowu spotkam Karla. Martwiłam się, że był chory albo został zlikwidowany. Więźniarka z sąsiedniej pryczy wyjaśniła, że funkcyjnym mężczyznom wciąż zmienia się rejony pracy, aby utrudnić romanse z kobietami. Romanse? Roześmiałam się na to słowo. Jaki mężczyzna chciałby dotknąć mojego wychudzonego, owrzodzonego, śmierdzącego ciała.

Czekałyśmy następnego dnia między barakami. Podjechała lora z kotłem kawy i chlebem. Nic nie mogło mi przeszkodzić; zbliżyłam się i kiedy nadeszła moja kolej, powiedziałam głośno i wyraźnie, po niemiecku:

– Dzień dobry Karl!

O mało nie roześmiałam się na widok jego miny. Zamarł, zdrętwiał z wrażenia. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, w których odbijała się cała moja nędza.

– Ty też nie najlepiej wyglądasz – stwierdziłam z uśmiechem.

– Nie gadać! – wrzasnęła jedna z kapo.

Spojrzałam na nią spokojnie i przeniosłam wzrok na Lubę, która jak zawsze trzymała się blisko Magdaleny. Wiedziałam, że Ukrainka ma wysoką pozycję, esesmani darzą ją zaufaniem. Podpaść Lubie mogło oznaczać śmierć. Kapo, która krzyknęła, cofnęła się i odwróciła wzrok. Podstawiłam miskę Karlowi.

– Podwójna porcja – powiedziałam z naciskiem w głosie.

Karl zanurzył chochlę w kotle, wciąż patrzył na mnie zahipnotyzowany.

– Co tu robisz? – zapytał zduszonym głosem.

– Jestem na wakacjach – odpowiedziałam. – Odchudzających. Przygotowuję się do konkursu miss Trzeciej Rzeszy.

Wiedziała, że przesadzam. Luba usłyszała mnie i poruszyła się niespokojnie. Chochła drgnęła w rękę Karla, lura zwana kawą rozlała się poza miskę.

– Uważaj, jak lejesz – zganiłam go spokojnie.

Wymamrotał przeprosiny i ponownie zanurzył chochlę w kotle.

– Taki cwaniak, jak ty, dał się złapać? – spytałam kpiąco.

– Zostawiłaś mnie, uciekłaś – poskarżył się Karl. – Nie miałem szans.

Wzruszyłam ramionami. Chciałam odpowiedzieć, że powinien wówczas lepiej sprawdzić naszych klientów, to była jego część zadania. Rozmowa trwała jednak za długo, Luba rzuciła spojrzenie na stojące niedaleko esesmanki.

– *Pierechodi!*[19] – zażądała z naciskiem.

– Musimy się zobaczyć! – wyszeptał Karl, nalewając ciec do mojej miski.

– Proszę bardzo, jeśli chcesz wisieć – odparłam. – Lepiej rusz głową, jak nas stąd wyciągnąć. Przyślę do ciebie tę Ukrainkę – dodałam ciszej.

Przytaknął na znak, że rozumie. Odebrałam od funkcyjnej kromkę chleba z marmoladą, odeszłam na bok. Magdalena podstawiała miskę Karlowi, wzięła chleb i dołączyła do mnie.

– To twój facet? – zapytała zdezorientowana. – Mówiłaś, że go rozstrzelali.

– Rozstrzelali Polaka – odparłam. – Ten jest Niemcem i jak widzisz, żyje. Miałam wielu facetów.

Oczy Magdaleny zabłyśły ciekawością.

– Ilu?

Westchnęłam udając, że się zastanawiam.

– Licząc tych, którzy mnie gwałcili, kiedy miałam piętnaście lat, to około dwudziestu. Może trzydziestu, musiałabym policzyć.

Magdalena przestała jeść; wstrzymała oddech, patrzyła na mnie z przestraszaniem i współczuciem.

– To okropne – wykrztusiła wreszcie.

– Chętnie wróciłabym do tych okropieństw – oświadczyłam zimnym tonem.

– Na wolności wszystko jest dobre. Pamiętasz jeszcze?

W pierwszym momencie nie zrozumiała, potem kiwnęła głową.

– Tak – wyszeptała posłusznie.

Karl nalewał zupę więźniarkom i wciąż na mnie patrzył. Nie mogłam się powstrzymać, chwyciłam brzeg sukienki, z zalotnym spojrzeniem odsłoniłam wysoko udo, jak prostytutka oferująca rozkosz przechodzącemu mężczyźnie. Magdalena zachichotała i zakryła szybko usta dłonią. Karl chwilę patrzył na moją wychudzoną, pokrytą wrzodami nogę, potem odwrócił wzrok. Nie trafiło do niego

moje poczucie humoru.

Po wieczornym apelu i letniej brei na kolację padamy wyczerpane. Magdalena jest w złej formie, musiałam pomóc jej wdrapać się na naszą pryczę. Siedzę rozebrana do bielizny, cierpliwie wygrzebuję wszy z pasiaka i koca, rozgniatam je. Po cichu opowiadam o moich i Karła wyczynach we Francji. Od jakiegoś czasu robię to codziennie; opowieści pomagają Magdalenie zasnąć, musi trochę odpocząć, zanim przyjdzie po nią Luba. Więźniarki z sąsiednich prycz też słuchają; żyły kiedyś spokojnie z mężami i dziećmi, w głowach im się nie mieszczą moje historie.

Opowiadam o parze amerykańskich turystów. Poznałam ich w Monaco, oboje po sześćdziesiątce, wzięli ślub dziesięć lat wcześniej. Ona miała na imię Mary, była zadbaną, inteligentną kobietą, pochodziła ze średnio zamożnej rodziny, przejęła prowadzenie firmy po ojcu, co było rzadkością w Ameryce. Ciężko pracowała, pomnożyła majątek, a kiedy skończyła pięćdziesiąt lat, zdała sobie sprawę z tego, że jest samotna. Sprzedała firmę, pojechała do miasta, z którego pochodziła, i zajęła się chorą matką. Matka umarła po pięciu latach, finanse się kurczyły i Mary postanowiła wyjść za mąż. Znalezionej jej kandydata, który był bogaty i samotny, zerwały z nim jego dzieci. Miesiąc po ślubie małżonek próbował udusić Mary. Nie rozwiodła się, nie chciała zostać sama ani stracić połowy majątku. Ataki szału męża wydarzały się nocami, więc przez następne lata zamykała się wieczorami na ostatnim piętrze ich wielkiego domu. Zorientowała się po jakimś czasie, że mąż wykorzystuje tę sytuację, robi wypadki do domów publicznych. Przymknęła na to oczy. Po siedmiu latach zaproponowała, aby odbyli wspólną podróż do Francji i do Monaco.

Mary zaproponowała, abym dotrzymała towarzystwa jej mężowi, podczas kiedy ona grała w kasynie. W ostatniej chwili ostrzegła mnie recepcjonistka hotelu, która była świadkiem ataku szaleństwa męża Mary, która liczyła, iż jej mąż mnie udusi, zostanie skazany, a ona uwolni się od niego. Karl zagroził policją i Mary przyznała się do swojego planu; jej zdaniem życie takiej kobiety jak ja nic nie znaczyło. Zapłaciła dwadzieścia tysięcy dolarów za nasze milczenie. Mary i jej mąż wyjechali nazajutrz rano; opaleni, z przyklejonymi uśmiechami, jak wszyscy amerykańscy turyści.

Magdalena słucha uważnie, z uśmiechem, zasypia nagle, jak dziecko. Więźniarki z sąsiednich prycz są rozbawione, zadają pytania. Uciszam je, układam się obok Magdaleny, zamykam oczy. Moje historie stały się tym samym, co wiersze dla kobiety od Leśmiana. Jakbym oglądała kolorowy film, ze mną w roli głównej.

Budzi mnie szturchnięcie w ramię. Otwieram oczy, widzę twarz Luby. Ściąga koc z Magdaleny, odkrywa ją, w drugiej ręce trzyma papierosa.

– Dziś nie – mówię nagle, wbrew sobie.

Ukraińska patrzy na mnie zaskoczona, nigdy nie ośmieliłam się jej przeciwstawić. W pijanych oczach pojawia się podejrzliwość, widzi we mnie konkurentkę, jej zazdrość byłaby wyrokiem śmierci.

– Jest potwornie zmęczona – tłumaczę spokojnie. – Nie miała nawet siły jeść.

Luba milczy, patrzy na śpiącą Magdalенę. W słabej poświacie lamp biała twarz dziewczyny sprawia wrażenie martwej. Ukraińska odchrząkuje, splota na podłogę, gasi papierosa o belkę, złazi na dół. Wychylam się za nią.

– Znajdź nam lepszą pracę, bo Magdalena długo nie pociągnie.

Usta Luby wykrzywia grymas uśmiechu, odsłania krótkie zęby i dziąsła.

– *Nie but' taka mudra, bo sama nie potiahniesz*[20] – mówi z groźbą w głosie.

Nieśpiesznie zapala kolejnego papierosa i wychodzi z baraku.

O świcie budzi mnie kwilenie dziecka. Zaciskam powieki przekonana, że to sen, ale płacz nie milknie. Otwieram oczy. Dookoła panuje poruszenie, kobiety wychylają się z pryczy, pokazują coś na dole. Magdalena klęczy obok mnie, jej ciało mocno drży.

– Co się dzieje? – pytam szeptem.

Dziewczyna bez słowa pokazuje ręką. Przesuwam się, starając nie odkryć koca, wystawiam głowę poza pryczę, czuję większą niż zwykle słabość, kręci mi się w głowie. Przez świetliki wpada światło świtu, w półmroku majaczy postać kobiety na dolnej pryczy. Ma nie więcej niż osiemnaście lat, zwinięta w kłębek, bezskutecznie próbuje nakarmić i uciszyć noworodka. Dziecko nie może nic wyssać z jej wysuszonej piersi, płacze z głodu. Przejściem zbliża się Bogna, zatrzymuje się nad matką i dzieckiem. Patrzy bez słowa, potem rusza dalej, do wyjścia.

– Proszę, proszę... – szepcze bezradnie dziewczyna.

Jedna z kobiet staje na drodze Bogny, próbuje ją zatrzymać. Blokowa odpycha ją mocno, wychodzi z baraku. Kilka więźniarek podchodzi do matki, spierają się ściszonymi głosami. Jest wśród nich kobieta od Leśmiana. Dziewczyna i noworodek zostają zabrane w głąb baraku, schowane z tyłu pryczy. Ciche skomlenie dziecka milknie, widocznie nakryte zostało kocem.

Jestem rozpalona, zaczyna mnie strasznie boleć głowa. Otwierają się pchnięte mocno drzwi, do baraku wkraczają Luba, dwie esesmanki i Bogna. Więźniarki znikają na pryczach, zapada cisza. Magdalena chwytła mnie za ramię, jej palce ściskają kurczowo. Blokowa zatrzymuje się przy pryczy, na której leżała dziewczyna z noworodkiem, rozgląda się bezradnie.

– Co jest? – pyta po niemiecku, ze złością, esesmanka.

– *De je to ta kurwa, szto urodila?![21]* – wrzeszczy Luba.

Odpowiada jej ciężkie milczenie.

– *Wsi pidete do hazu!*[22] – krzyczy dalej Ukrainka. – *Wylazte, kurwy, z baraku! Uže!*[23]

Kobiety schodzą z pryczy. Sprowadzam na dół Magdalenę, ona dygocze jak w febrze. Z zewnątrz wbiegają dwie kapo, zatrzymują się przy esesmance. Nie wiedzą jeszcze, co się wydarzyło, gotowe są rzucić się na nas.

– Szukać noworodka! – rozkazuje Niemka.

Błysk zrozumienia w oczach kapo, ruszają natychmiast, jak spuszczone ze smyczy psy. Dołącza do nich Bogna. Przeszkadzają im wychodzące kobiety, utrudniają szukanie. Kapo biją pięściami, wrzeszczą, przepychają się. Unieruchamia nas nagle tryumfujący krzyk, po niemiecku:

– Jest! Tu!

Patrzymy w milczeniu. W głębi przejścia jedna z kapo podnosi trzymanego za kark noworodka, drugą ręką odpycha szlochającą rozpaczliwie dziewczynę. Esesmanka podchodzi, chwyta niemowlę za ramię, odbiera od kapo. Przygląda się uważnie.

– Chłopiec – mówi spokojnie.

Odwraca się, robi dwa kroki w stronę kubła na odchody, wrzuca dziecko do czarnej cieczy. Noworodek znika pod powierzchnią. Wycie matki zamienia się w rżenie, dziewczyna przewraca się, traci przytomność. Przychodzi mi na myśl, że łaską byłoby teraz zastrzelenie jej. Esesmanka zastanawia się przez moment, potem krótkim gestem wskazuje na drzwi. Dziewczyna złamała regulamin, musi żyć, przypominać o swojej winie, dostarczyć esesmanom pełnej satysfakcji.

Luba wrzeszczy na Bognę, ta chwyta nieprzytomną dziewczynę, wlecze ją do wyjścia. Na drodze blokowej staje kobieta od Leśmiana, wraz z dwiema więźniarkami zabierają dziewczynę z rąk Bogny, wynoszą z baraku. Esesmanka, Luba i kapo wychodzą za nimi. Więźniarka stojąca obok mnie mówi spokojnym głosem.

– Niech się cieszy, bo mogły go zabrać do adopcji. Zrobiliby następnego esesmana.

Poganiane przez kapo ustawiamy się w szeregu przed barakiem. Matka noworodka zostaje ocucona uderzeniem w twarz, siedzi na ziemi i rozgląda się nieprzytomnym wzrokiem. Kręci mi się w obolałej głowie, przewracam się, nie mam siły wstać. Widzę wszystko jak przez mgłę, tętno dudni w skroniach. Pochyliła się nade mną twarz Magdaleny, jest rozmazana, mówi coś z lękiem. Obok pojawia się Luba, szarpie i odciąga dziewczynę.

– *Lyszy jeji, ona hwora!*[24]

Nie rozumiem, o kim mówi, przecież jestem zdrowa. Unoszę się na wyprostowanych rękach i upadam bezsilnie w błoto. Jest zimne, przynosi ulgę rozpalonej twarzy. Słyszę rozkaz po niemiecku, nie mogę zrozumieć słów. Podnoszą mnie czyjeś ręce, niosą tuż nad ziemią. Uderzam ciałem w twarde deski,

dociera do mnie, że leżę na wózku. Wózek jest dla chorych, które wysyłają do likwidacji. Jestem chora! To nie czerwonka, bo dostałabym sraczkę. Tyfus! Wszy wreszcie dokonały dzieła.

Obok mnie rzucają dwa ciała kobiet, które umarły w nocy. Leżę bez ruchu, poddaję się; kula, gaz albo zastrzyk w serce, jest mi obojętne. Byłam kretyką, próbując przetrwać, należało od razu sprowokować śmierć. Widzę ruszającą kolumnę, odwrócone w moją stronę twarze kobiet. Próbuję dostrzec Magdalenę, ale sylwetki idących rozmazują się, znikają w półmroku. Wózek drga i rusza, ciągnące więźniarki funkcyjne stękają z wysiłku. Odwracam się na plecy, patrzę na jaśniejsze niebo.

Po bokach przesuwają się cienie baraków, zza dachu wysuwa się srebrna połówka księżycy. Wyciągam rękę, chwytam zimny księżyc i przykładam do rozpalonej twarzy. Nie mogę go utrzymać, jest zbyt ciężki, tracę równowagę, spadam na miękką ziemię. Widzę, że wózek oddala się, chcę krzyknąć, ale głos nie wydostaje się z gardła. Leżę, dygocząc, przechodzą przeze mnie fale gorąca i lodowatego zimna.

Budzę się. Jest noc, pada deszcz. Siedzę pod ścianą baraku, jestem pokryta błotem. Gorączka nie zelżała, strasznie chce mi się pić. Powoli przesuwam się pod spływającą z dachu strugę, przechylam głowę i chwytam otwartymi ustami zimną wodę. Krztuszę się, z wysiłkiem odzyskuję oddech. Próbuję opanować dławiący lęk, przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Wrzucono mnie na wózek, miałam trafić do szpitala, spadłam po drodze. Muszę wrócić do baraku, inaczej zginę.

Podnoszę się, jęcząc z wysiłku, jestem niewiarygodnie słaba. Rozglądam się, próbuję odnaleźć drogę. Widzę zbliżające się trzy szkielety; podchodzą do mnie, wyciągają pątyki rąk, bezzębne usta bełkoczą coś niezrozumiałego. Muzułmanki. Cofam się przestraszona, odwracam i odchodzę, trzymając się ściany.

Idę między barakami, deszcz zalewa mi oczy. Co parę kroków przewracam się, odpoczywam, leżąc w błocie, podnoszę się i idę dalej. Poznaje wreszcie nasz barak, wydaje się teraz wymarzonym domem. Nie jestem już w stanie iść, ostatnie metry pokonuję na czworakach. Popycham drzwi, przedostaję się przez próg, posuwam się, czołgając po podłodze. Nie wiem, jak wejść na prycę, muszę obudzić Magdalenę. Przed sobą widzę parę butów, jedyne buty w naszym baraku. Unoszę głowę, widzę pochyloną twarz Bogny.

– Gdzie leżesz, chore ścierwo? – syczy z nienawiścią. – Chcesz nas pozarażać?

Chwyta za bluzę na moim ramieniu i ciągnie. Wydaję z siebie zduszony jęk, wołam o pomoc. Zawadzam ciałem o próg, upadam na błoto.

– Poskarż się jebanej Ukraince! – krzyczy Bogna.

Drzwi baraku zamykają się z trzaskiem.

17 Chodź!

- 18 Nie bój się, chodź. Chodź!
- 19 Przechodź!
- 20 Nie bądź taka mądra, bo sama nie pociągniesz.
- 21 Gdzie jest ta dziwka, co urodziła?!
- 22 Wszystkie pójdziecie do gazu!
- 23 Wyłazić, kurwy, z baraku! Już!
- 24 Zostaw ją, ona chora!

Anna ocknęła się z bolącą głową. Palące promienie słońca raziły w oczy, była spocona, oddychała z wysiłkiem. Siedziała na kamiennym stopniu, na kolanach przytrzymywała kartki rękopisu. W dole widziała skąpany w słońcu wysoki, żółty mur i tłum czarnych, białych i zielonych sylwetek. Wyżej błyszcziała złota kopuła i wspinała się do nieba smukła wieża. Do Anny dotarło, że patrzy na resztki świątyni Salomona i Ścianę Płaczu. Tłum na placu to modlący się Żydzi, zielone sylwetki – to żołnierze.

Nie wiedziała, w jaki sposób się tu znalazła. Pamiętała jak przez mgłę, że nie mogła wytrzymać w hotelowym pokoju, dusiła się. Przeszła przez wiele uliczek i placów, wreszcie zmogło ją zmęczenie i usiadła. Musiała zasnąć i zapewne też stracić świadomość podczas wędrówki.

Z nagłym przestraszeniem spojrzała na rękopis; mogła z łatwością zgubić po drodze kartki, może właśnie te, na których pojawił się Wolfgang. Obejrzała dokładniej rękopis i uspokoiła się, miał tę samą grubość i ciężar. Po co go wyjęła, jeśli nie była w stanie czytać? Usłyszała zdanie w niezrozumiałym języku, domyśliła się, że wypowiedziane zostało po hebrajsku. Nie poruszyła się.

– Powinna pani nosić kapelusz – powtórzył ten sam głos po angielsku.

Odwróciła się. Szczupła kobieta w średnim wieku zwracała się do niej z uśmiechem.

– Tak, dziękuję – odpowiedziała niezbyt przytomnie.

Kobieta nie ustępowała, nadal patrząc na nią przyjaźnie, pokazała na swoją głowę.

– Słońce bywa zabójcze. Jeśli nie jest się przyzwyczajonym.

– Zabójcze – powtórzyła posłusznie Anna.

Kobieta uśmiechnęła się znów, kiwnęła głową na pożegnanie i ruszyła w dół, w stronę placu przed świątynią. Za nią poszedł mężczyzna w czarnym garniturze i kapeluszu. Anna odpowiedziała skinieniem na jego uprzejmy ukłon. Powstrzymała się, żeby wstać i pójść za nimi.

Podejść do Ściany Płaczu i przycisnąć głowę do kamieni, jak modlący się wierni. Jeśli Bóg jest tak blisko, niech wysłucha jej błagania, cofnie i unieważni czas. Jej czas i Wolfganga. Niech go zabierze z obozu, wyśle daleko od przeklętej wojny, pod jej opiekę. Ona zajmie się synem, tym razem nie pozwoli ojcu, aby opanował jego umysł, nie popełni grzechu zaniedbania. Dla Boga wszystko jest możliwe.

Nie miała odwagi zejść na dół, bała się, że ktoś z modlących może się

zapytać, kim jest, z jakiego przyjechała kraju. I co tu robi? Domyśliliby się prawdy po jej wystraszonej spojrzeniu. Jak domyśliła się córka Elizy, recepcjonista i pokojówka z hotelu. Cały tłum zwróciłby się przeciw niej.

Włożyła rękopis do torebki. Wstała ociężale, czuła zimne strużki potu spływające po plecach. Odwróciła się i poszła pod górę po szerokich, kamiennych stopniach. Po kilku minutach zanurzyła się w wąską uliczkę, zatłoczoną i pełną straganów. Panował tu cień, było trochę chłodniej. Sprzedawcy, Arabowie, zachwalali głośno swoje towary, chwyтали ją za rękawy, namawiali w różnych językach, aby spróbowała owoców, słodczy albo kupiła pamiątki z miasta, w którym ukrzyżowano Chrystusa. Wyszła z bazaru, ruszyła pustą ulicą. Słońce zniżało się powoli nad dachami domów. Nie zastanawiała się, dokąd idzie. Im dłużej jest poza pokojem, tym później zacznie czytać.

Torebka ciążyła w dłoni, Anna nigdy nie niosła czegoś równie ciężkiego. Pomyślała, że najlepiej zrobi, porzucając ją tu. Odejdzie, nie oglądając się za siebie. Nikt nie oskarży starej kobiety, że nie może dźwigać takich ciężarów. Rozluźniła uchwyt, pasek zaczął się wysuwać ze spoczonej dłoni. Z bocznej ulicy wyszedł stary mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu, spod którego zwisały siwe pejsy. Zacisnęła znów dłoń, minie mężczyznę i wtedy upuści torebkę.

Z tyłu usłyszała warkot niewielkiego silnika, nie odwróciła się. Warkot zbliżył się szybko i nagle poczuła mocne szarpnięcie. Zaskoczona zobaczyła ciemną rękę zaciśniętą na pasku torebki. Z okrzykiem przestachu chwyciła drugą dłonią za pasek, zaparła się stopami.

Arabski chłopak na tylnym siodełku skutera przechylił się zaskoczony oporem, stracił równowagę i runął na jezdnię. Szarpnięta jego ciężarem Anna upadła na kolana, krzyknęła z bólu. Przez moment patrzyli na siebie z bliska; chłopak miał z szesnaście lat, w brązowych oczach malowało się zdziwienie, skurczona z bólu górna warga odsłaniała zęby. Puścił pasek torebki, zerwał się i podbiegł do skutera, na którym czekał jego towarzysz. Wskoczył na siodełko, skuter zawarczał wysokimi obrotami silnika, ruszył ostro i skręcił w boczną ulicę.

Za ramię Anny chwyciła czyjaś ręka, pomogła jej wstać. Stary mężczyzna patrzył na nią ze współczuciem. Powiedział coś po hebrajsku, potem przeszedł na niemiecki.

– Jak się pani czuje? Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała Anna. – Co to było?

– Próba kradzieży torebki – wyjaśnił mężczyzna. – Młodzi Arabowie często tak działają.

Anna przytaknęła na znak, że rozumie. Obejrzała torebkę; była nienaruszona, nawet pasek nie został urwany. Mężczyzna uśmiechnął się.

– Dzielnie pani walczyła.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Przed chwilą gotowa była porzucić torebkę

z rękopisem, a przecież Wolfgang błagał, aby odnalazła Elizę; jak mogła o tym zapomnieć? Bóg wysłał jej złodzieja torebek.

– Zraniła pani kolana – usłyszała.

– Słucham? – skupiła wzrok na mężczyźnie.

Pokazał na jej nogi. Oba kolana krwawiły z rozcięć na skórze; poczuła ból.

– To nic – powiedziała spokojnie. – Opatrzę w hotelu.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie.

– Nawet się pani nie zdenerwowała – stwierdził z podziwem. – Mieszkam niedaleko. Proszę ze mną, zajmiemy się skaleczeniami, odpocznie pani.

Anna zawahała się. Pobrużdżona zmarszczkami twarz mężczyzny sprawiała miłe wrażenie, jego oczy były uśmiechnięte. Zdała sobie sprawę, jak bardzo teraz potrzebuje ludzkiej serdeczności. Przytaknęła z westchnieniem i nagle musiała powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Przepraszam – wyjąkała zmieszana.

– Proszę się nie wstydzic – powiedział mężczyzna. – To normalna reakcja.

Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze starego domu z bloków piaskowca. Z przedpokoju weszli do niewielkiego salonu z tarasem wyłożonym terakotą. Miasto w dole gasło w blasku zachodzącego słońca. Stary mężczyzna wskazał głęboki, obity skórą fotel i wyszedł z salonu.

Anna usiadła. Poczowała głęboką ulgę i spokój. Zauważyła, że w całym pokoju rozstawione są fotografie w ramach. Było ich kilkadziesiąt, stały na półkach biblioteki, antycznej szafce i parapecie okna, nadawały salonowi muzealny wygląd. Kobiety, mężczyźni i dzieci, pojedynczo i grupami, w fotograficznych atelier, we wnętrzach i plenerach, na tle willi z ogrodem, w górach i nad morzem. Z psami, końmi, w samochodach. Na jednym zdjęciu uśmiechnięty młody mężczyzna siedział w kabinie samolotu.

Po paru minutach wrócił gospodarz. Pozbył się płaszcza i kapelusza, ubrany w czarną kamizelkę, myckę i białą koszulę, niósł miskę z parującą wodą, ręcznik, buteleczkę jodyny, watę i plaster. Przyklęknął przed Anną.

– Mogę? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zaczął delikatnie obmywać jej kolana ciepłą wodą.

Anna oparła głowę o fotel i przymknęła oczy.

– Trochę zaboli – uprzedził mężczyzna.

Poczowała dotknięcie wacika i pieczenie jodyny, najpierw na jednym kolanie, potem na drugim. Otworzyła oczy. Mężczyzna w skupieniu odciął dwa kawałki plastra, zakleił zranione miejsca. Wyprostował się, podniósł miskę, buteleczkę i resztę waty, wyszedł z salonu. Po minucie wrócił z karafką wody, w której pływały plasterki cytryny i kostki lodu. Z szafki wyjął dwie szklanki, nalał do nich wodę, postawił na stoliku i usiadł w fotelu naprzeciw.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Anna cichym głosem. – Nie pamiętam,

kiedy ktoś tak się mną zajął.

Mężczyzna podniósł swoją szklanę.

– *L'Chaim!* Na zdrowie – powiedział z powagą. – Za życie.

Anna ujęła szklanę, wypła kilka łyków. Miała wrażenie, że zimna woda wpływa żyłami do rozgrzanego ciała, przywraca jej siły.

– Powinam już iść – stwierdziła, wzdychając.

– Proszę chwilę odpocząć – zaproponował mężczyzna.

Przytaknęła z wdzięcznością. Mogłaby tak siedzieć przez całą noc. I następny dzień. Patrzałaby w przyjazne, mądre oczy i opowiadała swoją historię. A on udzieliłby rady, po której mogłaby wrócić do domu. Na pewno wiele przeżył i zna ludzką naturę. Mężczyzna nie odrywał od niej wzroku. Zmieszała się.

– Ma pan wielką rodzinę – powiedziała, pokazując ręką na fotografii.

– Czterdzieści siedem osób.

– Imponujące.

Mężczyzna skinął głową. Spojrzał na torebkę stojącą przy jej nogach.

– Jest tu coś, za co warto było zginąć? – zapytał z uśmiechem.

Anna w nagłym odruchu, nie zastanawiając się, dlaczego to robi, podniosła torebkę, wyjęła rękopis, położyła go na stoliku.

– Zna pan język francuski?

Mężczyzna zawahał się.

– Mogę spróbować.

Z kieszeni kamizelki wyjął połówkowe okulary do czytania, założył na nos. Podniósł pierwszą kartkę rękopisu. Przeczytał powoli kilka zdań, jak dziecko szeptał po cichu francuskie słowa. Podniósł zdziwiony wzrok na Annę, potem pochylił głowę i czytał dalej.

Czas wolno mijał. W głębi mieszkania odezwał się zegar, odmierzył godzinę dziewięcioma uderzeniami. Mężczyzna odłożył kolejną kartkę rękopisu, zdjął okulary, wsunął do kieszeni kamizelki. Przetarł oczy, zmęczony, jakby przeczytane zdania odebrały mu energię. Patrzał na Annę i czekał w milczeniu; oboje wiedzieli, co teraz nastąpi.

– Mój syn tam był – powiedziała wolno Anna.

Wyprostowała się w fotelu, gotowa na przyjęcie słów, które musiały paść. Mogła nie pokazywać rękopisu, spędzić tu kilka spokojnych godzin, bardzo tego potrzebowała. Nie byłoby to jednak uczciwe, nie w tym mieście, nie wobec tego człowieka.

– Esesman? – spytał cichym głosem.

Anna przytaknęła.

– Nazwisko.

– Wolfgang Steinhoff – powiedziała, powoli i wyraźnie.

Mężczyzna zamyślił się, potem pokręcił głową.

– Mam dobrą pamięć do nazwisk – stwierdził spokojnie. – Muszę mieć.

Siedzieli w milczeniu. Na ścianach salonu gasła czerwona luna, postacie na fotografiach zanurzały się w półmroku.

– Grałem tam w obozowej orkiestrze – powiedział. – Na skrzypcach.

Anna podniosła się z westchnieniem, wzięła ze stolika rękopis, włożyła do torebki.

– Dziękuję – rzuciła cicho. – Do widzenia.

Mężczyzna nie poruszył się. Przygarbiona sylwetka, jakby czas zatrzymał się dawno temu. Anna podeszła do drzwi, zatrzymała się w progu. Spojrzała na rozstawione fotografie. W słabym, czerwonym świetle zachodu oczy kobiet, mężczyzn i dzieci płonęły tęsknotą. Nagłe przecucie odebrało jej oddech, musiała oprzeć się ręką o framugę.

– Czy ktoś z pana rodziny przeżył? – zapytała zdławionym głosem.

Mężczyzna wolno pokręcił głową.

– A pani syn? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

Chciała dodać, że Wolfgang był dobrym dzieckiem, zagubił się z powodu ojca, a teraz jest nieszczęśliwym wrakiem, wojna wpędziła go w alkoholizm, zniszczyła. Anna mogłaby długo o nim opowiadać, i o swojej winie. To ona pozwoliła mężowi wychować syna, zbyt była zajęta sobą, aby dostrzec niebezpieczeństwo.

Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– Proszę uważać na ulicach – powiedział mężczyzna. – Jerozolima nie jest teraz bezpiecznym miastem.

Anna kiwnęła głową, odwróciła się i wyszła. Trzymając się ściany w ciemnym przedpokoju, dotarła do drzwi. Zeszła schodami dobudowanymi z zewnątrz domu, minęła ogród pełen kwiatów o oszałamiającym zapachu, wyszła na pustą ulicę. Zapaliły się światła elektrycznych latarni. Powietrze stało się lekkie, o latarnie obijały się ćmy i buczące żuki.

Nie pamiętam niczego. Jest jasno, leżę twarzą na suchej, spękanej ziemi, czuję żar w całym ciele, usta są wyschnięte, pali pragnienie. Przed oczami widzę czyjeś ramię, skóra pokryta jest czerwonymi, krwawiącymi wrzodami. Odsuwam się, ale ramię posuwa się wraz ze mną, wierzch dłoni też jest owrzodzony.

– Mamo, śmierć się zbliża – mówię szeptem.

Za co się kocha ludzi? To tajemnica. Nie za to, że są dla nas dobrzy. Kochałam ją, choć nie była dobrą matką. Teraz rozumiem, jak bardzo była bezradna i wylękniona. Wierzyła, że kiedy mężczyźni przestaną się nią interesować, wpadnie w otchłań niebytu. Tylko ja mogłam ją zatrzymać na krawędzi, przedłużyć jedyną formę istnienia. Ofiara ze mnie była naturalna, należała się za życie, którym mnie obdarowała. Poza tym byłam młoda, a jej czas rozpaczliwie się kurczył. Wyrzucam sobie, że po powrocie z Anglii nie pojechałam do matki; byłam zawzięta, pielęgnowałam poczucie krzywdy. Teraz tamte myśli i uczucia stają się dziwnymi złudzeniami.

Nie wiem, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Muszę się poruszać, bo przyjdą i mnie zabiją. Nie wiem kto ani za co. Może za męża, który siedzi obok z przekrzywioną głową i poważnie mi się przygląda. Na skroni ma krwawą ranę po uderzeniu młotkiem, podnosi rękę i pokazuje na ranę palcem. Za nim pojawia się śliczna, młoda dziewczyna, ubrana w granatowy kombinezon i w białej chustce na głowie. Zatrzymuje się i kuca przy mnie, ma łzy w oczach, nie pamiętam jej imienia.

– To ja, Magdalena – mówi. – Nie patrz tak na mnie, jesteśmy przyjaciółkami.

Dobrze, zgadzam się. I tak nie miałabym sił zaprotestować. Ręka dziewczyny unosi moją głowę, do ust wlewa się trochę płynu. Łykam, krztuszę się, znowu łykam. Już wystarczy, układam głowę na ziemi, przymykam oczy. Czyjś ostry głos woła dziewczynę, przez szparę w powiekach widzę, jak odchodzi; lśniąco, skórzane buciki i czarne podkolanówki. Czeka na nią niewysoka, krępa kobieta. Znam jej twarz, ale nie przypomnę sobie imienia. Zasypiam.

Słońce boleśnie razi w oczy, chce mi się pić. Wiatr trochę chłodzi ciało. Muszę chodzić, bo mnie zabiją. Wstaję, idę między barakami, w cieniu ścian. Powoli, krok za krokiem zbliżam się do rozpiętych drutów z kolcami. Męski głos woła po niemiecku, jest rozbawiony:

– Gdzie leżesz? Usmażysz się!

Nie widzę wołającego, bo przed oczami mam mgłę. Kiwam głową na znak,

że też mnie to bawi. Skręcam, idę wzdłuż drutów. Przypominam sobie, dokąd idę. Do domu, do matki. Poproszę o wybaczenie za to, że ją opuściłam. Z przodu mającą niewyraźne sylwetki, jedna, dwie, trzy. Docieram do nich powoli, krok po kroku, jestem gotowa przywitać się. Sylwetki są dziwne, głowy mają gdzieś wysoko, patrzę na ich brzuchy. Męskie głosy śmieją się, jeden mówi po niemiecku:

– Powiedz dzień dobry, może ci odpowiedzą!

Znowu się śmieją. Posłusznie wyciągam dłoń, dotykam ręki kobiety w pasiastym stroju, ona odsuwa się i lekko kołysze. Podnoszę głowę, spoglądam do góry. Jej szyję ściska gruby sznur, patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. Dwie kobiety obok też wiszą i patrzą. Rozumiem, co je spotkało, nie uda nam się porozmawiać. Ruszam dalej, w stronę czterech mężczyzn w mundurach, z karabinami na ramionach. Pałają papierosy, przyglądają mi się z uśmiechem; domyślałam się, że są żołnierzami.

– Dzień dobry – mówię z trudem po niemiecku, przez wyschnięte gardło.

– Wspaniały dzień – zgadza się pierwszy żołnierz. – Dokąd się pani wybiera, jeśli można zapytać?

Trzej pozostali śmieją się.

– Do domu – mówię i staram się też uśmiechnąć. Jestem jednak za słaba, mięśnie twarzy odmawiają posłuszeństwa.

– Świetnie się składa, zaraz zadzwonię po szofera – ciągnie ten sam żołnierz. Tamci trzej rechoczą jeszcze głośniej.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiadam uprzejmie. Jestem już blisko bramy.

– Odsuń się, to jest tyfus! – mówi ostrzejszym tonem jeden z nich.

Idę dalej, mijam żołnierzy, oni rozchodzą się na boki.

– Dlaczego pozwalają im łączyć po obozie? – rzuca któryś za mną.

Przechodzę przez otwartą bramę z drutu kolczastego, dalej prowadzi prosta droga. Tam czeka matka, na pewno jest blisko. Słyszę szcęknięcie metalu.

– Zostaw, szkoda kuli. Daleko nie zajdzie.

Nie mam pojęcia, skąd to wie, ale ma rację. Nogi odmawiają posłuszeństwa, muszę chwilę odpocząć.

– Ściągnij kogoś, niech ją spalą. Zanim kogoś zarazi.

Przysiadam na skraju drogi, próbuję uśmiechnąć się do żołnierzy w bramie. Tym razem udało się, odsłaniam w uśmiechu zęby. Wiem, że robię wrażenie na mężczyznach; jeśli będą mili, zgodzę się pójść z jednym z nich. Byłoby czym zapłacić za hotel, potem może mnie odwieźć do domu. Zamykam powieki, poddaję się grzejącemu słońcu.

Nade mną jasnym światłem pali się lampa, za nią widać sufit z desek. Nie wiem, gdzie jestem, nie rozumiem zmieszanych głosów, w które wplata się czyjś rozpaczliwy jęk i rżenie. Chciałabym wstać, lecz brakuje mi sił, aby się poruszyć. Ciało jest rozpalone, mam gorączkę. Jestem chora, to z pewnością jest

szpital.

Próbuję sobie przypomnieć, w jakim znajduję się kraju. Nie Francja i nie Anglia, bo głosy mówią po polsku i niemiecku. Nadal nie mogę ich pojąć, jakbym straciła umiejętność rozróżniania słów i znaczeń. Może uległam wypadkowi i mam uszkodzony mózg? Ta myśl przypląwa z oddali i znika, nie jest niepokojąca. Cała jestem z oddali, ciało nie jest moje, umysł też wydaje się obcy. To dziwne, ale przyjemne uczucie, uwolnić się od siebie. Gdybym nie była tak słaba, roześmiałabym się na głos.

Bardzo chce mi się pić, muszę poprosić o wodę. Odwracam w bok głowę. W głębi pomieszczenia tłoczą się postacie w pasiakach. To kobiety, wydają z siebie dźwięki przypominające cichy płacz, pomiędzy nimi kręci się lekarka w białym kitlu. Na szczęście nie muszę tkwić w tym tłumie, nie dałabym rady.

Przekręcam głowę w drugą stronę. Na stole obok leży kobieta, jej wielkie oczy wpatrzone są w przestrzeń. Jest bardzo chuda, ubranie ma brudne i cuchnące. Co to za szpital, w którym przyjmują takie pacjentki? Nie powinnam leżeć na tej samej sali, porozmawiam o tym z lekarzem. Pojawiają się dwaj pielęgniarze w poplamionych kitlach, wynoszą kobietę poza moje pole widzenia. Przekręcam szyję, odprowadzam ich wzrokiem. Kobieta zostaje położona na metalowym blacie, który oświetla mocna lampa. Pielęgniars rozchyła bluzę na jej piersi, potem przytrzymuje ją oburącz.

Z boku zjawia się wysoki lekarz w białym kitlu włożonym na mundur. Ma inteligentną twarz, okulary w metalowej oprawie, gumowe rękawice na rękach. Trzyma dużą strzykawkę wypełnioną niebieskawym płynem, z długą igłą. Przykłada igłę do piersi kobiety, mocnym ruchem wbija głęboko i wciska płyn ze strzykawki. Kobieta wypręża się, wydaje bolesny jęk, który zmienia się w rżenie, dygocze i sinieje; pielęgniarze przytrzymują, czekają, aż się uspokoi. Po kilku sekundach ciało kobiety staje się bezwładne, pielęgniarze podnoszą ją i wychodzą.

Drastyczna metoda leczenia, ale gotowa jestem poddać się temu zabiegowi, jeśli zasnę jak ta kobieta i obudzę się silniejsza. Powinnam wyrazić zgodę, podpisać jakiś papier? Wracają dwaj pielęgniarze, chwytają mnie pod pachy i kolana, podnoszą i układają na metalowym stole. Mrużę oczy przed światłem lampy.

Pojawia się twarz lekarza, który przygląda się uważnie. Ma mądre oczy, z pewnością wie, co mi dolega i jak to wyleczyć. Uśmiecham się z wdzięcznością. Odpowiada lekkim uśmiechem i wyciąga w bok rękę. Kątem oka widzę, że ktoś podaje mu strzykawkę. Lekarz nadal patrzy na mnie, z pewnością działa na niego moja uroda, nieuważnie odbiera strzykawkę, upuszcza ją. Głośny brzęk tłuczonego szkła, lekarz przeklina po niemiecku. Odpowiada mu przestraszony głos pielęgniarskiego.

Na miejscu pielęgniarskiego też bym się bała, niebieskawy lek z pewnością nie

jest tani. Czekam cierpliwie, aż posprzątają szkło i napelnią następną strzykawkę. Lekarz nie przestaje krzyczeć, zaczynam rozumieć słowa i zdania. Okazuje się, że porcja medykamentu zwanego fenolem była ostatnia, następna dostawa spodziewana jest nazajutrz. To irytujące, że będę tak długo czekała na zabieg. Chcę zaprotestować, poskarżę się dyrekcji szpitala.

– Do gazu z nią! – mówi lekarz.

O co mu chodzi? Fragmenty zasłyszanych znaczeń przebijają się do pamięci, ogarnia mnie niezrozumiały lęk. Słyszałam o gazie, nazwę fenol też znam, ale nadal nie wiem, co oznaczają. Ręce pielęgniarzy chwytają za ramiona i nogi.

– Wezmę ją do siebie – mówi z boku kobiecy głos.

– Po co? – pyta suchym tonem lekarz. – Nie pociągnie do jutra.

– Najgorsze ma za sobą – nalega kobieta i podchodzi. – Będzie mogła wrócić do pracy, komendant domaga się robotnic do rozbudowy obozu.

To lekarka w białym kitlu. Ma okrągłą twarz, czterdzieści parę lat, mówi po niemiecku z polskim akcentem. Lekarz zapala papierosa, odsuwa się poza światło lampy.

– Weź ją sobie! – rzuca, wydmuchując dym.

Pielęgniarze podnoszą mnie, kładą na napiętym materiale na podłodze, potem znowu jadę do góry. Mijam lekarza, który patrzy obojętnie. Pomimo lęku mam do niego pretensję, że nie zajął się mną jak powinien.

Wychodzimy na dwór, kobieta idzie obok.

– Nie martw się, będziesz zdrowa – mówi spokojnym głosem i uśmiecha się.

Nie mam do niej zaufania, chcę odpowiedzieć, żeby się odczepiła. Jestem jednak zmęczona, wszystko mi jedno, gdzie mnie zabiorą, byle pozwolili wreszcie pospać. Zamykam oczy, kołyszą mnie miarowe kroki pielęgniarzy.

Łódź płynie w stronę wysokich skał, unosi się i opada na falach. Karl wiosłuje powoli, mruży oczy, uśmiecha się, w kącie ust trzyma nonszalancko papierosa. Toczy się między nami dziwna gra. Byłam bliska, aby się w nim zakochać, ale przekonał mnie, że uczucie przeszkodzi nam w pracy. Domyślam się dlaczego: Karl stałby się zazdrosny o seks z klientami. Nie jestem mu obojętna, ale broni się przed uczuciem, nie chce się przyznać, że od dawna mnie kocha.

Bawię się, prowokuję Karla. Kiedy klient jest przystojny, opowiadam o moich przeżyciach, przesadzam z seksualnymi doznaniem. Karl udaje, że jest mu to obojętne, a ja wiem, że cierpi. Staje się potem brutalny w łóżku, karze mnie. Gra się przeciąga, zaszła za daleko, jest niebezpieczna.

Naga, wyciągnięta leniwie, z przymkniętymi powiekami, udaję, że nie widzę wzroku Karla. Mam jasną karnację, słońce piecze i rani skórę, przerzucam nogi przez burtę i zanurzam się w chłodnej, szmaragdowej wodzie. Do stóp podpływają zaciekawione ryby z czerwonymi grzbietami, szczypią lekko pyszczkami. Jest ich coraz więcej, stają się natarczywe, chwytają za skórę ostrymi zębami, ciało

przenika ból. Przestraszona wyciągam ręce do Karla, ale on siedzi nieruchomy, patrzy z uśmiechem. Pozwoli, abym została żywcem pożarta.

Budzę się z jękiem, widzę pochylone nade mną twarze. Jestem rozebrana, siedzę zanurzona do pasa w ciepłej wodzie, która wypełnia metalową balię. Dwie kobiety w pasiakach szorują mnie gąbkami, zmywają śmierdzące mydliny, ich dotknięcia sprawiają ból. Dookoła wystają z prycz ogolone głowy, patrzą zapadnięte oczy w wychudzonych twarzach. Kilka kroków od balii stoi lekarka.

– Jak się czujesz? – pyta.

Gardło i krtań są zatkane, muszę odchrząknąć, spluwam na podłogę gęstą flegmą.

– Zachowuj się! – beszta jedna z myjących kobiet.

Krzywię się pod dotknięciem jej gąbki.

– Nie tak mocno – proszę zachrypniętym, obcym głosem.

– Musiałyśmy cię wykąpać – wtrąca się lekarka. – Chorowałaś cały miesiąc.

No tak, chorowałam, pamiętam. Patrzę na nogi, ramiona i brzuch, wzdrygam się z przestachu i obrzydzenia. Naciągnięta na kościach skóra jest szara, popękana i pokryta bliznami po wrzodach, brzuch wydęty i siny.

– To nic – mówi lekarka. – Dojdiesz do siebie. Musisz zacząć jeść, rozumiesz?

Kiwam głową bez przekonania.

– Tak – odpowiadam cicho.

Wraca dławiący strach. Wiem już, gdzie jestem, Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau. Nie czuję wdzięczności do lekarki. Po co mnie wyleczyła? Abym została odesłana do pracy, która zabija? Tyfus nie był zły; odeszłabym, nie wiedząc kiedy, bez lęku.

Lekarka rozumie, co chcę powiedzieć, zwraca się do kobiet.

– Ubierzcie ją i zaprowadźcie na pryczę. Niech odpoczywa.

Odwraca się i odchodzi między pryczami.

Śpię, cały czas śpię. W krótkich przerwach między snami przełykam wstrętne zupy, którymi mnie karmią, potem znów zasypiam. Nic nie ważę, jestem lekka, wolna od ciała i myśli. W snach fruвам nad ziemią, widzę z wysoka baraki, wynędzniałe tłumy kobiet i mężczyzn, esesmanów, kapo, psy.

Frunę jeszcze wyżej, w stronę nieba, rozglądam się w poszukiwaniu księżycy. Nie pojawia się, choć to jego czas. Być może on też się boi albo został rozstrzelany za jakieś przewinienie. Zbyt wiele widział, przedostał się za druty bez pozwolenia. Okazało się, że ma niearyjskie pochodzenie. Wycelowano w niebo wielką armatę i zestrzelono księżyc, kiedy nieostrożnie wychynął zza horyzontu; nie będzie świadkiem następnych pokoleń niewolników.

Frunę dalej, do minionych dni. To moja nowa umiejętność, pozbawiona ciężaru potrafię przelatywać we wszystkie strony czasu, w przeszłość i przyszłość.

Zasiadam do stołu, na którym wuj zapala pierwszą z ośmiu świec. Niezwykła, uroczysta chwila. Mam siedem lat, obok siedzi mama, dalej jej trzy kuzynki, ich mężowie i dzieci. Ojca nie ma, zrobił mamie awanturę o złamanie obietnicy i wyszedł z domu. Według słów ojca, mama przed ślubem przyrzekła, że nie będzie obchodzić swoich świąt. Kilka razy w roku tak się kłóca, odkąd pamiętam.

Po zapaleniu świecy wuj recytuje skupiony:

– *Baruch Ata Adonai, Eloheinu melech haolam, aszer kidszanu bemicwotaw, weciwanu lehadlik ner szel Chanuka. Baruch Ata Adonai, Eloheinu melech haolam, szeasa nisim laawoteinu, bajamim hahem bazeman hazeh. Baruch Ata Adonai, Eloheinu melech haolam, szechechejanu, wekijemanu, wehigijanu lazeman hazeh*[25].

Odczuwam dumę i czekam niecierpliwie na moją chwilę. Zostanę zapytana o święto Chanuki, jestem dobrze przygotowana. Opowiem o powstaniu dzielnych Machabeuszy, którzy pod dowództwem Judy pokonali złego króla Antiocha, uwolnili Jerozolimę i odzyskali naszą Świątynię. I o cudzie palenia się przez osiem dni ofiarnej oliwy, choć powinna wystarczyć na jeden dzień. To był dowód, jak wielki jest nasz naród, wybrany został przez Boga i trwać będzie wiecznie w chwale. Po kolacji my, dzieci, pójdziemy się bawić, dostaniemy cukierki z miodem i sezamem. Cukierki zabiorę do obozu, poczęstuję chore na tyfus i czerwonkę więźniarki z mojego baraku. Na pewno nie jadły czegoś równie wspaniałego.

Z bliska widzę tę samą dziewczynę, która karmiła mnie zupą. Teraz pamiętam, to Magdalena, znowu ma na sobie granatowy kombinezon. Obudzona z ciężkiego snu nie mam siły zapytać, skąd to ubranie. Ona mówi szybko, jest podniecona, uśmiecha się i płacze jednocześnie.

– Pracuję w Kanadzie, pod dachem. Luba załatwiła.

Jestem wdzięczna, że przyjechała do mnie z tak daleka.

– Nabierzesz sił i też pójdiesz do Kanady – ciągnie Magdalena. – Zmuszę Lubę, żeby to załatwiła.

Zgadzam się, kiwam głową. Mogę popłynąć do Kanady, teraz chcę znowu zasnąć. Magdalena nie daje mi spokoju, mówi z naciskiem:

– Ale musisz jeść! Doktor Michalska twierdzi, że odmawiasz jedzenia.

– Zjadłam chanukową kolację – odpowiadam z trudem.

Dziewczyna nie rozumie, marszczy brwi.

– Jaką? – pyta.

Na pryczy obok przekręca się starsza kobieta, patrzy na mnie ze zdziwieniem i niepokojem. Nie mam sił ani ochoty tłumaczyć, na czym polega Chanuka, zamykam oczy.

Jest półmrok. Świt albo zmierzch. Na sąsiedniej pryczy trzy kobiety pochylają się nad kawałkiem papieru. Podekscytowane, mówią szybko, po cichu.

Są chore na tyfus, gorączkują, jedna z nich przysuwa się, podtyka mi pod oczy papier. Patrzę na kawałek niemieckiej gazety.

– Masz, czytaj, to gazeta sprzed miesiąca. Amerykanie zajmują już Włochy. Rosjanie przekroczyli granicę Polski. Wyzwolą nas, wyzwolą, niedługo nas wyzwolą!

Potakuję posłusznie, nie jestem w stanie podzielać ich radości. Byliśmy z Karlem we Włoszech, na Sycylii, nie ma tam nic ciekawego. Zaprosił nas Amerykanin, który stamtąd wyemigrował i został bogaczem w Stanach. Miał być naszym klientem, ale kiedy Karl się zjawił, żeby zrobić zdjęcia, wyjaśnił, że jest bossem mafijnej rodziny i źle byśmy skończyli, próbując go szantażować. Nie kazał nas zabić, bo miał do mnie słabość; zaprosił nas do Palermo, na Sycylię. Byłam jego kochanką przez dwa tygodnie, potem zaproponował, abym pojechała z nim do Chicago. Nie zdecydowałam się zostawić Karla; byłabym teraz bogatą Amerykanką.

Zdaję sobie sprawę, że opowiadam tę historię na głos, trzem kobietom. Słuchają z ciekawością, niewiele rozumieją. Osłabienie sprawiło, że mówiłam z przerwami, nie wyjaśniłam, na czym polegały nasze szantaże.

– Rosjanie przegrywają – czytam z kawałka gazety. – Zwycięska armia niemiecka odbija Mińsk.

Jedna z kobiet kręci głową przecząco, jej oczy się świecą, na policzkach ma czerwone wypieki.

– Trzeba umieć czytać – mówi z naciskiem. – Niemcy cofnęli się już do Polski, to jakim cudem zwyciężają pod Mińskiem?

Pozostałe dwie potakują z przekonaniem.

– Tak, dobrze – zgadzam się.

Nie powiem im, co myślę. Nic nie pokona Niemców, zło zawsze jest potężniejsze. Chyba że Rosjanie to jeszcze większe zło. Nic o tym nie wiem, nie interesowałam się polityką, dlatego popełniłam błąd, wyjeżdżając z Anglii. Co się teraz dzieje z Tomem Bettingtonem, czy czeka na mnie? Bawi mnie myśl, że Tom umarłby na zawał, gdyby nagle został tu przeniesiony. A ja żyję, jestem twardsza od śmierci. Chcę mieć tylko spokój.

Noc, w oddali słyszę pohukującą sowę. Karl patrzy na mnie z troską i lękiem. Jest chudy, nie tak przystojny jak kiedyś. Z boku dobiegają niespokojne oddechy i jęki, powietrze jest cuchnące. Żaden z hoteli, w którym zatrzymywaliśmy się, nie był tak kiepski. Straciliśmy pieniądze i mieszkamy w przytułku?

– Elizo, proszę cię, proszę – mówi Karl po niemiecku.

Jego dłoń głaszcze mój policzek, oczy patrzą błagalnie. O co mu chodzi?

– Musisz jeść, bo umrzesz – ciągnie.

Przypominam sobie. Barak z chorymi, umierającymi kobietami, obóz. Za

Karlem staje krępa kobieta z szeroką twarzą. Ją też pamiętam, na imię ma Luba.

– Dość, trzeba iść – mówi po niemiecku ze śpiewnym akcentem.

Karl nie rusza się, patrzy na mnie z bólem w oczach. Luba chwyta go za ramię, popycha.

– *Idy uże!*[26] – rzuca z groźbą w głosie.

Karl wsuwa pod siennik małą paczuszkę, pochyla się, całuje mnie w oba policzki.

– Obiecuj, że zjesz – szepcze. – Kocham cię, zawsze cię kochałem.

– Tak – odpowiadam.

Odchodzi, ogląda się za siebie. Co mi po jego miłości? Gdyby był mężczyzną, jakiego potrzebuję, wziąłby mnie na ręce i zabrał stąd. Dlatego go opuściłam w Biarritz, wyczułam w nim słabość. Tom Bettington mnie uwolni, przyjedzie z Rosjanami. Luba stoi jeszcze przy mnie.

– Żryj – mówi groźnie. – *Magdalena tebe potrzebuje*[27].

Odwraca się i oddala między pryzami.

25 Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami i nakazał nam zapalać światła chanukowe. Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który uczynił cuda dla naszych ojców, w tamtych dniach, o tej porze. Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który dał nam dożyć i utrzymywał nas, i doprowadził nas do tego czasu.

26 Idź już!

27 Magdalena cię potrzebuje.

Anna przypomniała sobie małą siostrę Gertrudę. Po matce przełożonej była najważniejsza w klasztorze i szkole urszulanek w Landshut. Gertruda miała niecały metr czterdzieści wzrostu i zawsze uśmiechnięte oczy. Wszystko potrafiła wybaczyć i wytłumaczyć, uczennice ją uwielbiały. Kiedy ojciec został ciężko poparzony przy wybuchu chemikaliów w fabryce Bayera, Gertruda wzięła Annę do swojego gabinetu.

– Boga nie trzeba o nic prosić – powiedziała poważnie, ze współczuciem. – On wie, czego naprawdę potrzebujemy. Możemy tylko wyrażać wdzięczność za życie, którym nas obdarowuje. Zachować czysty umysł i poddać się Jego woli.

Anna posłuchała siostry Gertrudy, nie modliła się o wyzdrowienie ojca. Była z matką w szpitalu, kiedy umierał, strasznie cierpiąc. Uciekła ze szkoły i nie została przyjęta z powrotem, pomimo wstawiennictwa Gertrudy. Od tamtej pory nie weszła do kościoła, nigdy się nie modliła. Była dumna z zerwania z Bogiem, czuła się wolna. Zmusiła narzeczonego, aby zrezygnował z ślubu kościelnego, co w tamtych czasach było trudne; oboje musieli wystąpić z Kościoła. Potem wsparła męża, kiedy po zapisaniu się do NSDAP oświadczył rodzinie, że religia nie jest potrzebna silnym Niemcom; wychowali w tym duchu małego Wolfganga. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że naziści zamknęli klasztor urszulanek.

Teraz nadszedł czas, aby przypomnieć Bogu o jego długu za śmierć ojca. Ale była mądra, nie poprosi o uwolnienie Wolfganga. Siostra Gertruda miała rację, miliony Niemców modliły się o zwycięstwo i bezpieczny powrót synów, kościoły były pełne przez całą wojnę. A Bóg wiedział, co naprawdę było potrzebne jej rodakom. Anna zdecydowała, że pójdzie do synagogi. Jeśli po ostatniej wojnie nie odwrócił się od rodzaju ludzkiego, Jego oczy są zwrócone na tych, którzy najwięcej wycierpieli.

Zapytała recepcjonistę, gdzie by się udał, gdyby miał ważną sprawę do Boga. Zaskoczony poradził jej, by odwiedziła cztery sefardyjskie synagogi, najstarsze świątynie Żydów w Jerozolimie. Nauczyła się ich nazw, Jochanan Ben Zakai, Istanbuli, Eliachu Ha'nawi, Emsai. Recepcjonista z dumą opowiedział historię synagog. Powstawały pod panowaniem imperium osmańskiego, kiedy Żydzi zaczęli powracać do Jerozolimy. Po przegranej wojnie w czterdziestym ósmym roku zostały zniszczone przez barbarzyńskich Arabów, którzy wyparli Izraelczyków ze starej części miasta. Arabowie urządzili w czterech świątyniach stajnie i obory. Teraz całe miasto jest wyzwolone i synagogi będą odbudowane. Wierni już gromadzą się tam na modlitwy.

Anna wcześniej wyszła z hotelu, kilka razy musiała pytać o drogę. Szła przez starą dzielnicę Jerozolimy, wciąż spotykała chasydów podążających w stronę synagog na poranne modlitwy. Słońce wznosiło się ponad dachami, zaczynał się upalny dzień. Coraz bardziej zmęczona starała się iść w cieniu, gubiła się w plątaninie wąskich uliczek wijących się wśród niskich domów z piaskowca. Zatrzymywani przechodnie cierpliwie tłumaczyli jej drogę do synagog.

Nie myślała o rękopisie, musiała teraz przypomnieć Bogu o sobie. Pamiętała słowa siostry Gertrudy, które padły, kiedy widziała ją po raz ostatni. Było to latem roku trzydziestego dziewiątego, za miesiąc miała wybuchnąć wojna. Od koleżanki ze szkoły usłyszała, że Gertruda jest umierająca; pojechała ją odwiedzić w Szpitalu Świętego Ducha w Landshut. Małeńka staruszka uśmiechnęła się radośnie na widok Anny.

– Moja kochana buntownica – wyszeptała. – Nic się nie zmieniłaś.

Oczy Gertrudy świeciły takim samym blaskiem i miłością jak trzydzieści lat wcześniej; czas jej nie dotyczył. Długo rozmawiały, trzymając się za ręce. Anna opowiedziała o swoim małżeństwie, o tym, jak szybko rozwiązała się iluzja miłości. O mężu, którego pochłonęła armia i walka z wrogami Rzeszy. I o synu, którego ojciec oddał do szkoły SS, kiedy Wolfgang miał trzynaście lat. I jak bardzo się zmienił w tej szkole. Nie poznawała ukochanego Wolfganga, kiedy przyjeżdżał na wakacje do domu; potem zerwał z rodzicami, zamieszkał w koszarach SS. To również jej wina; niekochana i osamotniona, oddała się pasji podróżowania po Europie, nieudanym próbom malarskim i literackim. W Republice Weimarskiej wyemancypowane kobiety chciały być artystkami; ona nie miała talentów, oszukiwała się. Zajęta sobą zaniedbała syna.

Gertruda słuchała uważnie. Nie zapytała, czy Anna odnalazła Boga. Zjawiła się pielęgniarka i zażądała, aby zakończyć wizytę. Gertruda gestem pokazała Annie, żeby się nachyliła i wyszeptała jej do ucha:

– Nadchodzą trudne czasy, wiele wydarzy się zła. Próbuj zachować czysty umysł, oddalaj myśli. Nie miej żadnych poglądów, to one doprowadzają do wszystkich nieszczęść. Bądź otwarta i gotowa. Bóg się pojawi, nie zapomni o tobie.

Ulicę wypełnił tupot wielu nóg. Anna i przechodnie cofnęli się pod ścianę. Zza zakrętu wyłoniła się kolumna arabskich jeńców. Było ich ponad stu, w brudnych, podartych mundurach maszerowali ociężale; eskortowali ich młodzi izraelscy żołnierze z pistoletami maszynowymi. Kilku jeńców było rannych, szli z trudem, podtrzymywani przez innych. Izraelczycy kroczyli lekko, promienieli dumą zwycięzców, chasydzi wołali pod ich adresem błogosławieństwa i przeklinali Arabów. Dowodzący eskortą wysoki chłopak o jasnych włosach wydał rozkaz, kolumna przyśpieszyła i zniknęła w głębi krętej uliczki.

Anna ruszyła dalej. Po kilkuset metrach zatrzymała się zdezorientowana

przed skupiskiem murów z wypalonymi oknami. Z czterech synagog pozostały tylko zewnętrzne ściany, obok wznosił się nienaruszony minaret, z półksiężycem na szczycie, dalej zaczynało się strome wzgórze, z domami i lasem na zboczach. W prześwicie między murami widać było arabskich jeńców, którzy ładowali na ciężarówki gruz wynoszony przez izraelskich robotników z wnętrza jednej ze świątyń. Domyśliła się, że Arabom nie wolno było wejść do świętego przybytku, nawet jeśli zostały tylko ruiny.

Na ulicy i dziedzińcu przed zniszczonymi synagogami zgromadził się tłum chasydów i żołnierzy, ich ramiona i głowy przykryte były biało-czarnymi tałesami. Na podwyższeniu stali trzej rabini za rozłożoną na pulpicie księgą. Tłum i rabini zakrywali oczy prawą dłonią i modlili się głośno:

Szma Jisrael, Adonaj Elohejnu, Adonaj echad.

Baruch szejm kewod malchuto l'olam wa'ed

We-ahawta ejt Adonaj Elohejcha, be-chol le-wawcha u-we-chol nafszecha u-we-chol m'odecha.

We-haju ha-dwarim ha-ejleh

aszer anochi m'cawcha ha-jom al l'wawecha[28].

Słowa modlitwy wznosiły się śpiewną falą nad wypalone ściany świątyń i ulice, biegły w stronę wzgórze i wyżej, do błękitnego nieba.

Anna wyjęła z torebki i założyła na głowę chustkę, którą kupiła po wyjściu z hotelu. Nie potrafiła jednak zdobyć się na odwagę i dołączyć do rozmodlonego tłumu. Jak przed Ścianą Płaczu, bała się, że ktoś zapyta, kim jest i co tu robi. Minęła ją idąca w stronę ruin młoda dziewczyna w mundurze; miała czarne, podłużnie wykrojone oczy i delikatne rysy. Niewysoka i szczupła, wyglądała jak przebrana dla żartu uczennica liceum. Obrzuciła Annę zaciekawionym spojrzeniem, zatrzymała się.

– Odprawiamy teraz *szacharit*, modlitwę poranną. Nie musi pani być Żydówką, aby pomodlić się z nami – powiedziała przyjaznym tonem po angielsku.

– Potem podziękujemy Bogu za zwycięstwo i złożymy przyrzeczenie, że odbudujemy nasze synagogi. – Pokazała na minaret. – Arabom pozwolimy modlić się w ich świątyni, nie jesteśmy barbarzyńcami. Proszę do nas dołączyć.

Anna skinęła głową na znak wdzięczności. Nie odezwała się, nie chciała ujawnić niemieckiego akcentu.

– Śmiało – powiedziała zachęcająco dziewczyna.

Podeszły obie do tłumu, zatrzymały się za ostatnim rzędem. Były to same kobiety, modliły się ciszej od mężczyzn. Trzej rabini i tłum wiernych wciąż donośnie wołali słowa modlitwy. Dziewczyna stanęła obok Anny i po cichu zaczęła tłumaczyć:

– Strzeżcie się, aby nie dało uwieść się serce wasze, abyście nie odstąpili i nie służyli bogom innym i nie korzyli się przed nimi. Gdyż zapłonie gniew

Wiekuiestego na was i zamknie On niebo, i nie będzie deszczu, ziemia też nie wyda plonu swego; a zginiecie rychło z ziemi pięknej, którą Wiekuiesty daje wam.

Anna zamknęła oczy, wsłuchiwała się w głosy rabinów, chasydów i szept dziewczyny. Była otwarta i gotowa, czekała z czystym umysłem. Widziała przesuające się zdania z rękopisu Elizy; znikał lęk przed tym, co miały ujawnić.

28 Słuchaj, Izraelu! Wiekuiesty jest naszym Bogiem, Wiekuiesty jest jedyny! A będziesz miłował Wiekuiestego, Boga twojego całym sercem twoim i całą duszą twoją, i całą mocą twoją. Niechaj będą słowa te, które przekazuję ci na sercu twoim.

Nauczyłam się budzić bez rozpacz. Przepływam wolno ze snu w jawę, skupiam się na ciele, które swędzi i boli, na skurczonym żołądku, na słabości ramion i nóg. Udaje mi się zatrzymać myśli, nie mam wspomnień, przeszłość ani przyszłość nie istnieją; później, w ciągu dnia przyjdzie na nie czas.

Przepuszczam przez powieki coraz więcej światła, wdycham odór zatechłych sienników, brudu i odchodów. Poruszam się, przekręcam na brzuch, powoli schodzę z pryczy. Na nikogo nie patrzę, nie widzę umierających ani wychodzących z baraku widm. Krok za krokiem, oddech za oddechem, wydostaję się na światło dnia. Nie mam imienia, nazwiska, jestem numerem, doskonale dostosowanym numerem. Zjeść kawałek czarnego chleba, wypić gorącą lurę, znaleźć bezpieczne miejsce, przestać istnieć. Jak najdalej od wzroku esesmanów i kapo.

Siedzę oparta o ścianę baraku, schowana w cieniu przed słońcem. Jestem bardzo słaba, powoli wyciągam wszy z zakamarków brudnego pasiaka, rozgniatam je i wyrzucam. To dobre zajęcie, wymaga skupienia i spokoju. Nie grozi mi już tyfus, jestem odporna. To my zarażamy wszy, skracamy ich życie; umierają, wyrzucając krew z tyfusem. Gdyby nie ludzie, wszy byłyby nieszkodliwymi owadami. My jesteśmy jedynym problemem na tej planecie.

Czerwcowe dni są pogodne, nie wrócę do baraku, zanim na niebie pojawi się księżyc. Rozmawiamy z przyjacielem, zagaduję go o wydarzenia na świecie. Nie dzieje się dobrze, wszędzie dostrzega pełno krwi i trupów. Żartujemy, aby odwrócić zły los, opowiadamy zabawne anegdoty. Mężczyźni skupili się na mordowaniu, nadal jednak w księżycowe noce spotykają się i uprawiają miłość kochankowie, wariaci i prostytutki. Mój przyjaciel zna wiele takich historii. Albo sama je wymyślałam, nie jestem pewna.

Nauczyłam się żyć w swojej głowie, nie widzieć tego, co dookoła. Jak kobieta od Leśmiana, która poszła do gazu po zarażeniu się tyfusem. Widziałam, kiedy odjeżdżała, leżąc bezwładnie na dwukołowym wózku, cicho recytowała jakiś wiersz. Dużo bym dała, aby usłyszeć, który wybrała na ostatnią podróż.

Wiem, że kończy się czas niewidzialnego istnienia. Lada chwila rzuci w moją stronę spojrzenie jakaś esesmanka, wyśle po mnie kapo. Zostanę przebadana przez lekarza, który zdecyduje, czy nadaję się do pracy. Odprawi mnie do baraku dla robotnic albo poczęstuje fenolem; tym razem nie zabraknie dla mnie lekarstwa. Nie wiadomo, co lepsze, wrócić do piekła, które zabija powoli, czy odejść szybko.

Na razie próbuję nabrać sił, posłusznie zjadam porcje dostarczane po

kryjomu przez Magdalene. Wiem już, co oznacza Kanada: to praca pod dachem, przy sortowaniu ubrań pomordowanych Żydów. Dobre traktowanie i lepsze jedzenie.

– Załatwię dla ciebie miejsce – powtarza za każdym razem Magdalena. – Luba mi to obiecała. Musisz tylko być silniejsza.

Chcę odpowiedzieć, że w tym świecie obietnice nic nie znaczą, ale milczę. Nie chcę sprawiać jej przykrości; wygląda tak ślicznie w granatowym kombinezonie i białej chustce.

– Jak jest w Kanadzie? – pytam, aby podtrzymać rozmowę.

– Przez cały dzień przeszukujemy ubrania, całe stopy – mówi zadowolona. – Szukamy pieniędzy, złota i kosztowności. To nie jest ciężka praca. Zdziwiłabyś się, jakie kreacje kobiety zabierają ze sobą. Futra, jedwabie, koronki. I jakie marki, z Paryża, Wiednia, Brukseli, Amsterdamu.

– Z tak daleka ich przywożą?

– Z całej Europy – potakuje Magdalena i dodaje ze smutkiem: – Nie widzimy ich, tylko ubrania. Całe stopy ubrań.

Jeszcze jeden dzień pada deszcz. Siedzę pod okapem dachu, patrzę na strugi wody lecące z szarego nieba i przechodzące kolumny więźniarek. Wyławiam wzrokiem kobiety, które nie wrócą do obozu. Zakazuję sobie tego zajęcia, ale pokusa jest zbyt silna. Długo patrzyłam na uprawiających hazard, a obstawianie śmierci jest ciekawsze od kości czy numerków. Zapamiętuję twarze, szczegóły ubioru, sposób poruszania się moich typów. W kasynie to zabroniona praktyka, nie wolno zapamiętywać i liczyć kart; tu nikt nie zwraca uwagi na siedzący pod ścianą szkielet. Wieczorami czuję podniecenie na widok zbliżających się kolumn, uważnie sprawdzam szeregi ślaniających się z wyczerpania kobiet. Trafiam w większości przypadków, mogłabym zarobić fortunę. Esesmani powinni uruchomić taką grę, dostarczyłabym im nowej rozrywki; nie nudziliby się, zabijając. Zostałabym szefową obozowego kasyna śmierci.

Po przejściu ostatniej kolumny podnoszę się i ruszam do baraku. Zaraz przyjedzie jedzenie, może tym razem uda się Karlowi dostać przydział do naszego rewiru. Skręcam za ścianę baraku i zatrzymuję się przestraszona. Przed drzwiami stoją esesman i Luba. Ukrainka dostrzegła mnie, pokazuje palcem. Serce się zatrzymuje, domyślam się, że zazdrosna Luba postanowiła się mnie pozbyć.

Podchodzę powoli. Esesman ma jakieś trzydzieści lat, okrągłą twarz i wypukłe oczy pinczera. Kwadratowa „gwiazdka” na lewej patce kołnierza oznacza, że to SS-Unterscharführer, podoficer. Przygląda mi się uważnie.

– Za słaba jest – mówi wreszcie.

– Twarda sztuka, da radę – odpowiada Luba. – I dobrze zna niemiecki.

Czuję uderzenia pulsu w skroniach, serce zaczęło pracować. Magdalena mówiła prawdę, Ukrainka załatwia mi pracę w Kanadzie. Z odwagą patrzę w oczy

esesmana, mówię z uśmiechem:

– Zawsze byłam szczupłą, mężczyznom to się podobało.

Kiwa głową bez przekonania.

– Niech będzie – decyduje w końcu i dodaje tonem ostrzeżenia. – Jak nie dasz rady, to cię odeślę.

Odwraca się, odchodzi między barakami. Patrząc na Lubę, ona mierzy mnie niechętnym wzrokiem.

– Dziękuję – mówię po polsku.

– *Na szczo czekajesz? Ruszaj!*[29] – rzuca opryskliwe i popycha mnie za oddalającym się esesmanem.

Idziemy w stronę bramy w ogrodzeniu. Spomiędzy baraków wyjeżdża konna lora z kotłem, zbliża się. Na lorze stoi Karl, dostrzega mnie, patrzy przestraszony. Samotna więźniarka eskortowana przez kapo oznacza wyrok śmierci.

– *Ne howory, bo werneszsja z widky pryjszła*[30] – ostrzega Luba.

Milczę, staram się oczami przekazać Karlowi dobrą wiadomość, uśmiecham się do niego. Nie rozumie, nadal patrzy z lękiem; odebrał mój uśmiech jak pożegnanie skazanej. Lora odjeżdża, skręca za baraki. Mijamy bramę, idziemy przez obóz dla Żydówek. Jest tu dużo więcej muzułmanek, pod barakami leżą zwłoki. Nikt ich nie sprząta?

Następna brama. Wąska, wybetonowana ścieżka między wysokimi ogrodzeniami. Wystarczy skrócić, przejść kilka kroków i przycisnąć się całym ciałem do drutów. Ważne, by nie dotykać drutów samymi rękami, wówczas smażenie trwa i boli dłużej; widziałam takie przypadki. Ciekawa jestem, czy wstrząs jest tak wielki, że od razu odbiera świadomość. Może wysokie napięcie katapultuje duszę jak pocisk, prosto do raju, w kłębach dymu z palącego się ciała, jak na starych obrazach ze świętymi wznoszącymi się do nieba. Ogarnia mnie tęsknota za wolnością, za każdą cenę, ciało nie jest mi potrzebne.

– *Idy, na szczo czekajesz?*[31]

Ostry głos Ukrainki wyrywa z zamyślenia. Nie zdaję sobie sprawy, że zatrzymałam się, patrząc na druty. Ruszamy dalej, wchodzimy z Lubą do długiego baraku z normalnymi oknami. Na środku piętrzy się góra ubrań, dookoła pracuje kilkadziesiąt kobiet w granatowych kombinezonach, białych chustach i rękawiczkach. Najbliższe nieruchomieją, patrzą na mnie taksującym wzrokiem. Wyglądają, jakby nie zaznały głodu, bicia ani strachu. Ja wydaję się zbyt wynędzniała, aby dorównać im w pracy; w każdym komandzie istnieje zbiorowa odpowiedzialność. Gdzieś z boku przybiega Magdalena, dopada mnie uśmiechnięta, obejmuje i całuje w policzki.

– Jesteś!

Ukrainka reaguje niechęcią na nasze powitanie.

– Bierz się do roboty – rzuca przez zęby, odwraca się i wychodzi z baraku.

Magdalena bierze mnie za rękę, prowadzi do wysokiej kobiety z opaską funkcyjnej na ramieniu. Ma kościstą twarz poznaczoną bliznami po ospie, głęboko osadzone oczy, przygląda mi się krytycznie.

– To moja przyjaciółka, dzięki niej przeżyłam – mówi Magdalena po francusku.

Funkcyjna kiwa głową, chwyta i obmacuje moje ramię.

– Słaba jesteś – stwierdza też po francusku. – Nie dasz rady.

Magdalena jest przestraszona.

– Da radę! – woła błagalnie. – Proszę, nie odsyłaj jej!

– Kto mówi o odsyłaniu – odpowiada spokojnie funkcyjna. – Zajmij się nią, nakarm porządnie. Niech się nie pcha pod oczy Unterscharführerowi.

– Dziękuję, Isabelle! – składa ręce uradowana Magdalena. – Nie bój się, wszystko będzie jak trzeba!

Ciągnie mnie, mijamy górę ubrań i pracujące kobiety. Mają w rękach małe nożyki, sprawnie rozpruwają materiał.

– Isabelle jest z Paryża, to porządna kobieta, tylko tak wygląda – mówi Magdalena.

Dwie kobiety ruszają za nami, dochodzimy do końca sali, zostaję posadzona za stosem walizek i toreb podróжных, na podartej kołdrze. Kobiety wyciągają ze schowka w ścianie zawiniątko, stawiają na gazecie chleb, kiełbasę i słoik z kiszoną kapustą. Do kubka wlewają gorący napój, który pachnie jak herbata. Mam mokre od łez policzki, nie mogę powstrzymać dygotu rąk i nóg, szcękam zębami i oddycham spazmatycznie.

– Spokojnie, skarbie – mówi po polsku starsza z kobiet. – Jedz i odpoczywaj. I nie ruszaj się stąd.

– Dziękuję – mamroczę, jak najwyraźniej potrafię.

– Będzie ci tu dobrze – dodaje młodsza. – Unterscharführer Strobe zabija tylko za próbę kradzieży.

Kobiety odchodzą. Magdalena przykuca, zagląda mi w oczy.

– Zjedz i spróbuj pospać. Obudzę cię, gdyby coś się działo.

– Coś? – pytam nieufnie.

– Czasem przychodzą z komendantury, kontrolują nas. Chodzi przecież o wielkie bogactwa.

Patrzę pytająco, nie rozumiem, o czym ona mówi. Magdalena przewraca oczami z ubolewaniem.

– Nie pamiętasz, miałaś gorączkę. – Pokazuje na górę ubrań. – Nie uwierzysz, ile znajdujemy biżuterii i złota. I dolarów. Wszystko jedzie do Rzeszy. – Rozgląda się i ścisza głos. – Poza tym, co Strobe podzieli między swoich kumpli. Komendant obozu też dostaje lwią część łupu. Rozumiesz?

Przytakuję. Magdalena całuje mnie w policzek.

– Jesteś moją siostrą, kocham cię.

– Idź już – proszę.

Śmieje się, wstaje i odchodzi. Odwraca się przed górą ubrań, macha do mnie ręką, znika.

Jestem sama w nierealnym świecie, zachowuję czujność, rozglądam się i czekam. Nieraz przenosiłam się w bezpieczne miejsca, z daleka od obozu, to najgorszy rodzaj snów, przebudzenia po nich są straszne.

* * *

Dzień zaczyna się o wpół do piątej. Wstajemy, rozespane wychodzimy z baraku, jest nas czterdzieści siedem. Odprowadzają nas zawistne spojrzenia więźniarek, które pójdą do pracy w polu. Kiedy wrócimy wieczorem, przyniesiemy im jedzenie i ubrania, to nasze odkupienie za lepszy los w piekle. Dzięki nam chodzą też regularnie do łaźni, ich pasiaki oddawane są do odwszenia. To żądanie komendantury, która nie życzy sobie tyfusu w Kanadzie.

Poza nami do Kanady należą komanda sortujące bagaże na rampie kolejowej. I następne, zajmujące się ubraniami ludzi, którzy poszli do gazu. My jesteśmy najlepszą, uprzywilejowaną częścią Kanady. Pracujemy pod dachem, podlegamy jednemu chyba esesmanowi w obozie, który nie znajduje przyjemności w biciu i mordowaniu.

W baraku przebieramy się, zrzucamy pasiaki i wkładamy kombinezony. SS-Unterscharführer Strobe przechadza się między nami, pali papierosy, zagaduje kobiety mówiące po niemiecku. Niektóre z nich celowo przedłużają ubieranie kombinezonów, flirtują ze Strobem. Wiadomo jednak, że Unterscharführer chce seksu, tylko gdy jest pijany, a wtedy prowadzi do swojego kantorka Isabelle. Puszczą na gramofonie płyty znalezione w bagażach na rampie. Przynoszą je Strobemu mężczyźni z naszego komanda, w zamian dostają od niego czasem coś do jedzenia. Spoza drzwi kantorka rozlegają się piosenki w wielu językach. Francuskie, niemieckie, holenderskie, duńskie, włoskie, węgierskie, greckie zaklęcia miłości. Czasem w jidysz, ale Strobe rozpoznaje zakazany język, wyłącza wtedy i tłucze płyty. Przerywamy pracę, słuchamy w milczeniu przesłodzonych głosów mężczyzn i kobiet z innego świata. Są idiotyczne, nieprawdziwe, wyciskają łzy z oczu, odbierają odwagę. Kobiety rozpoznają piosenki w swoich językach, próbują śpiewać po cichu, płaczą. Gramofon wreszcie milknie, wychodzi Isabelle, długo się myje pod prysznicem i do końca dnia z żadną z nas nie zamienia słowa. Nie należy ją o nic zagadywać, bo wybuchnie gniewem.

Złoto i kosztowności z Kanady zapewnią po wojnie dobry byt rodzinom esesmanów. Pomagamy Strobemu w ich ukrywaniu, wiąże nas cichy, dobrze działający pakt. Komanda pracujące na rampie i przy odbieraniu ubrań nie mają takiego szczęścia. To mężczyźni Żydzi, są likwidowani co trzy miesiące.

Po przebraniu się w kombinezony spokojnie zjadamy śniadanie; nigdy nie brakuje chleba, kiełbas, sera, marmolady, cebuli. Czasem dostajemy masło, jajka i puszki z owocami. Czekamy na przybycie pierwszego transportu. Około szóstej rozlega się daleki gwizd lokomotywy i turkot kół na szynach. Mamy jeszcze trochę czasu; od wyładowania z wagonów, selekcji i odprowadzenia do komór gazowych mija godzina. Potem następną, zanim ubrania zostaną załadowane. Wreszcie ciężarówki podjeżdżają pod nasz barak i zrzucają na ziemię stosy ubrań.

Podnosimy się, wciąż śpiące i rozleniwione jedzeniem. Żartujemy, przekomarzamy się z więźniami, którzy przywieźli transport. Zostało im niewiele życia, więc staramy się być dla nich miłe. Ciężarówki odjeżdżają, wnosimy ubrania do odwszalni, wieszamy na hakach. Wszy zostaną zabite cyklonem B, do Rzeszy pojedzie czysta odzież, nosić ją będą dzieci, kobiety i mężczyźni, szczęśliwe rodziny zwycięskiego narodu. Czekając na koniec odwszenia, patrzymy przez okna na wznoszący się do nieba czarny dym. Ostatnia droga tych, którzy godzinę temu mieli na sobie te płaszcze, sukienki, bluzki, swetry, spodnie, marynarki, buty.

Zaczyna się praca. Trzeba dokładnie obmacać każdy centymetr ubrania, kiedy wyczuje się najmniejsze zgrubienie, należy rozpruć je małym nożykiem. Najczęściej niczego się nie znajduje pomiędzy warstwami materiału, ale od czasu do czasu w starannie przszytym schowku pojawiają się błyszczące monety i kosztowności. Na osobnej kupce leżą buty; każdy obcas zostaje podważony, to ulubione miejsce przechowywania skarbów. Strobe chodzi za naszymi plecami, patrzy uważnie na ręce, czasem zagląda w oczy. Podobno domyśla się, gdy któraś z kobiet ukradła brylant lub złotą monetę. Wówczas każe rozebrać się podejrzaną, przeszukuje jej ubranie, zagląda do otworów w ciele. Jeśli jego intuicja się sprawdzi, wyciąga pistolet z kabury i strzela winnej przestępstwa w tył głowy. Zajęłam miejsce kobiety, która tak zginęła.

Wyobrażam sobie ciemne pokoje, twarze kobiet i mężczyzn wybierających garderobę, w której ukryta zostanie nadzieja na przetrwanie. Kobięce ręce przecinają materiał nożyczkami, szybko przeciągają igły z nićmi. Męskie dłonie przynoszą z sejfów i skrytek złoto, biżuterię, zwitki banknotów. Nie wyobrażają sobie, że ktoś może kazać im rozebrać się do naga i odebrać odzież. Takie zachowanie nie zostało przekazane w mądrościach wędrującego od wieków narodu.

Przez pierwsze dni dotykanie ubrań sprawia mi trudność. Mam wrażenie, że suknie, spodnie, bluzki nadal są żywe, czekają na powrót właścicieli. Pomimo że leżą anonimowe na stosie, zachowują czujność, gotowe ucieszyć się na dotknięcie znajomych rąk. Cudze palce gwałcą je i obrażają; jeśli nie będę ostrożna, nagle wciągną mnie w środek góry ubrań i uduszą.

Kobiety z naszego komanda dostają listy i paczki od bliskich, piszą do nich. Ja nie mam do kogo; nie pamiętam adresu rodziców matki, nie wiem, co dzieje się

z ojcem. Nie mogę też napisać do Toma, bo Anglia jest wrogiem Rzeszy. Wystarczą mi listy, które znajduję w ubraniach, w wielu językach: po polsku, niemiecku, francusku, holendersku, duńsku, węgiersku, ale głównie w jidysz. Nie ma listów po angielsku, to znaczy, że Niemcy nie zajęli jeszcze Anglii. W czasie przerw, kiedy czekamy na następny transport, na głos czytam francuskie i niemieckie listy Magdalenie.

Pewnego dnia z kieszeni błękitnej sukienki z fioletowymi liliami wyjmuję list męża do żony. On ma na imię August, jest francuskim żołnierzem, jego oddział został wysłany do Afryki. Mąż walczył z Anglikami, był internowany w obozie jenieckim. Przed wojną mieszkali w Paryżu, w dzielnicy Montmartre; oboje są artystami. Ona to Muriel, gra w orkiestrze symfonicznej na wiolonczeli. August maluje obrazy, ale zarabia na życie urządzaniem wewnątrz zamożnych mieszczan. Mają troje dzieci, starsza dwójka chodzi do szkoły podstawowej. Z listu wynika, że August niepokoi się o rodzinę, ponieważ dotarła do niego wiadomość, że Niemcy nie lubią francuskich Żydów, a Muriel jest żydowskiego pochodzenia. August zarzuca żonie, że lekceważy zagrożenie, nie próbując wyjechać na prowincję, i nadal przebywając w towarzystwie żydowskich artystów. Domaga się, aby przynajmniej wywiozła dzieci na wieś, do jego rodziców.

– Dopiero się kretyn obudził? – pytam retorycznie, czytając list Magdalenie.

Dalej August wylicza, co żona ma zrobić z jego obrazami. I do którego z klientów musi się zwrócić po należne pieniądze. Píše też, aby zostawiła w Paryżu wiolonczelę. „Malować i grać będziemy po wojnie”.

Francuska cenzura nie przechwyciła listu, nie znalazłabym go w sukience, w której przyjechała Muriel. Nie próbowała się ukryć, jak domagał się August, aresztowano ją i wysłano w ostatnią podróż. Wyobrażam sobie Muriel idącą w stronę krematoriów, przyciskającą do siebie przerażone dzieci, dwie godziny temu. Widzę, jak zdejmuje błękitną sukienkę, składa ją starannie. Ma nadzieję, że nikt nie wyjmie z kieszeni listu od Augusta.

Znajduję następne listy z Francji. Układałam z nich historię jednej rodziny. Wieczorami, w baraku opowiadam Magdalenie. W mojej wersji Muriel posłuchała męża, wyjechała do Marsylii, próbuje dostać się na statek, który zawiezie ją i dzieci do Maroka. Tak się stało w przypadku innego listu, innej rodziny, aresztowanej w Marsylii przez francuskich żandarmów i wydanej Niemcom. Moja Muriel jest bystra, podejmuje mądre decyzje, przesyfia się z szefem żandarmów, uwalnia siebie i dzieci. Płyną statkiem, zbliżają się do wybrzeża Afryki. Pałace słońce, skupiska białych domów, palmy i czerwona ziemia. Zamieszkają na przedmieściach Casablanki, niedaleko domu, który kupiliśmy z Karlem. Tak się spletają ludzkie losy.

Dni w Kanadzie mijają szybko. Nabrałam sił, dostałam okres, znowu jestem kobietą. Isabelle dała mi watę i ręcznik, który podarłam i owinęłam się w kroku.

Pracuję bez wytchnienia, dobrze służę Rzeszy; nie potrafię tylko wziąć do ręki ubrań dzieci. Płaczą i żalą się cichymi głosami, nie rozumieją, co je spotyka, za co zostały ukarane. Nie nabroiliy przecież. Proszą, abym je przytuliła i pocieszyła, chcą się bawić.

Magdalena wyznaje, że też miała z tym problem, przez pierwsze tygodnie. Wyręcza mnie, zajmuje się małymi ubrankami. Dziwię się, skąd jej odporność; to przecież ja byłam tą silniejszą, odpowiedzialną za nas obie.

Co parę nocy zjawia się pijana Luba i Magdalena musi odpracować nasze wybawienie. Prosi potem Isabelle o dodatkową łaźnię. Idę z nią, widzę, jak długo szoruje ciało szczotką; czasem ma siniaki na udach i ramionach. Nigdy o tym nie rozmawiamy.

Nie próbuję się skontaktować z Karlem, nie widuję go. Rozwozi swoje kotły do zwykłych baraków, my dostajemy żywność, którą załatwia Unterscharführer Strobe. Mogłabym poprosić Lubę o przekazanie Karlowi wiadomości, byłoby to jednak niepotrzebne ryzyko.

Funkcyjna zauważyła moją niechęć do dziecięcych ubrań, nie reaguje. Pewnego dnia jednak ciężarówka przywozi same małe ubranka; usłyszałyśmy od więźniów, że Niemcy zlikwidowali żydowski sierociniec. Stoję bez ruchu i patrzę na wnoszone do baraku sukieneczki, spodenki, bluzki, sweterki. Funkcyjna podchodzi do mnie i oświadcza spokojnym głosem, tym razem po niemiecku:

– Do roboty albo wynoś się.

– Chodź – mówi jak zawsze czujna Magdalena.

Wchodzimy do baraku, bierzemy się do pracy. Dzieci nie przywozły zaszytych skarbów, skąd by je wzięły, nie miały przecież rodziców. Pomimo to musimy przeszukać wszystkie ubranka, rozpruć podejrzone zgrubienia, podważyć obcasy bucików; pod czujnym spojrzeniem Isabelle i Strobego. Nie zamieniamy ani słowa, czterdzieści siedem kobiet pracuje w zawziętym milczeniu, nie patrzymy na siebie.

Czuję się chora tego dnia, nie jestem w stanie zjeść kolacji. Nie mam ochoty na snucie opowieści Magdalenie, kładę się na pryczy i nakrywam głowę kocem. We śnie wraca kłótnia z Karlem.

Zjechaliśmy jesienią do Nicei, do wynajętej willi na zboczach góry, z widokiem na morze. Jemy śniadanie na tarasie, ja dostrzegam maszerujące ulicą dzieci. Jest ich ponad dwadzieścioro, mają trzy, cztery lata, prowadzą je młode wychowawczynie.

– Chciałabym mieć dziewczynkę i chłopca – mówię nagle, bez zastanowienia. – Co ty na to?

Karl odstawia kubek z kawą, patrzy na mnie zaskoczony.

– Zwariowałaś? Co ci przyszło do głowy?

– Nie chciałbyś mieć potomstwa? – pytam z uśmiechem, choć wiem, że bez

sensu poruszyłam ten temat.

Karl kręci głową, odprowadza wzrokiem oddalające się dzieci.

– Gdzie byś je wychowała? W hotelach? Jak chciałybyś pracować?

– Obiecywałeś, że kiedyś się wycofamy, kupimy dom. Nie chcę na starość siedzieć w pustym domu.

– Jesteś egoistką – mówi Karl.

– Ja? – z wrażenia odbiera mi głos. – Chciałabym zostać matką, jak każda kobieta.

– To egoizm – upiera się Karl. – Obudź się, rozejrzyj, na jakim świecie żyjesz. Twojego syna wyślą na front, będzie zdychał z kulą w brzuchu albo zagazowany iperytem. Córkę zgwałcą jacyś żołdacy.

– Jesteś chory! – wykrzykuję z gniewem. – Ludzie normalnie żyją, nie będzie żadnej wojny! Chodzi tylko o twoją zasraną wygodę!

Karl też zaczyna krzyczeć.

– Nie jesteśmy małżeństwem! Idź i rób sobie bachory, z kim chcesz! Nie zatrzymuję cię!

Rozbijam kubek o ścianę domu, tłukę talerze, wybiegam z domu. Do późna w nocy chodzę po ulicach Nicei, zaczepiają mnie marynarze i alfonsi. We śnie wsiadam na statek i odpływam daleko, do Anglii. Przybijamy do portu; przyjechał po mnie Tom, ma siedemdziesiąt lat, są z nim nasze dzieci i wnuki. Mój zięć wrócił z obozu, jest niewidomy. Córka oszalała podczas bombardowań, zamknęli ją w zakładzie dla umysłowo chorych. Budzę się zrana z potem. Całe szczęście, że nie mam dzieci.

Przyzwyczajam się do zamordowanych ubrań. Mechanicznie obmacuję i rozpruwam materiały, znajduję złote monety, kosztowności, brylanty, dolary. Praca często trwa do późna w nocy, przy ostrym świetle lamp i wielkiego reflektora ustawionego przed barakiem. Pociągi jeden po drugim przywożą żywy ładunek, z wielu państw. Przez cały dzień, co kilka godzin dymią cztery kominy i nadjeżdżają załadowane ciężarówki. W nocy krematoria wyrzucają do nieba ogień i stopy iskier. Ludzkie ciało, nawet wychudzone w gettach, zawiera dużo tłuszczu. Całopalna ofiara przyjmowana jest łaskawie przez niewidzialnych bogów wojny.

Większość ubrań jest brudnych, poplamionych odchodami, należały do ludzi, głównie węgierskich Żydów, długo wiezionych bydłęcymi wagonami. Po naszym szabrowaniu oddane zostaną do pralni. Ale zdarza się odzież w dobrym stanie, czysta; z Francji, Belgii, Norwegii, Holandii do gazu jedzie się osobowymi wagonami.

Jesteśmy częścią doskonałej maszynierii; jasne reguły, dokładność, punktualność, precyzja. Małe pęknięcia wyznacza ludzka natura, na przykład marzenie Strobego i jego kolegów o bezpiecznym bycie rodziny po wojnie. Wkładamy kosztowności do jego małej walizeczki, pilnujemy, żeby niepowołane

oczy nie zobaczyły, kiedy chowa walizeczkę w swoim kantorku. Tworzymy zgrany zespół, czterdzieści osiem niewolnic i funkcjonariusz okradający swojego Führera z łupów. Aż do pewnego dnia.

Przez tydzień pracujemy pod nadzorem esesmana, który zastępuje nieobecnego Stobego; nasz nadzorca wyjechał na urlop do rodziny w Essen. Wybrał na zastępstwo pięćdziesięcioletniego podoficera, który jest zbyt leniwy, aby zdobyć się na okrucieństwo. Pomimo to musimy uważać, bo zwykła służbistość też bywa przyczyną zguby. Transporty przyjeżdżają jak szalone, Niemcy chyba postanowili zabić wszystkich niearyjskich ludzi na ziemi. Pracujemy od świtu do nocy, nie mamy dość czasu na sen, chodzimy przemęczone. Łatwo o błąd.

Nadchodzi sobota, czerwcowe słońce praży przez cały dzień, wieczorem wschodzi księżyc w pełni, jest czerwony. Odjeżdża kolejna ciężarówka, wnosimy do odwszalni przywiezione ubrania. Są w dobrym stanie, transport przyjechał z Zachodu, przywiózł zamożnych żydowskich mieszczan, łupy będą bogate. Zatrzymuję się przed drzwiami, pokazuję księżyc Magdalenie.

– Jesteśmy zaprzyjaźnieni od wielu lat – wyjaśniam. – Kiedy zjawia się w takim stanie, powinnam uważać.

Magdalena jest zdziwiona i rozbawiona.

– Księżyc specjalnie dla ciebie jest dziś czerwony?

Potakuję z powagą.

– Wszyscy to widzą, ale tylko ja rozumiem – upieram się.

– Niech ci będzie – śmieje się Magdalena. – Co mówi?

– Nie wiem – rozkładałam ręce. – Nie zareagowałam kiedyś na jego ostrzeżenie i o mało nie zginęłam.

Pracujemy do północy. Nareszcie koniec, padamy zmęczone na sienniki pod ścianami, czekamy na kolację. Na dworze rozlegają się ciężkie kroki, do baraku wchodzi Unterscharführer Strobe. Jest pijany, potyka się i zatacza, przeklina pod nosem, ciągnie do kantorka Isabelle, zmusza ją do picia wódki. Rozlega się muzyka z gramofonu, potem gardłowy śpiew. Znam tę piosenkę, mimo woli nucę cicho.

Vor der Kaserne,

Vor dem großen Tor,

Stand eine Laterne

Und steht sie noch davor.

So woll'n wir uns da wiederseh'n,

Bei der Laterne woll'n wir steh'n,

Wie einst, Lili Marleen[32].

Stoję niedaleko, udaję, że jestem skupiona na pracy, słyszę Stobego, który przekrzykuje piosenkę. Przeklina, złorzeczy na przełożonych. Prosił, aby Isabelle

została po wymianie komanda na nowe, ale komendant odmówił. Zasadą jest, że po kilku miesiącach kobiety z Kanady zostają odesłane do innych prac. Wszystkie kobiety. Zbyt wiele widziałyśmy, nasze istnienie zagraża bezpieczeństwu esesmanów, którzy okradają Rzeszę. Mamy szczęście, że nie pójdziemy natychmiast do gazu. Zginiemy powoli, kopiąc rowy. Zapadam w odrętwienie, jest mi zimno. Wrócę do piekła, nie przeżyję. Pijany bełkot Strobego zamienia się w namiętny szept, potem następuje cisza.

Odchodzę, nie mam siły opowiedzieć Magdalenie, co usłyszałam. Niech jeszcze jeden dzień żyje złudzeniem. Każdy dzień tutaj to wieczność, każda godzina bezpieczeństwa buduje złoty most do nieba.

Kładę się pod ścianą na stosie rozprutych ubrań, otępiłymi oczami patrzę na wychodzącą z kantorka Isabelle. Poprawia włosy i ubranie, ma zaciętą, nieobecną twarz. Próbuję dostrzec w jej wzroku cień nadziei, może pijane pożądanie Strobego zdziała cud, zostawią nas w Kanadzie. Isabelle wie, że usłyszałam wyrok. Odwraca oczy i przechodzi.

Następnego dnia pod nasz barak zajeżdżają dwa samochody. Z pierwszego wysiada komendant Auschwitz, SS-Sturmbannführer Richard Baer, z drugiego jego świta, oficerowie esesmani. Z niepokojem próbujemy wyczytać nasz los z twarzy Baera. Jestem zdziwiona, że jest tak młody; ma około trzydziestu lat, z pewnością nie bez powodu został postawiony tak wysoko. Stajemy szybko w szeregu. Strobe wyciąga rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, składa meldunek. Baer przygląda się nam, jego oczy są przenikliwe, inteligentne.

– Czy one pamiętają, że ta praca objęta jest najwyższą tajemnicą? – pyta z naciskiem.

– Tak jest, Herr Sturmbannführer! – potwierdza pewnym tonem Strobe.

Baerowi to nie wystarczy. Podchodzi i powoli przechadza się przed szeregiem kobiet, tam i z powrotem, zagląda każdej z nas w oczy. Jest przekonany, że zadając śmierć setkom tysięcy, posiadał dar przenikania ludzkich dusz. Komu innemu Bóg powierzyłby takie zadanie?

Nie ośmielamy się patrzeć na niego, lecz nasze pochylone głowy i pokorne ciała przysięgają, że nigdy i nikomu nie wspomnimy o bogactwie, które przeszło przez nasze ręce. Nawet po wielkim zwycięstwie Rzeszy zachowamy w tajemnicy nasz wspólny wstyd. W końcu Baer kiwa głową zadowolony, nasza przysięga mu wystarczy. Wygrałyśmy prawo do pracy w piekle, do śmierci powolnej.

Baer i esesmani wychodzą z baraku. Samochody odjeżdżają, oddala się warkot silników, zapada cisza. Strobe wraca do kantorka, nie patrzy na Isabelle.

Ona stoi biała, nieruchoma. Wreszcie bierze głęboki wdech, opanowuje się, pokazuje na stos ubrań.

– Robimy swoje – mówi cichym głosem.

Wracamy do pracy. Słyszę wystraszone szepty: jesteśmy potrzebne Rzeszy,

dostarczamy ogromnych bogactw, może nas oszczędzą. Żadna z nas w to nie wierzy.

Nic się nie dzieje. Późno w nocy, po ostatnim transporcie, przebieramy się w pasiaki, wracamy do baraku. Nie mogę zasnąć. Magdalena kręci się, wzdycha, potem zaczyna płakać. Nie jest już silną, samodzielną kobietą, znowu zmienia się w przestraszoną dziewczynkę.

– Co z nami będzie? Co z nami będzie? – powtarza jak automat.

– Nic, śpij – szepczę.

Otoczam ją ramieniem i przytulam. Ucisza się powoli, zasypia.

Przed świtem budzą nas jak zawsze wrzaski funkcyjnych. Wychodzimy przed barak, stajemy w osobnej grupie. Nadal jesteśmy komandem z Kanady, czekamy na kapo, która zaprowadzi nas do pracy. Pozostałe więźniarki jedzą i przyglądają się nam w milczeniu, wiedzą już, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru; złe wiadomości szybko rozchodzą się po obozie. Esesmanki nie zwracają na nas uwagi.

Pomiędzy barakami wstaje ogromne, blade słońce, patrzy na nas zza drutów okiem olbrzyma. Słońce nigdy nie było mi przyjazne, jestem istotą stworzoną do życia w nocy. Kilka chorych kobiet zostaje zabranych do szpitala, funkcyjne wynoszą z baraku i wywożą zwłoki. Normalny dzień w Konzentrationslager Birkenau.

Magdalena stoi obok mnie, jest bardzo blada.

– Strobe przyjdzie po nas, prawda? – pyta kilka razy. – Pójdziemy do pracy jak zawsze?

Nie odpowiadam, patrzę na Isabelle. Nasza funkcyjna usiadła pod ścianą i zwiesiła głowę. Kobiety z komanda kręcą się wystraszone, patrzą w stronę, gdzie znajdują się magazyny Kanady, wymieniają ciche uwagi.

Gwizdki i krzyki kapo oznaczają koniec jedzenia. Formuje się kolumna, która wymaszeruje do pracy poza obozem, funkcyjne szybko liczą więźniarki. Przychodzą trzej esesmani, stanowić będą eskortę. Jeden z nich mówi coś do esesmanki, pokazuje w naszą stronę. Esesmanka kiwa głową, przywołuje Niemkę kapo; więźniarki przezywają ją *Blutrünstige Sau*, Krwawa Locha.

Krwawa Locha podchodzi do nas, chwyta w obie ręce długi drąg, wykrzywia usta w grymasie zadowolenia i wrzeszczy.

– Na co czekacie, kurwy? Dołączyć!

Isabelle podnosi się, staje naprzeciw niej.

– Jesteśmy komando z Kanady, czekamy na naszą kapo – mówi spokojnie.

– Gówno, nie czekacie! – krzyczy *Blutrünstige Sau*. – Skończyło się, świnię!

Uderza końcem drąga w twarz Isabelle, rozcina jej usta. Isabelle przewraca się, Krwawa Locha kopie ją w brzuch.

– Teraz zrozumiałaś? – wrzeszczy i zwraca się do nas. – Dołączyć do

kolumny, kurwy!

Podchodzę do Isabelle, Magdalena idzie za mną, pomagamy jej stanąć na nogi. Chwieje się, wyciera twarz z krwi, wypłuka dwa zęby. Patrzy na Krwawą Lochę, która pogania uderzeniami drąga kobiety z naszego komanda.

– Nie żyjesz, suko – mówi cicho.

Odsuwa moją rękę, prostuje się, idzie w stronę kolumny. Ruszamy z Magdaleną za Isabelle. Nie czuję zdrętwiałych nóg i rąk, idę, jakbym była kukłą uruchamianą obcą wolą. Nie przetrwam pracy w polu. Pięć tygodni w Kanadzie to za mało, nie nabrałam jeszcze sił.

– Powiedz im, że jesteśmy potrzebne przy ubraniach – szepcze szybko Magdalena. – Powiedz im. Trzeba umieć szukać złota, brylantów! Kto to zrobi, jak nie my? Powiedz im!

Mam ochotę się roześmiać.

– Esesmanom? – pytam cicho.

– Tak, esesmanom – potwierdza Magdalena i patrzy na mnie z nadzieją. – Powiesz im? Proszę.

– Sama powiedz – odpowiadam, stając w ostatnim rzędzie kolumny.

– Dobrze.

Magdalena kiwa posłusznie głową, rusza w stronę Niemców. Wybiegam za nią, chwytam za ramię, wciągam z powrotem do kolumny.

– Chcesz zginać, idiotko? – syczę z bezsilną wściekłością. – Lepiej idź na druty!

Patrzy na mnie wylękniona, posłusznie staje obok.

– To co zrobimy?

– Nic – mówię z naciskiem. – Módl się, żeby Luba coś wymyśliła.

Słońce jest coraz wyżej, wypala oczy. Funkcyjne kończą liczenie więźniarek, meldują esesmanom. Pada ostry rozkaz, kolumna rusza w stronę bramy. Rozlegają się dźwięki wojskowego marsza, zachęci nas do radosnej pracy. Z bocznej alejki wychodzi Luba, śpieszy się, podchodzi do kolumny, szuka wzrokiem. Powstrzymuję Magdalenę, która chce krzyknąć do Ukrainki. Luba jest tylko kapo, nie zmieni decyzji esesmanów; może coś wymyśli, ale długo to potrwa. Nie wiem, czy uda się nam przetrwać.

Brama jest coraz bliżej, widzimy muzyków, w słońcu błyszczy blacha instrumentów. Patrzą na swoje stopy w wysokich, miękkich butach, które tydzień wcześniej przyjechały transportem z Belgii. Nie będę miała poranionych nóg, to jedyne, co zostało z Kanady. Staram się nie myśleć, nic nie czuć, kątem oka widzę zrozpaczoną twarz Magdaleny. Zaczynamy wszystko od początku, muszę na nią uważać.

Luba równa się z ostatnim rzędem, wzrokiem daje do zrozumienia Magdalenie, że jej nie opuści. Rozkaz zatrzymuje kolumnę, orkiestra nadal gra.

Z naprzeciwka, przez bramę przejeżdża samochód. Zatrzymuje się, wysiadają dwaj oficerowie SS i cywil w płaszczu i kapeluszu. Esesmani z naszej eskorty wyprężają się, salutują wyciągniętymi rękami. Oficerowie i cywil odpowiadają niedbałym ruchem, zbliżają się do kolumny.

A jednak, przyjechali po nas. Baer nas oszukał, komando, które brało udział w okradaniu Rzeszy nie może zostać przy życiu, należy wyeliminować zgniłe jabłko.

Ciekawe, w jaki sposób nas uśmiercą, powieszą, rozstrzelają czy zagazują. Zawsze przykładają wagę do rodzaju egzekucji, w zależności od przewinienia, działają przecież w ramach prawa. Jest jeszcze bunkier głodowy, najgorszy wymiar kary. Rozerwanie przez psy zdarza się spontanicznie, nie mieści się w przepisach, podobnie jak zabicie pałką. Stawiam na komorę gazową.

Mijają nas następne komanda, więźniarki przyglądają się z zaciekawieniem. Wyróżnienie w obozie oznacza wyrok śmierci, patrząc na skazańców mocniej odczuwa się życie. Dwaj oficerowie SS i cywil przechadzają się wzdłuż naszej kolumny, przyglądają się kobietom. Powstrzymuję się, aby zawołać, że tu jesteśmy, skrócić oczekiwanie. Patrzę na podchodzących oficerów. Pierwszy jest wysoki i dość przystojny; nie podobają mi się tylko jego małe usta i zbyt wąsko rozstawione, zimne oczy. Uderza o cholewę buta krótkim pejcem.

Krew odpływa z głowy i serca, nie mogę złapać powietrza. Niemożliwe, aby los do tego stopnia chciał zdrwić. Opuszczam niżej głowę. Oficer przechodzi metr ode mnie, owiewa mnie zapach jego wody kolońskiej. Nazywa się Wolfgang Steinhoff, postarzał się od czasu Biarritz, w zaostrome rysy wpisały się wojna i śmierć. Idzie dalej, zatrzymuje się przed Magdaleną, rękojeścią pejcza podnosi jej podbródek.

– Jak masz na imię? – pyta po niemiecku.

– Magdalena – odpowiada drżącym głosem.

– Nie bój się, Magdaleno – uspokaja Wolfgang. – Chciałabyś dostać lżejszą pracę, dobre jedzenie?

Tym razem nie zrozumiała, przestraszona zerka na mnie.

– Pan oficer pyta, czy chcesz lekką pracę – tłumaczę na polski gardłowym głosem, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Wolfgang rzuca na mnie krótkie spojrzenie, bez zainteresowania. Niemożliwe, aby mnie poznał, wychudzoną, bez włosów, z cerą po tyfusie. Jakże to ma znaczenie, nic poza życiem nie może mi zabrać. Oddycham, staram się uspokoić. Wolfgang przenosi wzrok na Magdalenę.

– Tak, proszę pana – odpowiada dziewczyna po niemiecku.

Klepie ją po policzku, uśmiecha się.

– To dobrze – mówi miękim tonem. – Ładna jesteś.

Odwraca się, idzie dalej. Drugi oficer i cywil przechodzą powoli, patrzą na

Magdalene, wymieniają po cichu uwagi.

Nie rozumiem, co się dzieje, po co to przedstawienie. Miałyśmy lekką pracę i dobre wyżywienie. Jeśli Wolfgang chce się nad nami znęcać, złą wybrał metodę; znamy logikę obozu, jesteśmy gotowe na śmierć. Spoglądam w bok, widzę Isabelle wyprostowaną przed oficerami i cywilem; nadal krwawi z ust, patrzy im prosto w oczy. Przez moment wydaje się, że Wolfgang uderzy ją pejczem, ale krzywi się z niechęcią, odwraca się i odchodzi kilka kroków. Drugi oficer i cywil stają obok, a Wolfgang zwraca się do całej kolumny, mówi głośno i powoli:

– Potrzebne są kobiety do domu publicznego dla aryjskich więźniów. To łatwa praca. Dostaniecie dobre jedzenie, cywilne ubrania i lekarstwa. – Pokazuje na niewielki barak obok bramy. – W tamtym magazynie wybierzemy pięć kobiet. Z tych, które się zgłoszą.

Zapada cisza. Powoli dociera do mnie znaczenie jego słów. Życie za prostytutkę. Kątem oka widzę poruszenie w kolumnie; kobiety patrzą po sobie, szepczą między sobą. Czas się dłuży, żadna nie wychodzi z kolumny. Wolfgang spogląda niecierpliwie na zegarek.

– Po pół roku pracy można będzie ubiegać się o zwolnienie z obozu – mówi, wyraźnie wymawiając niemieckie słowa.

Łamię obozowe tabu, tu nigdy nie mówi się o przyszłości. Istnieje tylko dzień, który trzeba przetrwać. Przez kolumnę przebiega głośniejszy szmer. Widzę zdanie, które wypowiedział Wolfgang, jakby zostało napisane na tablicy: pół roku seksu i jestem wolna. Nie byłam prostytutką, ale robiłam to przecież wiele razy, żeby zdobyć pieniądze. Zgłoszę się i przeżyję. Zginę, bo Wolfgang mnie rozpozna.

Przed szereg wychodzą trzy młode kobiety, potem cztery następne. Prawie wszystkie z zielonymi trójkątami, kryminalne. Jedna ma czerwony trójkąt, polityczna, jest najchudsza i najsłabsza.

– Kurwy! – pada z drugiego szeregu.

Krwawa Locha przebiega przed kolumną, podnosi kij, krzyczy ze wściekłością.

– Która to powiedziała?!

Nikt się nie odzywa, kapo zaczyna bić najbliższe więźniarki.

– Wystarczy – rzuca Wolfgang i pokazuje gestem w stronę magazynu.

Krwawa Locha opuszcza kij, odsuwa się zdyszana. Kobiety, które się zgłosiły, ruszają ze schylonymi głowami, za nimi idą oficer i cywil. Wolfgang przebiega wzrokiem po nieruchomych szeregach, pokazuje na mnie.

– Ta też – mówi niedbałym tonem.

Odwraca się i idzie do magazynu. Nie poruszam się, nie rozumiem, co się stało. Powiedział przecież, że zgłaszać się mamy dobrowolnie. Poznał mnie i chce się zemścić. Dopada do mnie Krwawa Locha, chwyta za ramię.

– Głucha jesteś?! – krzyczy.

Odwracam się do Magdaleny, mówię szybko.

– Chodź ze mną!

Nie wiem, dlaczego to robię. To instynkt przeżycia, tam gdzie jest Magdalena, mogę liczyć na Ukrainkę. Albo chcę uratować dziewczynę, bo sama zginie w pracy w polu. Magdalena wychodzi z szeregu, patrzy na mnie niepewnie. Krwawa Locha popycha nas w stronę magazynu, Wolfgang wszedł już do środka. Z boku podbiega Luba, jej twarz wykrzywiona jest złością i strachem.

– *Ne idy, nie wolno!*[33] – mówi cicho, z pasją do Magdaleny.

Wciskam się między Ukrainkę a dziewczynę.

– *Piszła won!*[34] – wrzeszczy Luba i unosi kij.

Krwawa Locha doskakuje do niej, odpycha i krzyczy:

– Nie wtrącaj się, suko!

Luba cofa się, przeklina przez zaciśnięte zęby. Wchodzimy do magazynu, obie kapo idą za nami. W środku Wolfgang, cywil i oficer SS przyglądają się siedmiu kobietom, które niezdarnie zdejmują pasiaki i bieliznę. Wstydzą się, zasłaniają rękami podbrzusza i piersi.

– Nie bierzemy na siłę – mówi Wolfgang. – Chcemy takie, które z własnej woli zadowolą klientów.

Cywil robi nagim kobietom zdjęcia małym aparatem fotograficznym. Krwawa Locha pojęła, co się dzieje, krzyczy do mnie i Magdaleny.

– Rozbierać się, na co czekacie!

Luba podchodzi do Niemców, pokazuje na Magdalene, mówi pokornym tonem po niemiecku.

– Ona chora, niedobra.

Nie zwracają na nią uwagi, przyglądają się Magdalenie, ona patrzy na mnie pytająco. Kiwam głową, zaczynamy się rozbierać. Po pracy w Kanadzie Magdalena jest dobrze odżywiona, spod brudnego pasiaka wyłania się wspaniałe ciało, długie nogi i ręce, twarde piersi, płaski brzuch. Niemcy są pod wrażeniem jej urody, cywil podchodzi bliżej, pstryka aparatem. Magdalena czerwieni się, zasłania rękami. Luba krąży z boku, jej błagalny wzrok hipnotyzuje Niemców; niech zobaczą, jak brzydka i niezgrabna jest ta dziewczyna!

Zrzucam szybko pasiak, zdejmuję bieliznę. Prostuję się, wbijam wzrok w przeciwną ścianę. Cywil kieruje na mnie obiektyw aparatu.

– Ta ledwo stoi – mówi i naciska spust.

Mam ochotę odpowiedzieć, że ośmieszylabym go w łóżku. Milczę, podjęłam decyzję, pójdę do ich burdelu. Wolę szybką śmierć z ręki Wolfganga niż długą agonię. Oficer SS wymienia kilka słów z Wolfgangiem, pokazuje na trzy kobiety i Magdalene. Krwawa Locha już wie, że przegląd dobiegł końca.

– Ubierać się! – rozkazuje, potem pokazuje na wybraną czwórkę. – A wy czekać!

Wkładamy bieliznę i pasiaki. Kobiety, które nie zostały wybrane, dygoczą z napięcia i lęku; wiedzą, że komando odtrąci je z pogardą. Nie mogę pozwolić, aby rozdzielono mnie z Magdaleną, przysuwam się i szepczę:

– Zostajesz ze mną.

Dziewczyna kiwa posłusznie głową. Wolfgang pokazuje na mnie pejczem.

– Ona też, jeśli zechce.

Kiwam głową potakująco. Nie patrzę na Wolfganga, nie chcę wiedzieć, czy mnie poznał; wolę myśleć, że zobaczył we mnie piękną kobietę. Jestem wychudzona, ale wystarczy dać mi dobrze jeść.

Oficer SS wyciąga notatnik, podchodzi do wybranych kobiet.

– Zgadzaście się pracować w domu publicznym? – pyta po niemiecku.

– Tak jest, Herr Offizier – odpowiadają kolejno.

Po akcencie poznaję, że dwie są Niemkami, trzecia Polką; wszystkie mają zielony trójkąt na piersi. Oficer zapisuje ich numery i nazwiska, potem zatrzymuje się przede mną.

– Zgadzam się, Eliza Obrońska – mówię i powoli recytuję mój numer, patrzę, jak pisze w notesie.

Magdalena jest zdezorientowana, czeka na moją decyzję.

– Idziemy do tego domu – mówię do niej cicho.

Zrozumiała, kiwa głową. Oficer staje przed nią.

– Magdalena Rożnowska.

Podaje swój numer; esesman zapisuje, patrzy na nią z uśmiechem.

– Będiesz miała powodzenie – stwierdza i klepie ją po policzku.

Z tyłu przysuwa się Luba.

– *Ne idy do burdelu, czujesz?!* – szepcze rozpaczliwie. – Nie do burdelu!

Lyszysia zi mnoju, czujesz?[35]

– Znajdziesz nas – mówię cicho, twardo.

– *Ne znajdu tebe, ne tam! Ne idy!* – jęczy Ukrainka.

Jej głos jest przenikliwy, wszyscy ją usłyszeli. Niemcy zwracają się w naszą stronę, patrzą zdziwieni. Luba kuli się i cofa jak uderzony pies. Wolfgang zwraca się do Krwawej Lochy.

– Odprowadź je do kancelarii – mówi. – Powiedz, że idą do Auschwitz. Niech czekają na transport.

Powiedziawszy to rusza do wyjścia, przechodzi blisko mnie; znów czuję jego wodę kolońską. Nie pamiętam, czy w Biarritz używał takiej samej. Minęło pięć lat, zmienił się, może nie myśli o zemście. Widział tyle ofiar, na pewno sam zabijał, nasycił się śmiercią.

Wychodzimy z magazynu. Krwawa Locha krzykiem rozkazuje dołączyć do kolumny czterem odrzuconym kobietom. Biegną, zatrzymują się w ostatnim szeregu, więźniarki odsuwają się od nich. Kolumna rusza w stronę bramy, mija

grającą orkiestrę, maszeruje drogą, oddala się od obozu.

Wolfgang, oficer SS i cywil wsiadają do samochodu, odjeżdżają. Krwawa Locha zwraca się do naszej piątki, pokazuje w stronę dalekiego czerwonego dachu przy głównej bramie.

– Idziemy, kurwy – rozkazuje.

Ruszamy, Luba idzie za nami. Po kilkudziesięciu metrach Krwawa Locha zatrzymuje się i zwraca do Ukrainki.

– Odczep się, lesbo, bo zamelduję na ciebie – rzuca z groźbą w głosie.

Luba nieruchomieje, patrzy z rozpaczą w oczach. Oddalamy się od niej, Krwawa Locha idzie kilka kroków za nami.

– Jak tam będzie? – pyta po cichu Magdalena, z lękiem w oczach.

– Jak w Kanadzie – kłamię bez zastanowienia.

Nic nie czuję, nie myślę, idę jak automat. Lewa noga, prawa; płatna miłość, płatna życiem. Przetrawianie.

29 No, na co czekasz? Ruszaj!

30 Nie gadaj, bo wrócisz, skąd przyszedłeś!

31 Idź, na co czekasz?

32 Światło mrok rozgarnia, / bo u koszar bram / Pali się latarnia, / którą dobrze znam. / Zobaczyć ciebie w wieczór ten / W jej blasku chcę, / Lili Marleen, / Tak chcę, Lili Marleen. Fragment piosenki *Lili Marleen*; słowa Hans Leip, tłum. Wojciech Młynarski; www.tekstowo.pl, 5.02.2018 (przyp. red.).

33 Nie idź, nie wolno!

34 Poszła won!

35 Nie idź do burdelu, słyszysz?! Zostań ze mną, słyszysz?

Anna wyszła z hotelu, szła ulicami, wzdłuż starych murów otaczających miasto, mijała place, bazary, świątynie. Wypełniała ją wdzięczność i nadzieja. Zauważała twarze przechodniów, wybierała te młode, przyglądała się łapczywie, powstrzymywała się, aby ich nie dotknąć, pogłaskać. Byli piękni, beztroscy, nawet ci w mundurach, z karabinami. Nie żyli w potwornym czasie, dla nich jest zwykłą starą kobietą.

Patrzyła na starszych przechodniów. Śpieszyli się gdzieś, wracali z zakupami, wyprowadzali psy na spacer albo siedzieli w kawiarniach. Musieli rozstać się z przeszłością, inaczej nie byliby zdolni chodzić po ulicach, rozmawiać ze znajomymi, jeździć samochodami. W tym mieście tylko ona nie mogła się uwolnić od obłędu.

Nie próbowała zapamiętać drogi, nie zamierzała wracać do hotelu. Wystarczyło jej, że pojawił się Wolfgang, i nie jest dowódcą krematorium, nie wydaje wyroków śmierci. Założył dom publiczny, dał szansę przetrwania wielu kobietom. Elizie. Dwa razy zapytał, czy chce tam iść, nie zmusił jej. Anna poszłaby bez wahania do tego domu; nie jest przecież ponad siły kobiety zadowolić kilku mężczyzn. Za życie.

Była gotowa oddać rękopis, nie będzie dalej czytać. Odczuwała gniew na myśl o ostatnich słowach Elizy. Zapewne sam zabijał? Nasycił się śmiercią? Nie wolno rzucać takich pomówień, jeśli nie są poparte dowodami! Eliza nie miała pojęcia, co Wolfgang robił przez cztery lata wojny. A jeśli walczył na froncie, bronił ojczyzny przed bolszewickim barbarzyństwem? Anna poznała Rosjan, w kwietniu czterdziestego piątego trzy razy była zgwałcona, przeszło pięćdziesięcioletnia kobieta! Zarazili ją chorobą, wiele lat się leczyła. O tym też Eliza nie miała pojęcia!

Zatrzymała się nagle zdyszana i oblana potem przed jaskrawo oświetlonym wejściem do małego hotelu. Hotel i ulica wyglądały obco, nie mieszkała tu. Bolały ją nogi, brakowało powietrza w płucach. Dotarło do niej, że od pewnego czasu biegła i chyba mówiła do siebie na głos. Rozejrzała się przestraszona, ale tłum przechodniów mijał ją obojętnie, mogła w ogóle nie istnieć.

Na ciemniejącym niebie, nisko nad dachami Jerozolimy wisi księżyc w pełni. Przyjrzała mu się uważnie. Milczący sojusznik Elizy patrzył na nią niewidomymi oczami, domagał się czegoś. Wiedziała, o co mu chodzi: ma wrócić do hotelu i stawić czoło drugiej połowie rękopisu. Właśnie to przejęło ją lękiem, dlatego uciekła z pokoju. Pojawił się Wolfgang i przez następne kilkadziesiąt stron

Anna będzie umierać, biorąc kartkę po kartce, z paraliżującego strachu, że stanie twarzą w twarz ze zbrodnią. Do końca rękopisu nie uwolni się od Wolfganga, bezsilnie będzie patrzeć, jak się porusza, usłyszy jego słowa, zobaczy czyny.

Powinien istnieć sposób na odwrócenie przeszłych wydarzeń. Przepisanie od nowa rękopisu spowoduje magiczne zmiany w pamięci uczestników; żywi zapomną, martwi wstaną z grobów, znikną wina i kara. Anna może się tym zająć. Co daje zapisywanie bezlitosnych faktów, komu pomaga? Służy tylko budowaniu kolejnych pokładów nienawiści. Wymażmy całą Historię jednym ruchem, niech zapanuje czas teraźniejszy.

Głośny krzyk i ruch przywróciły ją do rzeczywistości. W drzwiach hotelu wysoki, tęgi mężczyzna szarpał się z portierem. Wołając coś w niezrozumiałym języku, wyrwał się, wybiegł z hotelu, potracił Annę i zatrzymał się na środku ulicy, z twarzą i rękami wzniesionymi do nieba. Miał na sobie prześcieradło, pod którym był nagi, wykrzykiwał długie zdania w obcym języku, szlochał i śmiał się jednocześnie. Anna zorientowała się, że był to szwedzki lub norweski, rozróżniła powtarzane słowo „Jezus”.

Z hotelu wyszli pośpiesznie dwaj mężczyźni, zbliżyli się do owiniętego w prześcieradło, zaczęli coś mu tłumaczyć, próbowali wziąć pod rękę. On wyrwał się ze śmiechem, odepchnął ich i popędził przed siebie, środkiem wznoszącej się łagodnie ulicy. Mężczyźni pobiegli za nim; naprzeciw zatrzymywały się samochody, trąbiły klaksonami, oglądali się przechodnie.

Przed hotel wyszli recepcjonista i portier, który próbował zatrzymać tego w prześcieradle, patrzyli na oddalających się mężczyzn. Uciekający zgubił prześcieradło, biegł dalej nagi, wymachiwał rękami i krzyczał donośnie. Recepcjonista roześmiał się, pokręcił głową, zamienił z portierem kilka zdań i wrócił do hotelu. Portier zatrzymał się obok Anny, powiedział coś po hebrajsku.

– Nie rozumiem – odpowiedziała po niemiecku.

Nie miała ochoty na rozmowę; portier miał pod pięćdziesiątkę, zaraz zacznie opowiadać o zbrodniach popełnionych na jego rodzinie. Nagi uciekinier i ścigający go ludzie zniknęli za wzniesieniem, Anna chciała ruszyć przed siebie.

– To się wciąż zdarza – powiedział po niemiecku portier.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Goście uciekają z tego hotelu? – zapytała. – Nago?

Portier uśmiechnął się, pokręcił łysą głową. Jego okrągła twarz wyrażała zadowolenie, miał ochotę podzielić się wiedzą.

– Szał religijny – stwierdził, mrugając.

– Nie rozumiem – powiedziała Anna.

– Przyjeżdżają, żeby zwiedzić Jerozolimę – wyjaśnił portier. – Wchodzą do kościołów jak zwykli turyści. I do Grobu Jezusa. Czytają przewodniki, robią zdjęcia. I nagle ogarnia ich szaleństwo.

Zamilkł z tajemniczą miną. Anna czekała cierpliwie.

– Widzą Boga – podjął po chwili portier. – Padają na twarz, biją głowami w posadzkę, krzyczą i płaczą, wyznają grzechy. Nierzadko opowiadają o okropnych rzeczach, które popełnili, nie można ich uspokoić. Albo jeszcze gorzej, jak ten Szwed. Wracają do hotelu, jedzą kolację, idą do pokoju, jakby nigdy nic. I nagle zaczynają wyć, wrzeszczeć, że wstąpił w nich Jezus. Czasem budzą wszystkich w środku nocy, rozbierają się, owijają prześcieradłami, pędzą, żeby głosić nowinę i nawracać. Potrafią wpaść do kościoła i niezłe narozrabiać, biją się z kapłanami i wiernymi. Mam nadzieję, że ci dwaj złapią Szweda, zanim go przymknie policja. Albo wyląduje w wariatkowie i zostanie odesłany do domu w kaftanie bezpieczeństwa. Przejdzie mu w Szwecji.

Anna patrzyła z niechęcią na zadowolonego portiera.

– Może nie przejdzie – powiedziała.

Portier uśmiechnął się.

– Nie sędzę.

– Może zaczniesz naprawdę wierzyć – uparła się Anna.

Przyglądał się jej przez kilka sekund, potem westchnął na znak, że nie ma o czym mówić. Odwrócił się i poszedł do hotelu. Zatrzymał się w progu, zawahał i odwrócił.

– Jeśli już, to wystarczy, że posłucha najważniejszej nauki – oświadczył poważnie, z odcieniem żalu w głosie. – Jezus powiedział: miłuj bliźniego swego jak siebie samego. Dlaczego wy, chrześcijanie, nie chcecie się go posłuchać? Jesteście jedyną religią, która nie przyjmuje nauki swojego Nauczyciela. A on jest jedynym, który to powiedział. Nie byłoby tych wszystkich nieszczęść.

Anna patrzyła w oczy portiera; teraz widziała w nich wszystko, co bała się zobaczyć.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Nie była pewna, czy ją usłyszał; wszedł do hotelu, zniknął za drzwiami. Anna chwilę stała nieruchomo, potem ruszyła powoli przed siebie. Była spokojna, gotowa wrócić do rękopisu.

Stoimy z Magdaleną i trzema kobietami na korytarzu pierwszego piętra murowanego budynku, tuż za bramą Auschwitz. Korytarz jest długi, otwarte drzwi prowadzą do czternastu wąskich pokoi. Ściany pokryte są szarym tynkiem, podłoga wyłożona brunatnym linoleum, przez okna widać dziedziniec i budynki naprzeciw. Każdy pokój ma takie samo łóżko, toaletę z umywalką i miską, stół i taboret, w oknie wisi firanka. W drzwiach są dziury z metalowymi klapkami.

Przed nami przechadza się strażniczka, SS-Aufseherin Martha. Jest wysoka, ma szeroką twarz, wydatną szczękę i jaskrawo pomalowane usta. Pali papierosa z ustnikiem poplamionym czerwienią, mówi, pokazując na najbliższe pomieszczenie:

– Jeden klient dwadzieścia minut. Wchodzi w ciebie, robi swoje, wychodzi. Na plecach, bez wyuzdania, bez całowania, bez rozmów. Żadnych zбочeń. Co dzień zmiana pokoju, żebyście czegoś nie kombinowały.

Patrzy nam w oczy, sprawdza, czy rozumiemy. Kątem oka widzę fioletowe lilie wyszywane na błękitnym materiale, stojąca obok dziewczyna ma na sobie sukienkę Muriel. Nie ma mowy o pomyłce, dość długo miałam ją w rękach, kiedy znalazłam list Augusta. Lilie rosną w oczach, pulsują w mózgu.

Dostałyśmy cywilne ubrania po przyjeździe do komanda. Sukienki, marynarki, bluzki, buty, pończochy, bieliznę; ubrania zamordowanych kobiet. Niektóre miały rozprute szwy, ślady po przeszukaniach w Kanadzie. Przebrałyśmy się w pustym pokoju na piętrze budynku, pilnowała nas esesmanka Martha, po odprawieniu Krwawej Lochy.

Od wyjazdu z obozu, przez cały czas, Magdalena trzymała się blisko, wciąż patrzyła z milczącym pytaniem w oczach, posłusznie naśladowała mnie we wszystkim. Mówiłam do niej, tłumaczyłam po cichu, żeby się nie bała. Po drodze, w ciężarówce wiozącej nas z Birkenau do Auschwitz, przypominałam opowieści z Francji, kiedy wdawałam się w romanse z mężczyznami. Bawiły ją i usypiały w najgorszych chwilach w baraku po nieludzkiej pracy.

Tłumaczyłam, że teraz będziemy wykonywać podobną pracę, dzięki niej ocalimy życie. Najważniejsze to nie zająć w ciążę; są różne sposoby, najpewniejszy to nie pozwolić, aby mężczyzna miał orgazm w środku. Nauczę ją. Magdalena słuchała moich słów z rosnącym przestraszaniem w oczach. Niewiele rozumiała, będę musiała cierpliwie powtarzać tę lekcję.

Wjechałyśmy przez bramę z napisem „Arbeit macht frei”, na dziedziniec otoczony piętrowymi budynkami z czerwonej cegły. Wsiadłyśmy z ciężarówki;

przyglądali się nam z ciekawością esesmani, kapo i więźniowie. Wiedzieli, w jakim celu zostałyśmy przywiezione. Skręciłyśmy do budynku po prawej stronie dziedzińca. Na parterze znajdowały się pomieszczenia kancelaryjne. Przez otwarte okna patrzyli na nas urzędnicy, mężczyźni i kobiety w mundurach SS. Na pewno prowadzili porządną buchalterię, każdy trup z obozu miał swoją kartotekę. Nigdzie nie było Wolfganga, ale wyczuwałam jego obecność, obserwował mnie przez któreś okno. Martha czekała na parterze, zaprowadziła nas do łazienki.

– Śmierdźcie jak świnie – stwierdziła z obrzydzeniem.

Gończy prysznic, pachnące mydło, strumienie wody splukujące zwierzęcy lęk, który zakleił skórę cuchnącą warstwą; jak delikatne palce badające każdy milimetr ciała, czyszczące pamięć, przywracające wiarę. Dlaczego na wolności kąpiel nie jest źródłem takiej rozkoszy? Wzrok trzech dziewczyn gapiących się na Magdaleny, z niedowierzaniem i zawiścią. Jej ciało Wenus, niewiarygodne, rodzące się z morskiej piany.

Owinięte w ręczniki poszłyśmy za Martha do pokoju na piętrze, w którym na kupie leżały ubrania. Ubrałam się, próbując nie myśleć, skąd pochodzą. Magdalena włożyła jedwabną, granatową sukienkę i szarą marynarkę. Patrzyła na mnie, szukała potwierdzenia, że dobrze wygląda. Nie mogłam oderwać wzroku od błękitnej sukienki w fioletowe lilie na jednej z dziewczyn. Widziałam ją, jak idzie w kolumnie kobiet w stronę krematorium; dłoń Muriel ściska list od Augusta, talizman, który miał ocalić ją i dzieci. Sukienki, bluzki, sweterki rosły w oczach, zwracały się do mnie, do jedyne go świadka, domagały się, abym wystąpiła w ich obronie. Zamiast Magdaleny i trzech dziewczyn zobaczyłam sine twarze z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, z ust wypływała biała piana. Zakręciło mi się w głowie, musiałam usiąść na ławce pod ścianą. Martha podeszła i stanęła naprzeciwko, przyglądała mi się uważnie.

– Słaba jesteś – stwierdziła wreszcie z lekceważeniem. – Nie wytrzymasz dziesięciu facetów dziennie.

Mogła mnie odesłać do Birkenau. Wstałam z ławki i uważając, aby nie spojrzeć jej w oczy, powiedziałam z uśmiechem:

– Proszę przysłać piętnastu, Frau Aufseherin. I lekarza, żeby się nimi potem zajął.

Martha parsknęła śmiechem, klepnęła mnie po ramieniu.

– Takich nam potrzeba – rzuciła pochlebnie.

Stoimy w korytarzu przed pokojami, pięć kolorowych, zamordowanych sukienek; słyszę znów głos esesmanki.

– Po stosunku podmywasz się, kładziesz, czekasz na następnego klienta. Pracujesz wieczorem, przyjmujesz dziesięciu mężczyzn. W ciągu dnia możesz robić, co chcesz. Coś ci jest, idziesz do lekarza. Zajdziesz w ciążę, zgłaszasz lekarzowi. Zauważysz coś podejrzanego, ktoś ci się zwierzy z planowanego

przestępstwa, zgłaszasz mnie. Za kontakt z mężczyznami poza pracą będziesz karana. Każde złamanie regulaminu będzie karane. Jasne?

Martha podnosi metalową klapkę, pokazuje dziurę w drzwiach.

– Wszystko widzimy.

Muszę wiedzieć, czego mamy unikać.

– Jakiego przestępstwa, Frau Aufseherin? – pytam.

Esesmanka krzywi się.

– Nie udawaj głupiej. Planowanej ucieczki, kradzieży, odmowy pracy.

Magdalena patrzy na łóżko w pokoju, mówi głośno po polsku.

– Jestem dziewczicą.

Patrzę na nią ze zdumieniem. Dlaczego nie powiedziała tego wcześniej? Ogarnia mnie fala gniewu. Jeśli chce wywołać współczucie, wybrała najgorszy moment. Jedna z trzech dziewczyn jest Polką, zrozumiała, patrzy zaskoczona na Magdalenę.

– Co ona gada? – pyta Martha, zniecierpliwiona przedłużającą się ciszą.

Nie ma sensu kłamać, mogę mieć tylko nadzieję, że nie odeśle Magdaleny. Co może wiedzieć dziewczica o zadowoleniu dziesięciu mężczyzn dziennie.

– Nie miała jeszcze faceta – mówię po niemiecku i dodaję od razu. – Ale to prawdziwy talent, Frau Aufseherin.

Martha patrzy na Magdalenę, krzywi się pogardliwie.

– Dostaniesz drugie prześcieradło – stwierdza i patrzy na zegarek. – Za dziesięć minut obiad, potem lekarz. Za godzinę początek pracy, rozejrzyjcie się tu.

Odwraca się i odchodzi korytarzem. Wprowadzam Magdalenę do jednego z pokojów, sadzam ją na łóżku. Dygocze jakby miała gorączkę. Kładę rękę na jej udzie, zmuszam do spojrzenia w oczy.

– Nie martw się, to jest łatwe.

Potakuje posłusznie, wstrzymuje łzy.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – mówi zdławionym głosem.

Nie mogę pozwolić, aby się rozkleiła, naraziła nas obie.

– Pamiętasz, jak było z moim pierwszym? Opowiadałam ci. Gruby, pijany oficer, miał ze czterdzieści lat. Przycisnął mnie do stołu, chwycił za włosy i wszedł od tyłu. Krzyczałam z bólu i wściekłości. Miałam niecałe piętnaście lat, matka udawała, że o niczym nie wie.

Magdalena znowu potakuje, ma przestraszone oczy.

– Tu nikt cię nie będzie gwałcił – mówię dalej. – Położysz się i rozluźnisz, to wszystko. Dobrze?

Mrugam, ściskam jej dłoń. Magdalena ma łzy w oczach, ale odpowiada wylęknionym uśmiechem.

Wchodzimy do jadalni. Przy dwóch stołach siedzi dziewięć kobiet, ubrane są w kolorowe sukienki, bluzki, na twarzach mocne makijaże. Uderza mnie, że

wszystkie mają długie, ułożone włosy. Od trzech miesięcy takie włosy widziałam tylko u strażniczek lub kapo. Trzy siedzące razem kobiety rozmawiają głośno, śmieją się wulgarnie, mówią po niemiecku i po polsku. Pozostałe jedzą w milczeniu. Na ścianie zdjęcie wodza. Na jego widok ogarnia mnie zawsze lęk i zdumienie. Zakłamana, pyszałkowata miernota owładnęła umysłami takiego narodu. Tysiące niemieckich kobiet pisze do niego miłosne listy. Miałam do czynienia z wieloma kreaturami; jemu nie pozwoliłabym zbliżyć się w żadnym kasynie świata. Patron burdelu patrzy w dal wzrokiem wizjonera, jego myśl zmieni wszystkich ludzi w morderców i kurwy.

Na widok naszej piątki zapada cisza, głowy kobiet odwracają się, patrzą na nas. Jest mi obojętne, co myślą, co mogą zrobić. Jestem teraz nietykalną dziwką wodza, skupiam wzrok na parujących półmiskach z jajecznicą, kartoflami i kielbasami; w szklanych dzbankach kompoty z pływającymi owocami. Dlaczego nie zostaliśmy stworzeni na podobieństwo roślin; karmilibyśmy się światłem i sokami ziemi, przechadzali się – świetliste, wolne istoty – nie wiedząc, co to walka i zabijanie. Potem zjawiłby się dyktator, wybetonował ziemię, zbudował dach, który zabrałby światło.

Przy osobnym stoliku na końcu sali siedzą trzy esesmanki, jedna z nich to Martha. Pokazuje na wolne miejsca przy jednym ze stołów, z pięcioma pustymi talerzami. Podchodzimy i siadamy, kobiety nadal obserwują nas w ciszy. Jedna z nich, wysoka, ładna blondynka, mówi po niemiecku:

– Klienci nie lubią Polek, bo słabo się pieprzą.

Trzy kobiety i esesmanki śmieją się głośno. Siedząca obok mnie nachyla się i mówi po polsku.

– Nie przejmujcie się, Inge zawsze odstawia swój teatr. A tamte trzy to zawodowe prostytutki, dwie Niemki i Polka. Jedzcie, Wanda jestem.

Bierzemy z Magdaleną łyżki, nabieramy na talerze jajecznicę, kartofle, kawałki kielbasy. Wanda znowu się pochyła, mówi ciszej:

– Alianci wylądowali w Normandii. Rosjanie przeszli już Bug, są w Lublinie, zaraz zajmą Warszawę. Trzeba wytrzymać... miesiąc, może dwa.

Kiwam głową, na znak, że rozumiem. Chcę odpowiedzieć, że człowieka można zabić w dwie sekundy, nie potrzeba na to miesiąca. Niemcy nie pozwolą nam ujść cało. Milczę. Zaczynamy jeść, wkładamy łyżki do ust, łykamy, prawie nie gryząc, pośpiesznie. Trzeba pochłonąć jak najszybciej pożywienie, zanim przerwie posiłek wrzask kapo. Trzy dziewczyny, które przyszły z nami, też dławią się z pośpiechu.

– Powoli, bo dostaniecie skrętu kiszek – napomina Wanda.

Ma rację, wzrokiem nakazuję Magdalenie, żeby zwolniła. Gryzę dokładnie, zaczynam czuć smak. Inge wciąż przygląda się naszej piątce.

– Nie chcą Polek, bo mają cipki jak dziurki w zamku, można sobie obetrzeć

kluczyk! – woła i pokazuje szparę między złożonymi palcami.

Trzy prostytutki i esesmanki wybuchają śmiechem. Magdalena nie zrozumiała, spogląda na mnie niepewnie. Nie mogę siedzieć cicho, od tego momentu zależy, czy zostaniemy zepchnięte na dno. Podnoszę głowę, patrzę Inge w oczy.

– *Ein, zwei, drei, Schluss!*[36] – mówię powoli i wyraźnie.

Śmiechy milkną, wszystkie kobiety patrzą zaskoczone. Inge mierzy mnie ciężkim, zaciekawionym spojrzeniem.

– Niby co to miało być? – pyta po kilku sekundach.

– Mój narzeczony Niemiec tak mówił o Niemkach – wyjaśniam. – Szybko dają. I bez sensu.

Rozlega się gwar oburzenia, słyszę pogroźki pod moim adresem. Martha powstrzymuje jedną z esesmanek, która się podnosi. Nie myślę się, nasze ciała są nietykalne. Inge unosi rękę, zapada cisza.

– Pyskata Polka z ciebie – stwierdza spokojnie.

Rozumiem, że to ona tu rządzi. Martha obserwuje nas uważnie. Wiem, co mam robić, pokazałam charakter, teraz trzeba wyciągnąć rękę.

– Jestem Eliza – pokazuję na siebie. – To jest Magdalena.

Mierzymy się wzrokiem z Inge. Próbuję odczytać w jej oczach, czy pogodzi się z faktem, że nie podporządkuję się. Macha wreszcie ręką.

– Jedz, Eliza – mówi lekkim tonem. – Za chuda jesteś, nie przeżyjesz jednego niemieckiego ruchania.

Wybuch wesołości prostitutek, które uznały, że Inge wygrała starcie. Ja też się śmieję. Ona patrzy na mnie, mruży lekko oko i rozciąga usta w grymasie rozbawienia, w górnej szczęce błyszczy złoty ząb. Martha odwraca się do swojego stolika, zaczyna znów jeść.

– Jesteśmy na miejscu pięciu kobiet? – pytam, nie patrząc na Wandę. – Co się z nimi stało?

– Zostały zwolnione do domu, po pół roku – odpowiada.

Żuję powoli, nie daję po sobie poznać, jakie wrażenie wywołują jej słowa. Wanda domyśla się, mówi dalej.

– To były Niemki, kryminalne. Odpracowały winy jako kurwy SS. Gdybym ja wystąpiła o zwolnienie, wysłaliby mnie pod ścianę. Żadnej politycznej jeszcze nie puścili, żadnej Polki.

Kończy się obiad. Martha prowadzi naszą piątkę do gabinetu lekarskiego, który znajduje się na końcu korytarza. Wchodzę pierwsza. Po środku stoi fotel ginekologiczny, obok nakryta ceratą kozetka, dalej przeszklona szafka z narzędziami i lekarstwami. Widok lekarza w mundurze SS pod przybrudzonym kitem wywołuje falę lęku. Odruchowo szukam wielkiej strzykawki z niebieskawym płynem, zmuszam się do zachowania spokoju.

Lekarz ma nalaną twarz, pływające tęczęwki morfinisty, worki pod oczami i kolor skóry alkoholika. Pielęgniarka jest wysuszoną kobietą po pięćdziesiątce, sprawnie, w milczeniu wyjmując z szafki narzędzia. Zdejmuję majtki, podnoszę sukienkę, siadam z rozłożonymi nogami na fotelu, zamykam oczy. Czuję nieświeży oddech lekarza, kiedy pochyla się między moimi udami. Zimny dotyk wziernika, wepchnięte palce sprawiają ból. Zaciskam zęby, nie wydaję głosu, nie sprawię mu przyjemności.

– Przeszłaś tyfus? – pyta po niemiecku.

Potakuję w milczeniu. Gdzie się doszukałeś śladów tyfusu, w mojej cipce? – mam ochotę zapytać.

– Zdrowa – stwierdza lekarz.

Koniec wizyty. Pielęgniarka zapisuje w karcie, schodzę z fotelu.

– Co dostanę, żeby nie zajść w ciążę? – pytam, wciągając majtki.

– Trzeba uważać – mówi pielęgniarka zgryźliwym tonem. – Myć się po stosunku.

Nie ma sensu z nimi rozmawiać, wychodzę z gabinetu. Naprzeciw stoi Magdalena, patrzy pytająco. Mam dość jej wylęknionych oczu, mijam ją bez słowa, odchodzę korytarzem. Wchodzę do najbliższego pokoju, wyciągam się na łóżku, zamykam oczy. Mój brzuch jest pełny, na razie nic mi nie grozi. Nie pamiętam, kiedy tak się czułam, na pewno w innym życiu. Zapadam się powoli w czeluść bez snów.

Budzą mnie przenikliwe gwizdki. Zaczyna się. Nie wstaję jeszcze, przeciągam zdrętwiałe ciało. Będzie mi potrzebne, jak nigdy dotąd. Wiem, w jaki sposób przez to przejdę. Ciało nie jest mną, niech wykonuje wszystko, co konieczne; ja będę się przyglądać z dystansu, zza grubej szyby. To nie jest trudne, robiłam tak wiele razy, z mężczyznami w Monaco, Biarritz, w Birmingham i Saint-Vincent. Kiedy włązili na mnie niezdarni, spoceni starcy, o cuchnących ciałach i oddechach. Wytrzymałam ich zdyszane wysiłki, czekałam spokojnie na pojawienie się Karła. Tu nikt się nie zjawi, będę musiała przetrzymać dziesięciu klientów. Wkładam rękę pod sukienkę, dotykam skóry ud i podbrzusza. Kurczy się pod palcami, jakbym była obcą osobą, gwałciła jej nietykalność.

Podnoszę się z łóżka, wychodzę na korytarz. Pod ścianami stoją dwa rzędy kobiet, pośrodku przechadza się Martha, pali papierosa. Trzy prostytutki wyglądają przez okna, machają rękami, śmieją się. Magdalena stoi obok Wandy, wbija we mnie błagalny wzrok. Nie jest mi teraz potrzebna jej zaraźliwa słabość. Przełamuję się, podchodzę, staję przy oknie, między Magdaleną a Wandą. Ciało dziewczyny dygocze jak w febrze, ściskam jej rękę, patrzę w oczy. Uspokaja się trochę.

Widzę przez brudną szybę długą kolejkę mężczyzn na dziedzińcu przed naszym budynkiem. Nie mogę ich zliczyć, ale jest ich dużo więcej niż stu czterdziestu. Stoją w roboczych kombinezonach, cywilnych ubraniach, mundurach

i pasiakach, rozmawiają, palą papierosy, śmieją się. Najbliżsi przepychają się do wejścia, wołają coś niecierpliwie. Inni machają w stronę naszych okien, wykrzykują.

Usta i gardło stają się suche, nie mogę przełknąć śliny. Martha powiedziała dziesięciu dziennie, co jeśli skłamała? Każda z nas będzie musiała przyjąć piętnastu, dwudziestu? Patrzę na esesmankę, nie potrafię nic wyczytać z jej obojętnej twarzy.

Magdalena drga gwałtownie na odgłos pośpiesznego tupotu nóg po schodach. Przez drzwi na środku korytarza wchodzi potężnie zbudowany esesman, za nim tłoczą się wychudzeni więźniowie i dobrze odżywieni kapo. Podnosi się gwar głosów, mężczyźni wołają trzy prostytutki po imieniu, one odpowiadają ze śmiechem. Pozostałe kobiety czekają w milczeniu, ich ciała wyrażają spokojną rezygnację. Martha stoi pod oknem, zapala kolejnego papierosa, bawi się zapalniczką.

– Cisza! – wrzeszczy esesman.

Więźniowie nie od razu reagują, powoli się uciszają. Nie działają tu zwykłe reguły obozu, esesman nie wyciągnie pistoletu z kabury, nie strzeli w głowę człowieka, który nie posłuchał rozkazu. Płatna miłość stwarza inny świat, rozrzedza prawo, na chwilę unieważnia śmierć.

– SS-Unterscharführer Oswald Kaduk – mówi po cichu Wanda, pokazując na esesmana. – Uważajcie na niego, wyjątkowo parszywa świnia. Gdyby mógł, wszystkie poszłybyśmy pod ścianę.

– Wiecie, co robić! – krzyczy esesman.

Mężczyźni ustawiają się w kolejkę przed gabinetem lekarskim, rozmawiają po cichu z kobietami. Wchodzą do gabinetu, przez otwarte drzwi widzimy, jak na stojąco spuszczaają spodnie, lekarz ogląda ich genitalia, pielęgniarka wbija zastrzyk w pośladki. Podciągają spodnie, wychodzą na korytarz. Podnosi się znowu gwar, mężczyźni po zastrzyku przepychają się, żeby dostać znajome kobiety.

– Niemcy do Niemek, kundle do suk! – wrzeszczy Kaduk. – Ustawiać się, ustawiać! Ty, gdzie leżesz kundlu, do swoich, no już! Ty tam, ruszaj się, jesteś Aryjczykiem czy nie, do cholery!

Kaduk wpycha młodego więźnia do kolejki przed niską brunetką, innego ciągnie przed rozłożystą blondynką; wielką łapą przesuwają ich jak kukielki. Kiedy odchodzi, mężczyźni pośpiesznie zamieniają się miejscami. Esesman przepycha się dalej, przestawia prymitywnie wyglądającego więźnia, z zielonym trójkątem kryminalisty, przydziela go Magdalenie. Kryminalista wykrzywia się do niej zadowolony, dziewczyna zamyka oczy.

Przede mnie Kaduk wpycha młodego mężczyznę w okularach, ubranego w kombinezon z czerwonym trójkątem więźnia politycznego. Jest przystojny, ma sympatyczną twarz; dobrze, że będzie moim pierwszym klientem. Kiwa głową na

przywitanie, ale patrzy na Magdalенę. Stojąca blisko kobieta zwraca się do niego zalotnym głosem:

– *Bonjour, Jean*. Nie chcesz mnie dziś?

Uśmiecha się do niej, nadal jednak nie odrywa oczu od Magdaleny. Kryminalista zauważa to, odpycha Francuza łokciem, mierzy groźnym wzrokiem; nie odstąpi mu najładniejszej dziewczyny. Wszyscy mężczyźni stoją już przed nami w dwóch szeregach. Kilku jest otępiałych, zmęczonych, czekają w milczeniu. Inni, ożywieni i niecierpliwi, witają się z kobietami po imieniu, rzucają żarty. Błękitna sukienka w fioletowe lilie stoi naprzeciw więźnia politycznego w pasiaku, mającego miły wygląd. Wyobrażam sobie, że to August; w końcu się spotkali, połączyła ich ta sama chora wyobraźnia, która zabiła Muriel i ich dzieci.

Inge ma prawo sama wybrać klienta, powoli przechadza się między mężczyznami, patrzy z wyższością, wreszcie wskazuje na młodego, przystojnego więźnia w kombinezonie. Bierze go za rękę, prowadzi do pokoju, zamyka za sobą drzwi.

Nie zająć w ciążę, jak nie zająć w ciążę; za kilka dni będę miała najbardziej płodny czas. Dam sobie radę, mam doświadczenie z mężczyznami. Spoglądam na Kaduka i Marthę, wyrastają głowami ponad tłumek kobiet i mężczyzn. Przez moment mam wrażenie, że są rodzicami, a my zepsutymi dziećmi, każą się nam bawić w zakazaną miłość. Kiedy odwracają się tyłem, chwytam Magdalенę za ramię, przesuwam ją, staję na jej miejscu. Nie wiem, dlaczego to robię, moje ciało decyduje.

– A ty gdzie? – wrzeszczy kryminalista i pokazuje na Magdalенę. – Ja chcę z nią!

– Cicho! – warczę. – Narobię krzyku, że jesteś zboczeńcem!

Patrzy na mnie zaskoczony i przestraszony. Aufseherin Martha odwraca się, wkłada do ust gwizdek, gwizdże przeciągle. Kobiety otwierają drzwi, mężczyźni wchodzi za nimi do pokoiów po obu stronach korytarza. Francuz bierze Magdalенę za rękę, prowadzi ją do pokoju. Kryminalista patrzy na nich ze złością, potem idzie za mną. Zamykam drzwi, słyszę następny gwizdek, siadam na łóżku.

Kryminalista ściąga spodnie kombinezonu i kalesony, ma mocno owłosione nogi, spod obwisłego podbrzusza sterczy członek. Czuję mdłości na myśl, że mam mu się oddać. Nie zająć w ciążę, na pewno nie z takim czymś. Pokazuję na umywalkę i mydło.

– Umyj się – mówię obojętnym tonem.

– Szkoda czasu – odpowiada.

Podchodzi, próbuje złapać mnie ręką za głowę i przysunąć do swojego członka. Robię unik, odsuwam się pod ścianę.

– Umyj go, bo zacznę krzyczeć – ostrzegam.

Mruży z wściekłością małe oczka, pokryta śladami po ospie twarz

wykrzywia się, wargi odsłaniają popsute zęby, przypomina rozzłoszczoną małpę. Wyobrażam sobie, ile razy walczył o przetrwanie w obozie, myślę o tym bez współczucia, z obrzydzeniem. Mierzymy się przez kilka sekund wzrokiem, wreszcie on się poddaje.

– Kurwa twoja mać, suko – mówi ze złością.

Odwraca się, staje przy umywalce, odkręca wodę, podstawia członek pod strumień wody.

– Zimna – skarży się i cofa szybko.

Stoi niezdecydowany, w jego oczach widzę, że gotów jest rzucić się na mnie. Siedzę nadal pod ścianą, z podciągniętymi nogami. Jeśli spróbuje się zbliżyć, kopnę go w krocze, powiem esesmanom, że domagał się zбочzonego seksu.

– Nie dotkniesz mnie, myj się – mówię rozkazująco.

Wzdycha z rezygnacją.

– Kurwa mać.

Namydla i myje członek, syczy pod dotknięciem zimnej wody. Odwraca się do mnie.

– Zadowolona?

Nie mogę już niczego wymyślić. Mogłam nie oddawać Magdalenie Francuza, ale jej pierwszy raz z tym typem, skończyłby się katastrofą. Moja nagła decyzja jest bez sensu; przecież Luba nic nie zdoła zdziałać, jej wpływy kończą się w Birkenau. Nie wiem, dlaczego wciąż czuję się odpowiedzialna za Magdalenę.

Zdejmuję przez głowę sukienkę, ściągam majtki, wyciągam się na łóżku i rozkładam nogi. Kryminalista gramoli się na mnie. Odwracam głowę w bok, patrzę na szary tynk na ścianie. Sapiąc, próbuje we mnie wejść, zмага się z nagłą niemocą, chwyta za bezwładny członek, szarpie nim. Zadziałała zimna woda albo moja niechęć.

– No i co zrobiłaś, suko! – warczy przez zęby. – Pomóż mi!

Odwracam się, patrzę mu w oczy z drwiącym uśmiechem. Jestem dumna z mojego wspaniałego ciała, które odrzuca tę gnidę. Słyszę dźwięk podnoszonej klapki w drzwiach, w otworze błyszczy oko. Chwytam oburącz jego pośladki, poruszam biodrami, udaję, że odbywamy stosunek. Oddech kryminalisty przyśpiesza, mamrocze coś podniecony. Oko znika, klapka opada; odsuwam się, nieruchomieję. Znowu próbuje we mnie wejść, nie daje rady. Pojękuje, przesuwa się do góry, napiera brzuchem na moje piersi.

– Weź do ust, no weź! – nalega.

– Nie wolno – odpowiadam zimnym głosem.

Oddycha szybko, próbuje wywołać w sobie podniecenie.

– Do ręki, no weź do ręki! – mówi błagalnie. – Nie zobaczą!

Leżę sztywno, milczę. Wiem, że nie zdobędzie się na przemoc; jeden mój krzyk i wylądowałby w karcerze.

– Niech cię szlag! – cedzi przez zaciśnięte usta. – Zapłaciłem za ciebie całe dwie marki! Doniosę, co mi zrobiłaś, więdźmo!

Wykrzywiam się pogardliwie.

– Co im powiesz, że ci nie staje?

Podnosi zaciśniętą pięść nad moją twarzą.

– Czekaj, kurwo, dorwę cię, zobaczysz! Pożałujesz, że żyjesz!

Patrę mu spokojnie w oczy. Dusi przekleństwo, odpycha się ode mnie, wstaje. Ubiera się niezdarnie, ze złości nie może trafić w nogawki spodni, jest upokorzony, warczy do siebie niezrozumiale.

– Powiem, że jesteś parszywą Żydówką – mówi głośniej.

Nie zasługuje na odpowiedź. Wciągamy majtki, wkładamy sukienkę, siadam na łóżku.

– Idiota – stwierdzam z politowaniem.

Bierze zamach pięścią, z dystansu. Patrzy na mnie chwilę, potem odwraca się i wychodzi. Trzaska za sobą drzwiami.

Kładę się, zamykam oczy i zaciskam pięści. Jeszcze dziewięciu, jeśli Martha nie skłamała. Nie mogę tak potraktować każdego z nich, zostałabym ukarana, wróciłabym do obozu. Powoli uspokajam dygot ciała.

Przenikliwy gwizdek. Podnoszę się, wychodzę na korytarz, stoję obok pokoju. Martha i Kaduk przechadzają się, nie zwracają na mnie uwagi; mój pierwszy klient nie odważył się poskarżyć. Otwierają się drzwi pozostałych pokojów, wychodzą mężczyźni i kobiety, żegnają się. Magdalena i Francuz są ostatni.

– Wystarczy, wynocha! – wrzeszczy Kaduk, popycha więźniów i kapo w stronę schodów.

Francuz, odchodząc, ogląda się i uśmiecha do Magdaleny, ona odpowiada nieśmiałym uśmiechem.

– Wytrzymasz teraz następnych – mówię twardo.

W oczach dziewczyny pojawia się lęk. Nie ma czasu na pocieszenia, od schodów dobiega tupot nóg, na korytarzu pojawiają się nowi mężczyźni.

– Najważniejsze, żeby w tobie nie kończyli – mówię szybko. – Pamiętasz? Powiedziałaś Francuzowi?

Magdalena kręci głową, ma łzy w oczach.

– Jesteś idiotką – stwierdzam bezsilnie. – Umyłaś się?

– Tak – odpowiada cicho.

– Skup się, bo będzie źle. Wiesz już, kiedy facet ma orgazm.

Potakuje posłusznie. Korytarz wypełnia się, mężczyźni wchodzą do gabinetu lekarskiego. Czekamy przed pokojami. Moje ciało czeka, ja jestem daleko stąd. Kaduk krzyczy, ustawia wychodzących po zastrzyku, dba o niemieckie zestawienia. Inge przechadza się, jest znudzona, dłubie zapałką w zębach, w jej

górną szczęce błyszczą złoto.

Mijają cztery godziny. Klient i przerwa, następny. Dziewięciu mężczyzn, podobne do siebie wychudzone ciała, twarze, zachowania. Mam wrażenie, że są braćmi, pochodzą z jednej, dziwnej rodziny. Ogolone głowy i te oczy, które widziały więcej, niż człowiek jest w stanie wytrzymać; w wyostrzonych rysach twarzy są zapisane tajemnice przetrwania, strachu, zdrady, poświęcenia.

Gotowa jestem wysłuchać ich historii, taka jest przecież rola prostytutki, ale w tym burdelu nie wolno rozmawiać, dowiaduję się tylko prostych rzeczy. Ci w kombinezonach, ze skórą przeżartą chemikaliami, są robotnikami w fabryce IG Farben. Inni, w cywilnych ubraniach, pracują w biurach, są pisarzami lub tłumaczami. Niebieskie bluzy to kapo. Pasiaki noszą zwykli więźniowie, najczęściej są funkcyjnymi. Wszyscy dostają za pracę kupony warte dwie marki, mogą za to kupić coś do jedzenia albo dziwkę. Codziennie jest kilkuset chętnych, odprawieni z kwitkiem wracają następnego dnia. Przeważnie są młodzi, mają nie więcej niż czterdzieści lat. Starsi mężczyźni nie wytrzymują morderczej pracy i chorób, szybko giną.

Nie pojmuję, skąd ich potrzeba seksu, przy takiej pracy i wyczerpaniu. Dwadzieścia minut miłości. Nic mnie nie dziwi, w tym świecie wszystko jest możliwe. Leżę pod nimi, czekam na zbliżający się orgazm. Muszę uważać, większość kończy bardzo szybko.

Mijają cztery godziny. Ciało jest wyczerpane, rośnie ból w środku. Gwizdek po dziesiątym kliencie wywołuje na korytarz. Kobiety są zmęczone, nie słychać rozmów, nawet prostytutki zamilkły. Kątem oka widzę Magdalенę, wychodzi ostatnia, zatrzymuje się za drzwiami, słania i osuwa na podłogę. Przykucam przy niej, podpieram jej głowę, patrzę z obawą na Marthę i Kaduka. Nie wiedziałabym, jakiego użyć argumentu, jeśli zechcieliby ją odesłać. Mijają nas wychodzący mężczyźni, patrzą z ciekawością.

Podchodzi Wanda, pomaga mi podnieść Magdalенę. Podpieramy ją z obu stron, prowadzimy do wyjścia. Widzą to Martha i Kaduk, nie protestują. Kładziemy Magdalенę na łóżku w sypialni; owijam ją kocem. Odwraca się do ściany i nakrywa głowę. Wychodzimy z Wandą, wracamy na korytarz.

Stajemy w szeregu, przed nami przechadzają się nasi przełożeni. Esesmanka ma w dłoni notatnik, wyczytuje z niego uchybienia. Kilka kobiet dostaje ostrzeżenia za odstępstwa od regulaminu, szepty z klientami, pocałunki, pieszczoty. Potulnie reagują na nagany, ale obie strony wiedzą, że to gra. Miłość, nawet płatna, wymyka się regulaminom.

Nie ma nas w notatniku Marthy, jesteśmy wzorowymi dziewczynkami, stajemy z Wandą przy oknie. Zapada zmrok, przez szybę, w ostrym świetle lamp, widzę tłum tłoczących się na dziedzińcu mężczyzn. Pilnują ich strażnicy SS, z pistoletami maszynowymi i psami. Przed więźniami stoi Oswald Kaduk, okno jest uchylone,

słyszę jego głos.

– Na dziś koniec! Koniec!

Podnosi się gwar zawiedzionych głosów, więźniowie krzyczą, wymachują kuponami. Kaduk podnosi rękę, ucisza hałas.

– Powiedziałem koniec, kurwy muszą odpocząć! Kutasy na supeł i do jutra!

Śmieje się ze swojego dowcipu, wtóruje mu kilku najbliższym stojącym esesmanów. Tłum powoli zaczyna się rozchodzić. Z budynku wychodzi oficer, zatrzymuje się obok Kaduka, odwraca. To Wolfgang, ma na sobie elegancki, wyjściowy mundur, błyszczące buty, rękawiczki; z pewnością wybiera się na towarzyskie przyjęcie. Częstuje Kaduka papierosem, pstryka złotą zapalniczką. Zapalają obaj, wypuszczają niebieski dym, który unosi się do okna; patrzą na rozchodzących się więźniów.

– Hołota bez godności – mówi Wolfgang. – Śmiecie.

Patrzę na niego zbyt intensywnie, wyczuwa mój wzrok i spogląda do góry. Cofam się od okna.

– Jestem tu, bo muszę przeżyć – mówi Wanda.

Odwracam się do niej, czekam w milczeniu. Nie mam ochoty na zwierzenia. Wanda ma duże usta i wydatny nos, stoi lekko pochylona, zaciska szczęki, szeroko otwartymi oczami patrzy na miejsca oddalone o setki kilometrów.

– Mam dwoje małych dzieci, męża rozstrzelali Niemcy – ciągnie. – Nie ma kto się nimi zająć. Nasi rodzice zginęli w bombardowaniu, w trzydziestym dziewiątym.

Przytakuję na znak, że rozumiem. Mięśnie jej twarzy są napięte, czeka na moją historię. Nie mam nic do powiedzenia, milczę. Uwalnia mnie głos Kaduka.

– Na dziś fajrant. Kolacja.

Martha i Kaduk ruszają do wyjścia, idziemy za nimi.

Do stołu podają więźniarki, nie patrzą nam w oczy; na początek dostajemy po pół szklanki wódki. Zaczyna się gwar rozmów, trzy prostytutki opowiadają ze śmiechem o klientach, niemiecki miesza się z polskim, seksualne wpadki komentowane są wulgarnie, z przesadą. Pozostałe kobiety jedzą w milczeniu, są nieobecne, wyłączone.

Magdalena nie zjawia się na kolacji, zanoszę jej jedzenie. Nie chce jeść, leży z otwartymi oczami, patrzy na sufit. Budzę się w środku nocy, ona nie śpi.

– Boli mnie, tak strasznie boli – skarży się płacząc. – Boli, strasznie mnie boli!

Nie chcę dalej słuchać; sypialnię wypełniają ogarnięte pożądaniem stwory, które podnieca jej strach i niewinność. Nie mają twarzy, oczu, ust, tylko raniące boleśnie, spocone odwłoki. Magdalena została wydana na pastwę wielkich, żarłocznych robaków; jutro znów będzie musiała się położyć i pozwolić zgwałcić dziesięciu mężczyznom. I następnego dnia, i przez kolejne. Nauczy się to znosić,

zacznie zwyczajnie reagować, jest przecież kobietą; na całym świecie kobiety to wytrzymują. Ja miałam tylko piętnaście lat i nie zwariowałam, ona też się zmieni, przestanie być cholerną, rozhisteryzowaną dziewczicą.

Orientuję się, że Magdalena umilkła. Patrzę na nią z ulgą, widzę, że śpi. Zaciśniętą pięść trzyma na sercu, jakby próbowała je zatrzymać. Przez parę sekund widzę, że ma twarz starej kobiety. Otrząsam się, to tylko smugi cienia i przefiltrowane przez firanki światło lamp. Przykrywam ją kocem, kładę się, próbuję zasnąć.

* * *

Wstajemy bez pośpiechu, o ósmej. Ubieramy się, myjemy pod prysznicami. Gwizdek Marthy wzywa na śniadanie, idziemy do jadalni. Kobiety siedzą już przy stołach, na nasz widok cichną rozmowy. Siadamy jak poprzedniego dnia obok Wandy. Magdalena jest blada, nieobecna, wbija wzrok w talerz. Inge chwyta swój kubek, unosi i woła po niemiecku:

– Za stracone dziewictwo! Niech żyje Magdalena!

Kobiety patrzą na Inge, niepewne, czy to nie była kpina. Ona jest poważna, więc chwytają swoje kubki.

– Nie martw się, dziewczyno, masz to z głowy! – ciągnie głośno Inge. – Twoje zdrowie! I niech to wszystko szlag trafi!

Magdalena spokojnie patrzy na Inge, potem odwraca się i skupia na talerzu. Inge wypija kawę kilkoma łykami, potem uderza kubkiem o blat z taką siłą, jakby chciała go rozwalić. Uderza ponownie i jeszcze raz.

– Niech żyje Kommando Puff! – krzyczy.

Esesmanki odwracają się od swojego stolika.

– Cisza! – woła jedna z nich. – Co jest, do cholery?

Martha przygląda się Inge z lekkim uśmiechem, wraca do jedzenia. Magdalena nie porusza się. Biorę łyżkę, zaczynam ją karmić jajecznicą z kielbasą. Je posłusznie, długo gryzie, zapomina, że ma coś w ustach. Wanda patrzy na nią z przestraszaniem.

Godziny beczynności, wyleguję się w sypialni. Nie myślę, nie ma mnie. Obiad, jeszcze cztery godziny, zaczyna się praca. Twarze mężczyzn, ręce, oczy. Nie chcę niczego pamiętać, ciało wykonuje, co do niego należy. W przerwach próbuję wesprzeć Magdaleny, ale ona zachowuje się, jakby mnie nie znała, nie odpowiada na pytania. Po każdym mężczyźnie stoi nieruchomo przy swoim pokoju, blada i nieobecna wpatruje się w ścianę. Przepytyuję jej klientów; są zadowoleni, dziewczyna nie jest profesjonalistką, ale stara się robić, czego od niej oczekują. Niepokoję się, kiedy Magdalena po francusku zaczyna pytać kolejnych mężczyzn, czy spotkali Janka. Nie rozumieją, reagują zdziwieniem; tłumaczę im, że to żart. Dziewczyna jest piękną, zgadzają się na jej dziwactwo.

Po pracy Magdalena od razu idzie do sypialni. Porusza się jak manekin, nie zwraca uwagi na Marthę, która woła, żeby ustawiła się z innymi kobietami. Staję w jej obronie, przypominam, że dziewczyna dopiero straciła dziewictwo, proszę o wyrozumiałość. Martha waha się, ale Kaduk chce pójść i ukarać Magdaleny. Pomaga dopiero wtrącenie się Inge, która po cichu nalega, aby esesman dał spokój.

Zaczyna się wyczytywanie uwag z notatnika Marthy. Patrzę przez okno, czekam, czy pojawi się Wolfgang. Kaduk wyszedł z budynku, przegania tłum zawiedzionych więźniów. Nagle ogarnia mnie fala niepokoju, w pierwszej sekundzie nie rozumiem dlaczego. Skupiam się, patrzę uważniej. Pomiędzy rozchodzącymi się mężczyznami stoi Karl, spogląda w stronę naszych okien. Dowiedział się, gdzie jestem, może od Luby. Nie może mnie dostrzec, ostre światło lamp odbija się od szyb. Niech go szlag trafi, jest idiotą! Wolfgang nie może nas skojarzyć.

– Klienci skarżą się, że nie dajesz im skończyć w środku – słyszę głos Marthy.

Widzę, że Karl wreszcie odchodzi. Trąca mnie Wanda, próbuję się skupić. Esesmanka patrzy na notatnik, zwraca się do mnie.

– Gdzie? – pytam niezbyt przytomnie.

– W twojej pochwie, durna kobieto, a gdzie? – rzuca z irytacją.

Powiedziała, kobieto, nie dziwko, kurwo. To znaczy, że moja pozycja jest wysoka.

– Połowa z nich nie potrafi nawet zacząć – odpowiadam z kpiną w głosie.

Oczy Marthy zwężają się.

– Jeśli boisz się zajść w ciążę, to wypalimy ci jajniki – mówi groźnym tonem.

Opanowuję lęk, odpowiadam z uśmiechem.

– Frau Aufseherin, gdybym się bała albo nie wiedziała, co robić, miałabym ze dwadzieścia bachorów. Przed wojną – każde z innym facetem.

Kobiety śmieją się, spojrzenie Marthy łagodnieje.

– Uważaj, mam cię na oku – rzuca i odchodzi.

W nocy nie ma księżyca, choć niebo jest czyste i to jego pora. Rozumiem, że nie chce mieć do czynienia z dziwką. Leżę na łóżku obok Magdaleny, ona ma otwarte, nieruchome oczy. Wyciągam rękę, dotykam jej dłoni. Bez słowa chowa rękę pod koc, odwraca się tyłem.

Budzę się na odgłos kroków. Od dawna nauczyłam się czujności, śpię gotowa na najgorsze. Do sypialni wchodzi esesman z latarką w dłoni, idzie pomiędzy łózkami. Krąg światła błądzi po śpiących sylwetkach, szuka, zatrzymuje się na Inge. Dłoń porusza jej ramieniem, Inge budzi się, przeciąga. Mężczyzna rusza dalej; światło zbliża się, oślepia mnie, słyszę głos Oswalda Kaduka:

– Ubieraj się.

Siadam na łóżku, patrzę na niego z lękiem.

– Ruszaj się, idziemy – ponagla Kaduk.

Wstaję, ubieram się powoli. Zamęt w głowie. Zostanę odesłana do Birkenau, nieważne za co, nie powiedzą mi. Próbuję sobie przypomnieć klientów, z pewnością któryś z nich się poskarżył. Może ten pierwszy, kryminalny. Tylko jego pamiętam. Nie, on był zbyt wystraszony. Jak beze mnie poradzi sobie Magdalena?

Wychodzimy z sypialni. Inge idzie z Kadukiem, trzyma go za rękę. Korytarz jest ciemny, przez okna wpada światło lamp z dziedzińca. Inge przytula się do ramienia Kaduka, on jest pijany, ma nabrzmiałą twarz, przekrwione oczy, pokazuje ręką na otwarte drzwi do jednego z pokoi. Nie ruszam się, patrzę pytająco.

– Dalej, dalej – ponagla. – Idziesz tam!

– Postaraj się, dziewczyno – mówi poważnie Inge.

Przyciska się ciałem do Kaduka, zaczynają się całować, esesman wielką łapą ściska jej piersi. Wtaczają się do najbliższego pokoju, zamykają z trzaskiem drzwi, słysząc rechotliwy śmiech.

Zbliżam się powoli do otwartych drzwi, już wiem, co zobaczę. Zatrzymuję się w progu. Na łóżku siedzi Wolfgang w rozpiętym mundurze, z papierosem w ustach, jest nietrzeźwy. Obok leży zakorkowana butelka. Wolfgang krzywi się w uśmiechu, przywołuje mnie gestem. Zamykam drzwi, podchodzę, czekam bez ruchu. Mierzy mnie wzrokiem, potem pochyla głowę, palcami rozgarnia włosy. Widzę długą, bladą bliznę, zapewne po uderzeniu lampą w hotelu w Biarritz. Spogląda mi znowu w oczy, pokazuje na butelkę.

– Napijesz się? – pyta chrapliwym głosem.

Kręcę głową. Wolfgang jest dotknięty odmową, odkorkowuje butelkę, wypija kilka łyków.

– No rozbieraj się, na co czekasz? – rzuca ostrzejszym tonem.

Nie reaguję. Zginę, jeśli okażę słabość.

– Powiedziano nam, że tylko z więźniami – mówię, opanowując drżenie głosu.

Rzuca butelkę na łóżko, zastanawia się przez moment, a potem zaciąga się papierosem. Chwyta spód mojej sukienki, unosi wysoko, zbliża żarzący się koniec papierosa do nagiej skóry brzucha.

– Mam się prosić? – pyta z pozornym spokojem.

Skóra piecze, ale opanowuję ból, nie poruszam się.

– Kazano nam donieść o każdym złamaniu regulaminu – mówię uparcie. – Każdym.

Wolfgang starannie gasi papierosa na prześcieradle, wypala w nim dziurę. Wstaje, chwyta mnie za gardło i przewraca na łóżko.

– Spróbuj krzyknąć, no spróbuj – syczy z twarzą przysuniętą do mojej.

Wolną ręką ściąga ze mnie sukienkę i bieliznę, kładzie się na mnie, wciąż trzyma za gardło, rozpina rozporek. Dyszy podniecony, wchodzi we mnie gwałtownie. Zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Robi kilka mocnych ruchów biodrami i kończy, z jękiem, który brzmi jak skarga. Niech to szlag trafi, to moje płodne dni! Puszczą moje gardło, zsuwa się na bok, przyciska twarz do poduszki. Długo leży bez ruchu, oddycha ciężko.

Podnoszę się, nalewam do miednicy wodę z kranu. Stawiam miednicę na taborecie, podmywam się, głęboko i dokładnie. Wycieram się ścierką wiszącą obok umywalki. Czuję na sobie spojrzenie Wolfganga; jego oczy są załzawione, twarz wykrzywiona skurczem rozczarowania albo wstydu. Odwraca wzrok, siada na łóżku, potem wstaje ociężale. Poprawia na sobie mundur, zapina rozporek.

– Czasy się zmieniły – mówi, patrząc na ścianę.

– Tak.

– Tak jest, Herr Hauptsturmführer – poprawia z naciskiem.

– Tak jest, Herr Hauptsturmführer – powtarzam.

Krzywi się z niechęcią, mierzy mnie ciężkim spojrzeniem. Rusza do drzwi, obraca się w progu.

– Jutro masz tu czekać, o tej samej porze.

– Muszę się wysypiać – odpowiadam. – Żeby dobrze służyć Rzeszy, Herr Hauptsturmführer.

W jego oczach pojawia się błysk groźby.

– W trzydziestym dziewiątym w Biarritz skąd wiedzieliście o naszej grupie? – pyta twardym tonem.

Zaskakuje mnie. O co mu chodzi? Mam pustkę w głowie.

– Nie rozumiem – mówię ostrożnie.

– Dla jakiego wywiadu pracowałaś? – nalega. – Francuskiego, polskiego, żydowskiego?

Dociera do mnie absurd tego, co się wówczas wydarzyło. Wolfgang i jego towarzysze udawali biznesmenów, jak Karl i ja. Oszuści trafili na oszustów, na szpiegów. Cholerna pechowa seria, po historii z Horacym, księgowym partii.

– Działaliśmy z bratem na własną rękę – mówię, najszczerzym tonem, na jaki mnie stać. – Przysięgam.

Usta Wolfganga wykrzywia grymas niedowierzania, stoimy w milczeniu. Wyprowadzi mnie na dwór i strzeli w głowę, każdy esesman z obozu tak by uczynił. Nie muszą się tłumaczyć, najwyżej napiszą raport o próbie ucieczki.

– Jak chcesz, jutro o tej samej porze – rzuca wreszcie i zgina rękę. – *Heil Hitler.*

Otwiera drzwi, wychodzi. Oddalające się ciężkie kroki na korytarzu, potem cisza. Siadam na łóżku, nie mogę jasno myśleć, przez głowę przelatują obrazy, fragmenty zdań. Będę żyła, nie wiem jak długo. Mógł mnie zapłodnić, nie zgadzam

się urodzić takiego jak on potwora.

Próbuję wniknąć do głowy Wolfganga, widzę go sprzed pięciu lat, skupionego, chłodnego mężczyznę, który zna swój cel, nie waha się. Jestem pewna, że nie upijał się. Reagował jak psychopata, ale był skupiony, kontrolował się. Jest teraz innym człowiekiem, lecz zmiana jest głęboko ukryta, nikt nie ma prawa się domyślić. Coś w nim pękło, rozchwiało się, stracił wiarę w siebie. Albo w sprawę, której służy. Trzyma się kurczowo jedynej wizji siebie, jaką zna. Jego rozdwojenie jaźni to moja szansa, muszę jednak być ostrożna. Zabiłby bez wahania, gdybym o to zagadnęła. Karl też nie ma prawa się pojawić. Wystarczy najmniejszy impuls, aby wahanie Wolfganga zamieniło się w śmierć.

Wracam do sypialni, idę po cichu między śpiącymi kobietami. Czyjaś ręka chwyta moją dłoń, zatrzymuje. Widzę uniesioną twarz Inge, jej oczy błyszczą od alkoholu.

– Jak z Hauptsturmführerem, zna się na rzeczy? – pyta z napięciem.

– Normalnie – odpowiadam niechętnie.

Chcę iść dalej, ale Inge przytrzymuje mnie.

– Nie pierdol, Polaczko, nikt tu nie jest normalny – mówi z pogardliwym grymasem. Ciągnie mnie za rękę, zmusza, żebym usiadła na łóżku. Zaczyna głaskać moje udo. – Dawaj mu dobrze, lepiej niż dobrze. Może przeżyjesz, i ja skorzystam.

Dłoń Inge wślizguje się pod moją sukienkę, palce odsuwają materiał majtek. Chwytam jej ramię, unieruchamiam.

– Czego chcesz? – pytam.

Inge wyciąga rękę spod sukienki, wygładza ją. Rozciąga usta w uśmiechu, błyska złotem.

– Zajmij się panem Puff komendantem, zobaczymy, czy cię zechce. Kilka próbowało, ale źle skończyły. Może ciebie nie odeśle do obozu.

– Oswald Kaduk nie daje, czego potrzebujesz? – pytam z udaną powagą.

Inge odczytuje kpinę w moim głosie, odsuwa się. Nagle domyślam się, o co jej chodzi.

– Wydostanę od Wolfganga, co zechcę – mówię chępliwie. – Marzy ci się zwolnienie do domu? Kaduk jest za mały gnojek? Powiem, kiedy będę mogła pomóc.

Oczy Inge otwierają się szerzej, patrzy na mnie z nadzieją.

– Ja też czegoś potrzebuję – mówię. – Przepustki do Birkenau, Kaduk powinien dać radę.

Wstaję, poprawiam sukienkę.

– Dobrej nocy, Inge – kończę tonem, który daje do zrozumienia, że od teraz ja rządzę.

– Dobrej nocy, Elizo – odpowiada pokornie. Pokazuje w głąb sypialni. –

Uważaj, bo twoja mała odjeżdża.

Idę do mojego łóżka. Nieruchoma Magdalena stoi przy oknie, jej nagie ciało oświetlają lampy z dziedzińca. Nie zajmę się nią, na dziś mam dość. Kładę się, nakrywam głowę kocem i od razu zasypiam. Bez snów, bez marzeń.

36 Raz, dwa, trzy, koniec!

Anna siedziała w małej restauracji przy placyku niedaleko hotelu. Pod zamkniętymi powiekami wciąż widziała leżący na stoliku rękopis, sam w pokoju. Kartki przewracały się powoli, słowa leniwie płynęły w powietrzu, rozplywały się w podmuchach wiatru, które podnosiły firanki w oknie. Wolfgang i Eliza leżeli w jej łóżku; przed chwilą uprawiali miłość, byli zakochani, przytulali się, patrzyli sobie w oczy. Między młodymi mężczyznami i kobietami wszystko jest możliwe, niepotrzebne są tylko zatruwające ideologie.

Anna nie pozwoli, aby rękopis zniszczył jej wiarę, odebrał nadzieję. Da mu tyle czasu, ile potrzeba, a kiedy wróci do pokoju, historia musi być zapisana tak, aby jej życie nabrało znów sensu. Pamiętała opowieści, w które wierzyła jako dziecko; magiczne księgi decydowały o losie bohaterów, wystarczyło znaleźć odpowiednią stronę i wypowiedzieć zaklęcie.

Wyszeptała po cichu słowa w tajemnym języku, którego nie mieli prawa zrozumieć dorośli.

– Abe dere kene ture rane.

Jest małą dziewczynką, siedzi w bawialni, patrzy na rodziców, oni wykrzykują do siebie niezrozumiałe, gniewne słowa. Otwiera książkę z zaklęciami, podnosi różdżkę, którą dostała na urodziny, wyciąga w ich stronę. Milkną, uspokajają się, ojciec przytula zapłakaną matkę, szepcze jej coś do ucha. Anna jest wielką wróżką, wszystko się zmienia za dotknięciem jej różdżki, mijają deszcze, wychodzi słońce, zielenieją drzewa.

Pewnego dnia różdżka zdradza ją, gdy próbuje obudzić matkę, która leży nieruchomo na łóżku, biała i zimna, z buteleczką pachnącą gorzkimi migdałami w otwartej dłoni. Rok po śmierci ojca. Anna miała już piętnaście lat, nie wierzyła w czary; została sama na świecie, zaczęła się dorosłość.

– Nie smakuje pani? – usłyszała po niemiecku.

Otworzyła oczy. Młody kelner czekał z uprzejmym uśmiechem. Rozmawiali już po niemiecku, kiedy przyjmował zamówienie. Chyba wszyscy w Izraelu mówią w jej języku; to historia tragicznej, zdradzonej miłości do Niemców.

– Nie, bardzo jest smaczna – odpowiedziała zmieszana, pokazując nietkniętą rybę na talerzu.

Kelner nie przestawał się uśmiechać.

– Mogę przynieść świeżą – zaproponował.

Anna zdobyła się na uśmiech.

– Dziękuję, wszystko w porządku.

Kiwnął uprzejmie głową, odszedł między stolikami. Anna zobaczyła, że restauracja zapełniła się ludźmi. Długo musiała być nieobecna duchem, może nawet zasnęła. Rozejrzała się dyskretnie, nikt nie zwracał na nią uwagi. Przy trzech stolikach siedziały samotne osoby; dwie kobiety po pięćdziesiątce i mężczyzna, który mógł mieć siedemdziesiąt lat. W każdym kraju widuje się takich ludzi, ale tutaj samotność mogła znaczyć dziesiątki, setki pomordowanych bliskich.

Poczuła, że jest jej zimno, nie była głodna, miała ochotę wyjść z restauracji; wszyscy zapewne zorientowali się już, że jest zdziwaczką Niemką. Opanowała się, wzięła do ręki widelec, zaczęła powoli jeść. Dziewczyna przy stoliku pod oknem odpowiedziała uśmiechem na jej zamyślane spojrzenie. Uciekła spłoszona wzrokiem.

Nieświadomie wpatrzyła się w tę dziewczynę. Była trochę podobna do Rachel, przyjaciółki, która udzielała jej lekcji gry na fortepianie. Kiedy Rachel była szczęśliwa, zaczynała śpiewać i tańczyć, gdziekolwiek się znajdowała: na ulicy, w knajpie, nawet w szpitalu, gdzie odwiedzała narzeczonego, który cudem przeżył napad bojowców SA. Kiedy Rachel tańczyła i śpiewała, z fruującą burzą rudych włosów i błyszczącymi szczęściem oczami, milkły rozmowy, gromadzili się ludzie, rozlegały się śmiechy i oklaski, wszystkim udzielała się jej radość. Rachel była aktorką, pisała sztuki, w których potem odtwarzała główne role, stawała się sławna. Jak napisał jeden z recenzentów: była większa od życia.

Annie nie przyszło do głowy, że przyjaciółka może potrzebować pomocy, miała przecież setki znajomych, wielbicieli. Była o nią nawet zazdrosna, bo przy Rachel każda kobieta stawała się dla mężczyzn przezroczysta. Gdy Rachel przyszła się pożegnać, pomyślała, że wyjeżdża za granicę, jak jej narzeczony, wielu krewnych i znajomych. Nie miała pojęcia, że aresztowanie może przypominać zwykle zaproszenie w podróż. Ktoś dał Rachel szansę, której nie umiała wykorzystać, była wystraszona i bezradna. Powinna poprosić o schronienie; Anna nie odmówiłaby, choć było to trudne, zważywszy na przynależność partyjną męża i syna. Może wywiozłaby ją do domku w górach albo do przyjaciół, o których wiedziała, że nie podzielali fascynacji Trzecią Rzeszą.

Straciła przyjaciółkę z oczu, nikt nie potrafił powiedzieć, co się z nią stało. Inni artyści żydowskiego pochodzenia dawno wyjechali z kraju albo zniknęli bez śladu, razem z rodzinami. Anna przestała szukać i pytać, w chwilach szczerości zadawała sobie pytanie, czy nie jest skrycie zadowolona. Bez Rachel znowu zaczęła przyciągać spojrzenia mężczyzn, miała odwagę brać lekcje malarstwa i pisarstwa. Pewnego wieczoru podejmowany kolacją oficer SS, kolega męża, opowiedział o dziewczynie, która była znaną aktorką; skazana na śmierć za ciężkie przestępstwo przeciw ojczyźnie, zaczęła tańczyć i śpiewać przed plutonem egzekucyjnym. Przed oczami wciąż miał bujną grzywę rudych włosów płonących w świetle wschodzącego słońca. Dowodzący plutonem oficer musiał pięć razy

krzyknąć rozkaz, bo żołnierze nie chcieli strzelić.

Anna wstała od stołu, spakowała się i zanim mąż się zorientował, wybiegła z domu. Zamknęła się w ich domku w górach, przez trzy dni rozmawiała z ukrytą tam Rachel. Mąż przyjechał z lekarzem psychiatrą, wywieźli Annę; spędziła kilka miesięcy w klinice, doszła do siebie. Poprosiła potem męża, aby ustalił z kolegą oficerem SS, gdzie znajduje się grób przyjaciółki. On kategorycznie zażądał, by nigdy już nie poruszyła tego tematu.

Skończyła jeść zimną rybę, przywołała kelnera, zapłaciła i wyszła z restauracji. Lepiej się czuła na otwartej przestrzeni, pomimo upału. Na ulicy była anonimowa, nikt jej nie zadawał pytań, nie przywoływał przeszłości. Wciągnęła głęboko w płuca rozgrzane powietrze, ruszyła w stronę hotelu. Zadzwoi do więzienia Plötzensee w Berlinie, porozmawia z Wolfgangiem. Jest gotowa go wysłuchać, poznała już jego losy; niech dokończy opowieść, ufa mu, niepotrzebny jest rękopis Elizy. Dość ma przerażenia i bezsenności.

Przeszłam pomyślnie rozmowę z Kadukiem. Wysłuchałam z uwagą, co mnie spotka, jeśli spróbuję ucieczki. Zostanę powieszona, zlikwidowana w komorze gazowej, umieszczona w bunkrze głodowym. Małe oczka esesmana błyszcząły ekscytacją, kiedy wymieniał czekające mnie rodzaje śmierci. Stałam przed nim z pokorną miną, na wpół leżał na łóżku, w rozpiętym mundurze. Inge nalewała wódkę do szklanek.

Patrząc na Kaduka, wyobrażałam sobie, że kiedy pokona się wewnętrzny opór, zabijanie musi być fascynujące. Zapewne dostarcza ekscytacji podobnej do wzbicia się w powietrze, swobodnego lotu w zakazane przestrzenie, wbrew prawu grawitacji, oczyszcza umysł i ciało, staje się narkotykiem. Zażywałam morfinę i kokainę, wiem, jak to jest wyzwolić się od siebie. Mogłabym zamknąć każdego z esesmanów w bunkrze ze szkła, całymi dniami patrzeć, jak umierają w męczarniach.

Podtrzymując na schodach pijanego Kaduka, zeszliśmy do kancelarii. Wypisał przepustkę, przybił pieczęć z czarnym orłem i swastyką; Inge odprowadziła go do łóżka.

Wychodzę poza bramę, idę drogą do Birkenau. Jedną rękę trzymam w kieszeni, cały czas dotykam papieru przepustki. Gdybym ją zgubiła, nie mogłabym wyjaśnić mojego spaceru; skacowany Kaduk nie przyznałby się do wypisania przepustki. Mam na sobie kolorową sukienkę, wiatr podwiewa ją, chłodzi skórę nóg. Pomimo to jestem spocona, muszę panować nad rozdygotanymi mięśniami i mdłościami w brzuchu.

Droga dłuży się, kiedy jechałam ciężarówką w przeciwną stronę, wydawała się krótsza. Wtedy byłam bezpieczna, teraz każdy mijany esesman może zażądać wyjaśnienia, zabrać mój papier, odprowadzić do wartowni. Telefon do komendanta Puff i moja wyprawa skończy się karcerem, odesłaniem do obozu albo szybką śmiercią. Wyszłam o świcie, przed śniadaniem, wrócę na czas, nie narażę Inge.

W górze śpiewa jakiś ptak, nie potrafię go nazwać; nade mną tańczy rój małych muszek. Dziwne, że istnieją stworzenia, nad którymi nie sprawuje władzy Rzesza. Wsłuchuję się w mój brzuch, z lękiem wyczekuję drgnienia, które będzie oznaczało, że staję się matką. To bzdura, tak wcześnie nic nie wyczuję.

Przez rzadki lasek widzę zbliżającą się kolumnę więźniów, obok maszerują kapo i esesmani z psami. Schodzę z drogi, czekam, aż mnie miną, patrzę na ludzkie szkielety z żółtymi gwiazdami. W ich twarzach nie ma rozpaczyny ani smutku, tylko ogromny wysiłek. Czarno-brązowy wilczur rzuca się nagle w moją stronę

z ostrzegawczym warknięciem i wyszczerzonymi kłami. Odskakuję przestraszona, potykam się, przewracam. Słyszę śmiechy, widzę rozbawione twarze esesmanów. Gwizdzą głośno, kiedy ściągają w dół zadartą powyżej kolan sukienkę. Kolumna przechodzi, oddala się.

Idę dalej, mrużę oczy oślepienie blaskiem słońca. Nie jest moim przyjacielem, ujawnia każdą zmarszczkę strachu. W nocy, przy księżycu, byłabym odważniejsza. Po zielonym pastwisku biegnie zając, zatrzymuje się, podnosi uszy, patrzy na mnie uważnie. Nie ucieka, zapewne wyczuwa, że mój strach jest większy od jego.

Zbliżam się do torów kolejowych, w oddali słyszę gwizd lokomotywy. Przechodzę przez szyny, buciki na obcasach grzęzną między kamieniami podkładów. Zbliżają się wysokie wieże strażnicze i druty. Otoczą mnie, porażą i spalą. Muszę wyteńczyć uwagę, nie pozwolić ciału, aby odwróciło się i zaczęło uciekać.

Prosta droga, na której końcu wznosi się brama piekła. Obok przetacza się ciężki pociąg, wjeżdża do obozu. Odjedzie lżejszy o kilka tysięcy niedokończonych historii. Dwieście metrów, sto, dwadzieścia, dziesięć. Wyciągam spoconą dłoń papier, opanowuję drżenie palców, zatrzymuję się. Trzej strażnicy patrzą na mnie pytająco, najstarszy stopniem ogląda papier. Jest niski, ma okrągłą głowę i ciężki tułów; na rękojeści pistoletu maszynowego naklejona mała gwiazda Dawida. Czy to znaczy, że świetnie strzela? Tylko jedna?

– Po co przyszedłeś? – pyta bez podejrzliwości, służbowo.

Coś w mojej głowie chce odpowiedzieć, że w odwiedziny do przyjaciół, śmiertelne poczucie humoru. Uciszam idiotyczny głos, odpowiadam spokojnie.

– Mam sprawę do kapo, Luby Perewodnej. Przysłała mnie Hauptsturmführer Wolfgang Steinhoff.

Decydująca chwila. Dowódca może zadzwonić, sprawdzić moją historyjkę. Ciekawe, jak zachowa się Wolfgang. Kogoś po mnie przyśle, potem zdecyduje, jaką wymierzyć karę. Wyobrażam sobie minę Oswalda Kaduka, który tłumaczy się z przepustki. Pociąg wciąż wtacza się powoli do obozu, lokomotywa wydaje powitalny gwizd i zatrzymuje się przy rampie. Okrągłogłowy strażnik odwraca się do oficera SS, który pali papierosa obok wartowni.

– Dziwka z Kommando Puff – mówi głośno.

Oficer macha ręką, patrzy na pociąg, nie jest mną zainteresowany. Strażnik oddaje papier.

– Idź, masz pół godziny.

Pół godziny w raju, za długo. Ruszam przed siebie, każdy krok na utwardzonej drodze wywołuje echa pamięci. To było dawno temu, rok, dziesięć lat, w innym życiu. Długie rzędy baraków zapraszają; można wejść, usiąść i czekać na powrót komanda z pracy. Dostanie się pasiak i pryczę, należny przydział wszy, nie

trzeba będzie kłaść się z dziesięcioma mężczyznami dziennie.

Zatrzymuję się nagle. Luba mogła wyjść do pracy w polu, wróci dopiero wieczorem. Jak zapytać o Ukrainkę, nie mam żadnego planu. Jeśli będę się kręciła po obozie, ktoś w końcu sprawdzi moją przepustkę.

Rozlegają się gwizdki i krzyki od strony rampy, szczekanie psów; widzę wysypujący się z wagonów tłum. To miejsce pracy Luby. Skręcam w stronę pociągu, słońce zmusza do przymknięcia powiek, przez firankę rzęs rozmazują się prostokąty wagonów. Idę wolno, umysł próbuje ostrzec: jeszcze kilkaset kroków i mogę zostać zagarnięta jako jedna z przybyłych. Na rampie nie słucha się tłumaczeń.

– *A ty kuda?*[37] – zatrzymuje mnie ostry głos z boku.

Nie wierzę, że mam takie szczęście, prawie się cieszę na jej widok. Luba idzie w stronę rampy, śpieszy się.

– Co z Magdaleną? – pyta z napięciem. – Gdzie ona? Po co przyszłaś?

– Jest zdrowa, wszystko w porządku, kazała cię pozdrowić – kłamię z grymasem uśmiechu. – Muszę z tobą pogadać.

Mierzy mnie wrogim spojrzeniem, bada, czy mówię prawdę. Nie ma szans, od lat jestem mistrzynią łgarstwa. Luba niechętnie kiwa głową.

– Czekaj tam – pokazuje na jeden z baraków. – Nie leż w oczy.

Odwraca się i odchodzi w stronę rampy. Idę do wskazanego baraku; jest pusty, cuchnie znajomym odorem. Długie rzędy prycz gotowe opowiedzieć historie powolnego konania. Nie słucham, siadam na progu, zasłonięta trochę drzwiami patrzę na pociąg, rampę i daleki tłum. Z tej odległości nie ma twarzy, wieku, płci, nikt nie cierpi. Sylwetki podchodzą do esesmanów, rozdzielają się na dwie kolumny, maszerują dalej. Podnoszące się i opadające kije kapo są nierealne, nie wywołują paroksyzmów bólu. Porządek, spokój; tylko dalekie odgłosy przypominają zbiorowy płacz. Jeszcze parę kilometrów dystansu, kilka lat, ich piekło i śmierć staną się banalną opowieścią.

Mija czas, słońce jest coraz wyżej, pali brunatną ziemię. Pusty pociąg powoli się wycofuje, jedzie po następną partię podróżnych. Na rampie leży stos bagaży, kręcą się pomiędzy nimi ludzie w pasiakach. Wydostaną płaszcze, sukienki, sweterki, spodnie, buty, które zostaną przeszukane w miejscu zwanym Kanadą. Strumień nadziei i bogactwa popłynie tam, gdzie wolno się bogacić. Moje dziecko nie będzie niewolnikiem, oddam je Wolfgangowi, niech zrobi z niego nadczłowieka. Z czterech kominów wzbija się gęsty, czarny dym, powoli się rozwiewa, przysłania słońce, rozplywa w moich łzach. Wycieram oczy i policzki, widzę stojącą przede mną sylwetkę.

– *Szczo z neju?*[38]

– Mówiłam, wszystko w porządku, jest zdrowa – odpowiadam cierpliwie i wstaję.

Luba patrzy na mnie przenikliwie, chwyta mnie za ramię, ściska z całej siły.

– *Prywedy jiji do mene!*[39]

Uwalniam się szarpnięciem, patrzę twardo w oczy. Jestem nietykalna, nie obchodzi mnie czyjaś wściekłość i rozpacz.

– Najpierw ty mi pomożesz – mówię z naciskiem.

Wykrzywia się, jest bliska wybuchu.

– Zabiję cię! – syczy przez zęby.

Popycha mnie do baraku, wchodzi za mną, zamyka drzwi. Jest silna, ściska w rękę grubo drąg, wlepia we mnie przekrwione oczy. Po jej policzkach płyną łzy, wyciera je niecierpliwym gestem. Czekam w napięciu; nie dam się zabić, będę walczyć, przegryzę jej gardło, wydlubię oczy. Jestem obozową bestią, zdolną do wszystkiego kurwą. Luba dyszy ciężko, uspokaja się, opuszcza rękę z drągiem.

– *Ne ma bez jejo žytia* – mówi bezradnie. – *Ne ma*[40].

Milczę, stoję bez ruchu. Opanowuję odruch współczucia.

– *Czoho chcesz?*[41] – pyta po chwili.

– Przywoził nam jedzenie Niemiec, Karl Rosen. Kryminalny – mówię wolno i wyraźnie. – Pamiętasz go?

– *Ni* – odpowiada krótko.

Wiem, że kłamie, pamięta.

– Znajdź Karla, daj mu to.

Wyciągam z dna kieszeni zwinięty papierek, podaję. Luba nie porusza się, nie bierze papierka.

– *Na szczo tobi win?*[42]

– Daj Karlowi gryps – powtarzam z naciskiem.

Wykrzywia się pogardliwie.

– *Skazaty jomu szczo ty dziwka?*[43]

– Chcesz zobaczyć Magdalenę? – pytam twardym tonem.

Luba oddycha ciężko. Nagle chwyta mnie za gardło, pcha na ścianę baraku, przydusza. Nie zdążam zareagować, nie mam szans; tracę oddech, patrzę z bliska w zmrużone nienawiścią oczy. Nie poruszam się, wierzę w jej chorą miłość.

– *Naszczo ty jiji tam zabrała? Naszczo?* – pyta jękliwym głosem Luba. – *Jak jeji szczo zloho, to ja tebe ub'ju! Rozumiejesz? Ub'ju!*[44]

Uścisk na gardle słabnie. Odbijam się od ściany, odpycham ją. Luba chwieje się, odzyskuje równowagę, jest rozjuszona, podnosi drąg do uderzenia.

– Uderz mnie, no dalej! – wrzeszczę z pogardą. – Powiem, że nie mogę pracować przez ciebie! Wiesz, ile jestem teraz warta? No uderz, skończysz w bunkrze głodowym!

Zaciska szczęki, opuszcza drąg. Patrzymy na siebie zdyszane, dzielą nas dwa metry, lata świetlne.

– *Najdu twoho Karla, jak win żywyj. Ty prywedy Magdalenu, zabożyjsia!*[45]

– Przeprowadzę – mówię spokojnie. – Jak będzie chciała przyjść.

– *Zabożysia!*

Jak mam przysięgnąć na Boga, jego przecież tu nie ma.

– Przysięgam na głowę mojej matki – mówię powoli, wyraźnie.

Luba patrzy spode łba.

– *Idy odtuda!*[46]

Odwraca się i wychodzi z baraku.

Długa droga powrotna. Brama, tory kolejowe, lasek, ogromne połacie pól. Nikt nie zatrzymuje, nie sprawdza. Wystarczy, że skręcę na ścieżkę obok rowu melioracyjnego, pójdę przed siebie. Ciekawe, ile kobiet zginęło, kopiąc ten rów. Szary wąż wiję się w trawie, wpęła do wody, płynie zygzakami. Dojdę do brzoźowego zagajnika, poczekam do zmierzchu. Nocą pójdę dalej, księżyc pokaże drogę, osłoni przed pościgiem. Urodzę ukryta przez odważnych ludzi.

Wiem, że to niemożliwe; kilometry wokół obozów są patrolowane, każdy dom w okolicy obserwowany przez szpicli, sprawdzana każda dziura w ziemi. W Birkenau słyszałam o wielu ucieczkach, wszystkie kończyły się tak samo: świętem esesmanów, publicznym powieszeniem uciekinierów. Zmuszam ciało do posłuszeństwa, wracam.

* * *

Nie zdążyłam, nie było mnie, kiedy zawieźli Magdalenę do Birkenau. Kaduk i Martha zdecydowali, że za mało ma doświadczenia, ale z jej urodą jest cennym nabytkiem dla Puff, wielu klientów o nią pyta, trzeba ją zabezpieczyć.

Wchodzę do naszego budynku, z daleka słyszę stłumiony przez ściany krzyk. Drętwieję z lęku, powoli idę na piętro. Na korytarzu stoi grupa kobiet, są wśród nich Wanda i Inge. Palą papierosy, roztrzęsione patrzą z napięciem w stronę zamkniętego gabinetu lekarskiego. Krzyk zamienia się w szloch. Zatrzymuję się przy Wandzie, spoglądam w oczy.

– Wypalili jej jajniki rentgenem – mówi. – Teraz bada je pan rakaż.

– Po co? – pytam, choć znam odpowiedź.

Wanda przymyka oczy, zaczyna powoli opowiadać.

– W Birkenau mają taki aparat. Lekarz cię bada na fotelu, potem pielęgniarki przywiązują pasami do rentgena, na stojąco. Lekarz tłumaczy, że nauka opracowała sposób, żebyś nie zaszła w ciążę. Że jesteś bardzo płodna, a on ci pomoże. Nie wiedziałybyś nawet, z kim zaszłaś, z brzuchem nie mogłabyś pracować. A wiadomo, co oni robią z kobietami, które nie nadają się do pracy. Przysuwa przed brzuch matowy ekran, włącza aparat, ogląda twoje kości. Boisz się, prosisz, żeby przerwał. Uspokaja cię, że to długo nie potrwa, prawie nie boli. Wychodzi z pielęgniarkami do drugiego pomieszczenia. Aparat cicho szumi, przez twoje ciało przechodzą niewidoczne promienie. Genialny wynalazek. Najpierw czujesz

w środku lekkie mrowienie, potem pieczenie. Mija minuta, pieczenie wzmaga się, zaczyna palić cię żywy ogień, ogarnia cały brzuch. Błagasz, żeby przestali, wyjesz z bólu. Jeśli masz szczęście, tracisz przytomność. Potem robią to jeszcze kilka razy. Jesteś coraz bardziej poparzona, masz wrzody na brzuchu i udach.

– Zrobili ci to? – pytam.

Wanda wzrusza ramionami.

– Mam dwoje dzieci, nie zależy mi.

– Boże – mówię cicho.

Inge zrozumiała, odwraca się do mnie ze złością w oczach.

– Nie mieszaj w to waszego Boga, Polaczko. Bóg jest z nami, Niemcami! Rozumiesz? Roentgen był Niemcem, wszystko, co dobre i mądre, jest niemieckie! Nasze jajniki należą do Rzeszy, jasne?

Milczymy. Powinam zgłosić się na ten zabieg, drętwieję na tę myśl. Oczy Inge są czerwone, dygocze rozwścieczona, podnosi górną wargę, błyska złotym zębem.

– Kurwa wasza mać! Co się gapicie, zaraz robota! Żreć, myć się i zapierdalać, kurwy!

Odpycha najbliższej stojące kobiety, odchodzi wielkimi krokami, otwiera drzwi do jadalni, zamyka je za sobą z trzaskiem. Szloch z gabinetu milknie, ciszę przerywa przenikliwy gwizdek, rozlegają się kroki na schodach. Na korytarz wchodzi Kaduk i Martha.

– Obiad, obiad! – woła esesmanka. – Ruszać się, ruszać się, praca czeka! Klienci czekają! No dalej, co z wami?

Patrzę na nią bez ruchu. Martha zauważa mój wzrok, jest zdziwiona, potem jej oczy zwężają się niebezpiecznie. Wanda chwyta mnie za ramię i ciągnie korytarzem. Chcę się odwrócić, złowić wzrok esesmanki, ale Wanda popycha dalej. Wchodzimy do jadalni.

Magdaleny nie ma na obiedzie. Nie zjawia się, gdy zaczyna się praca. Podobno została przeniesiona do jakiegoś sanitariatu. Boję się, że mogą ją zlikwidować. Nie dopuszczam myśli, że powinnam ją zostawić w Birkenau, pod opieką Luby. Nie mogłam przewidzieć, co się wydarzy; to jej wina, powinna powiedzieć, że jest dziewicą.

Zapada wieczór, stoimy na korytarzu. Sznur mężczyzn wychodzi od lekarza, podciągają spodnie, ustawiają się przed nami. Nie ma jeszcze Kaduka. Martha mówi głośno, z obowiązku:

– Niemcy z Niemkami.

Mężczyźni ustawiają się, wymieniają miejscami, rozmawiają z kobietami.

– Gdzie jest Magdalena? – pyta po niemiecku więzień, który stoi przede mną.

– Nie podobam ci się? – odpowiadam pytaniem. – To się odczep.

Odsuwa się, staje naprzeciw Wandy. Martha gwizdże przeciągle, wchodzimy do pokoi po obu stronach korytarza. Nie patrzę na więźnia, który idzie za mną, rozbieram się, kładę na łóżku. Nie słyszę co mówi, nie ma mnie. Widzę jak przez grubą szybę skrzywioną z wysiłku, wychudzoną twarz. Ciało jest ostrożne, ucieka, kiedy chce we mnie skończyć. Mam ochotę się roześmiać, przecież mogę być już zapłodniona. Słyszę stłumione przekleństwo, nie obchodzi mnie, że jest rozczarowany. Wstaję, podmywam się, ubieram, czekam na gwizdek, wychodzę na korytarz. Następny, następny, następny. Siódmy, ósmy, dziewiąty. Panuję nad bólem i obrzydzeniem, nie ma mnie. Gruba szyba.

Stoję na korytarzu, czekamy na ostatnich więźniów. Przez okno widzę na niebie srebrną połówkę księżyca. Nie witam się, nic dla mnie nie znaczy. Korytarz wypełnia się powoli.

– Niemcy z Niemkami! – monotonnie powtarza Kaduk. – Ty tam, to polska dziwka. Słyszysz, jesteś Niemcem czy nie?

– Ale jest Aryjką, chcę z nią – odpowiada mężczyzna, który stoi przede mną.

– Bierz ją sobie, taki z ciebie kundel jak i ona – parska pogardliwie Kaduk.

Odwracam się, wchodzę do pokoju, zdejmuję sukienkę, kładę się na łóżku. Mężczyzna zamyka drzwi, nie rusza się, wlepia we mnie wzrok.

– Na co czekasz? – mówię i patrzę na niego.

Szyba rozplywa się, nade mną stoi Karl. Ogarnia mnie fala lęku i gniewu, zrywam się i ubieram. Wyciągam z kieszeni chustkę, zatykam otwór w drzwiach. Odwracam się do Karla, panuję nad nerwami, mówię cicho.

– Nie dostałeś grypsu?

Ma łzy w oczach, podchodzi, chce się do mnie przytulić. Odsuwam się, trzymam go na dystans wyciągniętą ręką.

– Szukałem cię wszędzie – mówi bezradnie.

– Zadałam ci pytanie – nalegam.

Potakuje posłusznie.

– Dostałem, od Ukrainki. Ale musiałem cię zobaczyć.

Mam ochotę uderzyć go w twarz, żeby się obudził.

– Napisałam, nie zbliżaj się do Puff! – szepczę z pasją. – Wolfgang Steinhoff tu rządzi, SS-Hauptsturmführer. Biarritz, pamiętasz? Rozpoznał mnie!

W oczach Karla pojawia się strach.

– Zrozumiałeś wreszcie! – Kipię ze złości.

– Musiałem cię zobaczyć, Elizo – powtarza jękliwie. – Ja umieram.

– Gówna prawda! – eksploduję. – Przeżyjesz. Ja przeżyję. Tylko to się liczy, przeżyć!

Znowu próbuje mnie objąć. Odpycham go.

– Elizo... – zaczyna.

Przerywa mu ostre stukanie w drzwi.

– Co tam się dzieje? Odetkać dziurę! – rozkazuje głos Marthy.

Zrzucam sukienkę, popycham Karla na łóżko, wyciągam chustkę z dziury w drzwiach.

– Przepraszam, Frau Aufseherin, klient się trafił nieśmiały – mówię głośno.

– To niech wali konia w swoim baraku – dobiega z korytarza. – Tu mamy zasady.

Idę do łóżka, kładę się.

– Zdejmij spodnie, połóż się – mówię rozkazującym tonem. – Szybciej.

Karl rozbiera się, kładzie na mnie. Słyszę kroki, Martha odchodzi.

– Co ci jest? – pytam spokojniej. – Mało masz jedzenia?

– Nie daję rady, jestem martwy – odpowiada Karl. – Nic nie czuję.

Nie obchodzą mnie jego odczucia.

– Przenieśli cię do komanda na rampie? Przy krematorium?

– Nie.

– To nie zawracaj mi głowy – cedzę zimnym tonem. – Nie wolno ci tu przychodzić, Wolfgang cię pozna. Będą cię bić, doniesiesz na mnie. Powieszą nas za szpiegostwo przeciw Rzeszy. Wolfgang uważa, że pracowaliśmy dla jakiegoś wywiadu. Nie przekonasz psychopaty, zginę przez twoją głupotę!

Karl leży nieruchomo, lęk w jego oczach pogłębia się. Gdzie się podział bezczelny, wesoły mężczyzna, z którym spędziłam najlepsze lata? Uspokajam się. Może on rzeczywiście potrzebuje pomocy.

– Wyślę ci żywność przez Ukrainkę. Czego jeszcze potrzebujesz? Lekarstw?

Karl płacze, łzy kapią mi na twarz.

– Przestań – mówię z niechęcią.

Chcę go odsunąć na bok. Opiera się, zaczyna pieścić i całować moje piersi.

– Daj spokój – powstrzymuję go.

Jest coraz bardziej podniecony, rozpycha kolanami moje uda.

– Przestań! – syczę z wściekłością.

Mocujemy się, on jest silniejszy, próbuje mnie unieruchomić.

– Kochałaś mnie, proszę! – szepcze zdyszany.

Sięgam ręką w dół, chwytam jego genitalia, ściskam z całej siły. Karl wydaje zdławiony jęk bólu, stacza się na bok. Odpycham go, zrzucam na podłogę.

– Świnia! – warczę zduszonym głosem. – Po to tu przyszedłeś?

Leży, trzymając się za podbrzusze.

– Przecież robisz to z innymi – wyjękuje, krzywiąc się z bólu.

Pochylam się i uderzam go otwartą dłonią w policzek, z całej siły. Głowa Karla odskakuje, on chwytą się za twarz. Wstaję z łóżka, panując nad dygoczącym ciałem wkładam sukienkę.

– Koniec wizyty – mówię. – Możesz się poskarżyć Hauptsturmführerowi Steinhoffowi.

Podnosi się wciąż skrzywiony z bólu.

– Co on ci zrobił?

– Dziękuję, że pytasz – odpowiadam wrogim tonem.

Przenikliwy gwizdek Marthy z korytarza. Karl wciąga spodnie, nie może zapanować nad sobą, oczy ma pełne łez. Uspokajam się, patrzę na niego bez złości, prawie mu współczuję.

– Idź już – mówię łagodniej. – Ukrainka przyniesie ci żywność. Jak zachorujesz, powiesz jej czego ci trzeba. Nigdy więcej tu nie przychodź.

Stoi nieruchomo, z opuszczonymi rękami, patrzy na mnie bezradnie. Przysuwam się, całuję go w policzek.

– Kocham cię – szepcze Karl.

– Nieprawda, to tylko obóz. Idź już.

Wypycham go za drzwi, siadam na łóżku. Muszę chwilę zostać sama z moim ciałem.

Koniec pracy, kolacja, sypialnia. Wciąż nie ma Magdaleny. Noc jest miękką wędrówką do wolności, niemiecka nauka nie kontroluje jeszcze snów. Niedługo to nastąpi, bo Rzesza ma najlepszych lekarzy i naukowców. Będę spała pod jakąś odmianą aparatu rentgena, który prześwietli moją głowę i wyłapie przestępcze sny. Jeśli w marzeniach ucieknę z obozu, aparat wypali odpowiednią część mózgu. W snach i na jawie stanę się doskonałą niewolnicą.

Za drutami i wieżyczkami rozciąga się szmaragdowe morze, powolne fale rozbijają się o skały, tuż za ogrodzeniem. Nie mam przepustki, aby przedostać się za bramę, przy której stoi olbrzymi wartownik, sięga głową do chmur. Skaczę i przeciskam się przez druty, płonę, wyrwam się śmierci, wpadam głęboko w chłodną wodę. Wynurzam się, płynę do łodzi, w której czeka Karl; czarne płyty ciała odpadają od moich ramion i nóg. Wartownik pochyla się nad morzem, ma twarz Wolfganga, chwytam mnie olbrzymią dłonią, niesie w stronę dymiących kominów. W dole kłębi się tłum ubrań i pasiaków bez ciał, błagalnie wyciągają do nieba puste rękawy. Z mojego wnętrza wydostaje się dziewczynka, rozwija skrzydła, leci wysoko nad morzem.

Budzę się, jestem spocona, mrużę oczy przed raniącym światłem latarki. Nie zadaję pytań, wiem, o co chodzi. Za ciężką sylwetką Oswalda Kaduka czeka Inge.

– Zaraz, dwie minuty – mówię.

Sięgam po przygotowaną bieliznę, obcisłą sukienkę, pończochy i buty na wysokim obcasie. Znalazłam je wieczorem pośród ubrań, które prawie codziennie dowożone są do naszego komanda. Nie zastanawiam się, do kogo należały, potrzebuję ich. Ubieram się w świetle latarki, z nocnego stolika biorę kosmetyczkę.

Idziemy do wyjścia. Kaduk zawadza o jedno z łózek, przeklina. Budzi się Wanda, patrzy na nas zdziwiona.

– Śpij dziwko – rzuca esesman w jej stronę.

Wychodzimy na korytarz. Kaduk bez słowa idzie dalej, znika na schodach. Wchodzę do łazienki, maluję się przed lustrem. Mocny, czerwony kolor ust, puder na policzkach, czarny tusz do rzęs. Włosy trochę odrosły, nabrałam ciała, staję się znowu kobietą, która robi z mężczyznami, co chce.

Wracam na korytarz. Inge pali papierosa, gwizdże cicho z uznaniem na mój widok, odkorkowuje butelkę wódki, podaje mi. Przytykam butelkę do ust, pociągam kilka łyków. Pali w gardle, rozchodzi się ciepłem po brzuchu, dociera do głowy. Inge odbiera butelkę, pije.

– Dowiedziałaś się, co z Magdaleną? – pytam.

Wzrusza ramionami, idzie do okna, przywołuje mnie. Przez szybę widać Kaduka, który przechadza się przed budynkiem. Na drodze za drutami pojawia się samochód osobowy, podjeżdża do bramy. Wartownik salutuje, podnosi szlaban. Samochód przecina pusty dziedziniec, skręca, zatrzymuje się przed naszym budynkiem. Otwierają się drzwiczki, wysiada Wolfgang. Podchodzi do Kaduka, zdejmuje rękawiczki, wyciąga coś z kieszeni spodni. W świetle latarni migają zwinięte banknoty, Kaduk chowa je do kieszeni. Inge uchyla okno. Słyszymy wyraźnie rozmowę, głosy niosą się daleko w zimnym powietrzu.

– Z całym szacunkiem Herr Hauptsturmführer, dolary byłyby lepsze – mówi niezadowolony Kaduk. – Te niedługo... No wie pan.

Wolfgang spokojnie zapala papierosa.

– Chcesz powiedzieć, Kaduk, że nie wierzysz w zwycięstwo Rzeszy?

Wielki esesman krzywi się z niesmakiem, to był chwyt poniżej pasa.

– Pańska dziwka czeka – pokazuje na budynek. – Ale proszę uważać, za byle co można trafić na front wschodni.

Wolfgang mierzy Kaduka pogardliwym spojrzeniem, rusza w stronę drzwi.

– Poza tym to lesba, pieprzy się z tą młodą Polką – nie rezygnuje Kaduk. – Trzeba będzie się nimi zająć.

Wolfgang zatrzymuje się, odwraca.

– Ona należy do mnie, Unterscharführer – mówi twardym tonem. – Czy to jasne?

Kaduk kiwa głową, ale w jego oczach iskrzy się złość.

Odchodzimy z Inge od okna; wchodzę do pokoju, który przygotowałam wieczorem, zamykam drzwi. Rozpinam górne guziki sukienki, odsłaniam trochę piersi. Czekam. Odwracam się na odgłos otwieranych drzwi, rozchyłam wargi, uśmiecham się prowokacyjnie. Wolfgang zatrzymuje się zaskoczony, nie spodziewał się takiego widoku.

– Piękna noc, prawda? – mówię, nie przestając się uśmiechać.

Być może przypominam mu o Biarritz, ale to nie jest ważne. Przeciagam się, siadam na łóżku, w przecięciu sukienki odsłania się wysoko udo w czarnej pończosze. Wolfgang bez słowa podchodzi do stolika, wyciąga z płaszcza butelkę

koniaku. Wstaję, biorę z szafki nad umywalką dwie szklanki, delikatnym ruchem wydaję z ręki Wolfganga butelkę, nalewam. Podaję szklankę Wolfgangowi, stukam w nią lekko moją, patrzę mu w oczy z uśmiechem. Waha się chwilę, potem wypija zawartość szklanki. Piję też do dna, odstawiam. Wolfgang sięga po butelkę; chwytam jego dłoń, przytrzymuję.

– Powoli – mówię. – Nie lubię kochać się po pijanemu.

Ciągnę go do łóżka, nakłaniam, żeby usiadł. Siadam obok niego.

– Mogę coś powiedzieć? – Czekam na jego milczące przyzwolenie i mówię dalej. – Naciągaliśmy z bratem bogatych graczy. W Biarritz, Cannes, Monte Carlo, w kasynach, hotelach. Nie byliśmy szpiegami, uwierz mi, proszę.

Mięśnie jego policzków ściągają się, wykrzywają usta w grymas niechęci. Wysuwa palce z mojej dłoni.

– Kłamiesz.

Uśmiecham się, brnę dalej.

– Po co miałabym kłamać, to przecież przeszłość.

Wolfgang prycha niecierpliwie.

– Twój brat? Karl Rosen, deportowany z francuskiego więzienia do Niemiec. Zwolniony rok później. Mógł zrehabilitować się na froncie, ale wolał ukrywać się i kraść. Trafił tu, bo złapano go na przemyśle morfiny ze Szwajcarii. To kryminalista, śmieć.

Opanowuję strach, nie mogę wypaść z roli. Dobrze, że nie uważa nas za szpiegów.

– Skłamałam, że jest moim bratem – mówię. – Ale w niczym więcej.

Wolfgang wstaje z łóżka, nalewa alkohol do szklanki, wypija kilkoma łykami.

– Rozbieraj się – rzuca, nie patrząc na mnie.

Podnoszę się, rozpinam sukienkę, zsuwam w dół. Zdejmuję biustonosz, pas od pończoch. Próbuję rozebrać się z wdziękiem, ale czuję przejmujące zimno. Wolfgang napełnia znów szklankę, pije powoli. Przekrwione oczy patrzą na mnie bez podniecenia, ze złością. Niczego nie osiągnę, nigdy go nie zrozumieję. Coraz bardziej się go boję. Ściągam pończochy, majtki, nie myślę już o wrażeniu, jakie wywołuję. Naga kładę się na łóżku, chowam za szybę, moje ciało czeka. Wolfgang kładzie dłoń na mojej piersi, zjeżdża w dół, zatrzymuje w kroczu.

– Ojciec wytłumaczył mi, że kobieta nie musi odczuwać przyjemności z seksu – mówi powoli; alkohol zniekształca już wymowę. – To prowadzi do zboczeń.

Milczę.

– Partia też tak uważa – dodaje.

Wspaniale, słyszę w mojej głowie, partia jest nieomylna, wyznacza granice odczuć, upraszcza życie oficerom SS. Co za ulga.

Ręka Wolfganga cofa się. Jeśli chciał mnie sprowokować i podniecić, to słabo się stara. Patrzę na sufit, fruwa pod nim obudzona mucha, nie może znaleźć sobie miejsca. Cichy dźwięk płynu nalewanego do szkła. Upije się, trzeba go będzie sprowadzić do kancelarii, sama nie dam rady, Inge na pewno zajmuje się pijanym Kadukiem. Zostawię śpiącego Wolfganga, to nie mój problem.

– Kiedy skończyłem trzydzieści lat, musiałem się ożenić – ciągnie po chwili milczenia. – Dostałem trzy kobiety do wyboru, zdrowe, silne Aryjki.

Przerywa opowieść, pije. Nie poruszam się, mucha siada na ścianie, przygląda się nam i czyści odwłok. Jest Aryjką, znam się na tym.

– Jestem dobrym patriotą, w SS od drugiego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego – podejmuje Wolfgang. – Zbierało mi się na wymioty, kiedy rozkładała nogi.

Domyślam się, że ma na myśli swoją żonę.

– Okazała się bezpłodna, dostałem rozwód. Posuń się.

To do mnie, odsuwam się pod ścianę. Wolfgang kładzie się obok, leży chwilę w milczeniu.

– Odczuwasz rozkosz z jakimiś klientami? – pyta.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Oczywiście, chcę rzec, z każdym, coraz większą, przy dziesiątym wyję z rozkoszy. Jak każda z nas, każda kobieta na świecie, im więcej pieprzenia i chujów tym lepiej. Milczę.

– Obudź mnie przed świtem – prosi.

– Dobrze – mówię miękki tonem.

Kiedy zaczynają się zwierzać, sporo mogę osiągnąć, nauczył mnie tego Karl. Pod warunkiem że mężczyzna nie jest zbyt pijany i następnego dnia nie zapomni, że stałam się powiernicą tajemnic. Patrzę na Wolfganga, jego oczy są otwarte, nieruchome.

– Moja matka nie była szczęśliwą kobietą, często płakała – podejmuje cichym głosem. – Próbowwała się zabić, kiedy przysłali telegram o ojcu. Kobiety są dziwne, przecież nie kochała go.

– Rozumiem – mówię i pytam: – Co by się stało, gdybym zaszła z tobą w ciążę?

– Usunęlibyśmy – odpowiada sennie. – Nasz lekarz zrobił dziesiątki aborcji.

Odwraca się, otacza mnie ramieniem, przyciska głowę do mojej szyi i zasypia. Leżę bez ruchu. Zimno mi.

37 A ty dokąd?

38 Co z nią?

39 Przyrowadź ją do mnie!

40 Nie ma bez niej życia. Nie ma.

41 Czego chcesz?

42 Na co ci on?

43 Powiedzieć mu, że ty jesteś dziwką?

44 Po co ją tam zabrałaś? Po co? Jeśli jej się stanie coś złego, zabiję cię!
Rozumiesz? Zabiję!

45 Znajdę twojego Karla, jeśli on żyje. Ty przyprowadź Magdalenę,
przysięgnij!

46 Idź stąd!

Anna była wyprowadzona z równowagi. Chodziła po pokoju, pałac papierosa, którego dostała od recepcjonisty, i z irytacją patrzyła na rozłożone kartki rękopisu. Jakim prawem Wolfgang opowiadał o jej życiu? Tak intymne szczegóły! To było przecież zakazane regulaminem, nie wolno mu było nawet odwiedzać tej kobiety! Niczego nie rozumiał, nie znał swojej matki.

Próbowała się zabić? To śmieszne! Kiedy przyszedł list zawiadamiający, że mąż, pułkownik Heinrich Steinhoff, zamarł w Rosji, poczuła niezmierną ulgę. Barbiturany i alkohol towarzyszyły jej od dawna, od śmierci Rachel. Proszki na sen i środki uspokajające przepisał psychiatra w szpitalu, alkohol nauczyła się pić wcześniej, z Heinrichem, kiedy zabierał ją na partyjne zjazdy. Tego wieczoru przedawkowała jedno i drugie, nie mogła bowiem wytrzymać uczucia wolności. Czytała tam i z powrotem list z kondolencjami, wyobrażała sobie Heinricha zasypiającego powoli w śnieżnej zaspie. Nie życzyła mu śmierci, ale od dawna chciała się uwolnić, nie miała pojęcia, jak do tego doprowadzić.

Sześć lat wcześniej oświadczył, że dla żony oficera Wehrmachtu nie istnieją rozwody. Nie mogła liczyć na wsparcie syna, przed którym ukrywali klęskę ich małżeństwa. Wolfgang zajęty był naprawianiem i chronieniem ojczyzny, chęć rozstania rodziców uznałby za objaw zgnilizny moralnej, którą od lat zwalczał. Niemieckie kobiety kochały swoich mężczyzn, rozwody służyły wyłącznie uwalnianiu się od wrogów Rzeszy. A esesmani byli mężczyznami idealnymi, prowadził ich nieomylny duch germańskich przodków.

Z trudem się powstrzymała od śmiechu, kiedy Wolfgang z przejęciem opowiedział o mistycznym doświadczeniu po otrzymaniu stopnia oficera SS. Wraz z innymi świeżo mianowanymi oficerami został zawieziony do Poczdamu i w ogrodzie pałacu Sanssouci mógł dotknąć wydobytej na tę okazję z krypt trumny Fryderyka Wielkiego.

– Poczulem w całym ciele uderzenie prądu elektrycznego – opowiadał z przejęciem. – Pociemniało mi w oczach, myślałem, że stracę przytomność. Usłyszałem dźwięk rogów, zobaczyłem cienie uciekających legionistów, byłem jednym z germańskich wojowników, masakrowaliśmy w Lesie Teutoburskim trzy rzymskie legiony. Potem wyrosły przede mną mury Rzymu, zdobywałem je z cesarzem Ottonem I, na chwałę Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Poczulem, że w moich żyłach płynie krew germańskich wodzów, przed którymi korzyła się cała Europa. Możesz mi wierzyć lub nie, ale od tej chwili jestem o wiele mocniejszy, psychicznie i fizycznie, kieruje mną potężna wola

Tysiącletniej Rzeszy. Wystarczą mi cztery godziny snu, jeden posiłek na dzień, mogę maszerować bez wytchnienia trzy dni i noc. Jesteśmy stworzeni do rządzenia światem, żadne państwo nie stawi czoła armii prowadzonej do boju przez oficerów SS!

Anna nie potrafiła pojąć fascynacji męża i syna historycznym błaznem z wąsikami, jak nazywała w myślach Führera. Cierpliwie słuchała wywodów o jego magnetycznej sile i charyzmie, inteligencji, poświęceniu dla narodu i wizjonerstwie. Na początku, kiedy został kanclerzem, próbowała zarazić się ich entuzjazmem, jeździła z Heinrichem na demonstracje i partyjne zjazdy, na których wódz przemawiał. Musiała się powstrzymywać, aby nie wybuchnąć śmiechem na widok fatalnego przedstawienia, historycznych ryków, podskoków, wymachiwania rękami, wykrzywionej grymasem, prostackiej twarzy. Nie mogła się zmusić do okrzyków uwielbienia, nie udzielał jej się nastrój tłumu. Tłumaczyła się bólami głowy, aż wreszcie mąż i syn przestali ją zabierać na te spektakle. Z czasem uznali, że na skutek leków psychiatrycznych doznała uszkodzeń w częściach mózgu odpowiadających za logiczne myślenie i emocje. Widywała jeszcze Führera na kronikach przed seansami filmów. Czarno-biały aktor, fałszywie wywrzaskujący wciąż te same kwestie, wydawał się komiczny i niegroźny.

Wybuch wojny przekonał Annę, jak bardzo się myliła. To była realna, złowroga siła, czyste zło od dawna wykrzywiało do świata szyderczą twarz. Mąż i syn wracali z wojennych wypraw napelnieni dumą i siłą, cały świat padał na kolana przed niemieckim duchem. Aż do tej zimy, do śnieżnej zasy, w której utknał na zawsze uciekający przed barbarzyńcami ranny Heinrich, nie pomogli mu jego ukochani żołnierze.

Anna trzykrotnie schodziła do recepcji, aby sprawdzić, czy nie zapomniano o jej połączeniu z Berlinem. Nigdy nie spróbowała powiedzieć Wolfgangowi, kim naprawdę była, co czuła i myślała przez lata małżeństwa i macierzyństwa. Dopiero rękopis obudził w niej tę potrzebę. Jak to możliwe, że osiem lat mieszkała z synem pod jednym dachem i nie doprowadziła do rozmowy, która pomogłaby obojgu rozstać się z przeszłością.

Na początku była po prostu szczęśliwa, że on przeżył, przetrwał piekło rosyjskiej niewoli, wrócił nagle po czterech latach, kiedy nie miała już siły go oplakiwać. Nie opowiadał, a ona nie zadawała pytań. Pracowała ciężko, zarabiała lekcjami języków, uczyła gry na fortepianie sześciolletnią córkę rosyjskiego pułkownika, musiała znosić jego pijackie oświadczenia. Wyciągnęła syna i siebie z sowieckiej strefy okupacyjnej dzięki przepustce podpisanej przez wciąż pijanego pułkownika, odzyskała kamienicę w Monachium; zaczęli normalnie żyć.

Prawie normalnie, bo Wolfgang nie potrafił zerwać z nałogiem, upijał się codziennie, wyrzucano go z każdej pracy. Spłacała jego długi, wyciągała z policyjnych aresztów, nauczyła się dawkować mu alkohol, dzięki czemu przestał

wychodzić na niebezpieczne, pijackie wyprawy po mieście. Nigdy nie bywał agresywny wobec niej, upijał się i zasypiał. W jakimś stopniu było to dobre życie. Aż do dnia, kiedy pod ich kamienicę zajechały dwa samochody i wysiedli z nich czterej mężczyźni – po cywilnemu i w policyjnych mundurach. Weszli do mieszkania, najstarszy oświadczył, że istnieją przesłanki wskazujące na udział Wolfganga w masowym mordowaniu więźniów w Auschwitz.

Niewiele pamiętała z tego, co się potem wydarzyło. Zaczęła protestować, ale umilkła na widok Wolfganga, który wszedł do salonu. Trzeźwy, ubrany w garnitur, spokojnie przywitał się z mężczyznami i powiedział, że jest gotów z nimi pojechać. Jakby został uprzedzony o celu ich wizyty. Od tej chwili go nie widziała, prokurator wyjaśnił, że dla dobra śledztwa nie przyznaje się podejrzanemu prawa do wizyt. Potem przeniesiono Wolfganga do więzienia w Berlinie; z powodu świadków zza żelaznej kurtyny, którzy mieli tam zeznawać. Wreszcie poinformowano Annę, że zakończyło się postępowanie wstępne i może odwiedzić syna.

Wizyta była straszna. Patrząc na Wolfganga, zrozumiała, że wkrótce umrze, brak alkoholu go zabije. Albo wspomnienia i myśli, które zabijał alkoholem. Wszystko, co miał do powiedzenia, zamykało się w jednym zdaniu, powtórzył je kilka razy: znajdź Elizę, znajdź Elizę. Gdy to mówił, widziała jego skurczoną bólem, rozdygotaną, postarzałą twarz, rozpacz w oczach.

Próbowała z nim rozmawiać, ale on zaczął krzyczeć, upadł na posadzkę, nie mógł się podnieść. Wyprowadził ją adwokat; ostatnim widokiem byli dwaj strażnicy i lekarz w białym kitlu, który zrobił Wolfgangowi zastrzyk. Kilka tygodni potem adwokat poinformował ją, że wydostał od syna więcej informacji i że odnalazł córkę Elizy w Izraelu.

Nie mogła wytrzymać w pokoju, zeszła znowu do recepcji, po raz trzeci w ciągu dwóch godzin. Młody recepcjonista rozłożył ręce na jej widok.

– Przepraszam, nadal nie mamy połączenia – powiedział z usprawiedliwiającym uśmiechem.

Zatrzymała się przed nim, opanowała przyływ irytacji.

– To niemożliwe, nie jesteśmy w afrykańskiej dżungli – rzuciła niecierpliwie. – Niech pan próbuje.

– Czekam na informację od operatora, dwadzieścia minut temu... – zaczął recepcjonista.

– Proszę się z nim połączyć! – przerwała mu Anna.

Recepcjonista westchnął z rezygnacją, podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił tarczą numer.

– Hotel Ba’Moshava – powiedział do słuchawki. – Tak, czekam. Ale pani chce wiedzieć... – Umilkł i spojrzał na Annę. – Tak, świetnie, łączę! – Pokazał ręką przeszkloną kabinę w rogu hallu.

Anna ruszyła szybko, weszła do kabiny, podniosła słuchawkę.

– Jest Berlin – powiedział recepcjonista.

– Dziękuję.

Usłyszała szum, potem daleki męski głos.

– Pani Steinhoff?

Przycisnęła mocno słuchawkę do ucha, jakby bała się, że połączenie wymknie się przez szparę przy głowie.

– Tak. Prosiłam o rozmowę z moim synem, Wolfgangiem Steinhoffem.

– Niestety, nie jest to możliwe – odparł głos.

– Jak to? Dodzwoniłam się do zakładu karnego Plötzensee? – zapytała z uczuciem paniki. – Z kim rozmawiam?

– Joachim Stilke, dowódca zmiany. Pani syn nie czuje się dobrze, został przewieziony do szpitala.

Anna wstrzymała oddech, oparła się dłonią o ścianę kabiny.

– Co mu jest?

– Zapaść. Proszę się nie martwić, syn jest w dobrych rękach. Lekarze mówią, że jego życiu nic nie zagraża. Mają tylko problem z podawaniem leków, bo pan Steinhoff ma podniszczony organizm.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć, milczała, trzymając słuchawkę przy uchu.

– Halo, słyszy mnie pani? – zapytał głos.

– Tak, jestem. Rozumiem. – powiedziała z wysiłkiem. – Do którego szpitala został odwieziony?

– Proponuję, aby zadzwoniła pani jutro, przywiozą go z powrotem. Czy to wszystko?

– Tak, do widzenia panie Stilke.

– Pani syn to dzielny człowiek. Wiemy, że był świetnym żołnierzem. Proszę się nie martwić. Do widzenia, pani Steinhoff.

Anna chciała zawołać, żeby poczekał, zapytać, co wie o służbie Wolfganga, może syn zeznał, że spłodził podczas wojny dziecko, ale połączenie zakończyło się. Odłożyła słuchawkę na widełki, wyszła z kabiny.

Świetny żołnierz, brzmiało w jej głowie, świetny żołnierz. Dlaczego obcy ludzie mają więcej wiary od niej? Recepcjonista spojrzał na nią pytająco.

– Wszystko w porządku? – zapytał, podnosząc się za kontuarem. – Złe wiadomości?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie, w porządku. Proszę przysłać do mojego pokoju butelkę koniaku.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– Jakiej marki, pani Steinhoff?

Drgnęła na dźwięk swojego nazwiska. Przeklęty wynalazek, nazywanie ludzi

zestawem dźwięków, od których nie można się uwolnić. Do końca życia.

– Obojętne, niech pan wybierze – odpowiedziała i ruszyła w stronę schodów.

– Dobrze, proszę pani.

Weszła na piętro, dotarła do swojego pokoju. Rękopis czekał na stoliku, czarne linijki równego pisma gotowe były wniknąć do mózgu. Świetny żołnierz. Usiadła na krześle, patrzyła na zapisaną kartkę. Świetny żołnierz. Chciała się roześmiać, ale wydała z siebie tylko dziwny, chrapliwy dźwięk. Straciła umiejętność śmiechu, nie pamiętała, od jak dawna. Jeśli Eliza zaszła w ciążę, musiała ją usunąć. Niemożliwe, aby pozwolili jej urodzić, nie w tym domu publicznym. Niepotrzebnie niepokoiła się tą myślą. Izraelska żołnierka nie była do niej podobna; sprawiły to jej rozdygotane nerwy i upał.

Magdalena wróciła. Pojawiła się na śniadaniu, nie patrząc na nikogo, usiadła na swoim miejscu, posmarowała chleb masłem, powoli zjadła jajecznicę, starannie wyczyściła talerz kawałkiem chleba. Wypiła kawę, powiedziała po niemiecku „dziękuję”, wstała i wyszła do sypialni. Przez jedną noc zmienili dziewczynę w dobrze funkcjonujące ciało, wyczyścili umysł. Wszystkie kobiety, nawet esesmanki przyglądały się jej ukradkiem, jakby zakazane było zdziwienie się dziełem niemieckiej nauki. Lekarze SS tworzą podwaliny postępu; nikt nie będzie cierpiał z powodu samotności, braku miłości, wszyscy będziemy doskonałymi automatami.

Nie poszłam za Magdaleną, nie chciałam zadawać pytań. Spędziłam cały ranek z daleka od naszego komanda, na tyłach ostatniego budynku Auschwitz. Siedziałam schowana w cieniu i patrzyłam na zieleniejącą przestrzeń za drutami. Niczego nie czułam w brzuchu. Byłam wolna, spacerowałam po polach, płosząc kuropatwy i stadka saren, wchodziłam do zagajników, witałam się z duchami ludzi, którzy pod postacią czarnego dymu pofrunęli do nieba.

Jest ich wielu, przechadzają się dookoła obozów, pojedynczo i całymi rodzinami. Czekają na swoją kolej, aby przedostać się do raju. Na razie wejście jest zarezerwowane dla niemieckich żołnierzy, Bóg jest po ich stronie. Nie przeszkadza to duchom, dla nich czas przestał istnieć, są pogodne, opowiadają sobie historie, które przeżyły. Czasem wiele przezroczystych postaci gromadzi się tłumnie wokół jednego narratora obdarzonego szczególnym talentem. Słucham razem z nimi, moje serce wypełnia się radością.

– Wiecie, co się przytrafiło ciotce Jentele? Kiedy trzeci raz stłuczono szybę jej cukierni i nasmarowano gwiazdę Dawida na ścianie, ciotka oświadczyła, że ma dość i wszyscy wyjeżdżają do Ameryki. Wujek Aaron powiedział, że ona chyba zwariowała i nigdzie się nie ruszy. A stary Szmul zaczął krzyczeć, żeby od razu go pochowali na cmentarzu Freimann, najlepiej żywcem, i to pomimo faktu, że groby nie są skierowane na wschód w stronę Jeruzalem, ale ku Wenecji i Malcie, co było godną ubolewania pomyłką założycieli cmentarza. Ale Jentele nie miała zamiaru posłuchać się Aarona i Szmula, bo to ona zawsze rządziła, a cukiernia była jej wianem, tak samo jak mieszkanie na pierwszym piętrze nad cukiernią. Szybko znalazła kupca, bo jej pieczywo i ciastka słynne były w całym mieście. Długo się nie targowała, dla obu stron jasne było, że Jentele z rodziną uciekają. Sprzedała cukiernię i mieszkanie, zaszyła dolary w ubrankach Ischaaka, Rebeki i małego Dawidka, spakowała trzy walizki, kupiła bilety i następnego dnia wszyscy znaleźli

się w hotelu w Berlinie. Jentele od razu poszła do amerykańskiej ambasady i poprosiła o wizy. Od razu jej odmówiono i poradzono, żeby nie myślała o wyjeździe do Ameryki bez wiz, bo kiedy tylko wylądują w amerykańskim porcie, zostaną odesłani jak przestępcy, na własny koszt. Jentele błagała, krzyczała, płakała i znowu błagała, ale drugi sekretarz ambasady powiedział, że nawet pięciokrotne stłuczenie szyb w cukierni to tylko chuligański wybryk, a gwiazda Dawida to przecież ich symbol, więc o co tyle krzyku i płaczu. I że nie są żadnymi uciekinierami politycznymi tylko przebiegłymi oszustami. W końcu dwaj panowie w mundurach wyrzucili przeklinającą ciotkę Jentele na ulicę tak gwałtownie, że potłukła sobie kolana. Pozbierała się, od razu kupiła bilety do Hamburga i następnego dnia zamieszkali wszyscy w hotelu obok portu. Jentele pokręciła się między marynarzami, postawiła komu trzeba wódkę, zapłaciła, ile trzeba jednemu kapitanowi, i za trzy dni ona, Aaron, ich potomstwo – Ischaak, Rebeka i mały Dawidek – oraz stary Szmul płynęli statkiem handlowym przez ocean. Dwa tygodnie później przybili do Puerto de Tuxpan i bez kłopotów kupili turystyczne wizy, żeby mogli zwiedzić Meksyk. Zwiedzanie zaprowadziło ich aż do granicy z Ameryką, którą przeszli nocą, z opłaconym przez Jentele przemytnikiem Metyssem, ciągnąc i pchając wózek, na którym jechali Szmul i mały Dawidek. Jentele napisała kilka lat potem w liście do kuzynki Meir, że wody Rio Grande rozstały się przed nimi jak Morze Czerwone na rozkaz Mojżesza. Zapewne rzeka w tym miejscu była po prostu płytką, ale Meir i tak nie mogła przeczytać listu, bo umarła z głodu na ulicy getta. Na amerykańskim brzegu rzeki staremu Szmulowi pokręciło się od tej podróży w głowie i głośno zaczął pozdrawiać mijane kaktusy, nazywając je imionami zmarłych krewnych i znajomych, a potem zaintonował pieśń zemirot, bo mu się wydawało, że siedzi przy stole w szabat. Aż wreszcie Metys przystawił mu długi na trzydzieści centymetrów nóż do gardła i kazał zamknąć buzię, bo zaraz usłyszą ich amerykańscy strażnicy i powystrzelają jak kojoty. Niecały tydzień potem Jentele z rodziną dojechała pociągiem do Nowego Jorku, gdzie zamieszkali w małym hoteliku w żydowskiej części dzielnicy Williamsburg. Tydzień później Jentele wiedziała już co i jak, weszła do mieszkania najważniejszego rabina i tak długo przekonywała, błagała, krzyczała i płakała, że przestraszony rebe obiecał jej pomoc w załatwieniu papierów i pożyczaniu pieniędzy na cukiernię. Minęły trzy miesiące, a pieczywo i ciastka Jentele zaczęły być słynne w dzielnicy Brooklyn, a potem w całym Nowym Jorku. Jentele otworzyła jeszcze jedną cukiernię, następnie jeszcze trzy, dla Ischaaka, Rebeki i Dawidka. Więcej nie chciała, choć ją namawiali ludzie z pieniędzmi, bo mówiła, że mogłoby to obrazić Boga, który ich uratował. I tylko zdzieciniały Szmul powtarzał uparcie, że nie wierzy w całe to zamieszanie w Niemczech i żądał, aby go odesłano do dobrego, starego Monachium. Powtarzał to co rok, w rocznicę ich ucieczki, aż w końcu umarł i był spokój.

* * *

Obiad. Magdalena nadal jest nieobecna duchem. Na pytanie Wandy o samopoczucie odpowiada skinieniem głowy i uśmiechem. Nie zwraca na mnie uwagi, jakbyśmy nigdy się nie znały, zostałam wyczyszczona z jej głowy. Po jedzeniu wstaje, mówi cicho „dziękuję” i wychodzi.

Kończę jeść, idę do sypialni. Magdalena leży na łóżku, nieruchomymi oczami patrzy w sufit, nie zwraca na mnie uwagi. Kładę się, próbuję zasnąć. Mijają godziny, podnosi nas gwizdek Marthy. Schodzimy się na piętrze, czekamy na pierwszych czternastu więźniów. Kiedy się pojawiają, Kaduk i Martha odgrywają swój teatr, mężczyźni i kobiety udają, że się dostosowują.

Obserwuję Magdalенę. Beznamiętnie patrzy na więźnia, który staje naprzeciw niej, czterdziestoletniego mężczyznę w bluzie z opaską kapo. Po gwizdku wchodzi z nim do pokoju. Jestem z moim klientem, kiedy zza ściany dobiega przeraźliwy krzyk bólu i strachu. Od razu wiem, że chodzi o Magdalенę. Ubieram się i wybiegam na korytarz.

Kapo, który poszedł z Magdalенą, zatacza się i nie przestaje krzyczeć, jego twarz, ręce i ubranie zalane są krwią. Biegną do niego Martha i Kaduk, na korytarz wychodzą przestraszone kobiety. Jestem pierwsza w pokoju Magdaleny, widzę ją z widelcem w zakrwawionej dłoni. Patrzy na mnie z przechyloną trochę głową i pytaniem w oczach. Jak dziecko, które chce się dowiedzieć, czy zrobiło wszystko zgodnie z wyuczonymi regułami.

– Nic ci nie jest? – pytam, wyjmując widelec z jej dłoni.

– Janek nie będzie zadowolony – odpowiada Magdalena.

Sadzam ją na łóżku, mamy kilkanaście sekund, aby wymyśleć wiarygodną wersję.

– Kapo ma na imię Janek? – pytam i dodaję: – Chciał cię zgwałcić, próbował pobić. Rozumiesz?

– Janek to mój narzeczony – prostuje Magdalena. Lekki uśmiech wykrzywia jej usta, zaraz zamieni się w płacz.

– Skup się – proszę, bez nadziei dotarcia do jej głowy. – Kapo gwałcił cię, jest zboczony. Zapamiętaj trzy słowa. Gwałcił mnie, zboczeniec. Powtórz.

Kiwa głową z uwagą.

– Obiecałam Jankowi, że nie dotknie mnie żaden mężczyzna. Dotrzymałam słowa. Janek czeka na mnie, bierzemy dziś ślub.

Magdalena wstaje, rusza do drzwi. Z korytarza dobiegają podniesione głosy. Chwytam ją, kładę na łóżku, rozdzieram sukienkę, rozrywam biustonosz i majtki. Powtarzam, jakbym sama się stała mechaniczną kukłą.

– Chciał mnie zgwałcić, to zboczeniec!

– Będziemy mieli troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca – ciągnie

Magdalena. – Anielę, Tereskę i małego Janka.

Nie broni się, pozwala, abym całkiem podarła jej ubranie. Patrzy na poszarpany materiał sukienki, podnosi coś.

– Brylanty, zobacz.

Nic nie ma w otwartej dłoni. Przesypuję brylanty do swojej ręki, chowam do kieszeni.

– Dzielna dziewczyna – mówię i głaszczę ją po twarzy.

Uśmiecha się zadowolona z pochwały. Tupot wielu nóg, w otwartych drzwiach zatrzymują się Kaduk i Martha. Za nimi tłoczą się kobiety, są Wanda i Inge.

– Co jest, kurwa?! – wrzeszczy Kaduk, patrzy na Magdalenę w porwanych resztkach ubrania.

Staję obok łóżka.

– Pobił ją, próbował zgwałcić i nakłonić do zбочzonego seksu, Herr Unterscharführer – wyjaśniam służbowym tonem.

Martha odsuwa Kaduka, wchodzi do pokoju.

– Jakiego seksu? – pyta rzeczowo, przyglądając się Magdalenie.

– Trudno powiedzieć, Frau Aufseherin – odpowiadam tym samym tonem. – Dziewczyna jest w szoku, broniła się. Próbowwała mu powiedzieć, że regulamin nie pozwala. Facet jest zбочzoną bestią.

Kaduk nadal jest zirytowany, wyjmuję z mojej ręki widelec, pokazuje Marcie.

– Kapo mówi co innego – oskarża. – Nie zdążył ściągnąć spodni, kiedy go tym zaatakowała.

– Kłamie – stwierdzam z naciskiem. – Wszyscy znamy Magdalenę, nigdy nie była agresywna.

– Wystarczyło, żeby krzyknęła – stwierdza Martha.

Kładę na ustach Magdaleny rękę, przyciskam.

– Zatkaną jej usta, w ten sposób.

Martha patrzy na dziewczynę.

– Jest przestraszona, dlatego nic nie mówi – uprzedzam pytania.

Kaduk kręci głową.

– Kapo został pokaleczony, nie będzie mógł wykonywać obowiązków. Ktoś musi za to odpowiedzieć.

Pochyliła się, chwyta Magdalenę za ramię, podnosi ją z łatwością, stawia na nogi. Dziewczyna patrzy na niego z uśmiechem.

– Niech pan nie mówi Jankowi, co tu zaszło – prosi po polsku.

Esesman nie zrozumiał.

– Co ona gada? – zwraca się do mnie.

Zanim udaje mi się przetłumaczyć, z korytarza odzywa się Inge.

– Zamelduję komendantowi Steinhoffowi, że nikt nie reagował na łamanie regulaminu – oświadcza mocnym tonem. – Nie pierwszy raz to się zdarza.

Kaduk krzywi się ze złością, nadal trzyma ramię Magdaleny, patrzy pytająco na Marthę.

– O mało nie wyklęła mu oczu – mówi.

Esesmanka wzrusza ramionami.

– Jeśli żadna nie doniesie, że było inaczej – zawiesza głos.

Inge przytakuje.

– Żadna.

Kaduk wciąż jest niezadowolony, patrzy na Magdaleny.

– Ona nic nie powiedziała – stwierdza i pokazuje na mnie. – Tylko ta gada.

A kapo napisze po swojemu.

Martha wzdycha niecierpliwie, wychodzi z pokoju.

– Zatkaj mu gębę. Niech powie lekarzowi, że zaatakował go więzień – mówi, potem zwraca się do kobiet. – Koniec zbiegowiska, do roboty! Na co czekacie?

Kobiety rozchodzą się, za drzwiami zostaje Inge, zwraca się do Kaduka.

– Daj spokój dziewczynie – prosi ze ściągniętą twarzą. – Ciesz się, że nie zakłużyliśmy jeszcze żadnego z nich.

Esesman wlepia wzrok w Inge, wydaje się, że ją uderzy. Nagle rozluźnia się i śmieje głośno.

– Z ciebie też jest numer! Uważaj, bo kiedyś przesadzisz!

Kładzie rękę na twarzy Inge, odpycha ją, odchodzi korytarzem. Patrzymy na stojącą bez ruchu Magdaleny.

– Ubierz ją i zaprowadź do sypialni – mówi Inge. – Dziś nie może pracować.

Rozlega się gwizdek Marthy, potem głosy mężczyzn wychodzących z pokojów. Biorę Magdaleny pod ramię, wyprowadzam na korytarz. Resztki sukni zwisają z jej ramion, poza tym jest naga, ma bose stopy. Mijamy mężczyzn i kobiety, patrzą na dziewczynę ze zdziwieniem. Ona uśmiecha się do nich i pozdrawia skinieniami głowy.

Kładę ją do łóżka, przykrywam kocem. Wielkie oczy patrzą na mnie pytająco. Mam do czynienia z dwiema Magdalenami. Ta, która poraniła kapo, jest świadoma swoich czynów, czeka, abym powiedziała, co się z nią stanie. Druga jest daleko stąd, przy narzeczonym o imieniu Janek, bezpieczna i szczęśliwa.

Ja też byłam w takim stanie, kiedy przejęłam od umierających wszy bakterie tyfusu. Wróciłam do równowagi albo tak mi się wydaje. Może wciąż jestem drugą Elizą, dzięki temu trwam w tym absurdzie. Jeśli Magdalena odzyska iluzję przytomności, ma szansę przetrwać, w przeciwnym razie zginie.

Nie wiem, ile czasu da jej Martha, ja mogłam spokojnie umierać na tyfus. Poproszę o więcej dni zwolnienia dla Magdaleny, niech jeszcze raz zadziała Inge. Musi się wydarzyć cud. W Birkenau wciąż słyszałam opowieści o cudach.

O zacinających się pistoletach esesmanów, pomyłkach na listach kierowanych do gazu. Koniec zapasów fenolu był dla mnie cudem. Długo o nim opowiadano, usłyszałam tę historię w baraku chorych, uratowaną była inna więźniarka. Cud przywraca nadzieję żywym.

* * *

Jadalnia, wkładane do ust, przeżuwane, połykane, wydalane jedzenie. Powód, dla którego zgodziłyśmy się zostać kurwami. Jeszcze zamordowane ubrania i opieka rzeźnika, zwącego się lekarzem. Jeśli wyjdziemy z tego, jaki będziemy miały powód, aby dalej żyć?

Deszcz bębni o dach, ścieka strugami po szybach. Z daleka dobiega grzmot, przetacza się, zbliża, uderza, rozbija ścianę budynku. Wychodzimy przez gruzy, przedostajemy się przez spalone piorunami druty, obok nieżywych esesmanów. Prowadzą nas błyskawice ciskane ręką mściwego boga, coraz dalej i dalej.

Magdalena też patrzy na okno, mruczy coś do siebie, wkłada jedzenie do ust jak automat. Musi stąd odejść, myślę intensywnie, jak to zrobić. Kobiety są poruszone, pod stołami krąży kawałek gazety, esesmanki udają, że nie widzą. Gazetę czyta błękitna sukienka w fioletowe lilie, Helena. Dwa dni temu powiedziałam, żeby wybrała sobie inną kieckę, bo w tej źle wygląda. Odparła, że podoba się w niej mężczyznom. Powiem dziś, że fioletowe lilie przynoszą pecha, zabiły Muriel; aresztowano ją, bo polujący na Żydów kapuś zapamiętał kobietę z liliami. Wszyscy w obozie są przesądni, wiele razy byliśmy świadkami, jak los wybiera ofiary i ocalonych. Helena skończyła czytać, podaje pod stołem gazetę Wandzie.

– Niemcy wykonali planowy odwrót spod Lublina – czyta po cichu Wanda. – Cofają się, zadają wrogowi ciężkie straty. Rosjanie podchodzą do Wisły, ale niebawem zostaną odparci i rozbici. Zbrodniarze alianccy bombardują niemiecką ludność cywilną. Berlin, Monachium, Hamburg, Stuttgart, wiele miast w Niemczech. To koniec – mówi i podaje dalej gazetę.

Patrzę na esesmanki. Zapewne dostały rozkaz wykończenia nas, kiedy obóz będzie ewakuowany. Dlatego siedzą spokojnie, nie odbierają gazety. Nie ma sensu przejmować się żywymi trupami. Może w Wolfgangu obudzi się człowiek, kiedy się dowie, że noszę jego dziecko. Nie jestem w ciąży, to niemożliwe.

Wanda odkłada łyżkę, blednie i powstrzymuje mdłości. Patrzy na mnie przestraszona.

– Co ci jest? – pytam.

– Nic – odpowiada niepewnie.

Źle się czuje, z trudem trzyma się wyprostowana na krześle.

– Zgłoś się do lekarza, niech cię zwolni – proponuję.

– Odczep się, daj mi spokój! – żąda ostrym tonem.

Milknę, odwracam głowę. W obozie nie wolno zadawać pytań ani próbować pomóc wbrew woli. Wszystkie mamy prawo umrzeć, to jest prawdziwa wolność, większa niż poza drutami.

– Przepraszam – mówi po cichu Wanda.

Nie kończy jedzenia, wstaje i wychodzi z jadalni. Dziewczyna w sukience w lilie przysuwa do siebie jej talerz, zajada łączywie. Dziwne, przecież półmiski nie są puste.

Cztery godziny do początku pracy. Magdalena siedzi na swoim łóżku, nuci półgłosem, kołysze się do rytmu. Wychodzę do obozu. Pada deszcz, przecieka dach ostatniego baraku, moje schronienie jest pełne błota.

Znajduję kawałek deski, siadam przykryta peleryną, którą zabrałam ze stosu przywiezionych ubrań. Burza przeszła bokiem, wybrała sobie inny cel. Szara przestrzeń ziemi połączona jest wodną zasłoną z niebem, kontury dalekich budynków i drzew są rozmyte; wszystko jest umowne, nierealne.

Padać będzie przez czterdzieści dni i nocy, wzbiorą wody, zaleją Auschwitz i Birkenau, zgaszą krematoria, rozleją się dalej, zatopią walczące armie. Wodzowie zbudują wielkie arki, zabiorą do nich wiernych generałów i dziwki ze wszystkich komand, toczyć będą heroiczne zmagania. Kiedy wody opadną, zwycięzcy zaludnią ziemię swoim potomstwem.

Wieczorem wciąż pada deszcz. Stoimy senne w korytarzu, przed nami ustawiają się wychodzący z gabinetu lekarskiego mężczyźni. Magdalena ma wolny dzień, pomimo to zjawia się, staje w szeregu. Kobiety patrzą na nią, starają się odgadnąć, czy dzisiejszy wieczór będzie jej ostatnim. Martha i Kaduk dyrygują, zestawiają ze sobą Aryjczyków.

Nie patrzę na Magdalенę, nie potrafię jej pomóc. Przyglądam się innym kobietom, próbuję czytać w ich twarzach. Kiedyś umiałam wyszukać w tłumie mężczyzn, których zamożność równa była samotności i desperacji. Rzadko się myliłam. Teraz widzę tylko upór przetrwania, zastygły lęk, obrzydzenie do ustawiających się przed nami samców. I do swoich ciał.

Mam ochotę zapytać tych mężczyzn, dlaczego przychodzą. Przecież wiedzą, że jak oni jesteśmy więźniarkami. Zabili w sobie resztkę człowieczeństwa? To kolejny tryumf zła, które ich gnębi. Milczę. Gdyby nie oni, byłabym trupem z Birkenau, odrobiną popiołu i dymu z komina.

Wanda nagle zgina się z jękiem w pół, chwyta za brzuch i wymiotuje. Mężczyźni przed nią odskakują na boki, przeklinają. Kobiety otaczają Wandę, przepychają się do niej Martha i Kaduk.

– Co to znaczy, świnió? – wrzeszczy esesman. – Posprzątaj to!

Uderza Wandę pięścią w plecy, ona zatacza się, chwyta oburącz parapetu okna. Kaduk znowu chce ją uderzyć.

– Czekaj! – powstrzymuje go Martha i zwraca się do najbliższych kobiet. –

Do lekarza z nią!

Wanda prostuje się z trudem, jest bardzo blada.

– Nie, nie, już dobrze – mówi z wysiłkiem i powstrzymuje następną falę mdłości. – Przepraszam, Frau Aufseherin.

Czuję mrowienie w plecach, wędruje powoli w stronę podbrzusza. Wszystkie kobiety zrozumiały, patrzą na Wandę w milczeniu. Inge i Helena odprowadzają ją do gabinetu lekarskiego. Magdalena nie zwraca uwagi na zamieszanie, patrzy w oczy stojącego przed nią więźnia. On coś do niej mówi, uśmiecha się. Martha spogląda uważnie na Magdalenenę, potem wkłada do ust gwizdek. Wchodzimy z mężczyznami do pokoi.

Przyglądam się mojemu klientowi. Na wolności miałby jakieś trzydzieści lat, tutaj skończył pięćdziesiąt. Pasiak z czerwonym trójkątem politycznego, ogolona głowa, zapadłe policzki, czarne cienie pod oczami, kości rąk i nóg bez mięśni.

– Za co tu jesteś? – pytam.

Złamałam zasadę, to pytanie wolno zadać tylko najbardziej zaufanym, wśród więźniów nie brakuje informatorów. Patrzy na mnie zaskoczony, ze zdjętymi spodniami w ręku.

– O co ci chodzi? – mówi niechętnie. – Nie twoja sprawa.

– Moja – odpowiadam spokojnie. – Za chwilę będziesz próbował zrobić mi dziecko. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o jego ojcu.

Zamiera z niepewną miną, w oczach pojawia się irytacja.

– Jesteś dziwką czy nie? – rzuca zaczepnie.

– Taką samą jak ty – stwierdzam spokojnie. – Nie mam, o czym z tobą gadać. Zrób to i wynoś się.

Ściągam sukienkę, bieliznę, kładę się na łóżku. Nie porusza się.

– Nie możesz być miłsza? – prosi pokorniejszym głosem. – Każdego dnia mogę zginąć, większa część mojego komanda nie żyje.

– Rozumiem – mówię. – Najważniejsze przed śmiercią jest przespać się z dziwką. Na co czekasz? Nie chcę, żebyś na mnie doniósł esesmanom.

Przeklina cicho, wchodzi na łóżko, kładzie się na mnie. Przez chwilę zmaga się z niemocą. Wstaje, ubiera spodnie, nie patrzy na mnie. W ciszy brzęczą muchy objajające się o szybę uchylonego okna, z daleka dobiega seria z karabinu maszynowego. Dawno przestałam reagować na ten dźwięk, umysł odnotowuje obojętnie: egzekucja.

– Nigdy więcej cię nie wybiorę – mówi więzień ze złością. – Ostrzegali mnie, że jesteś kawał kurwy.

Powstrzymuję śmiech.

– A mimo to spróbowałaś. Chciałaś udowodnić, jaki z ciebie twardziel. Dalej, opowiedz im, że wyłam z rozkoszy. Mogę trochę pokrzyzczyć, chcesz?

Odwraca się do drzwi, chce wyjść.

– Czekaj na gwizdek – mówię spokojnie. – Pomyślą, że uciekłeś.

Wyciągam się na łóżku, zaczynam jęczeć, przyciskam usta dłonią, krzyczę zdławionym głosem. Patrzy na mnie zdumiony, wściekły. Dziś nienawidzę ich wszystkich. Za Wandę.

Długi, za długi wieczór. Ostatni, dziesiąty, mówi, że nie chce się ze mną kochać, pragnie tylko porozmawiać. Kochać? Wysłuchuję cierpliwie płaczliwej opowieści o gestapo, które go złamało. Doniósł na kolegów z organizacji, a i tak go wysłali do Auschwitz. Boi się, że nadal będzie donosił, prosi, abym uprzedziła ludzi z podziemnej organizacji obozowej, jeśli ich znam. Jest dobrze odżywiony, ma włosy na głowie, ucieka w bok z przebiegłym wzrokiem. Gestapo powinno lepiej się postarać, jeśli chcą mnie sprawdzić. Może Wolfgang go nasłał? Milczę, czekam na gwizdek Marthy. Wynosi się wreszcie, z fałszywym uśmiechem przylepionym do ust.

Odczekuję kilka minut, nie chcę oglądać wychodzących więźniów i kapo. Wreszcie idę na korytarz. Zmęczone kobiety rozmawiają cicho, palą papierosy. Magdalena stoi oparta o ścianę, ma zamknięte oczy. Podchodzę do niej.

– Jak się czujesz? – pytam.

Otwiera powieki, patrzy na mnie. Jest daleko stąd, w innym świecie.

– On mnie kocha – szepcze. – Ja jego też. Kochamy się.

Potakuję, nie ma sensu pytać, o kim mówi.

– Luba chce się z tobą widzieć – mówię z naciskiem.

W jej oczach pojawia się zdziwienie.

– Kto to jest Luba? – pyta.

– Potem ci opowiem – odpowiadam.

Otwierają się drzwi gabinetu lekarskiego, wychodzą Martha i Kaduk. Esesman przywołuje gestem najbliższe stojące kobiety. Idę w stronę gabinetu, staję obok Inge i dwóch kobiet. Za mną zatrzymuje się Magdalena.

– Ścierwo do zabrania – mówi Kaduk.

Martha czeka na korytarzu, zapala papierosa.

– To była aborcja? – pytam.

Esesmanka wzrusza ramionami.

– A co? Głupia, za długo ukrywała brzuch. No, dalej.

Wchodzimy do gabinetu. Lekarz myje zakrwawione ręce nad umywalką, jest w mundurze, na krześle leży pobrudzony krwią kitel. Dwie pielęgniarki zawijają w prześcieradło białą, nieżywą Wandę.

– No już, bierzcie ją – komenderuje Kaduk.

Magdalena podchodzi do lekarza, bierze z wieszaka ręcznik, podaje mu z uśmiechem.

– Dziękuję – mówi zdziwiony lekarz.

Dziewczyna kiwa głową, pochyla się nad Wandą, całuje ją w czoło, potem

przykrywa jej twarz prześcieradłem. Wszyscy zamarli w bezruchu, pierwszy otrząsa się Kaduk.

– Zabierać ją! – mówi zirytowany i zwraca się do Magdaleny. – A ty, wynoś się!

Nie mogę się ruszyć, słyszę swój głos.

– Przecież wypalił jej pan jajniki – mówię powoli. – Aparatem rentgena.

Lekarz patrzy na mnie ze złością.

– Co takiego? – pyta agresywnym tonem.

– Niczego nie potrafi zrobić jak trzeba – dodaje cicho Inge.

Kaduk robi krok w jej stronę, uderza otwartą dłoń w policzek. Głowa Inge odskakuje, dziewczyna traci równowagę, prawie się przewraca.

– Powiedziałem, zabierać to ścierwo! – wrzeszczy Kaduk.

Wszystkie rozumiemy, że ratuje Inge. Lekarz patrzy na nią chwilę, potem wzrusza ramionami, odwraca się do pielęgniarek.

– Posprzątać i wygotować narzędzia – poleca obojętnym głosem.

Chwytny z Inge za prześcieradło przy głowie Wandy, dwie kobiety od strony nóg, wynosimy ciało z gabinetu. Idziemy korytarzem, schodzimy na parter. Ciało jest lekkie, pomniejszone o lęk, upokorzenie, nadzieję, tęsknotę za dwojgiem dzieci.

Wychodzimy na dziedziniec, w ostre światło lamp, prześcieradło nasiąknęło krwią. W milczeniu przyglądają się nam klienci burdelu, którzy nie zdążyli się jeszcze rozejść. Patrzą esesmani stojący przed budynkiem i z wieżyczki przy bramie. Piękny, żalobny kondukt ma Wanda, zamykają go Martha i Kaduk. Wszyscy powinni płakać, ja nie potrafię.

Na środku dziedzińca czeka lora z zaprzężonym do niej jednym koniem. Kładziemy ciało Wandy, najdelikatniej jak potrafimy, niech odjedzie uśpiona. Patrzymy na oddalającą się lorę. Nad bramą wisi księżyc w pełni, poprowadzi Wandę, potem poniesie dym z jej ciała. Wracamy do budynku, mijamy się w drzwiach ze zmęczonym lekarzem. Patrząc mu w oczy; jest niezadowolony, rzuca do nas zirytowanym tonem.

– Mówiłem, że jak która zajdzie, ma od razu zgłosić.

Chcę powiedzieć, że mu współczuję. Będzie musiał się wytłumaczyć przed izbą lekarską, mogą mu odebrać praktykę. Tyle lat trzeba się uczyć, aby zostać ginekologiem SS. Ja zgłoszę się na czas. Chcę wejść do budynku, przede mną wyrasta Oswald Kaduk.

– A po pracy czas na miłość – mówi kpiąco.

Patrząc w stronę, którą pokazuje ruchem głowy. W cieniu ściany stoi Wolfgang, ognek papierosa rozjaśnia jego twarz. Ruszam, zatrzymuję się przed nim. Jest nietrzeźwy, widzę płaską butelkę wystającą z kieszeni.

– Jeśli istnieje w tobie odrobina przyzwoitości, daj mi dziś spokój – mówię

powoli i wyraźnie, najlepszym niemieckim, na jaki mnie stać.

Papieros znieruchomiał w jego ustach, nie widać ukrytych w mroku oczu. Odwracam się i odchodzę. Mijam zdziwionego Kaduka, wchodzę do budynku, patrzę przez ramię. Miejsce, gdzie stał Wolfgang jest puste. Przyśnił mi się.

* * *

Jest niedziela, nie pracujemy. Deszcz nie przestaje płakać po Wandzie. Jednostajny szum, w strugach wody na szybie rozplywają się sylwetki więźniów i esesmanów. Po obiedzie niezwykła rozrywka; specjalnie dla nas przyjechało wojskowe kino objazdowe, obecność obowiązkowa.

W jadalni ustawione zostają rzędy krzesel, na ścianie zawisa biały ekran, z tyłu staje projektor. Poza nami, dziwkami i obsługą komanda, w kinie zasiadają zaproszeni z obozu esesmani. Ostatni zjawia się komendant Puff Wolfgang Steinhoff. Projektor obsługuje mały podoficer bez oka; zawdzięcza tej stracie odesłanie z linii frontu do służby propagandowej. Jego pomocnikami są dwaj szeregowcy, jeden z protezą nogi, drugi bez połowy twarzy. Niezwykły zespół wspiera walczące armie snami o odwadze i miłości.

Zaczyna się projekcja, najpierw kronika. Nasi żołnierze odpierają sowieckie ataki, niszczą czołgi, samoloty, zabijają mnóstwo Sowietów. Potem uśmiechają się do kamer na tle płonących czołgów i trupów, i wciąż maszerują naprzód. Podobnie się dzieje na froncie zachodnim, z amerykańskimi czołgami, samolotami i żołnierzami. Armiom przewodzi nieomylny geniusz wodza, wysyła w bój niewyciężone zastępy.

Potem film: *Die große Liebe*. On jest bardzo przystojnym pilotem, lata i strąca angielskie samoloty w północnej Afryce. Ona jest piękną duńską śpiewaczką, odnosi sukcesy w całej podbitej Europie. Zakochują się w sobie, ale obowiązek wciąż wzywa go do walki za Ojczyznę, nie mają czasu skosztować miłości. Mija rok, ona odnosi tryumfy w Paryżu i Rzymie; on lata w Rosji, zestrzeliwuje dziesiątki bolszewickich bandytów, w boju ginie jego najbliższy przyjaciel. Potem on jest ranny, ona przyjeżdża odwiedzić go w szpitalu w Alpach. Łączy ich pocałunek na tle gór, nad głowami kochanków przelatują bombowce Luftwaffe, gotowe do końca zniszczyć wrogów Rzeszy.

Esesmani i esesmanki przeżywają film, reagują okrzykami podziwu lub złości na sceny walk. Kaduk śmieje się zadowolony, kiedy bohater strąca samoloty wroga. Martha jest znudzona, ziewa i patrzy na zegarek. Obok mnie siedzi Magdalena, patrzy na ekran szeroko otwartymi oczami, powtarza po cichu słowa aktorów. Nie zna dobrze niemieckiego, myli się, sprawia wrażenie szczęśliwej. Inge pali papierosa, ogląda film przez smugę dymu, na jej twarzy czytelna jest pogarda. Za nią dwie wzruszone prostytutki, z oczami pełnymi łez. Czuję na plecach wzrok Wolfganga, nie odwracam się, czekam cierpliwie. Nareszcie

oklaski, gaśnie ekran, zapalają się światła. Esesmani biją brawo.

– No, teraz będziemy dawać dupy z miłością! – mówi głośno Inge.

Rozlegają się śmiechy, cichną szybko. Kaduk wstaje, spogląda na Inge ostrzegawczo. Publiczność rozchodzi się, jadalnia pustoszeje. Magdalena nadal patrzy na ekran, powtarza po cichu słowa bohaterów filmu, wciąż ich widzi.

* * *

Ciepły wiatr i deszcz. Idę otulona peleryną, nie przykrywam głowy kapturem. Woda spływa po twarzy, dostaje się pod brezentowy materiał, mam mokre plecy i brzuch. Płaskie buty zanurzają się w błocie, wchodzą w kałuże.

Robiłam tak wiele razy, dziewięcioletnia dziewczynka w drodze do szkoły, w zeszłym roku, i rok wcześniej. Nie pomagają uwagi nauczycielek ani wyrzuty matki. Jestem wodno-błotnym stworzeniem, topielicą, mieszkam w jeziorze, wciągam w toń zakochanych, nieostrożnych mężczyzn. Przyjaźnię się z żabami, węzami i rybami. W świecie suchych, zarozumiałych ludzi nie są znane moje tajemnice.

Przepustka wydobyta od pijanego Kaduka otwiera drogę do piekła, zmoknięci strażnicy przy bramie pamiętają mnie z poprzedniej wizyty, wiatr porywa krzyki i płacz tłumu na rampie. Czekam, aż Luba skończy pracę, kolumny ludzi podzielią się na umarłych i jeszcze żywych.

Pociąg odjeżdża, dym ścieli się nisko nad dachami, deszcz nie wpuszcza spalonych dusz do nieba. Idę, tłumiąc lęk, mijam esesmanów i esesmanki, nie zwracam uwagi na szczekające wilczury. Ukrainka jest wściekła i przestraszona, odciąga mnie między baraki.

– *Ty ne powinna pryhodity siudy!* – krzyczy, kiedy jesteśmy w bezpiecznej odległości. – *Rozum tebe wydobrało?! Chocisz ity do hazu? Szczo z Magdalenu?*[47]

– Jest chora, musisz ją zabrać i ukryć – mówię spokojnie.

Luba milczy, oddycha ciężko, wyciera wodę z twarzy.

– *Szczo jeji je?*[48] – pyta wreszcie.

– Nie wytrzymuje tej pracy.

W oczach Ukrainki błyska nienawiść, nie może ustać w miejscu, przechodzi kilka kroków wzdłuż ściany baraku, wraca.

– *Ja skazała tobi ne tiahnuty ji do burdelu* – cedzi przez zęby. – *Ub'ju tebe*[49].

Kiwam głową, zachowuję spokój.

– Już mi groziłaś, pamiętam. Zabierz Magdalene. Możesz ją tu ukryć?

Uderza kijem w ścianę z taką siłą, że go łamie. Złamany koniec przysuwa szybkim ruchem do mojego gardła.

– *Tobi je tam dobre, prawda?*[50] – pyta ze zmrużonymi oczami.

– Cudownie – odpowiadam. – Zadałam ci pytanie. Ukryjesz Magdalene?
Ostry koniec kija naciska mocniej, przecina skórę.

– *Dumajesz sobi szczo ja hto?* – warczy Luba. – *Komendant taboru?*[51]

Kręcę głową.

– Myślę, że dobrze im służysz. I dużo potrafisz działać.

Opuszcza kij, wbija wzrok w ziemię. Nie obraziłam jej.

– Jutro wcześniej rano wyprowadzę Magdalene za bramę – mówię dalej. –
Znajdź sposób, żeby wyjść z obozu, czekaj na nas przy drodze za torami. Będzie miała przepustkę. Ona myśli, że wciąż pracuje w Kanadzie. Spróbuj ją tam umieścić. Rozumiesz?

Ukrainka przez chwilę nie porusza się, potem przytakuje. Okręła głową, przyklepione do szerokiej twarzy mokre włosy, wąsko osadzone oczy, szerokie ramiona, ciężkie, krępe ciało. Zapamiętuję, jakbym robiła zdjęcie; po wojnie odnajdę Lubę, nawet jeśli ukryje się daleko na Ukrainie. Zabiorę Magdalene, zaopiekuję się nią, nie będę miała niczego ważniejszego do zrobienia. Szaleństwo dziewczyny zostanie ze mną do końca życia. Chwila, w której pociągnęłam ją za sobą, zostanie ze mną dłużej.

– Jutro rano – powtarzam z naciskiem. – Czekaj od świtu.

Odwracam się i odchodzę. Idę między barakami, mijam grupy więźniów maszerujących pod nadzorem kapo i esesmanów. Nie zwracają na mnie uwagi. Jestem niewidzialną kurwą, nie dotyczą mnie czas ani przestrzeń, ani szaleństwo ludzi. Dobrze, że żyję w ciekawych czasach, mogłam przecież urodzić się sto lat wcześniej lub sto lat później. Nie, za sto lat nie będzie ludzi, wymordują się, po to przecież wymyślili genialne maszyny, obozy i krematoria. Zgniją i rozpadną się miasta, jasny księżyc będzie świecił nad lasami.

* * *

Słońce odbija się w parujących kałużach, lśni na liściach drzew, razi blaskiem w szybach. Idziemy na spacer po miasteczku Oświęcim, po niemiecku Auschwitz. Mijamy przechodniów, rodziny z dziećmi. Całe miasteczko wie, co dzieje się za drutami dwóch obozów, przez ściany domów tłusty dym przeniknął do snów, okna wchłonęły rozpacz.

My nie pasujemy do tragedii, do kolumn szkieletów, które mijają na drogach. Trzynaście młodych, ładnych kobiet w kolorowych sukienkach i bucikach na obcasach. Przygotowałyśmy się do tej wyprawy; ułożone włosy, pomalowane oczy i usta, z dumą przeglądamy się w szybach wystaw. Z przodu Martha i Kaduk, z tyłu dwie esesmanki.

Oglądają się za nami zdziwieni ludzie, mężczyźni patrzą z zainteresowaniem. Trzy kobiety, które na wolności były prostytutkami, rozmawiają głośno, śmieją się wyzywająco; zaznaczają swoje prawo do istnienia,

swoją wyższość. Znają tajemnice mężczyzn, o których nie mają pojęcia żony, a nawet kochanki. Nasza smutna wiedza.

Magdalena nie poszła z nami; kiedy wychodziłam, zajęta była rozpruwaniem przywiezionych ubrań, rzuconych na stos w pustym pokoju. Nie dostała noża, o który prosiła, rozdzierała materiał rękami, zębami przegryzała szwy. Układała kupki brylantów, złotych monet i banknotów; na dom, który wybudują z Jankiem. Wybaczyła mu już zdradę z przyjaciółką, wyszeptała z uśmiechem, że ona przecież też nie jest wierna.

Martha zatrzymuje się przed wystawą cukierni, Kaduk kiwa głową na znak zgody. Kolorowe torty i ciastka patrzą na nas przez szybę, są wspomnieniem niewinności, wyciskają łzy z oczu. Kobiety wyciągają z kieszeni banknoty i monety, łączą siły. Trzy wchodzi do cukierni, wynurzają się po paru minutach z obwiązanymi sznurkiem pudełkami. Idziemy do pobliskiego parku, siadamy na ławkach.

Oszłamiający cień i szum drzew. W Auschwitz nie ma drzew; Niemcy je kochają, nie zamknęliby ich w obozach. Ciastka zostają wypakowane i starannie podzielone na małe części. Zjadamy w milczeniu, długo czujemy rozplywający się w ustach słodki krem. Smak ciastek miesza się z zapachem wolnego powietrza, z widokiem chodzących swobodnie przechodniów, krzykami dzieci, śpiewem ptaków w gałęziach. Ta młoda kobieta, pod rękę z tym mężczyzną, w nocy położy się do łóżka i będą uprawiać miłość. My już nigdy nie będziemy do tego zdolne.

Martha robi nam zdjęcia małym aparatem marki Leica, Kaduk pali papierosa. Jest leniwie, słodko w ustach, czas się zatrzymał i nigdy nie ruszy. Wstajemy z ławek, idziemy dalej ulicami miasteczka, wchodzimy na mały rynek. Pełno straganów, koni i wozów, sprzedający głośno zachwalają towary. Przeciskamy się przez tłumek; łatwo można się tu zgubić, zaniepokojone esesmanki poganiają nas niecierpliwie. Przysuwam się do Inge.

– Muszę mieć przepustkę dla Magdaleny – mówię cicho. – I drugą, dla mnie. Spogląda zdziwiona, wzrusza ramionami.

– Po co?

Przygotowałam się, kłamię bez wahania.

– Zaprowadzę ją do Birkenau, żeby spotkała się z krewnym, przywieźli go trzy miesiące temu.

– Przecież ona jest... – Inge zawiesza głos i robi palcem kółko na czole.

Przytakuję, ciągnę swoją wersję.

– Kuzyn Magdaleny jest psychiatrą, chce ją zobaczyć.

Inge kręci głową z powątpiewaniem.

– W obozie?

– Pracuje jako lekarz, ma dostęp do leków – wyjaśniam. – Niech jej poda laudanum albo coś podobnego. A nuż pomoże.

– Skąd ty to wiesz? – pyta nieufnie.

– Byłam dwa razy w Birkenau, znam kapo, która robi z nim interesy.

Inge zastanawia się przez moment.

– Spróbuję – mówi wreszcie. – Kaduk nie puści Magdaleny, nie jest głupi.

Ale czasem ta esesmańska świnią upija się tak bardzo, że wyda nawet pustą przepustkę. Wpiszesz sobie nazwisko.

– Dwie przepustki – przypominam. – To musi być dziś.

– Dlaczego? – pyta podejrzliwie Inge.

Wydstajemy się z targowiska, idziemy uliczką, która wychodzi z miasta, w stronę obozu. Zwalniam kroku, zmuszam Inge, aby została ze mną na końcu grupy. Idące za nami esesmanki zajęte są rozmową.

– Kuzyn czeka na Magdaleny jutro rano – mówię dalej.

Inge nie daje się zwieść.

– Dziewczyna wejdzie do Birkenau? Sama?

– Powiedziała, odprowadzę ją. Kuzyn przekupił esesmana, któremu sprzedaje morfinę. Ukryje Magdaleny, będzie ją leczył.

Po chwili wahania Inge wreszcie potakuje. Potem mówi z napięciem, nie patrząc na mnie.

– Kiedy spłacisz dług?

– Co byś chciała? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Poproś Wolfganga, żeby mnie zwolnił – odpowiada od razu.

Udaję zaskoczoną, chcę zyskać na czasie.

– Zwolnił od czego?

Z naprzeciwna nadjeżdżają wojskowe ciężarówki z odsłoniętymi plandekami, jadą na wschód, pełne są młodych żołnierzy. Na nasz widok żołnierze unoszą się, krzyczą, gwizdzą, zapraszają gestami, abyśmy do nich wskoczyły. Milczące twarze kobiet zbijają ich z tropu, odjeżdżają zdziwieni. Za kilka dni, może tydzień rozerwą ich wybuchy pocisków, rozjadą gąsienice czołgów. Młode ciała spragnione miłości, gnijące w błocie; przecież o to chodzi na tej wojnie.

– Słyszysz, co mówię? – pyta zniecierpliwiona Inge.

– Tak, przepraszam – potakuję, skupiam się.

W jej oczach są ból i desperacja.

– Na wolność, niech mnie zwolni do domu. Odslużyłam swoje pół roku pieprzenia, muszę wracać.

– Dlaczego nie poprosisz Kaduka?

– Jest tylko podoficerem. I nie może wiedzieć, zabiłby mnie. – Inge teraz mówi szybko, z napięciem. – Uważa, że jestem jego własnością. Po pijanemu opowiada, że wywiezie mnie po wojnie, przedstawi swojej matce. Prędeż pchnę go nożem. Poproś Steinhoffa, obiecałaś przysługę!

– Spróbuję – zaczynam delikatnie. – Ale to coś więcej niż przepustka.

Inge chwyta mnie za ramię, zapomina o esesmankach.

– Nie wytrzymam dłużej, rozumiesz?! Zwariuję, jak twoja Magdalena! Już nie jestem normalna, śnię, że wszystkich morduję. Najpierw te świny, które przychodzą pieprzyć się z nami, potem esesmanów i wszystkie dziwki. Ciebie też! Wstanę kiedyś w nocy, nie będę nawet wiedziała, co robię. Ukradłam Kadukowi bagnet!

Uciszam ją, oglądam się niespokojnie na esesmanki. Patrzą na nas, usłyszały podniesiony głos, nie wiem, czy zrozumiały słowa. Inge uspokaja się, idzie w milczeniu; esesmanki zaczynają znowu rozmawiać. Słyszę, że mówią cicho o planowanej ewakuacji, wyczuwam nieomylną woń strachu. Chcą wrócić do domów, zapomnieć, żyć normalnie, urodzić dzieci; na jedną z nich czeka narzeczony, stracił na froncie nogę, jest już bezpieczny, chciałby mieć córkę. Mama opowie córeczce baśnie o Auschwitz, utuli ją do snu.

Zbliżamy się do krańców miasta. Niskie domki po obu stronach wybrukowanej ulicy, wiele jest pustych, z rozwalonymi drzwiami i okiennicami. Domyślałam się, jakie rodziny tu mieszkały; nie miały daleko do gazu i pieców.

– Nie pozwolę, aby wypalili mnie rentgenem, chcę mieć dzieci – mówi Inge.

– Jesteś obłąkana – odpowiada mój głos. – Naprawdę chcesz skazać dziecko na życie?

* * *

Nie śpię całą noc, wstaję przed świtem. Powietrze w sypialni jest duszne, przesycone ciężkimi oddechami, jękiem, snami o wolności i śmierci. Długo stoję pod gorącym prysznicem, walczę z ciałem, które nakazuje zapomnieć o Magdalenie, przetrwać. Wsłuchuję się, z lękiem czekam na sygnał nowego życia z głębi brzucha. Cisza.

Wracam, delikatnie budzę Magdalенę, kładę palce na jej ustach. Kiwa posłusznie głową, ubiera się i staje gotowa do wyjścia. Biorę ją za rękę, prowadzę między śpiącymi kobietami. Widzę otwarte oczy Inge, patrzy na nas chwilę, potem zamyka powieki.

Wychodzimy z budynku. Niebo jest już jasne, nad pustym dziedzińcem unosi się delikatna mgiełka, z głębi obozu dobiegają gwizdki i krzyki kapo. Zaczęły się apele. Idziemy w stronę bramy, patrzą na nas zaspani strażnicy esesmani. Magdalena drży z zimna, jest nieobecna, spokojna. Zatrzymujemy się przed szlabanem, wyciągam z jej kieszeni zadrukowany papier, który w nocy przyniosła Inge. Nie mam drugiego; pijany Kaduk uwierzył, że Inge chce wyjść na spacer, pozwolił jej wypełnić przepustkę, ale zrobił się podejrzliwy i odmówił, kiedy poprosiła o kolejną, dla koleżanki. Podaję papier podoficerowi; ma grubo ciosaną twarz i szeroko rozstawione oczy, które dawno przestały być jego własnością.

– Dokąd tak wcześniej? – pyta, patrząc na przepustkę.

Staralam się wpisać imię i nazwisko charakterem pisma Kaduka. Karl uczył mnie podrabiania podpisów, ale ze słabym rezultatem.

– Dziewczyna ma się zgłosić do komendy Birkenau – odpowiadam znużonym tonem i ziewam.

Niemożliwe, aby nie dostrzegł drżenia wszystkich mięśni i nerwów mojego ciała. Liczę na jego zmęczenie po nocnej służbie, na lenistwo i magię pieczętki z czarnym orłem i swastyką. Nie myślę się, esesman oddaje przepustkę Magdalenie. Ona trzyma papier w wyciągniętej ręce i patrzy nieruchomym wzrokiem w przestrzeń. Podoficer przygląda się uważniej, krzywi usta ze zrozumieniem.

– Nie nadaje się na kurwę? – bardziej stwierdza, niż pyta.

Wzruszam ramionami. To nie moja sprawa, ja miałam tylko odprowadzić dziewczynę do bramy. Esesman podnosi szlaban na tyle, aby można było pod nim przejść.

– Trafi sama? – pyta bez zainteresowania.

– Prosta droga – odpowiadam.

Rozumiemy się, nienormalna dziewczyna pójdzie tą drogą, aby skończyć w gazowej komorze. Dziwne, że nie zostanie tam odprowadzona, ale widocznie tak zadecydowali i podoficer nie ma ochoty zadawać więcej pytań.

Ściskam dłoń Magdaleny, popycham ją lekko. Schyla się pod szlabanem i rusza przed siebie. Idzie powoli, miękko stawia stopy na asfalcie, wyprostowana, smukła, nieobecna. Strażnik odprowadza ją wzrokiem.

– Szkoda – mówi z odcieniem żalu w głosie, jakby oceniał zmarnowany przedmiot. Potem patrzy na mnie. – Umówimy się?

– Pewnie – odpowiadam z uśmiechem, odwracam się i odchodzę.

Zatrzymuję się w drzwiach, patrzę przez druty ogrodzenia. Sylwetka Magdaleny jest coraz mniejsza pod ogromnym niebem, prześwietlona blaskiem czającego się pod horyzontem słońca. Nieprawdziwa już, eteryczna, nigdy jej nie spotkałam, przez pomyłkę pojawiła się na tej planecie.

Za kilkanaście minut dojdzie do torów, do czekającej Luby. Zanim Martha się zorientuje, że nie ma jej na śniadaniu, Ukrainka ukryje Magdaleny w Birkenau. Do tego czasu podoficer zejdzie z bramy, pójdzie spać, nie zezna, że to ja wyprowadziłam dziewczynę. Zacznie się piekło, w zamieszanu esesmani nie przeprowadzą dokładnego śledztwa, mam szansę wyjść z tego cało. Albo zginę, bo nie posłuchałam się ciała.

Jakiś głos mówi, że za prosto się to odbyło. Powinam poczekać, aż Inge załatwi dwie przepustki, nie ucieka się tak łatwo od zła. Żałuję już, że strażnik nas nie zawrócił, nie zgłosił do kancelarii dziwnego spaceru o świcie. Łatwo by przyszło się wytłumaczyć: kurwy chciały się przespacerować, podziwiać wschód słońca na zielonych polach. Potem spróbowałabym jeszcze raz, inaczej,

poprosiłabym o pomoc Wolfganga, być może zwolniłby Magdalенę do domu. Po co im dziewczyna, która straciła rozum? Nie trzeba przecież likwidować wszystkich szalonych kobiet i mężczyzn, skoro cały naród ogarnęło szaleństwo.

47 Nie wolno ci tu przychodzić! Rozum ci odebrało! Chcesz iść do gazu? Co z Magdalенą?

48 Co jej jest?

49 Mówiłam, żebyś jej nie ciągnęła do burdelu. Zabiję cię.

50 Tobie jest tam dobrze, prawda?

51 Uważasz, że kim jestem? Komendantką obozu?

Martwa Anna leżała w martwej morskiej wodzie, która unosiła ją delikatnie i miękko. Oślepiające słońce przenikało przez rozgrzane ciało, smak soli wypełniał usta, wchodził do płuc. Dookoła unosiły się ciała zamordowanych kobiet, mężczyzn i dzieci; sześć milionów ciał pokryło całe morze, kołysały się lekko na drobnych falach, płynęły nad zatopionymi Sodomą i Gomorą, leczyły śmierć zadaną kulą, głodem, wycieńczeniem i gazem. Martwa woda miała cudowne właściwości, przywracała im kształty i kolory, niosła bez wysiłku w stronę otchłani na końcu ziemi, do której wpadają wody oceanów, zabierając w niebyt ofiary i katów, strach i nienawiść, aż do wiecznego źródła, z którego narodzą się ponownie, wolni od pamięci.

Przekręciła głowę, długo patrzyła na żółte, nagie wzgórza, zielone głowy palm i rozmazane słońcem sylwetki na brzegu. Bliżej, na przegubie ręki, widziała cienkie blizny przecięć. Nie chciała się wtedy zabić, próbowała się podzielić z Rachelą jej bólem, jak ona zanurzyć się w wannie pełnej krwi.

Tamta kąpiel podobna była do tej w martwym morzu; czerwień ciepłej wody przenosiła powoli w inny świat. Rachelą nie pozwalała jednak, aby Anna umarła, budziła ją zawsze zimnym pocałunkiem w czoło. Pokonując senność, Anna wynurzała się z objęć przyjaznej śmierci i zakładała na ramiona gumowe opaski. Po trzech dniach stała się przezroczysta i lekka, uwolniony umysł unosił się coraz wyżej, niechętnie wracał do ciała. Heinrich i przywieziony przez niego lekarz uznali poprzecinane przeguby za nieudane próby samobójcze, odwieźli ją do szpitala dla wariatów. Gdyby naprawdę chciała umrzeć, nic by jej nie powstrzymało.

Po zaśnięciu Heinricha w zaspie też nie miała takiego zamiaru; Wolfgang mylił się nieskończenie. Zażyła wtedy dużo psychotropów i popiła brandy, aby uspokoić szalone poczucie wolności. To prawda, że gdyby nie Stefan, mogłaby się nie obudzić, wiedziała jednak, że on przyjdzie i nie spóźni się. Jeśli w ogóle myślała, aby odejść, to właśnie Stefan mógł być przyczyną, na pewno nie Heinrich.

Zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy zeszła do piwnicy, aby zakazać węglarzowi zasypywania drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Wysypywał węgiel byle jak i odjeżdżał, zanim zdążyła na dobre się rozbudzić. Tym razem czekała na dźwięk kopyt po bruku i odgłos otwieranej metalowej klapy. Zeszła szybko po schodach i zatrzymała się zaskoczona w drzwiach piwnicy. Nie był to ten sam stary węglarz, patrzył na nią z uśmiechem młody mężczyzna. Wysoki, rozebrany do pasa, miał piersi i ramiona czarne od pyłu, pociągłą, przystojną twarz, wesołe oczy

i opadające na czoło włosy kasztanowego koloru.

– Dzień dobry panu – powiedziała Anna. Panując nad zaskoczeniem i nagłym przyływem podniecenia pokazała w głąb piwnicy. – Proszę nie zasypać tamtych drzwi.

– Dobrze – przytaknął, nie przestając się uśmiechać. – Jest pani bardzo piękną kobietą – dodał miękko, słowiańskim akcentem.

Przez kilkanaście długich sekund patrzyli sobie w oczy. Potem Anna odwróciła się i poszła do góry schodami, a on za nią. Posadziła go przy stole w kuchni, zrobiła śniadanie z jajkami na miękko i zbożową kawą z mlekiem. Usiadła naprzeciw i przyglądała się z przyjemnością, jak gryzie kromki chleba i pije kawę. Kiedy skończył jeść, wyciągnął rękę, końcami palców dotknął dłoni, którą oparła na blacie stołu. Poczowała elektryczny wstrząs, cofnęła dłoń z pełnym zakłopotania uśmiechem.

– Przepraszam – powiedział i uśmiechnął się. – Jak pani na imię?

– Anna – odparła i dodała po chwili wahania – a panu?

– Stefan.

Patrzyła przez okno, kiedy odjeżdżał wozem ciągniętym przez dwa perszerony. Na końcu ulicy odwrócił się, a ona szybko schowała się za zasłoną.

Węgiel przywożony był raz na miesiąc, zwłaszcza w lecie, kiedy potrzebny był tylko do kuchni. Anna przez trzy dni walczyła z pokusą zadzwonienia do składu i poproszenia o dodatkową dostawę. Zrobiła to czwartego dnia rano, po bezsennej nocy. Potem wykąpała się, ułożyła włosy, umalowała i wybrała najładniejszą sukienkę. Długo siedziała przed lustrem, coraz bardziej zdenerwowana i przestraszona swoją śmiałością.

Wóz węglarza przyjechał po paru godzinach. Anna nie wyjrzała przez okno, bała się, że tym razem to nie będzie Stefan. Z bijącym sercem czekała na odgłos wrzucanego węgla, miała wrażenie, że rozsadza jej głowę. Opanowując drżenie nóg, zeszła do piwnicy.

Stał jak poprzednio, rozebrany do pasa i brudny od węgla, spojrzał na nią poważnie. Anna odwróciła się bez słowa, ruszyła na górę schodami, on poszedł za nią. W sypialni zatrzymali się naprzeciw siebie, patrzyli sobie w oczy. Potem Stefan zaczął ją rozbierać, powoli i delikatnie całował odsłaniane ramiona, piersi, uda. Kochali się długo, kończyli i zaczynali znowu, nie mogli się sobą nasycić. On miał dwadzieścia sześć lat; od dwóch lat, od kiedy wysłany został na przymusowe roboty, nie obcował z kobietami. Anna miała lat czterdzieści dziewięć, nie wiedziała, że seks może być taką namiętnością i zapomnieniem. Opadli wreszcie z sił, spoceni i pobrudzeni węglowym pyłem. Stefan nie miał prawa zostać ani minuty dłużej, za seks z Niemką zostałby powieszony. Kazała mu natychmiast wyjść i nigdy nie wracać.

Nie mogła spać ani jeść przez dwa dni, potem zadzwoniła do składu węgla

i zażądała, aby ten sam robotnik, który narobił bałaganu w piwnicy, zjawił się i porządnie ułożył węgiel. Właściciel składu był starym inwalidą, weteranem pierwszej wojny, nie zadawał pytań, następnego dnia przysłał Stefana.

Tym razem poprosiła, aby się wykapał; potem kochali się spokojniej, patrzyli sobie w oczy, szeptali miłosne słowa, żartowali, przekomarzali się, długo leżeli przytuleni. Od tego dnia Stefan tak układał trasę rozwożenia węgla, aby móc spędzić godzinę z Anną. Czekala na niego ze śniadaniem, do którego zdobywała prawdziwą kawę, wędliny, sery i owoce. On zawsze był głodny jej ciała, dopiero potem pochłaniał śniadanie i zbiegał do piwnicy, aby wyjść, brudny od węgla, przez okienko na ulicę.

Dla Anny ich godzina mijała zbyt szybko, i kiedy Stefan opowiedział, że wojna przerwała jego studia na politechnice w Krakowie, następnego dnia wymyśliła, że potrzebuje kogoś do naprawy kotła cieplnego. Zadzwoiła znowu do właściciela składu węgla, powołała się na inżynieryjne wykształcenie Stefana i zażądała pomocy; jako żona pułkownika Wehrmachtu miała prawo do darmowych robotników.

Potem zepsuł się piecyk gazowy i samochód. Naprawy przeciągały się, mieli dla siebie wiele godzin, mogli wreszcie spokojnie rozmawiać, opowiadać o sobie, żartować albo siedzieć długo w milczeniu, spełnieni, przytuleni, przenikający się jak jedno ciało, jeden umysł. Anna nie przestraszyła się nawet, kiedy stary właściciel składu węgla zjawił się pewnego dnia i ostrzegł ją, że wizyty młodego Polaka mogą się dla nich obojga źle skończyć. Lokatorzy kamienicy też dziwnie na nią patrzyli, ale ona wiedziała, że nikt nie ośmieli się złożyć donosu na żonę pułkownika i bohatera. To była jej kamienica, mogła wyrzucić ich wszystkich z mieszkań.

Minęło lato czterdziestego drugiego, nadeszła jesień. Heinrich i Wolfgang przyjeżdżali na coraz krótsze urlopy z frontu wschodniego, opowiadali z podnieceniem i dumą o zwycięskim pochodzie przez stepy. Anna z trudem wytrzymała ich wizyty, z niecierpliwością czekała, aż wyjadą.

Pewnego poranka, leżąc obok męża, usłyszała stukot kopyt i dźwięk zatrzymującego się wozu. Z bijącym sercem wstała i wyjrzała przez okno. Stefan był uprzedzony o wizycie Heinricha, ale przyciągnęła go zazdrość, chciał zobaczyć jej męża. Stał po drugiej stronie ulicy i rozmawiał z dziewczyną z cukierni, którą nowi właściciele kupili od żydowskiej rodziny, razem z mieszkaniem na piętrze. Sprzedawczyni z cukierni była o dwadzieścia lat młodsza od Anny i ładna, śmiała się zalotnie, nie przejmowała się, że polski robotnik może zostać aresztowany za rozmowę z Niemką. Anna miała ochotę zejść na dół i zwymyślać ją za lekkomyślność. Poczula dotknięcie Heinricha, który stanął obok niej w oknie.

– Co się dzieje? – zapytał sennym głosem.

Stefan podniósł głowę i spojrział na nich uważnie. Potem uklonił się

dziewczynnie, wskoczył na swój wóz, zaciął konie batem i odjechał.

– Nic, węglarz pytał o drogę – powiedziała Anna zdławionym głosem.

Chodziła potem jakby w półśnie, sparaliżowana lękiem. Umarłaby, gdyby Stefan pomyślał, że go zwodzi, kocha męża. Wciąż czuła na sobie przezroczystry peniuar, w którym podeszła do przekłętego okna. I dotknięcie Heinricha. Stefan zjawił się po jego wyjeździe, kilka dni później z nazbieranym na łąkach bukietem jesiennych kwiatów.

– Nie kochasz go – powiedział poważnie i dodał – wyjdź za mnie. Kiedy skończy się to piekło.

Uderzyła go w twarz i rozplakała się. Długo ją uspokajał i przeproszał. Kochali się, jakby to miało być ich rozstanie; pragnęli zapamiętać każdą sekundę, gest, spojrzenie, dotyk. Tydzień później Stefan został przeniesiony do fabryki zbrojeniowej, siedemdziesiąt kilometrów od Monachium. Właściciel składu węgla doniósł władzom, że jego pracownik jest inżynierem; kiedy Stefan odjeżdżał, powiedział, że ratuje mu życie.

Wtedy Anna chciała umrzeć. Prawie nie wychodziła z łóżka, podczas urlopu Wolfganga udawała chorobę, a kiedy przyjechał Heinrich, wyjechała do przyjaciółki ze szkoły, do Baden-Baden, pod pretekstem leczenia nerwów. Nie mogła dotknąć męża; piła za dużo i łykała proszki, aby choć na chwilę zasnąć.

Minęły dwa miesiące, zaczęła się zima. Heinrich i Wolfgang nie dostawali urlopów, pisali listy, skarżyli się na mrozy i przeciągające się zmagania z barbarzyńcami, którzy odmawiali pogodzenia się z losem. Potem Wolfgang odniósł ranę i został wysłany do szpitala w Generalnym Gubernatorstwie. Anna pojechała go odwiedzić, ale szybko wróciła do domu; bała się, że podczas jej nieobecności pojawi się Stefan.

Przyjechał następnego dnia, ciężarówką napędzaną węglem drzewnym, po odwiezieniu do garnizonu Wehrmachtu części do silników czołgów. Wysłano go razem z niemieckim inżynierem po następne zamówienie; Niemiec pojechał odwiedzić swoją kobietę, dał Stefanowi cały wieczór wolności. Wychudzony, pełen energii, uśmiechnięty i zakochany spędził z Anną godziny wypełnione miłością i nierealnymi planami na przyszłość.

Tak było przez kolejne miesiące, gdyż inżynier Niemiec wciąż wymyślał preteksty, aby odwiedzać kochankę. Także w dniu, w którym Anna dostała telegram zawiadamiający o śnieżnej zaspie, w której zasnął Heinrich. Stefan przyjechał trzy godziny później, odwiózł ją szczęśliwą i półprzytomną do szpitala i przywiózł do domu po wypłukaniu żołądka. Zaniósł Annę na rękach do mieszkania; nie przejmowali się sąsiadami, którzy podglądali ich przez judasze w drzwiach. Czekając, aż ona uśnie, powtarzał, że już nic nie stoi na przeszkodzie ich szczęściu. Następnego nocy fabryka została zbombardowana przez Anglików i Stefan nigdy więcej się nie pojawił. Zabiły go angielskie bomby i jej miłość.

Martwa Anna porusza ramionami i nogami, na których osiadła biała sól. Wstaje i powoli brnie do brzegu przez morze martwych ciał. Każdy krok przybliża ją do rękopisu.

Schodzimy się w jadalni, w oparach snów siadamy przy stołach, na próżno próbujemy nie obudzić się do końca. Wstajemy, kiedy wchodzi trzy esesmanki i Martha, siadamy. Kobiety w pasiakach zaczynają roznosić tace ze śniadaniem. Nie przestaję myśleć o Magdalenie. Mam nadzieję, że Luba umieściła ją w baraku chorych, potem znajdzie dla niej miejsce w Kanadzie. Magdalena będzie dobrą robotnicą, prując ubrania, znajdując złoto i brylanty, odzyska równowagę, przetrwa pod opieką Ukrainki.

Z wysiłkiem jem śniadanie, słucham rozmów i śmiechów esesmanek. Wiem, że czas się kurczy, wystarczy, że obudzony zostanie podoficer z bramy. Próbuję przedłużyć każdą sekundę, oddalić ciosy pięścią, kopniaki, uderzenia bata. Zaklinam mały, mosiężny pocisk w pistolecie Oswalda Kaduka, aby przywrócił mi wolność, zanim zostanie skatowana.

– Gdzie jest Magdalena Rożnowska?

To głos Marthy. Podnoszę wzrok, dostrzegam twarz siedzącej naprzeciw Inge. Ma czarny siniec pod okiem i rozbite usta, patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem. Spuszczam oczy, zimny dreszcz przechodzi od głowy do stóp, wnika głęboko w ziemię. Kaduk wytrzeźwiał, przypomniał sobie o przepustce, pobił Inge, zaraz się zjawi i zabierze mnie na przesłuchanie.

– Pytam, gdzie jest Rożnowska?

Martha i esesmanki wstają, odsuwają gwałtownie i przewracają krzesła. Jedna z esesmanek wybiega z jadalni.

– Głuche jesteście, kurwy? – wrzeszczy Martha. – Pytam po raz ostatni, gdzie jest Rożnowska!

Czas się kończy, otwierają się drzwi, wielka sylwetka esesmana wypełnia jadalnię, słyszę jego głos.

– Gdzie jest Magdalena Rożnowska?

Mam ochotę roześmiać się; ile razy można powtarzać to samo pytanie. Jak wszystkie kobiety na sali siedzę z nisko pochyloną głową, nic nie wiem o Magdalenie Rożnowskiej.

Martha przechodzi między stolikami, uderza pięścią o blaty, kopie krzesła. Nie słucham jej wrzasku, ani Kaduka, zagłuszają się nawzajem w atakach wściekłości.

– Rożnowska! Jak się nie znajdzie za pięć minut, wszystkie za to zapłacicie!

– Wychodzić, kurwy, na dwór! Wychodzić!

Wstajemy, ruszamy do drzwi, jak najdalej od esesmanów. W przejściu

dosięga mnie cios w bok, pod żebrami, odbiera oddech. Inne kobiety też obrywają pięściami, tłoczą się, aby jak najszybciej wydostać się z sali. Na plecy Inge spada szpicruta Kaduka, kątem oka zauważam zdziwione spojrzenie Marthy.

Na dziedzińcu wita nas wycie obozowej syreny. Pomiedzy barakami widzę biegających strażników SS, kilku trzyma na smyczach podniecone, szczekające psy. Przebiega kolumna poganianych wrzaskiem i batami więźniów. Ucieczka jest śmiertelną obrazą, pęknięciem w bezbłędnym schemacie, przez które grozi wylaniem morze wolności. Codzienna zagłada tysięcy ma mniejsze znaczenie od ucieczki jednego człowieka; wściekłość esesmanów nie ma granic, gotowi są rozstrzelać cały obóz, wszystkich świadków upokorzenia.

Bite po plecach i ramionach szpicrutą Kaduka ustawiamy się pośpiesznie w szeregu. Przepycham się, aby stanąć obok Inge, mam nadzieję, że moja bliskość powstrzyma ją od wyznania prawdy. Od bramy zbliżają się trzej oficerowie SS, idzie z nimi Wolfgang; panują nad wzburzeniem, patrzą na nas z nienawiścią. Podziwiam szybkość, z jaką zostali zaalarmowani o dramacie władzy. Wolfgang zatrzymuje się przed naszym szeregiem, wbija wzrok w twarze kobiet, mówi cicho, z napięciem:

– Gdzie jest Magdalena Rożnowska?

Wyczuwam przepływającą przez ciała falę strachu, głos Wolfganga nie zostawia nadziei.

– Jeśli nie dowiemy się, która z was pomogła uciec Rożnowskiej, całe komando osiągnie kara.

Inge stara się odwrócić, ukryć twarz. Wolfgang zauważa to, podchodzi, dłonią w rękawiczce odwraca jej głowę do siebie.

– Kto ci to zrobił?

Nie mogę się powstrzymać, spoglądam szybko na Kaduka, który stoi obok oficerów SS.

Jest blady, odpowiada mi ciężkim spojrzeniem. Rozumiemy się, Kaduk wie, że to ja poprosiłam Inge o przepustkę. Rozumiem, dlaczego mnie nie oskarża; za wystawienie tego papieru uciekinierce pojedzie na front wschodni.

– Magdalena, Herr Hauptsturmführer – odpowiada cicho Inge. – Pokłóciłyśmy się o kosmetyki.

Wolfgang zaciska szczęki, uderza szpicrutą o cholewę buta.

– Dlaczego nie zameldowałaś? To jest sabotaż, twoja twarz i ciało należą do Rzeszy. Nie znasz regulaminu?

Głos Inge jest jeszcze cichszy.

– Tak jest, Herr Hauptsturmführer.

– Gdzie jest Rożnowska? – pyta dalej Wolfgang. – Co jej zrobiłaś?

To dziwne, że słowa mogą zabić z taką łatwością. To przecież tylko dźwięki, nie są z twardej materii, nie mają szybkości ani siły kuli. Czas zabijających słów

zapisany zostanie z dumą w historii ludzkiego plemienia.

– Nic, Herr Hauptsturmführer. Nie wiem, gdzie ona jest, Herr Hauptsturmführer.

Wolfgang nie pozwala Inge odwrócić oczu, przenika ją wzrokiem.

– Zamordowałaś Rożnowską, ukryłaś jej ciało? Mów prawdę, i tak się dowiemy.

Dotykam Inge barkiem, wspieram jej przerażenie.

– Nie, Herr Hauptsturmführer, przysięgam.

Zapada cisza, wstrzymujemy oddechy. Pojedynek na słowa człowieka z esesmanem może się skończyć w jeden sposób. Wolfgang oddycha głęboko, gotów zadać śmierć dźwiękami strun głosowych, ułożonymi przez język w śmiertelny strumień drgającego powietrza. Powstrzymuje go mechaniczny odgłos silnika samochodu.

Na dziedziniec wtacza się osobowy mercedes, zatrzymuje się, wysiadają trzej oficerowie SS, jednym z nich jest SS-Sturmbannführer Richard Baer, komendant Auschwitz. Ciągną za nim dusze, setki tysięcy dusz, wypełniają cały dziedziniec, czekają z napięciem. Śmierć nadciąga powoli, przygląda się nam leniwie, jej oddech cuchnie przerażeniem.

Wolfgang i trzej oficerowie SS ruszają naprzeciw Baera i jego świty, spotykają się pośrodku niewidzialnego tłumu, wyprężają w hitlerowskim salucie. Baer wysłuchuje wyjaśnień Wolfganga, potem zadaje pytanie, słucha odpowiedzi, wreszcie rusza w stronę kancelarii na parterze budynku. Mija nasz szereg, rzuca krótkie spojrzenie, błysk inteligencji i nienawiści, wchodzi do środka. Oficerowie SS idą za komendantem, znikają w budynku. Powietrze staje się przezroczyste, lżejsze. Wolfgang zatrzymuje się przed Kadukiem.

– Apel ma trwać, dopóki uciekinierka się nie znajdzie – rozkazuje suchym tonem.

Kaduk wypręża się na baczność.

– Tak jest, Herr Hauptsturmführer! – odwraca się do nas. – Słyszałyście, kurwy? Niech która drgnie, to pożałuje!

Słyszę w jego głosie nieomylną ulgę; Kaduk umiera ze strachu, że Inge nie wytrzyma przesłuchania Steinhoffa, wygada się, pograży ich oboje. Szereg kobiet stoi bez ruchu; wraca pamięć niekończących się apeli, większość z nas ich doświadczyła, wiemy, jak przestać istnieć, myśleć, odczuwać.

Mija czas, kula słońca podnosi się wysoko, wypala oczy. Baer i jego świta wychodzą i odjeżdżają mercedesem. Dzień toczy się z bezwzględną powolnością, przechodzą kolumny wracających z pracy więźniów, patrzą na nas ze zdziwieniem. Byłyśmy przecież kurwami Rzeszy, nie dotyczyło nas prawo do cierpienia.

Słońce zniża się nad dachami, wydłużają się cienie. Kaduk i Martha zmieniają się z esesmankami z komanda, idą na obiad, wracają, przechadzają się

przed nami powolnym krokiem, wypatrują oznak słabości. Siadają na krzesłach pod ścianą, piją kawę, rozmawiają po cichu. Czasem zastępują ich szeregowi strażnicy; jeden z nich trzyma na smyczy wilczura, walczy z nudą, podchodzi blisko. Pies warczy, szczyrzy zęby przy naszych nogach, czuję jego ciepły oddech; esesman śmieje się rozbawiony. Pojawia się Wolfgang, przygląda się nam, odchodzi. Przez ułamki sekund czuję na sobie jego wzrok; mam wrażenie, że próbuje mi coś przekazać: mam być twarda, godna jego uczucia.

Pierwsza mdleje i przewraca się Helena. Na znak Kaduka jeden z esesmanów przyciąga gumowy wąż, kieruje na nią strumień lodowatej wody. Drugi strażnik szarpnięciem stawia Helenę na nogi, mokrą, półprzytomną i przerażoną. Nasze siły się kończą, nigdy nie stałyśmy na tak długim apelu. Kątem oka widzę chwiejące się sylwetki, ja też zacznam tracić równowagę.

Nasłuchuję, czy w moim wnętrzu nie poruszy się życie; zachłanny stwór, który pożre mnie od środka, aby przetrwać. Jak ja przetrwałam, pożerając najpiękniejszą istotę, która chodziła po ziemi. Magdaleny. Nad dach budynku przed nami wychodzą dwa księżyce, przyglądają mi się uważnie; mój mózg nie panuje nad oczami, nic się nie łączy w sensowną całość. Rozumiem jednak, że nie zginę, nie tym razem; przewracam się na miękki, przyjazny bruk.

Czuję ostry ból ręki, otwieram oczy, widzę przygniatający dłoń but z błyszczącą cholewą. Próbuje uwolnić rękę, patrzę do góry, wykrzywione nienawiścią oczy Kaduka przyciskają mnie do ziemi. Cofa wreszcie nogę, mogę wstać; lepiej się czuję po długim śnie. Widzę leżące ciała trzech kobiet, zwijają się pod lodowatymi strumieniami wody, ale nie są w stanie się podnieść.

Od bramy zbliżają się dwaj esesmani, prowadzą między sobą Magdaleny, trzymają za ramiona. Znowu usnęłam, patrzę na zbliżające się sylwetki przez zamknięte powieki, koszmar zniknie, kiedy je otworzę. Kaduk i Martha podbiegają do Magdaleny, biją ją pięściami, zwalają na bruk, kopią.

– Wystarczy! – rozkazuje ostry głos.

Odwracam głowę, widzę Wolfganga. Zatrzymuje się nad skuloną na bruku Magdaleny, gestem nakazuje Kadukowi, aby ją podniósł. Patrzy pytająco na esesmanów, którzy przyprowadzili dziewczynę.

– Krążyła dookoła obozów, Herr Hauptsturmführer – melduje jeden z nich. – Widziano ją rano przy Birkenau, strażnicy nie mieli pojęcia, że uciekła. Wyszła o świcie z przepustką, ale nie ma jej przy sobie. Miejskowy chłop ją przyprowadził, twierdzi, że kobieta kradła kartofle z jego stodoły.

Wolfgang słucha, potem wyjmuje z kieszeni chustkę, wyciera krew z twarzy Magdaleny.

– Kto ci pomógł w ucieczce? – pyta. – Skąd miałaś przepustkę?

Magdalena podnosi rękę, wyciąga w stronę naszego szeregu, uśmiecha się łagodnie.

– Dobrze – mówi Wolfgang. – Chodź bliżej, pokaż która.

Podchodzą, zatrzymują się przed nami. Modlę się bez słów, o nic nie proszę. Wolfgang patrzy ponaglająco na Magdalenę.

– No.

Magdalena wyciąga znowu dłoń, pokazuje na mnie. Potem przesuwa ramię, wskazuje Inge. Inge chce zaprzeczyć, wydobywa z siebie głuchy, rzęzący dźwięk.

– Te dwie? – upewnia się Wolfgang.

W jego głosie słyszę smutek. Dłoń Magdaleny znowu się porusza, wskazuje na następną kobietę, potem kolejną. Z uśmiechem na spuchniętej, pokrwawionej twarzy wolno przeciąga ręką, pokazuje wszystkie kobiety w szeregu. Jedna z nich nie wytrzyma, zaczyna nerwowo chichotać. Doskakuje do niej Martha, podnosi i błyskawicznie opuszcza szpicrutę, rozlega się jęk bólu. Wolfgang przygląda się uważnie Magdalenie.

– Wszystkie ci pomogły?

Dziewczyna nie reaguje, patrzy na mnie z uśmiechem. Zbliży się, obejmuje moją szyję ramionami, szepcze do ucha.

– Wysłałam za męża, nie mów nikomu.

Kaduk odrywa ją szarpnięciem za ramię, ustawia przed Wolfgangiem.

– Ona oszalała, Herr Hauptsturmführer – mówi Martha.

– Od jak dawna tak się zachowuje? – pyta Wolfgang.

Nikt mu nie odpowiada, Kaduk i Martha spuszczaają oczy. Wolfgang patrzy znów na Magdalenę, zastanawia się.

– Odprowadzić do karceru – mówi wreszcie.

– Tak jest! – szczeka służbowym tonem Kaduk.

Chwyta Magdalenę za ramię, prowadzi ją w stronę budynku w głębi dziedzińca. Wolfgang zwraca się do Marthy, ruchem głowy pokazuje na nas.

– Mają wrócić do siebie. Żadnych racji żywności, do odwołania. Wieczorem praca, normalnie. Jak któraś nie wytrzyma, zostanie odesłana do Birkenau. Znajdziemy trzy chętne na jej miejsce. Wykonać.

Martha salutuje wyciągniętym ramieniem. Wolfgang niedbale oddaje salut, rusza w stronę bramy. Przechodzi blisko mnie, rzuca krótkie spojrzenie; on też zna prawdę.

Spomiędzy budynków zaczynają wychodzić więźniowie, nasi klienci. Funkcyjni, kapo, w pasiakach, cywilnych ubraniach. Jest ich coraz więcej, zbliżają się, ustawiają w długą kolejkę. Patrzymy na nich z przerażeniem.

* * *

Zapadła noc. Dziesięciu mężczyzn pozbawionych wszystkiego, spragnionych miłości. Moje ciało po całym dniu apelu. Gwizdek, rozbieram się, wyciągam na łóżku, rozkładam nogi, słyszę, ale nie dociera do mnie, co mówią.

Proszę, żebym była dla nich miła, płacą za to, za dwadzieście minut przyspieszonych oddechów, za skurcz rozkoszy. Gwizdek, wysuwam się spod tułowia bez głowy, podmywam, ubieram, czekam, aż wejdzie następny; zanim zacznie mówić, zdejmuję ubranie, rozkładam nogi. Trzeci, dziewiąty, szósty, ósmy, czwarty, siódmy. To jeden tułów, który wychodzi i wraca, wychodzi i wraca, jest nienasycony. Ja jestem dziesięcioma kobietami, za każdym razem inna mu się oddaje; tak samo nieobecna, cierpliwa, rozmiłowana.

Koniec. Trzy dziewczyny nie są w stanie iść o własnych siłach, zanosimy je w kocach do sypialni. Odrętwiałe z bólu i wyczerpania pogrążamy się w letargu, który jest przedsiódkiem śmierci. Martha i Kaduk stoją na korytarzu, palą papierosy, słyszą ich przez otwarte drzwi.

– Jeśli tak będą traktowane, trzeba będzie znaleźć nowe dziwki – mówi Martha.

– Chcesz to powiedzieć Steinhoffowi? – pyta Kaduk i nie czekając na odpowiedź, rusza w stronę schodów. – Wyśpij się i nie myśl za dużo – rzuca przez ramię.

* * *

Wyobrażam sobie ich rozmowę. Oswald Kaduk wszedł na parter, zatrzymał się przed otwartymi drzwiami biura. Hauptsturmführer Steinhoff siedział za biurkiem i przeglądał dokumenty, udawał, że go nie widzi. Wreszcie podniósł głowę, przywołał Kaduka gestem ręki. Esesman wszedł, zamknął za sobą drzwi, usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka, strzepnął popiół z papierosa do popielniczki. W normalnej sytuacji nie pozwoliłby sobie na takie zachowanie. Wolfgang wyciągnął papierosa z leżącego na blacie pudełka z napisem Junon, pstryknął złotą zapalniczką, zaciągnął się i powoli wypuścił dym. Patrzyli sobie w oczy, żaden nie zamierzał ustąpić. Wolfgang obracał w palcach zapalniczkę.

– Dostałem ją od ojca, kiedy obaj wyjeżdżaliśmy na front – powiedział. – Był pułkownikiem Wehrmachtu, dowodził jednostką pancerną, zginął, walcząc z bolszewikami.

– Piękna tradycja, Herr Hauptsturmführer – przyznał Kaduk. – Mój dziadek i ojciec byli kamieniarzami. Ja wybrałem lepszą robotę.

Zamilkli, mierzyli się wzrokiem przez kłęby błękitnego dymu.

– Byli? – zapytał Wolfgang.

– Dziadka zabiła bomba, w czterdziestym drugim – wyjaśnił Kaduk. – Ojciec był żandarmem, zginął w Generalnym Gubernatorstwie, w bandyckim napadzie.

– Przykro mi to słyszeć, Unterscharführer.

Kaduk rozłożył ręce.

– Niszczymy wrogów Rzeszy, gdzie tylko można, Herr Hauptsturmführer.

Wolfgang pokiwał aprobująco głową. Wstał, podszedł do okna, przysiadł

bokiem na parapecie. Kaduk uśmiechnął się lekko; manewr Steinhoffa był nieświadomym wycofaniem.

– Przesłuchałem Magdalenę Rożnowską – zaczął znów Wolfgang. – Tym razem jednoznacznie zeznała, że przepustkę załatwiła Inge Kroll. Jak myślicie, Kaduk, od kogo ją dostała?

Kaduk odpowiedział wolno, z naciskiem wymawiał słowa.

– Przepytałem już tę Inge. Twierdzi, że przepustkę wyciągnęła od niej Eliza Obrońska. – Zrobił pauzę, zaciągnął się i wypuścił dym. – Najprościej będzie zlikwidować obie, po co obciążać kogoś z naszych, Herr Hauptsturmführer. Mam to zgłosić?

Nastąpiła cisza, zbyt długa. Wolfgang patrzył przez okno, sprawiał wrażenie zamysłonego.

– Sam się nimi zajmę – powiedział w końcu spokojnym głosem.

Kaduk skrzywił się z pogardą. Wstał, zdusił niedopałek w popielniczce, obciągnął kurtkę munduru.

– Jeśli to wszystko, Herr Hauptsturmführer, to chciałbym wrócić do pracy – rzucił służbowym tonem.

Wyraził się jasno. Jeśli prawo wymagało, aby zginęła jego kobieta, śmierć poniesie też dziewczyna Wolfganga. – Twój wybór – mówił bez słów Kaduk. – Ja nie jestem przywiązany do Inge. A ty do Elizy? Poświęcisz swoją karierę, pojedziesz dla niej na front wschodni?

Wolfgang zacisnął wargi, powstrzymał irytację, kiwnął głową. Kaduk wyprężył się, strzelił obcasami, wyciągnął ramię w pozdrowieniu.

– *Heil Hitler!*

Odwrócił się, wyszedł, zamknął za sobą drzwi.

* * *

Nadszedł czas święta SS. Zwykle, masowe zabijanie nie mogło równać się z uroczystą egzekucją publiczną, z zachowaniem reguł ceremonii. Likwidowane miliony nie miały powodu, aby istnieć, po prostu; jednostka traciła życie z racji złamania prawa. Prawo jest filarem, bez którego zapanowałby chaos, ludzie wykonujący trudną pracę mogliby zagubić się w natłoku banalnej śmierci, stracić z oczu wyższy cel. Święto zabicia jednostki przywraca sens, utrwala więź z prawem, kształtuje duszę nowego człowieka.

Słońce stawilo się na niebieskim niebie, lekki wiatr przyjemnie chłodzi widzów, elementy uroczystości są bezbłędne, niezwykła uroda skazanej elektryzuje umysły. Magdalena stoi obok szubienicy pośrodku wielkiego czworoboku, który tworzą ustawieni w dwuszeregu więźniowie Birkenau i Auschwitz. Na zewnątrz tej formacji przechadzają się esesmani z psami, stoją kapo i funkcyjni, za nimi milczące baraki. Dalej ciągną się długie linie drutów, nad którymi czuwają

wieżyczki ze strażnikami; potem rozległe pola i obojętne niebo.

Wewnątrz czworoboku, naprzeciw szubienicy, zebrali się przedstawiciele prawa, komendant obu obozów i wszyscy oficerowie SS. Są wśród nich sędziowie, którzy rozpatrzyli sprawę i wydali sprawiedliwy wyrok, zgodny z prawem. Wszyscy w wyjściowych mundurach, stosownie do okoliczności. Pod szubienicą stoi kat, podoficer SS, nie ma na głowie kaptura; ta sprawiedliwość nie ukrywa twarzy.

Trzyście sukienek z Kommanda Puff wyróżnia się ładnymi kolorami na tle brudnych pasiaków, czarnych i szarych mundurów. Nie odrywam oczu od twarzy Magdaleny, dodaję jej sił, aby nie odzyskała świadomości i odeszła w pokoju. Nie odwracam głowy w stronę Karla stojącego wśród funkcyjnych, nie patrzę na krążącą blisko Lubę.

Przeszliśmy obok niej, wchodząc do obozu. Ukrainka stała, chwiejąc się na nogach, z opuszczoną głową nuciła coś, jęcząc. Jej oczy były nieprzytomne, wypełnione wódką, łzami i krwią. Rzuciłaby się na mnie, ale była w innym świecie, z rozpaczą zaklinała swojego Boga o ratunek dla miłości. My, prostytutki z Puff, zajęłyśmy uprzywilejowane miejsca naprzeciw szubienicy, to jedna z nas bowiem obraziła prawo. Inge nie może się uspokoić, od rana powtarza te same słowa, domaga się odpowiedzi.

– Co ona im powiedziała? Co im powiedziała? Już po nas, jutro zawiśniemy. Biedna, głupia dziwka. To twoja wina, słyszysz?

Nie odpowiadam. Nie ma słów, które zasługiwałyby na wypowiedzenie, nie na tym świecie. Suchymi, piekącymi oczami widzę Oswalda Kaduka, który podchodzi do Hauptsturmführera Steinhoffa i melduje gotowość do egzekucji. Kto jest gotów, dlaczego nas nie zapytają o zdanie?

Steinhoff patrzy na komendanta Richarda Baera, tamten kiwa głową. Czas zacząć uroczystość. Wolfgang wyciąga z kieszeni skórzanego płaszcza kartkę, rozwija ją. Każdy ruch jest wyliczony, staranny, celowy. Mocnym, pewnym głosem zaczyna czytać. Słysząc go doskonale, słowa docierają do szeregów, biegną dalej, poza druty, zapisane zostają w pamięci wszechświata.

– Więźniarka Magdalena Rożnowska, za złamanie regulaminu obozu Auschwitz poprzez podjęcie próby ucieczki, została wyrokiem sądu SS skazana na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok zostanie wykonany natychmiast. Podpisano, komendant obozu, SS-Sturmabführer Richard Baer.

Dlaczego nie powiedział dziwka, prostytutka, kurwa z Kommanda Puff. To niesprawiedliwe, nie wolno pomijać przywiązanych do nas funkcji, wiernej służby dla Rzeszy. Zapominam, że nie mogę mówić, próbuję wykrzyczeć protest, głos grzęźnie mi w gardle. Inge szarpie mnie za ramię, syczy z przerażeniem.

– Zwariowałaś?

– Wykonać – mówi uroczyście Hauptsturmführer Steinhoff, zwracając się do

kata.

Próbuję dostrzec rysy twarzy tego człowieka. Coś muszę zapamiętać, to niemożliwe, aby dało się wymazać niewinną istotę bez zanotowania tak ważnego szczegółu, przecież człowiek zabija człowieka. Szubienica jest za daleko, łyzy rozmazują twarz esesmana, uniewinniają go. Ręce w czarnych rękawiczkach zakładają pętlę na szyję Magdaleny. Ona spogląda na kata z ciekawością, potem odwraca głowę i kieruje wzrok prosto na mnie; wyławia mnie z szeregu, wyciąga na środek, stawia przed szubienicą. Patrzymy na siebie z bliska, mamy sobie wiele do opowiedzenia, mnóstwo czasu, najniewinniejsza istota na planecie i ta, która ją zabiła.

Pętla zaciska się, sznur prostuje, podoficer odwraca się do komendanta Richarda Baera, on znowu kiwa głową; w jego oczach głębokie zrozumienie: trzeba zabić tę dziewczynę, w imię sprawiedliwości, dobra Rzeszy, przyszłości narodu, niech więc się stanie.

Podoficer kopie stołek, wywraca go. Nogi tracą podparcie, gwałtownie szukają ziemi, po której mogłyby odejść, zaczynają kopać powietrze, które nie daje oparcia, drżą z rozpaczy i bólu, uspokajają się. Dziwnie wykrzywiona głowa Magdaleny kołysze się, nieruchomieje, nadal zwrócona jest do mnie, szeroko otwarte oczy przenikają mózg, domagają się szaleństwa. Rozlega się przenikliwy, rozdzierający powietrze krzyk. Nie patrzę jak wszyscy w tamtą stronę, wiem, że to Luba.

* * *

Noc jest gęsta, nie pozwala oddychać, dusi, czeka. Nie jestem w stanie przetrwać następnej minuty, nie mam odwagi pójść do łazienki i wymierzyć sobie samej sprawiedliwości. Nie mogę znieść myśli, że będę musiała z tym żyć, może bardzo długo. Kim jestem, kim jestem...

Żadna z nas nie śpi, słychać cichy płacz. Otwierają się drzwi, wchodzi jakiś esesman, rozgląda się, podchodzi do łóżka Inge.

– Wstawaj, idziemy – mówi cichym głosem.

Ma czterdzieści lat, głęboko osadzone oczy pod wypukłym czołem, skóra twarzy jest pokryta bliznami po odmrożeniach, długie ręce zwisają do kolan. Znamy go, trafił do obozu razem z Wolfgangiem z frontu wschodniego; jest jego ordynansem, na imię ma Horst. Inge nie rusza się, spogląda na niego z lękiem.

– Dokąd, Horst? – pyta szeptem.

Esesman schyla się, zrzuca z niej koc.

– Bez pytań, wstawaj – powtarza głośniejszym głosem.

Inge odwraca głowę, patrzy w sufit.

– Nigdzie nie idę.

To sposób, aby odsunąć, unieważnić czas. Robiłam tak, kiedy byłam

dzieckiem, wystarczyło zamknąć oczy, a zniknęło zagrożenie.

Horst jest zniecierpliwiony, chwytając Inge za ramię, unosi pięść do uderzenia.

– Nie bij, idę! – woła Inge.

Siada szybko na łóżku, sięga po ubranie. Esesman czeka, przygląda się, kiedy ona zdejmując nocną koszulę, na nagie ciało wkłada sukienkę, potem buty. Ubrana spogląda na niego z lękiem w oczach, potem rusza z Horstem do wyjścia. Towarzysząc jej przez całą drogę, do końca, znam każdy krok, usłyszałam od pijanego Wolfganga, co powiedziała.

Inge i Horst wyszli z sypialni na korytarz. Esesman zamknął drzwi, sięgnął po karabin, który zostawił oparty o ścianę w korytarzu. Inge patrzyła w milczeniu, przestraszonymi oczami. Horst bez słowa popchnął ją w stronę schodów. Inge zatrzymała się, chwyciła poręcz.

– Powiesz mi, dokąd idziemy, albo zacznę krzyczeć – powiedziała mocnym głosem. – Unterscharführer Kaduk mi pomoże.

Esesman uniósł kolbę karabinu, wymierzył w jej głowę.

– Krzycz, kurwo, na co czekasz? – zaproponował spokojnym tonem.

Inge nabrała powietrza, uśmiechnęła się, pogładziła palcami jego dłoń.

– Nie złość się, Horst. Nie wolno nam zadawać się z esesmanami, możemy to zrobić, ale po cichu. – Pokazała uchylone drzwi do jednego z pokoi. – Nie pożałujesz, jestem najlepsza. Ile masz czasu?

Horst skrzywił się z niechęcią, oderwał rękę Inge od poręczy i popchnął ją w dół schodów.

Wyszli z budynku, księżyc czekał wysoko na niebie. Inge wzdrygnęła się pod wpływem chłodnego powiewu zza drutów, nie mogła opanować drżenia nóg, zbierało jej się na wymioty. Podeszli do bramy, Horst pokazał strażnikowi dokument. Podniósł się szlaban, wyszli na drogę. Esesman popchnął Inge w plecy, zmusił, aby przyśpieszyła. Nie miał ochoty spędzić całej nocy z tą dziwką, wyrwany ze snu marzył o powrocie do łóżka. Oddalili się od drutów i świateł, zanurzyli w ciemność.

– Puść mnie, proszę – zaczęła znowu Inge. – Zrobię ci dobrze i pójdę sobie, zgoda? Nikt się nie dowie.

Horst znów bez słowa ją popchnął. Szli w milczeniu, po kilkunastu minutach weszli pomiędzy rzadko rosnące brzozy zagajnika. Księżyc przesunął się za gałęziami, niedaleko żałośnie krzyknęła sówka. Z półmroku wyłoniła się wysoka sylwetka w skórzanej płaszczu, z żarzącym się ognikiem papierosa w dłoni. Inge i Horst podeszli bliżej, w srebrnym świetle pojawiła się twarz Wolfganga. Dziewczyna dygotała z zimna i lęku, zaczęła mówić przerywanym głosem:

– Herr Hauptsturmführer, to nie jest potrzebne, wszystko zeznam. Przepustkę załatwił Unterscharführer Oswald Kaduk, poprosiła mnie o to Eliza Obrońska. Nie miałam pojęcia, że ta dziwka Rożnowska planuje ucieczkę.

Wolfgang kiwnął głową, rzucił na ziemię papierosa, przydepnął go.

– W porządku, nie denerwuj się, Inge – powiedział uspokajająco. – Przespacerujemy się, opowiesz mi wszystko. Zapalisz?

Wyciągnął w jej stronę białe pudełko z napisem Juno. Inge wyjęła papierosa, jej dłoń mocno drżała. Wolfgang przysunął ogień zapalniczki, poczekał, aż dziewczyna się zaciągnie, potem popchnął ją delikatnie. Ruszyli przez zagajnik, Horst szedł z tyłu.

Po kilkudziesięciu krokach zatrzymali się nad niewielką rzeką. Leniwy nurt błyszczał w świetle księżyca, nisko zwisające gałęzie mokły w wodzie. Inge stała bez ruchu, zaciągała się papierosem, wolną ręką rozmazywała łzy na policzkach. Jej głos był opanowany.

– To nie tak miało być, nie tak. Jestem Niemką, nic złego nie zrobiłam. Napisałam list do matki, że niedługo wrócę.

– Dobrze, Inge – powiedział Wolfgang. – Rozumiem cię.

Odsunął się kilka kroków, dał znak Horstowi. On zdjął karabin z ramienia, zarepetował. Ostry trzask zamka przerwał ciszę.

– Czekał, Horst, chcę się pomodlić – poprosiła Inge.

Esesman spojrzał pytająco na Wolfganga, który skinął głową. Inge uklękła, złożyła ręce, szybko szeptała słowa, przerywała, żeby połknąć łzy.

– Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Ucichła, przeżegnała się i powiedziała:

– Teraz.

Horst wycelował karabin w tył jej głowy, jak robił to setki razy, od pięciu lat. Inge nagle wstała, odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Esesman zawahał się, chwilę mierzył w jej twarz, potem zniżył lufę karabinu i wystrzelił między piersi.

Uderzenie pocisku odrzuciło Inge do tyłu, wpadła do rzeczki, twarzą do góry. Wytrzeszczonymi oczami patrzyła na księżyc, próbowała oddychać, dusiła się krwią, drgała konwulsyjnie. Uspokoiła się, powoli okręciła w nurcie, zaczęła odpływać. Horst zarepetował karabin, zawiesił go na ramieniu.

– Doktor Grüber zrobi ci prześwietlenie i wystawi papiery – powiedział Wolfgang. – Resztę wojny spędzisz w sanatorium, w Alpach. Idź już, Horst.

Esesman zasalutował, odwrócił się, ruszył przez zagajnik, zniknął między brzoza. Wolfgang odpiął kaburę, wydobyl pistolet, pociągnął za zamek, wprowadził nabój do komory. Ruszył za odpływającą Inge, zrównał się z nią, wymierzył i strzelił dwa razy. Zatrzymał się, patrzył na unoszone nurtem ciało.

Pół godziny później Unterscharführer Kaduk obudził się nagle, półprzytomny i wystraszony zobaczył nad sobą ciemną sylwetkę w skórzanym płaszczu, z żarzącym się ognikiem papierosa w dłoni.

– Inge Kroll uciekła strażnikowi, który prowadził ją na przesłuchanie. Wstawaj i zacznij poszukiwania.

Kaduk obudził się do końca, z nienawiścią patrzył na Wolfganga. Ten odwrócił się i wyszedł z pokoju.

* * *

Ryk syren alarmowych wyrywa ze snu, przecina ciało jak nóż, wyprzedza lęk i cierpienie. Nie milknie jeszcze, kiedy pod sufitem zapalają się lampy, do sypialni wbiegają Martha i Kaduk, wrzeszczą, kopią łóżka, wymachują szpicrutami. Przez otwarte okna wdzierają się noc i ostre światła reflektorów, słysząc krzyki, łomot butów na bruku, ujadanie psów.

– Apel, kurwy, apel! – wrzeszczy Martha.

Kaduk zatrzymuje się przy mnie, koniec szpicruty wpycha mi w usta, pochyla się i warczy przez zaciśnięte zęby.

– Nie żyjesz, suko, rozumiesz? Załatwię ci bunkier głodowy!

Wierzę mu, czekam, aż nasyci się moim strachem. Jest pijany, ma przekrwione oczy, twarz ściągniętą z rozpacz. Widzę puste łóżko Inge, wiem, co się wydarzyło, żal mi Kaduka. Ubieram się, czując na skórze jego nienawistny wzrok.

Martha wciąż krzyczy, pogania przestraszone kobiety; dołączają do niej dwie esesmanki, są zaspane, wściekłe. Kaduk odwraca się, idzie do drzwi sypialni. Ruszamy szybko, poganiane smagnięciami szpicruty Marthy wybiegamy na korytarz, tłoczmy się przy schodach. Słyszę głosy kobiet: Inge uciekła, Inge. Zbiegamy na parter, przeciskamy się do drzwi, za którymi jarzą się światła reflektorów. Ktoś chwyta mnie za ramię, odciąga w bok. Stoję w pokoju z biurkiem i szafą na dokumenty, obok Wolfgang zwraca się do Kaduka, który zatrzymał się w korytarzu.

– Tę zabieram na przesłuchanie – mówi z naciskiem.

Esesman stawia stopę na progu, blokuje drzwi.

– Ona pomogła uciec Rożnowskiej, a teraz Kroll.

– Rozumiem, Unterscharführer, zostanie przesłuchana w tej sprawie – odpowiada Wolfgang. – Zajmijcie się pozostałymi.

Kaduk nie rusza się, dygocze od hamowanej wściekłości.

– Herr Hauptsturmführer, ta dziwka jest agentem sowieckiego wywiadu!

Wolfgang kręci głową, udaje rozbawienie.

– Wytrzeźwiejcie, Kaduk, ponosi was wyobraźnia. – Zmienia ton na ostrzejszy. – Powiedziałem, że ją przesłucham. Możecie złożyć raport, jeśli macie coś przeciw. Ale najpierw się spakujcie, bo pojedziecie bronić ojczyzny, na wschód.

Kaduk zaciska usta, cofa stopę. Patrzy na mnie, chce zapisać w pamięci

miejsce, w które wpakuje pocisk z pistoletu, po najmniejszym błędzie Steinhoffa. Wreszcie odwraca się i odchodzi pustym korytarzem. Wolfgang zamyka drzwi, krzyki esesmanów i szczekanie psów stają się cichsze.

– Nie zadawaj pytań – mówi surowym tonem. – Wiem, że jesteś winna.

Wychodzimy z budynku, idę dwa kroki przed Wolfgangiem, mijamy kobiety ustawione w szeregu, Marthę i Kaduka, który nie patrzy w naszą stronę, esesmanów z psami, podchodzimy do osobowego opla, wsiadamy. Wolfgang uruchamia silnik, skręca w stronę bramy, strażnik podnosi szlaban, wyjeżdżamy. Czy w taki sposób pozbył się Inge? Może przecież zabić mnie w pełnym świetle lamp, w zgodzie z prawem i sumieniem.

Jedziemy szybko, pasek światła osłoniętych reflektorów słabo rozświetla wąską, krętą szosę. Naokoło panuje ciemność, nie ma już księżyca. Jeśli otworzę drzwi i wyskoczę, może nie zabiję się, a potem zdołam uciec przez pola i zagajniki. Trzeba mieć szczęście, żeby trafić kogoś strzałem z pistoletu w takich ciemnościach. Wolfgang ma szczęście, jest po stronie siły i prawa; nie jestem zdolna się ruszyć.

Przymykam oczy, przez szpary powiek patrzę na uciekające po bokach szare cienie. Wolfgang jest skupiony na prowadzeniu, panuje nad myślami i uczuciami, wiele lat uczono go tej sztuki. Nie rozumiem, dlaczego teraz go zawodzi instynkt, po co ryzykuje.

Wjeżdżamy pomiędzy zaciemnione domki przedmieść, samochód kołysze się i podskakuje na nierównym bruku, budzi mieszkańców. Lęk sprawia, że od razu są czujni. Kiedy przejeżdżamy, z ulgą układają głowy na poduszkach. Nie dziś jeszcze, nie teraz, nie tej nocy. Czarne kamieniczki przesuwają się szybko, otwiera się i zamyka za nami rynek, samochód przyśpiesza, wyjeżdża z miasta.

Nie patrzę na Wolfganga, zaczynam swobodniej oddychać. Nie uwolni się ode mnie strzałem w tył głowy, bez świadków, rozegramy to inaczej, nie wiem jeszcze jak. Jestem podobna do niego, żyję kosztem śmierci najpiękniejszej istoty, jaką nosiła ziemia. Razem wymyślimy coś niezwykłego, upodlenie, które będzie godną karą.

Skręcamy w boczną, szutrową drogę, samochód nie zwalnia, ślizga się na zakrętach, blisko migają pnie drzew. Otwarta brama; zajeżdżamy przed okazałą willę z ogrodem, ze światłami przenikającymi przez zasłony w otwartych oknach i głośną muzyką fortepianu. Zatrzymujemy się.

Na tarasie siedzą dwaj wartownicy esesmani z pistoletami maszynowymi; zrywają się na widok samochodu, stają po obu stronach drzwi. Wychodzi kobieta w narzuconym na ramiona szalu, ma pięćdziesiąt lat, nadal jest piękna, pewna siebie. Wolfgang nie wyłącza silnika, wysiada, obchodzi samochód, otwiera drzwi. Wydostaję się z fotela, czuję, że mam zdrętwiałe nogi, stopy chwieją się niepewnie na żwirze, patrzę na kobietę, czekam. Ona podchodzi, wyciąga dłoń błyszczącą

pierścionkami. Wolfgang nie podaje jej ręki, mówi suchym tonem:

– Muszę wracać, zajmij się nią. Załatwiłem jej zwolnienie, ma dostać osobny pokój, z nikim się nie kontaktować.

– Wedle życzenia, Herr Steinhoff – odpowiada kobieta. – Kiedy nas pan odwiedzi?

Wolfgang nie odpowiada, wraca do samochodu, rusza, odjeżdża przez bramę, znika w ciemności. Kobieta jest rozczarowana, dotknięta, patrzy na mnie.

– Jak się nazywasz? – pyta, mierząc mnie niechętnym spojrzeniem.

– Eliza Obrońska.

– Nie jesteś Niemką – stwierdza. – Masz do mnie mówić Frau Vogel.

Odwraca się i wchodzi po schodach na taras. Idę za nią; nisko wycięta suknia odsłania jej plecy, zatrzymujemy się przed podwójnymi, przeszklonymi drzwiami, za którymi widać jasno oświetlony salon, wypełniony mężczyznami w mundurach esesmanów i kobietami. Pośrodku kręci się w powolnym tańcu kilka par. Frau Vogel opiera rękę na kłamce drzwi, odwraca się do mnie.

– Zatrudniam tylko Niemki, dla oficerów SS. Nie myśl sobie, że będziemy ci nadskakiwać, bo jesteś dziwką Steinhoffa. Parę już było przed tobą, też zostały zwolnione, wyszły przez komin krematorium.

Otwiera drzwi, przepuszcza mnie przodem. Cichnie fortepian, głowy zwracają się w naszą stronę. Oceniają mnie spojrzenia mężczyzn, odpycha niechętny wzrok młodych, ładnych kobiet. Frau Vogel wyprzedza mnie, idzie środkiem salonu. Nie patrzę na twarze, ale nie pochylam głowy, nie okazuję lęku, który wyczuwa to stado.

Na piętrze Vogel otwiera drzwi na końcu korytarza, gestem każe wejść do pokoju. Kilka antycznych mebli, łóżko, fotel, szafa na ubrania, duże lustro w złoconych ramach na ścianie.

– Nie kręć się po domu, nie wychodź z pokoju – mówi Vogel. – Łazienka jest w korytarzu, jedzenie przynosić ci będzie kucharka.

Mierzy mnie uważnym spojrzeniem, jej oczy trochę łagodnieją.

– Znasz się na mężczyznach, może przetrwasz ze Steinhoffem. On ma wysokie wymagania, nie daruje żadnego błędu. I nie wiadomo, czego oczekuje. Jest zmienny jak wiara i wojna, które go stworzyły.

– Wiara? – pytam, znając odpowiedź.

Frau Vogel krzywi się w uśmiechu.

– Szybka jak kula i powolna jak sznur. Szkoła SS.

Cofa się za próg, zamyka drzwi. Siadam na łóżku, kładę się na boku, patrzę na mały portret Führera na ścianie naprzeciw. Odpowiada mocnym wzrokiem; będzie obserwował każdy ruch i myśl, zaopiekuje się mną, jak wszystkimi poddanymi, wszystkimi ludźmi na ziemi.

* * *

Siedzę przy zamkniętym oknie, patrzę przez czystą, błyszczącą szybę. Na zielonym tle białe, błękitne, czerwone sukienki, brązowe ciała w opalaczach, stoliki z pieniającym się szampanem. Muzyka z gramofonu, gardłowe głosy, śmiechy. Zmęczona namiętność odpoczywa po nocy, cieszy się wolnością od dobra i zła. Piłka, podskakując, uderza w kikut ramienia młodego mężczyzny, on podbija ją głową, bo w zdrowej ręce trzyma kieliszek z szampanem; nagradzają go śmiechy i oklaski. Klientami burdelu są również esesmani z frontu. Tym z obozu nie grożą rany, są zdrowi na ciele i umyśle. Do pokoju wchodzi bez pukania gruba kucharka, zabiera talerze z nietkniętym jedzeniem, wychodzi.

Nie odwracam głowy od okna, boję się spojrzeć w lustro, bo czekają w nim odbicia Magdaleny; przerażonej i bezradnej na rampie, spokojnej nad stosem rozprutych ubrań, nagiej, niezwyklej pod prysznicem, z przekrzywioną głową na sznurze, oczami wbitymi głęboko w moje oczy. Wcielenia przenikają się, czasem widzę Magdalenę w mojej kawiarni w Warszawie, roześmianą, w towarzystwie narzeczonego i zdradzieckiej przyjaciółki. Ostrzegam ją przed tą dziewczyną, ratuję ich miłość. Jej wzrok szuka zapewnienia, że nie zostanie skrzywdzona. Obiecuję długie, szczęśliwe życie, starzejące się ciało, znikającą urodę, chorobę i samotną śmierć. Piękne kobiety nie umierają wśród rodziny i przyjaciół, równowaga musi zostać zachowana.

W nocy chcę zasłonić lustro, ale Magdalena prosi, abym tego nie robiła; obiecuje, że nie będzie oskarżać. Leżę, nie czekając na sen, nasłuchuję dźwięków zza ścian, kobiet, które przyjmują jednego, dwóch mężczyzn, obdzielają ich namiętnością, słuchają zwierzeń, śmieją się, jęcząc, udają orgazmy. W porównaniu z nami, dziwkami Puff, są boginiami miłości.

Powoli mija dzień. Nie czuję lęku, głodu, niczego nie pragnę, dla mnie nie ma nadziei. Zmuszam się do spojrzeń w lustro, przyglądam się sobie, z głową przekrzywioną w uścisku sznura obok Magdaleny, kołyszymy się obie nagrodzone niemym podziwem publiczności. Zapada wieczór, życie przenosi się z ogrodu do salonu, przez podłogę przenikają smutne dźwięki fortepianu, potem wesołe głosy, które czegoś się domagają. Zaczyna grać gramofon, taneczna melodia wypełnia dom szybkimi rytmemi.

Budzę się nagle z poczuciem winy, że zasnęłam, sięgam do nocnej lampki. W fotelu pod oknem siedzi Wolfgang, pali papierosa, uśmiecha się do mnie.

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć – mówi łagodnym tonem.

Siadam na łóżku, naciągam kołdrę na piersi.

– Dobry wieczór, Herr Hauptsturmführer.

Wykonuje lekki gest dłonią z papierosem, wraz z dymem odgania przeszłość.

– Od teraz jestem Wolfgang.

Potwierdzam skinieniem głowy, że zrozumiałam. Sięgam po sukienkę, chcę wstać z łóżka. On powstrzymuje mnie gestem; puszczam sukienkę, czekam.

– Przyślę ci porządne ubrania, sam wybiorę – mówi. – Nie będziesz nosić żydowskich szmat.

Zastanawiam się, skąd weźmie aryjskie ubrania, może poprosi niemieckie prostytutki. Przygląda mi się zamyślony.

– Trochę czasu to zajmie, w końcu zapomnisz tamto piekło.

Milczę. Ma rację, za sto, dwieście lat nie będę pamiętała mojej zbrodni.

– Powiedziano mi, że nie chcesz jeść. Obiecaj, że zaczniesz.

– Obiecuję – mówi obcy, gardłowy głos.

Wolfgang nagradza mnie skinieniem głowy.

– Karl Rosen dostał lepszą pracę, sprzęta magazyny w fabryce IG Farben – ciągnie.

Muszę podziękować, jestem wdzięczna, że nie zabił Karla. Bez wielkiego wzruszenia, bo wciąż może to zrobić.

– Dziękuję.

– Masz z nim ślub? – pyta z pozornym spokojem.

Teraz zaprzeczę, jak dobrze wyregulowana, mechaniczna zabawka.

– Nie, kupiliśmy lewe dokumenty, Herr Hauptsturmführer.

– Wolfgang – przypomina z naganą w głosie. – To dobrze, nie trzeba cię rozwodzić. Więcej go nie spotkasz, nigdy.

Kiwam posłusznie głową. Nigdy i nikogo nie spotkam, ale on tego nie wie.

– Tamto życie zostawisz za sobą – mówi dalej. – Będiesz teraz uczciwą, porządną kobietą. Potem staniesz się Niemką.

Dobłą, uczciwą Niemką – powtarza jak echo Magdalena w lustrze, jej głos odbija się od ścian, bezszelestnie tłucze szyby w oknie, wydobywa się z dusznego pokoju, wlatuje nad zielenią ogrodu, czyste idee łączą się w niemieckim niebie.

– Dobrze – mówię, kiedy zapada cisza.

Wolfgang jest zadowolony, ale trochę nieufny. Przygląda mi się uważnie, śledzi ślady zepsucia.

– Potrafisz się zmienić? – pyta w końcu.

– Tak, Herr... Wolfgang – odpowiada ciało, patrząc mu w oczy, z przeklętym pragnieniem przetrwania. – Mogę mieć prośbę?

Kiwa głową, więc ostrożnie mówię dalej, spełniam obietnicę, której nie mogę złamać. Moja ostatnia szansa.

– Inge Kroll odpracowała pół roku. Czy można ją zwolnić do domu? – pytam cicho. – To dobra dziewczyna.

Wolfgang zaciska usta, milczy. Prostuję się, opuszczam kołdrę, odsłaniam piersi. Za wolność Inge obdaruję go miłością, o jakiej nie śnił.

– Nigdy więcej nie proś o coś takiego – mówi wreszcie z naciskiem. –

Rozumiesz?

Spuszczam wzrok, potakuję. Dusi papierosa w popielniczce na stoliku, siada na brzegu łóżka, za brodę unosi moją twarz, patrzy badawczo w oczy.

– Dobrze, zwolnię Inge. Ale ty nigdy mi się nie sprzeciwisz, w niczym.

– Tak. Dziękuję, Wolfgang – mówię szczerze.

Cofa dłoń, nadal siedzi blisko; oczy błyszczą podnieceniem, ale panuje nad sobą.

– Nie mogę wystąpić do Reichsführera SS Heinricha Himmlera o zgodę na nasz ślub, bo zostałbym zdegradowany, a ty zabita – mówi z troską. – Przeszłość, praca w Puff i słowiańskie pochodzenie rzucają na ciebie złe światło. Zwrócono mi uwagę, że nie powinienem cię tu umieszczać. Ryzykuję dla naszej przyszłości.

Ślub – rozbrzmiewa w moim umyśle. Zaproszę Magdalенę. I Wandę. Wszystkie kobiety, które widziałam ginące w Birkenau. Kobiety od Leśmiana. I zamordowane ubrania z Kanady. Ślub pełen gości, oficerowie SS z wyciągniętymi szpadami, unosząca się woń kwiatów i rozkładających się ciał.

– Rozumiem – mówię z pokorą.

Wolfgang wzdycha, podniecenie rośnie, mierzy się z honorem esesmana.

– Może zawiozę cię do mojego domku w Alpach. Poczekamy do końca wojny, potem urodzisz mi trójkę dzieci. Nie dla Niemiec, dla nas. Pokochasz mnie?

Nie zrozumiałam pytania, patrzę na niego zdziwiona; cisza trwa o kilka sekund za długo. Twarz Wolfganga ściąga się, ciało zmusza mnie do odpowiedzi.

– Postaram się, obiecuję – mówię z wysiłkiem – Wolfgang.

Uśmiecha się ze smutkiem.

– To mi musi wystarczyć, prawda?

Próbuję odpowiedzieć miłym uśmiechem. Widzę nas w lustrze na ścianie. Dwa szkielety z odpadającymi resztkami ciał, z brązowych czaszek szczerzą się zęby. Pochowają nas razem, jak chowa się kochające małżeństwa. Tu leżą Wolfgang Steinhoff, SS-Hauptsturmführer, zasłużony dla ojczyzny. Obok żona, Eliza Steinhoff, kurwiła się wierna Rzeszy.

– Wiesz chyba, ile dla ciebie ryzykuję – ciągnie czaszka Wolfganga. – Kaduk zabiłby cię za Inge.

– Inge? – powtarzam mechanicznie, z lękiem, że odbierze moją jedyną szansę.

– Chciała na ciebie donieść. Musiała odejść.

Przeczy sobie bez wysiłku, przecież powiedział, że ją zwolni. Powinnam jeszcze raz poprosić, zapytać o prawdę. Nie jestem w stanie się odezwać. Wolfgang podciąga kołdrę, zakrywa moje piersi, wstaje.

– Nie będę z tobą sypiał, jeszcze nie teraz – mówi stanowczo. – Pożądam cię jako mężczyzna, ale nie szanuję. Byłaś przestępczynią i prostytutką, twój umysł i ciało muszą się oczyścić. Przyjmijmy, że zajmie ci to około roku. Poczekamy na

koniec wojny. Potem będziesz czysta, zacznę cię zapładniać.

Wyciąga papierosa z pudełka, zapala złotą zapalniczką. Twarz Magdaleny w lustrze znika za niebieskim dymem. Wolfgang odpręża się, powiedział wszystko, co sprawiało mu przykrość, znów jest spokojny i zadowolony.

– Śpij, odpoczywaj. Jesteś bezpieczna, nikt cię tu nie skrzywdzi. Przyślę ci pisma i książki, jakie powinna znać niemiecka kobieta.

Podchodzi, schyla się, lekko całuje mnie w usta. Prostuje się z uśmiechem, chce podnieść rękę w salucie, wychodzi, zamyka drzwi. Siedzę bez ruchu, dygoczę z obrzydzenia, uspokajam się. Lustro jest puste, nie pokazuje mojego odbicia. Jestem za to wdzięczna Magdalenie, wdzięczna za życie. Muszę stać się istotą, której oczekuje ten świat, nie ma przecież innego.

Mijają dni, noce, nie liczę ich, leżę na łóżku, nie odróżniam snów od jawy. Nie jestem moim ciałem, ciało nie chce być mną. Wznoszę się i zawisam w powietrzu, pomiędzy sufitem i podłogą, z lękiem patrzę na siebie leżącą. Moje nogi i ręce puchną, wydłużają się, opieram dłonie na lodowatej powierzchni lustra, nie potrafię przedostać się do środka, do Magdaleny, obudzić ją.

Tracę pamięć, czas przestaje istnieć; jestem tu od piętnastu lat, powtarzam imiona wszystkich mężczyzn, którzy mnie posiadli, wypowiadam je, słyszę z oddali skargę i płacz, ten głos nie należy już do mnie. Znikają kolory, światło jest szare, ściany i sufit zbliżają się, zgniatają mnie. Staję się płaskim rysunkiem, chwytam łąpczywie powietrze, żeby nie utonąć, wynurzam się na szarą powierzchnię bez kształtów, zostały mi tylko lęk i wina.

Nie jestem już sobą, nie znam tej kobiety; wiem tylko, że jest cieniem, musi wrócić do życia, przetrwać. Zaczynam krążyć od ściany do ściany, godzinami, w świetle dnia i w nocy. Przechodząc przed lustrem, odwracam głowę, zamykam oczy. Do końca życia nie spojrzę w żadne odbicie, to jest moje zabezpieczenie i kara, nie ujrzę oznak przemijania, twarzy starzejącej się Magdaleny.

Ostatnia noc jest straszna, ciało wykręca paraliż, spadam na podłogę, krzyczę przeraźliwie ze strachu, tarzam się wśród gnijących ciał. Półprzytomna widzę Frau Paulę i dwie kobiety, robią mi zastrzyk, zanoszą do łóżka. Przegryzam więzy i żyły na przegubach, wypadam przez okno, uciekam, spadam w otchłań.

Długa, spokojna nicość, potem światło docierające pod uchylone powieki. Budzę się, głęboko wdycham świeże powietrze poranka. Podnoszę się, patrzę ze zdziwieniem w lustro. Idę do łazienki, długo stoję pod ciepłymi strumieniami wody, pozwalam, by splukały przeszłość. Wracam do pokoju, wyciągam się naga na łóżku, kąpię się w promieniach słońca. Gruba kucharka wnosi śniadanie na tacy, przygląda mi się zaskoczona.

– Bardzo dziękuję, świetnie pani gotuje – mówię pewnym głosem.

Kucharka patrzy na mnie przeciągle, mamrocze coś i wychodzi. Będę musiała nauczyć ją szacunku dla kobiety Hauptsturmführera. Starannie rozczesuję mokre, odrastające włosy, patrzę na ciało w lustrze. Znowu jestem piękna. Na podłodze leży stos rozprutych ubrań, które Frau Vogel przyniosła wieczorem w walizce od Wolfganga. Nie znalazłam złota, brylantów ani dolarów, ale jestem zadowolona z wykonanej pracy.

Nawijam włosy na wałki, które zrobiłam ze zwiniętych kartek, podchodzę do stołu, przyglądam się książkom i kolorowym pismom z tej samej walizki. Na

okładkach mają emblematy ze swastyką, są pięknie wydane, czerwień i czerń, surowe linie, w środku zdjęcia posągowych, nagich ciał i głębokie sentencje prawdy. Rozlega się pukanie do drzwi.

– Chwila – mówię, nieśpiesznie wkładam majtki i biustonosz, siadam na łóżku. – Proszę.

Otwierają się drzwi, w progu stoi Wolfgang. Ubrany jest w lekki, elegancki garnitur, w dłoni trzyma duży bukiet polnych kwiatów. Wchodzi z uśmiechem, zadowolony, że sprawił mi niespodziankę.

– Przepraszam, że tak rzadko cię odwiedzam, mamy teraz dużo pracy – mówi i zatrzymuje się zaskoczony na widok rozprutych ubrań. – Co to jest? Co zrobiłaś?

Wzdycham z rozczarowaniem.

– Niczego nie znalazłam, ale dokładnie przeszukałam – oświadczam, wstaję i podchodzę do ubrań. – Może w następnym transporcie będzie lepiej.

Twarz Wolfganga ściąga grymas gniewu.

– Co ty opowiadasz? – podnosi głos. – Dlaczego je zniszczyłaś? To nie są żydowskie szmaty, te ubrania należały do mojej matki. Przysłała je na moją prośbę z Monachium!

Stoję bez ruchu, nie rozumiem, dlaczego się złości.

– Eliza! – krzyczy. – Odpowiedz mi! I ubierz się!

– Jestem Magdalena – staram się mówić spokojnie. – Jeśli chcesz, abym się oczyściła, nazywaj mnie tym imieniem.

Patrzy na mnie zdziwiony, jest zmieszany i wściekły. Uspokaja się po chwili, wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. Choć wołałbym tradycyjne, niemieckie imię. Ingrid, Brigitte, Adele. Albo Anna, jak moja matka.

– Magdalena – powtarzam z uporem.

Podnosi ręce na znak zgody.

– Dobrze, jak chcesz. Proszę, abyś się ubrała. – Rozgląda się, gdzie włożyć kwiaty. – Każę pozszywać ubrania, będziesz je nosić.

– Dziękuję, są śliczne – pokazuję na kwiaty.

Wciążam sukienkę, biorę bukiet od Wolfganga. Na bosaka wychodzę z pokoju, schodzę na parter. Nie zwracam uwagi na kobiety i mężczyzn w jadalni, odnajduję Paulę i kucharkę w kuchni.

– Proszę przyciąć kwiaty, włożyć do wazonu, nalać wody i odnieść do mojego pokoju – rzucam tonem polecenia.

Wyjmuję niebieski chaber, urywam łodygę, wsadzam główkę kwiatka do górnej dziurki sukienki. Frau Vogel patrzy na mnie zaniepokojona. Odwracam się i wychodzę.

– Dobrze, proszę pani – mówi do moich pleców kucharka.

Wracam do pokoju. Wolfgang stoi przy stole, pokazuje na książkę, którą odłożyłam otwartą.

– Kobieta niemiecka w dobie narodowego socjalizmu – czyta wpleciony w swastykę tytuł. – Podoba ci się?

– Tak – odpowiadam z przekonaniem.

– Mądra książka, obala mieszczańskie stereotypy o kobietach – ciągnie Wolfgang. – Przywraca wam wolność i godność. Co powiesz na spacer?

– Z przyjemnością – mówię.

Wolfgang patrzy na kwiatek wpięty w sukienkę, przesuwa wzrokiem po mojej sylwetce. Podchodzi, delikatnie wyplątuje wałki z moich włosów, rozczesuje je palcami.

– Świetnie wyglądasz. Nie przejmuj się tymi na dole, jesteś od nich piękniejsza i mądrzejsza.

– To dziwki – stwierdzam spokojnie.

Wolfgang uśmiecha się i potakuje. Schodzimy na parter. Kobiety i oficerowie w jadalni przerywają rozmowy, patrzą na nas w milczeniu. Wolfgang otwiera przede mną drzwi na taras, wychodzimy do ogrodu. Idziemy przez szeroki trawnik w stronę parku, słońce świeci prosto w twarz, zmusza do przymknięcia powiek. Uwielbiam słońce, zawsze za nim przepadałam.

Zanurzamy się w cień starych lip i dębów, kroczymy nieśpiesznie, rozkoszując się pięknem i ciszą. Nie ma wojny, nigdy jej nie było; obok idzie wysoki, przystojny mężczyzna, ma blisko osadzone oczy, wąskie usta i wyostrome rysy, ale jesteśmy parą, spokojnie rozważymy naszą przyszłość.

– Nigdy nie czułem czegoś takiego do kobiety – zaczyna Wolfgang. – Poza matką, ale to co innego, prawda?

Czeka na moje milczące potwierdzenie.

– Ona była wycofana, nie potrafiła mi pomóc, kiedy potrzebowałem emocjonalnego wsparcia – mówi dalej. – Ty będziesz świetną matką.

Intuicja podpowiada, o co mam zapytać.

– A co ci zrobił ojciec?

Wolfgang uśmiecha się, podoba mu się moja przenikliwość.

– Ojciec był oficerem Wehrmachtu, uważał się za bohatera pierwszej wojny, gardził słabościami – wylicza powoli. – Do piętnastego roku życia byłem słabszy, nie mogłem powstrzymać łez, kiedy krzyczał i bił. Miał jednak rację, niemiecki mężczyzna nie może być miękki, zbyt wielu mamy wrogów.

Milknie.

– A potem, kiedy skończyłeś piętnaście lat? – pytam dalej.

– Za radą partii odesłał mnie do szkoły SS. Dla mnie i wielu rówieśników to była wielka szansa.

– Co na to matka?

Wolfgang zatrzymuje się, patrzy zdziwiony.

– Dlaczego pytasz o matkę? To męskie sprawy.

– Przepraszam – poprawiam się. – Ojciec był z ciebie dumny?

Ruszamy dalej. Alejka prowadzi nad brzeg rzeczki, nad wodą pochylają się gałęzie, słońce znajduje szpary między liśćmi, rozbłyskuje na drobnych falach.

– Nie do końca, jego zdaniem liczył się tylko Wehrmacht. Zmienił zdanie, kiedy dorosłem i dołączyłem do Waffen-SS.

– Do jednostki bojowej – chwalę się wiedzą.

Kiwa głową z satysfakcją.

– Tak. Walczyliśmy z ojcem na tych samych frontach, w Polsce i we Francji. W tym samym czasie pojechaliśmy do Rosji. On był już pułkownikiem, dowodził batalionem czołgów. Mnie przydzielono do specjalnych oddziałów, które zwalczały bolszewickich bandytów.

– Partyzantów.

– Mhm – przytakuje Wolfgang. – Pod koniec czterdziestego trzeciego wpadłem z moją kompanią w zasadzkę, w rosyjskiej wsi. Mieliśmy ukarać jej mieszkańców za współpracę z wrogiem. Większość moich ludzi zginęła. To byli świetni żołnierze, walczyli do końca, umierali na moich oczach. Nie mogę sobie darować, że uwierzyłem bolszewickiemu informatorowi, wszedłem z oddziałem do tej wsi. Byłem ranny, przeleżałem dwa dni pod ciałami zabitych, cudem uszedłem z życiem. Chciałem wrócić na front, ale odesłali mnie tu.

Mam ochotę zapytać, jak się czuje w roli burdelmamy, ale milczę. Patrzymy bez słowa na wolno płynącą wodę.

– Ojciec zginął cztery miesiące później – mówi dalej Wolfgang. – Czołgom zabrakło benzyny, przedzierali się pieszo do naszych linii. Ojciec był ranny w nogę, nie mógł iść o własnych siłach, zasłabł i zmarł w śnieżnej zaspie. Zostawili go żołnierze, których kochał bardziej ode mnie, tak ustaliło śledztwo. Rozstrzelali kilku z tych tchórzy. Próbowałem odnaleźć pozostałych, ale w chaosie, jaki zapanował, nie było to możliwe.

– Przykro mi – mówię cicho. – Co z twoją matką?

– Nie doszła do siebie po śmierci ojca. Niestety nie było mnie przy niej, kiedy próbowała się zabić. Wyznała mi potem, że uratował ją robotnik, polski mechanik, którego zatrudniała do różnych napraw.

– To dobrze.

Wolfgang kręci głową.

– Polak nie może być świadkiem załamania wdowy po pułkowniku Wehrmachtu.

– Odnalazłeś go? – pytam.

– Zginął w zbombardowanej fabryce.

– Tym lepiej dla niego.

Wolfgang uśmiecha się, ale jest ponury.

– To była druga próba samobójcza. Pierwszy raz zrobiła to w naszym domku w górach, nie wiem dlaczego. Ojciec umieścił wtedy matkę w zakładzie dla chorych psychicznie, postawili ją tam na nogi.

– Może nie czuła się kochana – mówię z namysłem.

Wolfgang krzywi się z niechęcią.

– W takich czasach niemiecka kobieta nie pozwala sobie na egoistyczne słabości. – Odwraca się i patrzy mi w oczy. – Wiesz o mnie wszystko, teraz opowiedz o sobie.

Moja historia nie wypadnie dobrze w porównaniu z jego, co mogła przeżyć dziewiętnastoletnia dziewczyna. Decyduję się opowiedzieć historię Elizy.

– Uciekłam z domu, kiedy miałam szesnaście lat – zaczynam. – Do Niemiec. Trochę się błąkałam, pracowałam w różnych miejscach. W restauracjach, w kabarecie. Byłam tancerką, fordanserką.

– Gdzie?

– W Berlinie, potem w Paryżu. W Rzeszy zrobiło się... – milknę zakłopotana.

Wolfgang odczeka chwilę, potem pyta:

– Sprzedawałaś się mężczyznom?

Szukam właściwych słów.

– Utrzymywali ją, ale nie w tym sensie.

Nie rozumie, marszczy brwi zniecierpliwiony.

– Ją?

– Mnie – poprawiam się.

Przetrawia moją odpowiedź.

– Dlaczego uciekałaś z domu? – pyta po chwili.

Nie opowiem o mężczyznach przysyłanych przez matkę Elizy. Ani o mężu, od którego uwolnił ją cios młotkiem.

– Chciałam coś przeżyć, szkoła była nudna – mówię z uśmiechem. – Koleżanka mnie namówiła, razem uciekłyśmy. Ona wróciła do rodziny, ja nie.

Wolfgang jest skupiony, poważny.

– Rozumiem – mówi. – Potem spotkałaś Karla. On cię sprowadził na złą drogę.

– Nie pamiętam, może ja jego – odpowiadam lekkim tonem.

Nie spodobał mu się żart, więc poważnieję.

– Karl był już zawodowym hazardzistą, wciągnął mnie – poprawiam się.

Wolfgang milczy, patrzy na rzekę, potem odsłania złoty zegarek na przegubie.

– Na dziś wystarczy, mam służbę. Jutro opowiesz o twoich rodzicach. Kiedyś będę musiał ich poznać.

Przytakuje z wdzięcznością. Będę miała czas zastanowić się, jacy są moi rodzice; o matce i ojcu Elizy lepiej nie opowiadać. Ruszamy w drogę powrotną, wzdłuż rzeki. Podrywa się przed nami niewielki ptak, leci nisko nad wodą. Odprowadzam go wzrokiem i zauważam jakiś kształt zaplątany w zwisające gałęzie wierzby, przy przeciwległym brzegu. Przyglądam się uważniej, widzę wzdęte ciało i długie, jasne włosy unoszone nurtem. Przestraszona chwytam ramię Wolfganga, pokazuję bez słowa. Podąża za moim wzrokiem, sztywnieje lekko.

– Nie patrz, to tylko zwłoki – mówi ze sztucznym spokojem. – Zajmą się nimi wodne szczury.

Odwraca mnie, prowadzi w stronę alejki między drzewami. Oddaliśmy się od rzeki, idziemy w milczeniu. W gałęziach nad głowami przeciągle gwizdże ptak. Wolfgang zatrzymuje się, składa wargi i wydaje identyczny dźwięk. Ptak odpowiada po kilku sekundach. Wolfgang gwizdże jeszcze raz, czeka na odpowiedź.

– To wilga, samiec – mówi. – Nauczyli nas tego w Bad Tölz, w szkole SS. Przydało się, kiedy w Rosji polowaliśmy na bandytów.

Idziemy dalej, ptak znowu gwizdże. Wolfgang odpowiada mu długim trelem.

– A tak wzywa samiczkę – wyjaśnia z uśmiechem. – Rosyjskie wilgi niczym nie różnią się od naszych.

* * *

Nisko zawieszona słońce przefiltrowane przez zasłony miękko oświetla salon pełny kobiet i esesmanów. Spokojny, zmęczony poranek po szalonej nocy. Jeden z oficerów cicho gra sonatę Beethovena, oparta o fortepian stoi zasłuchana kobieta. Muzyka cichnie, twarze odwracają się w moją stronę.

Schodzę na parter, pozdrawiam wszystkich skinieniem głowy i uśmiechem, jestem świadoma swojej urody i wdzięku, czuję dotykające mnie spojrzenia mężczyzn. Kołysząc biodrami, idę wyprostowana przez salon, wychodzę na taras.

Z murku przy schodach podrywa się jeden z wartowników, wyjmując papierosa z ust. Jest młody, ma wygląd chłopskiego syna, niedawno został wcielony do SS. Nie był na froncie; umiem to rozpoznać, twarze frontowych żołnierzy szybko się starzeją, zwłaszcza oczy.

– Dokąd? – pyta bez zainteresowania.

Zatrzymuję się, pokazuję na park za bramą.

– Na spacer – mówię z uśmiechem i dodaję dwuznacznym tonem. – Chcesz się przejść ze mną? Wdzięczna będę za ochronę.

Esesman kręci głową, choć moja propozycja robi na nim wrażenie, pokazuje ręką na dom.

– Proszę wrócić, taki mam rozkaz.

– Czyj rozkaz? – pytam miękko, jak rozkapryszona piękność. – Jestem

Magdalena, narzeczona Hauptsturmführera von Steinhoffa. – Nie wiem, skąd się wziął ten „von”, ale brnę dalej. – Wolfgang jest przewrażliwiony na punkcie mojego bezpieczeństwa, ale nic mi tu nie grozi, prawda?

Wartownik patrzy niepewnie na kolegę, równie młodego i prostego, tamten odpowiada wzruszeniem ramion.

– Chcę się przejść, potrzebuję ruchu i powietrza – mówię błagalnie i składam ręce. – Pospaceruję po ogrodzie, w zasięgu wzroku i strzału.

Obaj esesmani uśmiechają się.

– Nie strzeliłbym do takiej kobiety – mówi pierwszy.

Drugi potakuje, pokazuje w uśmiechu krzywe zęby. Uznaję to za przyzwolenie, schodzę na trawnik, ruszam przed siebie.

– Mamy panią na oku – oświadcza wartownik.

Nie odwracając się, podnoszę dłoń nad ramieniem. Zatrzymuję się, zdejmuję buty na wysokim obcasie, idę dalej, przystrzyżona trawa miękko sprężynuje pod bosymi stopami, łaskocze. Przechodzę wolnym krokiem do zakrętu muru i z powrotem. Kładę się na trawie przy bramie, podnoszę wysoko sukienkę, wystawiam nogi na promienie słońca. Przez zmrużone powieki widzę patrzących na mnie wartowników. Po kilku minutach tracą zainteresowanie, siadają na murku, zapalają papierosy.

Koniec śniadania, do ogrodu wychodzą kobiety i esesmani, ordynansi wynoszą stoliki i leżaki. Kolorowa, rozbawiona grupka rozsiada się, słyszę głośne rozmowy i śmiechy. Niemiecki język jest donośniejszy od innych, brzmi mocniej, pewniej obejmuje we władanie.

Alejką przejeżdżają dwaj esesmani na rowerach, zsiadają przed domem, witają się z wartownikami. Zmiana. Dwaj poprzedni wsiadają na rowery, jadą w stronę bramy, pozdrawiają mnie skinieniami głów i uśmiechami, patrzą pomiędzy moje rozsunięte uda.

Wstaję leniwie, obciążam sukienkę, ruszam powoli. Zrywam kilka kwiatków, wpinam je we włosy, przechodzę przez bramę. Cisza. Kilkadziesiąt kroków dalej skręcam między drzewa. Półmrok i lekki chłód.

Odwracam głowę; willę przesłaniają pnie i gałęzie, wartownicy wygrzewają się w słońcu. Przyśpieszam, idę coraz szybciej, potem zaczynam biec. Zdyszana docieram nad brzeg rzeki, przez chwilę nie potrafię sobie przypomnieć, w którą stronę skręciliśmy z Wolfgangiem.

Biegnę w prawo, przeszukuję wzrokiem wierzby rosnące na przeciwległym brzegu. Chcę już zawrócić, kiedy w półmroku zwisających gałęzi dostrzegam ciemny kształt. Zsuwam się z wysokiego brzegu do rzeki, tracę równowagę, przewracam się, zanurzam pod lodowatą wodę, skurcz w płucach odcina powietrze, grzęznę w miękkim mule, wynurzam się, oddycham spazmatycznie.

Brnę zanurzona po piersi, chwilami tracę grunt pod nogami, płynę. Docieram

do drugiego brzegu, zatrzymuję się przed wierzbą, która pochwyciła wzdęte ciało, ukryła je pod zielonym baldachimem. Dygoczę ze wstrętu, nie mogę się zdobyć na dotknięcie zwłok. Przełamuję się, przesuwam dłonią po gnijącym materiale sukienki, chwytam mocno i ciągnę do siebie, potem w dół.

Ciało odwraca się powoli, niechętnie, rozłożonymi rękami zaczepia o moje nogi, protestuje. Wreszcie spod czarnej wody wyłania się to, co zostało z twarzy, poszarpane resztki mięsa, odsłonięte kości czaszki, głębokie oczodoły i wyszczerzone zęby. W górnej szczęce błyszczy złoto.

Z okrzykiem przerażenia puszczam zwłoki, cofam się, zapadam pod powierzchnię, zachłystuję, walczę o powietrze, chcę żyć! Wynurzam się, krztusząc gwałtownie, biję wodę rękami, grzęznąc w mule dochodzę do brzegu, wyczołguję się na trawę.

Leżę bez ruchu, płaczę. Eliza zawiodła Inge, i mnie też. Wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek jej zaufali. Otwieram oczy, unoszę głowę. Przede mną stoją nogi w oficerkach, dalej następne buty, kobiece, i kolejne, z błyszczącymi cholewami.

– Niestety próbowała uciec – mówi głos Frau Vogel.

Klękam, wstaję z wysiłkiem. Jestem mokra, pokryta mułem, dygoczę z zimna i żalu.

– Nieprawda, poszłam tylko na spacer – szepczę, wycierając twarz z wody i łez.

Wolfgang ma smutną, zamkniętą twarz. Stojąca obok Frau Vogel patrzy na mnie ponurym wzrokiem. Dalej widzę wartowników i dwóch oficerów SS.

– Sam się nią zajmę – mówi Wolfgang.

Frau Vogel, wartownicy i oficerowie zwlekają z odejściem, patrzą na mnie i na obracające się w rzece zwłoki. Uwolniły się z uchwytu gałęzi, gotowe są do drogi, pociąga je powolny nurt.

– To Inge – mówię. – Ma złoty ząb, nie wiedziałam, jak go wyciągnąć.

Wolfgang bierze mnie pod ramię, delikatnie, ale stanowczo. Ruszamy między rozstępującymi się, żywymi ludźmi, idziemy przez las.

– Po co miałabym uciekać? Odnalazłam Inge – tłumaczę cierpliwie. – Miałeś rację, zajęły się nią wodne szczury.

Wolfgang milczy. Wychodzimy z lasu na drogę, zbliżamy się do oświetlonej słońcem willi. Frau Vogel, oficerowie i wartownicy idą za nami. Przed bramą stoi opel, kobiety i mężczyźni w ogrodzie przyglądają się w milczeniu. Unoszę rękę, pozdrawiam ich przyjaznym gestem. Wolfgang otwiera drzwi samochodu.

– Dokąd jedziemy? – pytam. – Powinam się najpierw umyć.

– Zrobisz to na miejscu – odpowiada.

Trudno, pobrudzę mu wyłożone skórą fotele. Siadam wygodnie, wyciągam nogi, przemykam oczy. Kiedy je otworzę, dojedziemy do Biarritz albo Monte

Carlo. Nigdy tam nie byłam; Eliza opowiadała, że to świetne miejsca dla młodej, pięknej kobiety.

Słyszę, jak Wolfgang zamyka drzwi, obchodzi samochód, siada za kierownicą, uruchamia silnik. Rusza, zawraca na wąskiej drodze. Wyobrażam sobie twarze Pauli, oficerów, widzę pod powiekami płynącą z prądem Inge. Wysuwam rękę przez otwarte okno, macham na pożegnanie. Silnik warczy na wyższych obrotach, samochód przyśpiesza. Pęd przyciska mnie do fotela, kołyszę się łagodnie. Mogę tak jechać przez całą wieczność.

– Opowiem ci, jak było z Inge – mówi z daleka głos Wolfganga.

Opowiada powoli, ze szczegółami. Inge idzie przez ciemny las, za nią Horst. Przestaję słuchać, ale słowa wdzierają się do mózgu. Rozlega się strzał, ciało wpada do rzeki, rozbija księżyc na drgające kawałki.

Ostry dźwięk klaksonu zmusza mnie do otwarcia oczu, widzę zbliżający się tył ciężarówki. Spod cienia plandeki patrzą martwe czaszki mężczyzn w furazerkach i hełmach; jestem wdzięczna za ich poświęcenie. Wolfgang przyciska znowu klakson, nagłym ruchem kierownicy rzuca samochód w bok, przyśpiesza, wyprzedza ciężarówkę. Z naprzeciwnika nadjeżdża samochód, mieścimy się w ostatniej chwili przed jego maską. Nagradzam Wolfganga uśmiechem.

– Jesteś świetnym kierowcą – mówię. – Dlaczego tak się śpieszymy?

Nie odpowiada od razu, patrzy przed siebie skupionym wzrokiem.

– Przegramy wojnę – mówi w końcu. – Hitler jest złym dowódcą. Wszyscy są przeciw nam, Niemcom. Jak zawsze.

Nie wiem, czy mam coś odpowiedzieć, nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Dziewczyna w moim wieku nie musi się znać na polityce.

– Ale zmieniliśmy Europę, na inną, lepszą – ciągnie Wolfgang. – Wiesz, czego nie będzie?

Tym razem domyślam się odpowiedzi.

– Żydów?

Potakuje z powagą.

– Wykonaliśmy wielki plan Führera. Jestem dumny, że byłem jego małą częścią.

Znów milknie, prowadzi w skupieniu.

– Pamiętam rok dwudziesty dziewiąty, wielki kryzys. I Żydów – zaczyna ponownie. – Ojciec wyjaśnił, że świetnie dawali sobie radę, bogacili się kosztem Niemców.

– Tak powiedział? – pytam, aby nie sądził, że go nie słucham.

– Bez Żydów nie będzie korupcji, kryzysów, bezrobocia, głodu. Moralnej zgnilizny. Mądre narody nas wspierały: Francuzi, Anglicy, Amerykanie. Po cichu, bo są zakłamanymi, tchórzliwi. Tylko my, Niemcy, mieliśmy moralną odwagę

rozprawić się z Żydami. Wzięliśmy na siebie straszne brzemię.

Na przedniej szybie rozbijają się robaki ze skrzydłami, zmieniają się w brudne plamy. To część wielkiego planu oczyszczenia, długi lot, wolność i nagle nieomylna szyba pędzącego jak śmierć niemieckiego opla.

– Podniesiemy się po wojnie, w lepszym świecie – mówi Wolfgang. – Czystym, chrześcijańskim.

Chcę powiedzieć „amen”, ale boję się, że zabrzmi to niepoważnie, a Wolfgang nie jest nastrojony do żartów. Nigdy nie miał poczucia humoru, obawiam się, że będzie mi to przeszkadzało. Przymykam oczy, pozwalam, aby szybki rytm cieni i słonecznego światła grał w umyśle. Czuję nagłe poruszenie w brzuchu i wzbierające mdłości. Przypominam sobie, co jadłam na śniadanie, może coś nieświeżego. Zanurzam się w swoim wnętrzu, słyszę cichy głos; nie rozumiem, co się ze mną dzieje.

– Poprosiłem, żeby urząd dokładniej sprawdził twoją rodzinę – podejmuje Wolfgang i dodaje ironicznym tonem. – Prawda nas wyzwoli. Nawet jeśli oznacza cierpienie. Moje cierpienie.

Zaczynam się niepokoić, otwieram oczy, odwracam do niego głowę.

– Co masz na myśli? – pytam.

– To, że cię kochałem, Elizo Zughayer.

Nie pojmuję.

– Możesz nie mówić zagadkami? – proszę. – Wiesz, jak się nazywam, Magdalena Rożnowska. Boję się, że rośnie we mnie coś żywego.

Samochód hamuje gwałtownie, zapieram się rękami o przednią szybę, aby nie rozbić głowy. Wolfgang patrzy na mnie ze złością i niedowierzaniem.

– W ten sposób chcesz uciec przed odpowiedzialnością? – pyta wzburzony. – Udając szaleństwo?

Próbuję się skupić, ułożyć w myślach odpowiedź, zrozumieć, dlaczego zarzuca mi coś absurdu. Jeśli pozostały we mnie resztki Elizy, są to fragmenty wspomnień, strzępy bez znaczenia. Powinien docenić pracę, którą wykonałam w burdelu dla esesmanów, całe dni walki z lękiem i samotnością.

Wolfgang kręci głową z ubolewaniem, spogląda przed siebie, samochód znowu rusza. Znam to miejsce, szosa skręca po raz ostatni, potem ciągnie się długi prosty odcinek. Przed nami pojawia się brama Birkenau. Strażnik unosi szlaban i salutuje.

Anna siedziała przy stoliku, powoli podnosiła widelec, wkładała do ust kawałek jedzenia, żuła starannie, łykała. Nie czuła smaku, patrzyła znowu na talerz, kroić nożem i nabijała następny kawałek. Zdawała sobie sprawę, że dookoła siedzą ludzie; przez gęstą zasłonę przenikały ich twarze, docierały głosy. Świat nie zatrzymał się z przerażenia, nie przestał oddychać, jeść, wydalać. Nic się nie wydarzyło.

Światło lampy pod sufitem przesłoniła sylwetka, usłyszała głos młodego recepcjonisty.

– Jest telefon z Berlina. Odbierze pani, czy powiedzieć, żeby zadzwonili później?

– Dziękuję – odpowiedział mu obcy, kobiecy głos.

Wytarła usta serwetką, wstała. Poszła za recepcjonistą przez zgęstniałe powietrze, uchwyciła się wzrokiem jego ramion, aby nie stracić równowagi. Wyszła do hallu, wyciągnięta ręka pokazała na przeszklone drzwi kabiny obok recepcji. Dotarła tam, zamknęła drzwi, siadła na stołku.

Było cicho i bezpiecznie, może pozwoli jej tu spędzić czas do wyjazdu. Pukanie w szybę zmusiło ją do podniesienia głowy. Recepcjonista pokazał na stojący na półce telefon; był zdziwiony i zaniepokojony. Uśmiechnęła się do niego, posłusznie podniosła słuchawkę.

– Mama? – zapytał bliski głos.

Anna zamknęła powieki. Widziała chłopczyka, który patrzył na nią z głębi kołyski, jego oczy były smutne, zadawały pytania, których nie rozumiała. Nadal nie potrafi na nie odpowiedzieć.

– Halo, mammo, jesteś tam? – powtórzył głos w słuchawce.

Musi się odezwać, to jej obowiązek. Zastanawiała się nad doborem słów. Najpierw wyjaśni, po co go urodziła. Tego domagało się ciało, kiedyś była przecież matką. Potem pomyśli o czasie, który minął od chwili jego narodzenia, do rozpaczającego pierwszego zabijanego człowieka.

– Mamo, dlaczego nic nie mówisz?

Mówi, przez cały czas, potoki słów wypełniają kabinę, sięgają do ust, zatapiają umysł i pamięć. Wolfgang skończył cztery lata, zdmuchuje świeczki z tortu, dym powoli unosi się pod sufit, jest tłusty, czarny; czterema słupami kieruje się do nieba, rozgania go wiatr.

– Odnalazłaś Elizę? Mamo, do cholery!

Krzyk jej dziecka odwracał proporcje. Była i jest winna, ona zdecydowała

o wydaniu na świat nowego życia.

– Halo!

Powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Przez szybę widziała patrzącego na nią mężczyznę w koszuli i spodniach polowego munduru. Ciekawe, czy kogoś zabił, ilu ludzi. Mężczyzna powinien zostawić za sobą jak najwięcej trupów, zasłużyć na wdzięczność rodaków.

Wstała, popchnęła drzwi kabiny, wyszła do hallu.

– Dobrze pani słyszała? – spytał recepcjonista. – Czasem te międzynarodowe połączenia są fatalne.

– Dziękuję, bardzo dobrze.

Nie miała więcej sił, opierała się dłonią o słup podtrzymujący sufit. Mógłby teraz runąć wraz z nią, pogrzebać pod gruzami hotelu winę i karę.

– Proszę usiąść, przyniosę pani szklankę wody – zaproponował recepcjonista i zniknął w pomieszczeniu w głębi.

Anna została sama. Przez całe życie była sama, poza snem, który prześniła ze Stefanem. Może właśnie wtedy popełniła grzech szczęścia, za który wszyscy muszą zapłacić. Zimne szkło wsunęło się w jej dłoń, otworzyła oczy, zobaczyła zatroskaną twarz recepcjonisty.

– Złe wiadomości? – zapytał.

Anna pokręciła głową.

– Teraz już nie.

– Proszę wypić – ponaglił z zachęcającym uśmiechem. – Cudzoziemcy czasem dziwnie się czują w naszym kraju.

Zrozumiała, że delikatność podyktowała mu słowo „cudzoziemcy”, jest za to wdzięczna. Posłusznie wypila kilka łyków, chłodny płyn dotarł do pustych wnętrzości. Nigdy już nie urodzi, jest bezpieczna, wszyscy są bezpieczni. Oddała szklankę, spróbowała się uśmiechnąć, podtrzymywana mocnym ramieniem wstała z wysiłkiem.

– Dziękuję – powiedziała. – Muszę wrócić do pokoju, to mój obowiązek.

Recepcjonista zdawał się rozumieć.

– Naturalnie, pani Steinhoff – uprzejmym gestem pokazał schody. – Odprowadzić panią?

Anna zaprzeczyła z westchnieniem.

– Nie da pan rady.

Podeszła do schodów, chwyciła poręcz, mocno zacisnęła palce. Wyprostowała plecy, pewnie stawiając stopy, ruszyła w górę. Każdy krok zbliżał ją do Wolfganga.

Pod betonową ścianą krępy, mocno zbudowany esesman zdejmuje kurtkę mundurową, odwiesza ją starannie na krzesło. Podwija rękawy koszuli, podchodzi do stojaka z kilkoma kijami. Wybiera jeden z kijów, owija rzemienią pętlę wokół przegubu, zbliża się do drewnianego kozła na środku bunkra.

Leżę na koźle, jestem rozebrana do pasa, czuję nagość pleców, próbuję przygotować się na ból. Może mi uwierzą, jeśli wytrzymam, celem tortury jest przecież wydobyć prawdy, inaczej byłaby bez sensu. Esesman znieruchomiał, widzę go kątem oka, czeka na sygnał ze strony sześciu umundurowanych mężczyzn siedzących przy długim stole. Oni palą papierosy, rozmawiają po cichu, nie śpieszą się. Jest wśród nich Wolfgang, blady i skupiony, nie patrzy w moją stronę, wbił wzrok w blat stołu. Sąd i świadek przestępstwa.

Siedzący pośrodku oficer wreszcie kiwa przyzwalająco głową, esesman podnosi kij. Uderzenie rozcina mnie w pół w tak straszliwym błysku, że nie mogę wydać z siebie dźwięku.

– Raz – rozlega się z ciemności czyjś głos.

Następne uderzenie. Wpadam w głąb ziemi, wije się konwulsyjnie, słyszę przenikliwy krzyk.

– Dwa.

Ciało odrywa się od kręgosłupa, zostaje sam szkielet, wspina się po ścianie, przestaje oddychać, myśleć, czuć.

– Trzy.

Jak jest trzy po francusku, muszę to wiedzieć, zanim rozerwie mnie coś, co nie jest bólem i nie da się nazwać w żadnym języku.

– Cztery.

Wycie odbija się od betonowych ścian, wdziera się do uszu. Jak oni mogą to wytrzymać, dlaczego mnie nie zastrzelą.

– Pięć.

Ciemność pogłębia się, idę w gęstym powietrzu, szukam po omacku, zatrzymuję się przed rozedrganą, szklistą powierzchnią. Widzę odbicie starej kobiety, z szeroko otwartymi oczami, z których płynie krew.

– Sześć.

Zapada doskonała cisza. Płonące ciało zanika, jest wielkości skrzydlatego stworzenia rozbitego o przednią szybę samochodu.

– Wystarczy, odwiązać ją.

Uderza we mnie lodowaty strumień, wrzuca do rzeki, bezsilnie patrzę na

odpływające ciało. Ktoś podnosi moją głowę za włosy, sylwetki za stołem zasłania czerwona mgła.

– Skazana musi ponieść karę w pełni świadoma – mówi daleki głos. – Odprowadzić, jutro zaczniemy od początku.

To moja wina, jestem za słaba, nie potrafię wytrzymać próby. Mocne ręce chwytają mnie pod pachy, ciągną w stronę jaśniejszych drzwi. Chciałabym iść o własnych siłach, ale nogi suną bezwładnie po betonowej posadzce. Przesuwa się twarz Wolfganga, nie potrafię nazwać wyrazu jego oczu.

Wciągam w płuca chłodne powietrze, ból spływa z pleców ciężkimi płatami, wsiąka w mokrą ziemię, paraliżuje. Ciemne ściany baraków odchodzą na boki, zbliżają się następne, wchłaniają czyjeś jęki. Słabnę, wszystko się rozmazuje, zanika.

Budzą mnie uderzenia lodowatej wody, zachłystuję się, otwieram oczy. Leżę naga przed barakiem, w kałuży krwi, moczu i kału. Esesman z gumowym węzłem w ręku krzywi się z obrzydzeniem. Mam nadzieję, że poroniłam, nie rozumiem, skąd ta myśl. Dwaj esesmani chwytają mnie za ramiona, ciągną, skręcamy w otwarte drzwi. Cuchnący półmrok, spadam na miękki siennik, przetaczam się, krzyczę z bólu. Mężczyźni, którzy mnie przynieśli, oddalają się, a w końcu znikają.

Cisza. Po chwili niewyraźne głosy; zbliżają się chude widma, idą między pryzkami. Otaczają mnie żółte gwiazdy na pasiastych bluzach, podnoszą, sadzają delikatnie. Po chwili czuję mokry dotyk na plecach. Jęczę z bólu, chcę zaprotestować, płaczę i bełkoczę niewyraźnie.

– Spokojnie, nie bój się, opatrzymy cię – mówi cichy głos.

– Zostawić ją! – rzuca inny, głośniejszy. – Taki jest rozkaz.

Widzę sylwetkę z opaską na ramieniu z napisem „Stubedienst”. Kobiety nadal obmywają moje plecy.

– Stań przy drzwiach, pilnuj – mówi zdecydowanie jedna z nich.

Sztubowa mamrocze coś niechętnie, odchodzi. Mycie kończy się, delikatne ręce owijają ciało w miękkie szmaty, potem ubierają w spodnie i bluzę z pasami. Na piersi widzę żółtą gwiazdę. Układają mnie na brzuchu, przykrywają kocem, ręka głaszcze po głowie.

– Nie bój się, śpij.

– Nie jestem Żydówką – szepczę. – Nazywam się Magdalena Rożnowska.

Patrzę w milczeniu. Muszą mnie pamiętać, były przecież obecne przy egzekucji. Zapadam się w siebie, znikam.

* * *

– Dziewięć sześć siedem pięć pięć!

Budzę się, nasłuchuję ciszy. Jestem przenikliwym bólem, niczym poza bólem.

– Dziewięć sześć siedem pięć pięć! Eliza Zughayer! – krzyczy znowu kobieta po niemiecku.

To nie mój numer. Podnoszę głowę, w słabym świetle spod dachu widzę młodą strażniczkę, Aufseherin. Za nią czekają dwaj esesmani.

– Dajcie jej przyjść do siebie, zbita jest jak pies – odpowiada czyjś głos.

– Która to powiedziała?! Która! – krzyczy z wściekłością Aufseherin.

Rusza wielkimi krokami środkiem baraku, wali kijem w prycze, wychudzone sylwetki cofają się szybko pod ściany. Dźwigam się z wysiłkiem, siadam, jęcząc z bólu. Z obu stron podtrzymują mnie ręce, pomagają stanąć na podłodze. Słyszę ciche słowa w jidysz:

– *Hobn likht toyt*[52].

– *Adank*[53] – odpowiadam.

Nie dostrzegam w półmroku twarzy kobiety, która życzy mi lekkiej śmierci. Zbliża się Aufseherin, podnosi kij do uderzenia, patrzy na mnie uważniej, opuszcza rękę z kijem; nie warto bić czegoś takiego. Dwaj esesmani chwytają pod ramiona, wyciągają z baraku, deszcz chłodzi rozpalone plecy i głowę, zlizuję krople z ust, mam gorączkę.

Długi marsz między barakami; zbliżamy się do betonowej budowli, nogi słabną, ciało skręca się z przerażenia, nie chce tam wejść. Esesmani ciągną mnie po betonie, rzucają przed długim stołem. Widzę nogi w błyszczących cholewach.

– Wstań.

Podnoszę się powoli, najpierw na czworakach, potem z przeciągłym jękiem prostuję plecy. Sześć sylwetek w mundurach, twarze powoli nabierają rysów, oczy wypełnia pogarda.

– Nazwisko.

Pamiętam, że jednym z mężczyzn jest Wolfgang Steinhoff. Odszukuję go wzrokiem, czekam, żeby powiedział prawdę. Milczy, więc mówię za niego:

– Magdalena Rożnowska.

Oficer SS, który zadał pytanie, krzywi się z niesmakiem. Potem daje znak głową komuś za moimi plecami. Rozlega się krótki świst, uderzenie rzuca mnie na kolana; nic nie czuję, ból przychodzi sekundę potem, wyję, jakbym nie była ludzką istotą, nie mogę przestać, drapię beton palcami, łamię paznokcie. Powoli się uspokajam, patrzę na strumyk krwi i czubki butów pod stołem, połykam łzy.

– Twoja matka nazywała się Moira Zughayer – mówi głos z góry. – Żydostwo przechodzi jak wesz, z matki na potomstwo. Nieważne, kim był ojciec, dla Rzeszy jesteś Eliza Zughayer. Rozumiesz?

Kiwam głową, wiele razy, jest ciężka, nie mogę jej unieść.

– Stołek – rozkazuje głos.

Szurnięcie po betonie, ręce chwytają pod pachami, sadzają. Próbuję skupić wzrok na człowieku w mundurze.

– W jakim celu ukrywałaś pochodzenie? – pyta. – Chciałaś doprowadzić członka partii i oficera SS do moralnego upadku, tak?

Widzę lepiej, jego inteligentne oczy przebijają się z łatwością przez mgłę bólu. To komendant, SS-Sturmbannführer Richard Baer. Poświęcił czas dla osądzenia mojej sprawy, jego wiedza z pewnością jest solidna. Magdalena Rożnowska ukrywa prawdę o swojej rodzinie, oszukuje. Baer porusza się niecierpliwie, końcem pióra stuka w rozłożone dokumenty.

– Im szybciej się przyznasz, tym krótsze będzie wymierzanie kary – mówi z naciskiem. – Będzie to też miało wpływ na rodzaj egzekucji. Możesz zostać rozstrzelana lub powieszona. Albo spalona żywcem w krematorium.

Sparaliżowane ciało zna już powieszenie. Spalenie? Pamiętam tłusty dym i przezroczone postacie na polach obok obozu. Chcę powiedzieć, że przyjmuję ofertę komendanta, ale z gardła wydobywa się tylko zduszony bełkot.

Baer sięga po karafkę z wodą, nalewa do szklanki. Ruchem głowy przywołuje esesmana za moimi plecami, on podchodzi, bierze szklankę, podaje mi. Chwytam szkło oburącz, piję łapczywie, zachłystuję się, krztuszę. Nadszedł czas odpowiedzi, muszę zdecydować, kim jestem, wybrać łatwą śmierć. Dlaczego Wolfgang milczy? Przecież odnalazłam się dzięki niemu.

– *Likht toyt*[54] – mówię z przekonaniem.

Komendant marszczy brwi.

– Co powiedziałaś? Wstań, kiedy się odzywasz do sądu.

Opieram się obiema dłońmi o stołek i powoli podnoszę. Przez chwilę nie mogę mówić, mam wrażenie, że skóra z pleców zsuwa się na posadzkę, jest żywa.

– Tak, Herr Sturmbannführer, chciałam doprowadzić do upadku – odzyskuję wreszcie głos – moralnego członka NSDAP, oficera SS. Tak, lekka śmierć.

Jeden z oficerów krzywi się z niesmakiem.

– Nie bełkocz, Żydówko, mów wyraźnie.

Baer ucisza oficera gestem ręki, nie chce, by mu przeszkadzano.

– Kto cię do tego namówił? – pyta. – Wskaż współwinnych swojej zbrodni.

Patrzę na niego bezradnie, nie znam odpowiedzi.

– Eliza Obrońska, Inge Kroll – szepczę z rozpaczą.

Oczy Baera zwięzają się.

– Kpisz sobie z nas? – pyta cichym głosem.

Pochylam głowę, milczę, czuję spływające po policzkach łzy. Świst bata rzuca znowu na kolana, następny rozciąga na posadzce.

Nic nie pamiętam. Płynę powoli rzeką, przekręcam się unoszona nurtem, gubię złote zęby, widzę jak toną, zanurzają się w mule, nigdy nie zostaną odnalezione; trzeba rozpruć rzekę i ziemię, wydostać na światło dzienne morze ciał, całą rozpacz świata. Jestem Elizą, siedzę obok matki w świątyni, wymknęłyśmy się jak zawsze po kryjomu, kiedy nie było ojca, w święto Sukot, dla

upamiętnienia naszej ucieczki z Egiptu i wędrówki do Kanaanu.

– *Gutn tag* – pozdrawiają nas uśmiechnięte twarze krewnych i przyjaciół.

– *Gutn tag* – odpowiada z uprzejmym skinieniem matka.

Dołączają do nas pobożni mężczyźni, którzy przez siedem dni mieszkali w szałasach pod gołym niebem, na znak czci dla wędrówki przodków.

– Oto błogosławcie Pana, wszyscy słudzy Pańscy, którzy trwacie nocami w domu Pańskim – recytuje śpiewnie rabin. – Wznieście ręce wasze ku Miejscu Świętemu i błogosławcie Pana! – dołączają wierni. – Niechaj cię Pan błogosławi z Syjonu, Ten, który uczynił niebo i ziemię!

Mężczyźni z przykrytymi głowami śpiewają, kołyszą bukietami z gałązek palmy, mirtu, witek wierzby i owoców cytrusowych, na cztery strony świata, w górę i w dół, na znak czci dla Stwórcy wszelkiego stworzenia. Ruszamy w procesji Radości Tory, obchodzimy synagogę siedem razy, rabin niesie święte zwoje, dotykam ich nieśmiało, tego jedynego dnia w roku mogą je dotknąć dzieci, wszyscy są wypełnieni radością i wdzięcznością za dobre życie i za lekką śmierć. Będę matką.

* * *

Wracam powoli, otwieram powieki. Szum deszczu, crescendo kropel na dachu. Życie w moim brzuchu nie chce się poddać, płonące plecy chłodzi mokra szmata. Jest noc, chroni przed pytaniami i biciem. Siedzę na pryczy, otacza mnie kilka kobiet, oczy zapadnięte w twarzach patrzą ze współczuciem.

– Przepraszam – szepczę ze wstydem. – Przepraszam, *antshuldigt*.

– Nie trzeba, spokojnie – jedna z kobiet wyciera łzy z moich policzków. – *Du zalist nihst zorg*[55].

Druga podstawia miskę z ciepłym płynem, w którym pływają kawałki brukwi, karmi mnie powoli cynową łyżką. Przelykam zupę razem ze łzami, jestem jedną z nich, skazanych od chwili poczęcia, nazywam się Eliza Zughayer; kij i bat wyleczyły mnie z iluzji, nie ma ucieczki przed winą. Zabiłam Magdalенę, nie stałam się nią, lekka śmierć dokończy moją historię.

– Poszły won! – rozlega się ostry głos.

Kobiety cofają się przestraszone, znikają w mroku. Mocna ręka chwyta mnie za ramię, wyciąga z pryczy na podłogę, wlecze do wyjścia. Przy drzwiach stoi sztubowa.

– Gdzie ją zabierasz? – mamrocze wylękniona. – Nie wolno.

Nie ma odpowiedzi, popchnięta wypadam na dwór, przetaczam się, ból przeszywa plecy. Strugi deszczu, jaskrawe światło lamp ujawnia wykrzywioną nienawiścią twarz Luby. Chwyta mnie znów za ramię, ciągnie wzdłuż ściany, skręca za róg baraku. Światło tu nie dociera, upadam obok kloaczego dołu, w nozdrza uderza smród fekaliiów. Luba wydostaje zza pasa nóż, drugą ręką pcha

w dół moją twarz, zanurza w cuchnącej brei, przytrzymuje długo, wyciąga za włosy. Przekręca mnie, rozrywa bluzę i szmaty na piersi, chwyta za gardło.

– *Majesz serce?* – pyta przez zaciśnięte zęby. – *De je twoje serce, znajdu joho?*[56]

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, czuję jak nóż przecina skórę, wciska się w ciało. Luba mówi coraz gwałtowniej.

– *Czulaś szcoś kołyś, czulaś? Ne małas materi? Ludy dla tebe zabauki? Znajesz szczo to lubow? Znajesz? Ty je monster, hirszyj wid SS-many! Jakby Magdalena ne piszła do bordelu za toboju, to by żyła! Ja by jiji boronela. Żyłaby, rozumiejesz, suko? To ty nie majesz prawa żyty! W gownie tebe utoplu!*[57]

W milczeniu czekam na ostateczne pchnięcie. Luba zaczyna płakać, wierzchem dłoni rozmazuje łzy na policzkach.

– *Podywyjsia szczo to je lubow. Nu, podywyjsia!*[58]

Podnosi rękę z nożem, nagłym ruchem przeciąga ostrzem po swoim gardle. Tryska krew, zalewa mi twarz; Luba patrzy wytrzeszczonymi oczami, upada na mnie ciężko, charczy, drży konwulsyjnie w agonii. Powoli wydostają się spod ciężkiego ciała, odchodzę na czworakach. Zmywam krew i fekalia pod strumieniem spadającym z dachu, rozciągam się pod ścianą, leżę z zamkniętymi oczami.

Wszystko się dokonało, jestem najmniejszym ze stworzeń, zeszedłam najniżej, najgłębiej, gdzie może dotrzeć ludzka istota. Nie ma już nic, serca, myśli, ciała. Niczego nie oczekuję, stoję na progu, naga i bezbronna, jak w chwili narodzenia, w chwili śmierci. Bez lęku, pragnień, umysłu. Jestem gotowa. Dziś umrzemy oboje, ja i moje dziecko.

* * *

– *Dziewięć sześć siedem pięć pięć!*

To już teraz, rozwiewa się ostatni sen. Próbuję go zapamiętać, będzie mi towarzyszył do końca. Stoję na granicy świata, patrzę w ciemną przestrzeń, która nie ma początku, nigdy się nie kończy. Trzymam za rękę małą dziewczynkę, na imię ma Edyta, jest moją córką, tylko moją. Skoczmy obie, pozwolimy, aby uniosła nas pustka, nie wrócimy na tę ziemię.

– *Ruszaj się, ruszaj, żydowska kurwo!* – wrzeszczy Aufseherin. – *Przez ciebie nie zjadłam śniadania!*

Podnosi szpicrutę, chce uderzyć. Przeszkadza jej esesman, który chwyta za moje ramię. Aufseherin cofa się z niezadowolonym grymasem. Esesman prowadzi mnie do wyjścia, mocno ściska ramię, podtrzymuje. Pulsuje przenikliwy ból pleców, mijamy kobiety na pryczach, patrzą na nas, modlą się po cichu. Odmawiają kadysz, za mnie.

– *Jitgadal we-jitkadasz szemeh raba. Amen. Be-alma di-wera chirutej.*

We-jamlich malchutej be-chajejchon u-we-jomejchon u-we-chajej de-chol bejt Yisrael, baagala uwizman kariw, we-imru Amen[59].

– Amen – szepczę.

Pomiędzy barakami wisi poranna mgła, jest pusto i cicho, nierealnie. Wszyscy umarli, więźniowie i strażnicy, pokonani przez czas, pogodzeni. Esesman podnosi z ziemi rower, ruszamy błotnistą drogą. Nogi nie są w stanie unieść mojego ciężaru, ale esesman nie pozwala upaść, drugą ręką prowadzi rower.

– Mogliby dać człowiekowi się wyspać – mówi idąca za nami Aufseherin. – I tak ją rozwałą.

– No – rzuca beznamiętnie esesman.

Skręcamy w stronę głównej drogi, prowadzącej do bramy.

– Gdzie idziesz? – mówi Aufseherin. – Tam.

Domyślam się, że pokazuje na betonowy budynek, w którym odbywa się sąd. Powietrze przesywają gwizdki i krzyki, czekają psy. Mgła nagle ożywa, z baraków wybiegają widma w pasiakach, poganiają je kapo i funkcyjni, zaczęły się apele. Zwalniam krok, gotowa jestem skręcić, ale esesman mocniej ścisną moje ramię.

– Taki mam rozkaz – mówi znudzonym tonem i wskazuje głową szeregi ustawiające się do apelu. – Nie masz co robić? Zajmij się czymś.

– Niech to szlag, główniana robota – rzuca Aufseherin.

Skręca na plac apelowy, zanurza się we mgle. My idziemy dalej. Z przodu rośnie długi cień bramy i wież wartowniczych. Odwracam głowę, patrzę na esesmana, widzę, że ma twarz Karla. To sen, zasnęłam, idąc.

– Nic nie mów, trzymaj się – mówi esesman. – Mam przepustkę, papiery.

Skupiam wzrok, widzę go wyraźniej. Nadal jest Karlem, choć ubranym w mundur, jedna belka na czarnej patce, SS-Sturmmann. Chwieję się, nie mogę zebrać myśli.

– Dokąd? – pytam zduszonym głosem. – To się nie uda.

Z mgły wylaniają się dwaj strażnicy, jeden trzyma na smyczy wilczura, patrzą obojętnie, mijają nas. Odprowadzana w ten sposób więźniarka kończy życie na sznurze lub w komorze gazowej.

– Idź. Ruszaj nogami, idź – mówi Karl. – W lesie schowałem ubrania, jedzenie i drugi rower.

Wraca dławiący lęk, nienawidzę za to Karla.

– Nie mam siły, proszę – odpowiadam. – Zginiesz przeze mnie.

Byłam wolna, teraz znowu się staję ludzkim strzępem, niegodnym lekkiej śmierci. Ktoś natknie się na ciało Luby, zacznie się alarm, połączą jej zgon z moim zniknięciem; nigdy się nie skończy lista moich przestępstw. Mijamy szereg więźniarek, wśród nich stoi kobieta od Leśmiana, uśmiecha się do mnie nieznacznie. Od dawna nie odróżniam żywych od duchów, ale ona unosi rękę,

pozdrawia znajomym gestem. Jest żywa!

Zatrzymuję się, patrzę na kobietę od Leśmiana, nie chcę iść dalej. Karl odwraca się przestraszony.

– Co robisz? Idziemy!

Nie poruszam się, pokazuję na szereg więźniarek.

– Ta kobieta, od poezji – szepczę. – Myślałam, że zginęła.

Patrzę na nas kapo i esesmanki, Karl dygocze z nerwów.

– Wiem, znam jej historię – mówi zduszonym głosem. – Funkcyjne wiozły ją do bloku śmierci, ale ukryły w szpitalu. Chodź, bo zginiemy.

– Ocaliły ją, bo chciały posłuchać wierszy – stwierdzam z przekonaniem.

– Może – zgadza się Karl z rozpaczą. – Chodź, proszę cię!

Patrzę na niego.

– Znasz jakieś wiersze? To ważne.

– Eliza – mówi błagalnym głosem.

Pozdrawiam skinieniem głowy kobietę od Leśmiana, ona odpowiada uśmiechem. Wie, dokąd idę, mówi wzrokiem, żebym się nie wahała. Odwracam się, ruszamy dalej z Karlem. Ogromny cień bramy przytłacza, odbiera nadzieję. Jeśli zbiorę wszystkie siły, zdołam przebiec kilkanaście metrów, dotrę do drutów. Trzeba do nich przywrzeć całym ciałem.

– Gdzie ją prowadzisz? – pyta zmęczony, służbowy głos.

Unoszę głowę. SS-Unterscharführer jest tym samym wartownikiem, który kiedyś wpuścił mnie do obozu na spotkanie z Lubą. Długa noc służby zostawiła zmarszczki na jego szerokiej twarzy, czarne cienie pod oczami.

Karl puszcza moje ramię, trzymając kierownicę roweru wyciąga z kieszeni papier, rozkłada i podaje. Unterscharführer przebiega wzrokiem po tekście, sprawdza pieczęć i podpis.

– Na przesłuchanie – mówi Karl i ziewa. – Do Auschwitz.

Wielkim wysiłkiem utrzymuję się w pozycji wyprostowanej; jeśli upadnę, ściągną lorę, aby mnie odwieźć. Przyjdzie dowódca warty, zadzwoni do komendantury, sprawdzi, kim jestem i rozkazy Karla.

– Co takiego przeszkobiła? – pyta drugi wartownik. – Przesłuchanie? Przecież nie dojdzie.

Karl wzrusza ramionami.

– To ją rozwalę.

Unterscharführer patrzy nieufnie, nie podoba mu się ani wygląd, ani zadanie starszego szeregowca.

– Twoja legitymacja – rozkazuje.

Karl wyciąga z górnej kieszonki munduru złożony kartonik. Podoficer ogląda zdjęcie, patrzy na Karla.

– Rozwal ją od razu – mówi beznamiętnie. – Po co się męczyć?

Karl odpowiada skrzywieniem ust, odbiera legitymację i rozkaz, chowa do kieszeni.

– Ruszaj, na co czekasz? – rozkazuje.

Stawiam przed siebie stopę, potem następną, tracę równowagę. Karl chwyta moje ramię, podtrzymuje. Cień bramy wolno przesuwa się nad głową, zajmuje całe niebo, nigdy się nie skończy; nagle jesteśmy po drugiej stronie. Wciągam w płuca powietrze, ma inny zapach, bez odoru śmierci. To jest próg świata z mojego snu, niosę w sobie nowe życie, nigdy nie wrócimy na tę ziemię.

– Przejdź kawałek sama, musisz – prosi cicho Karl.

Idę, sprawiam chyba wrażenie pijanej, bo słyszę śmiech esesmanów. Karl wsiada na rower, jedzie obok. Brama przyciąga i oskarża, nie chce się oddalić. Wzrok esesmanów rani plecy. Zanurzamy się powoli we mgłę, ona unosi nas lekko, zasłania przed oczami bramy. Jeszcze trzydzieści kroków, dziesięć, siadam bezwładnie na poboczu. To koniec. Karl schodzi z roweru, kładzie go. Patrzy w stronę zasłoniętego mgłą obozu, wyciąga z kieszeni tabliczkę czekolady i płaską butelkę.

– Masz, musisz trochę zjeść. – Przykuca przy mnie, łamie czekoladę.

Kręcę głową, gdybym miała więcej sił, roześmiałabym się. Siedzimy kilkadziesiąt kroków od Birkenau, zanurzeni we mgle, która zaraz się podniesie. Niedługo z bramy wyjdą kolumny więźniów, pomachamy im jak widzowie spektaklu, który nas nie dotyczy.

– Karl, kochany, to bez sensu, przecież widzisz – mówię, połykając łzy.

Wkłada mi do ust kawałek czekolady, czeka, aż zacznę gryźć. Wyciąga korek z butelki, przytyka do warg.

– Ostrożnie, to sznaps, nie udław się – ostrzega.

Wypijam łyk, czuję spływający do gardła ogień, z trudem łapię oddech. Gryzę gorzką czekoladę, płaczę, żal mi Karla. Nie wytrzyma tortur, kiedy nas złapią, jest zbyt słaby. Wódka rozchodzi się po ciele, dociera do głowy.

– Skąd się dowiedziałeś? – pytam.

– Jakiś oficer z Auschwitz przysłał ordynansa z wiadomością i pieniędzmi. Mundur i papiery sam musiałem kupić, ledwo zdążyłem.

Kiwam głową, patrzę na kaburę przypiętą do paska munduru.

– Broń też? – pytam. – Masz pistolet?

Karl kręci głową.

– Niby skąd? – Dociera do niego, o co mi chodzi. – Nawet o tym nie myśl. Kocham cię!

Uśmiecham się na ten argument. Za miłość płaci się kuponem, który wart jest dwie marki, trwa ona dwadzieścia minut, bez rozmów i pocałunków. Słyszę zbliżający się warkot, przez mgłę przebijają się słabe światła i nagle nadjeżdża samochód, osobowy opel.

– Wstawaj, no już! – rozkazuje Karl.

Podrywa mnie na nogi, przytrzymuje. Opuszczam głowę, patrzę pod stopy. Samochód zwalnia, zatrzymuje się. Karl salutuje. Kątem oka widzę kierowcę, to Wolfgang, jest blisko, patrzy na mnie znad opuszczonej szyby. Zza niego wychyla się oficer SS, jeden z moich sędziów.

– Zastrzel ją! – woła rozbawiony. – Po co się męczysz, człowieku?

To niemożliwe, żeby nie poznał kobiety, którą sądził. Żydówka nie jest człowiekiem, traci rysy twarzy. Na tylnym fotelu jeszcze jeden sędzia, wygodnie oparty pali papierosa, patrzy znudzony przez okno. Dłonie Wolfganga na kierownicy bieleją, nie odwraca ode mnie oczu. Przeszliśmy długą drogę, od Hôtel du Palais Imperial w Biarritz, do dziś. Świat przeszedł ją razem z nami, jest już inny. Jedno słowo zakończy niepewność, niech wymówi moje nazwisko i imię.

– Tak jest, Herr Sturmbannführer – pręży się Karl. – Jakoś ją doholuję.

Sędzia z przodu opada na fotel, macha ręką na znak, żeby ruszać. Wolfgang puszcza jedną ręką kierownicę, wrzuca bieg.

– *Heil Hitler* – mówi cicho, wciąż patrzy na mnie.

Nie pamiętam równie miłosnego wyznania.

– *Heil Hitler!* – odpowiada mocnym głosem Karl.

Silnik warczy głośniejsze, samochód rusza, odjeżdża.

– Kto to był? – pyta Karl. – Widziałem gdzieś jego twarz.

– SS-Hauptsturmführer Wolfgang Steinhoff – odpowiadam.

Karl patrzy na mnie oniemiały. Odprowadzam wzrokiem oddalający się samochód. Czerwone światelka pochłania mgła, znikają pod czarnym cieniem bramy. Szare opary podnoszą się powoli, odsłaniają puste pola, w oddali majaczy linia białych pni drzew.

– Zaraz zaczną alarm – mówi Karl.

Jestem mu wdzięczna, że nie zadaje pytań. Stawia rower, podnosi mnie, sadza na siodełku, przytrzymuje. Posłusznie chwytam kierownicę. Karl otacza jedną ręką moje ramiona, drugą popycha siodełko. Zjeżdżamy z drogi, ruszamy w stronę brzoźowego lasu. Staram się kręcić pedałami, ale jestem za słaba. Koła grzęzną w rozmokniętej ziemi, Karl dyszy z wysiłku, pcha rower.

Zza horyzontu wychyla się wąski pasek ogromnego słońca. Spali dziś ziemię, nie pozostawi świadectw hańby człowieka.

52 Miej lekką śmierć.

53 Dziękuję.

54 Lekka śmierć.

55 Nie przejmuj się.

56 Masz serce? Gdzie jest twoje serce, znajdę je?

57 Czulaś coś kiedyś, czulaś? Nie miałaś matki? Ludzie to dla ciebie zabawki? Wiesz, co to miłość? Wiesz? Jesteś potworem, gorszym od esesmanów!

Gdyby Magdalena nie poszła za tobą do burdelu, to by żyła! Ja bym ją obroniła. Żyłaby, rozumiesz, suko? Ty nie masz prawa żyć! W gównie cię utopię!

58 Patrz, co to jest miłość. No, patrz!

59 Niech będzie wywyższone i uświęcone Jego wielkie Imię. Amen. W świecie, który Sam stworzył według Swojej woli. I niech nastanie Jego królestwo, za waszego życia i waszych dni, i za życia całego Domu Izraela, prędko w bliskim czasie. Amen.

Po trzecim pukaniu Anna mówi:

– Proszę.

Drzwi otwierają się, do pokoju wsuwa się twarz recepcjonisty. Anna siedzi przy stole z oczami utkwionymi w ścianę, przed nią leży zawiązany tasiemką rękopis.

– Przepraszam, pani Steinhoff, znowu były do pani telefony – mówi recepcjonista. – Czy ten aparat działa?

Anna odwraca głowę, patrzy na młodego mężczyznę w koszuli i wojskowych spodniach. Odbyli razem tę podróż, on był przewodnikiem, troskliwym i świadomym, że prowadzi ją do progu wieczności.

Recepcjonista z przepaszającym gestem podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę, przykładą do ucha. Odkłada słuchawkę, wraca do drzwi, zatrzymuje się w progu.

– Życzy pani, aby nie łączyć? – pyta.

Do Anny dociera prawdziwy sens jego pytania.

– Nie chcę rozmawiać w tym pokoju – wyjaśnia.

Recepcjonista kiwa głową ze zrozumieniem.

– Jeśli znowu zadzwonią, połączę do kabiny na dole – mówi i wskazuje na rękopis. – Skończyła pani?

Mija pół godziny, jest dziewiąta rano, piąty dzień lipca, tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy rok. Anna stoi przy recepcji, ubrana jest w płaszcz, walizka dotyka jej nogi, na kontuarze leży koperta z rękopisem. Dzwoni telefon, recepcjonista przerywa wypisywanie rachunku, podnosi słuchawkę.

– Hotel Ba’Moshava. – Słucha, mówi coś po hebrajsku, zwraca się po niemiecku do Anny. – To do pani.

Anna kręci głową.

– Przepraszam, ale ten pan mówi, że koniecznie musi przekazać wiadomość – nalega uprzejmie recepcjonista.

Anna posłusznie odwraca się, zbliża do kabiny, wchodzi do środka, podnosi słuchawkę.

– Halo, czy to pani Steinhoff? – pyta po niemiecku daleki, męski głos.

– Tak, to ja.

– Mówi Gottfried Bauer.

Pompatyczne imię z banalnym nazwiskiem – myśli Anna.

– Jestem dyrektorem zakładu karnego Plötzensee – ciągnie głos. – Mam dla

pani niestety złą wiadomość.

– Słucham.

– Pani syn, Wolfgang Steinhoff, nie żyje. Strasznie mi przykro.

Cisza, kilka tysięcy kilometrów ciszy. Dławienie w gardle. Anna musi usiąść.

– Pani Steinhoff?

– Tak, jestem – mówi Anna. – Jak to zrobił?

Głos jest zaskoczony.

– Pani już wie?

– Zapytałam, jak to zrobił? – powtarza z naciskiem Anna.

Chrząknięcie, potem nadchodzi odpowiedź, z ociąganiem.

– Pan Steinhoff istotnie popełnił samobójstwo. Powiesił się, niestety. Prokurator zarządził śledztwo. To się nie miało prawa wydarzyć w naszym zakładzie karnym.

– Jak się powiesił? – pyta dalej Anna.

Teraz głos przybiera niechętny ton.

– Nie rozumiem, po co...

– Proszę powiedzieć, jak się powiesił, panie Bauer – powtarza ostrzej Anna.

– Zostawiono mu pasek?

– Nic podobnego, nie popełniamy takich błędów – zaprzecza z godnością dyrektor. – Pan Steinhoff podarł prześcieradło, zrobił pętlę, drugi koniec zaczepił o kran nad umywalką. Prawdę mówiąc, nie widzieliśmy jeszcze takiego sposobu popełnienia samobójstwa. Kran znajduje się na wysokości półtora metra, a pani syn...

– Mój syn był specjalistą – mówi Anna i odkłada słuchawkę.

Wstaje i wychodzi z kabiny. Recepcjonista przygląda się jej uważnie, gotowy jest nieść pomoc. Anna idzie powoli, oddycha głęboko, zatrzymuje się przed kontuarem recepcji, widzi, że nie ma koperty z rękopisem. Patrzy pytająco na młodego mężczyznę w kolorowej koszuli i wojskowych butach. Zastanawia się, czy on zna różne sposoby wieszania ludzi.

– Rękopis odebrała ta sama dziewczyna – wyjaśnia recepcjonista. – Przed momentem, kiedy pani rozmawiała przez telefon. Powiedziała, że idzie do restauracji Abu Shukri. To niedaleko, proszę spojrzeć na plan.

Rozkłada mapę Jerozolimy, pokazuje palcem trasę z hotelu.

– Bardzo panu dziękuję – mówi Anna. – Za wszystko.

Spogląda na rachunek, wyjmuje portfel, odlicza banknoty.

– Proszę nas kiedyś odwiedzić – mówi poważnie recepcjonista. – Czy udało się to, co pani zamierzała?

Anna kiwa głową, podnosi walizkę, wychodzi.

Idzie wąskimi uliczkami zalanymi słońcem, wdycha ciężką woń kwiatów.

Naprzeciw biegnie mały Wolfgang, śmieje się, skacze w jej ramiona, o mało jej nie przewraca. Jakiś mężczyzna podtrzymuje ją, zadaje z troską jakieś pytanie. Anna odzyskuje równowagę, kręci głową, idzie dalej. Teraz pewnie trzyma Wolfganga, ściska jego małą dłoń, nie pozwoli, aby sam biegał po ulicy pełnej obcych ludzi, nie puści go już nigdy.

Pod hebrajskimi literami widnieje napis „Abu Shukri”, obok dużej reklamy z butelką coca-coli. Mała restauracja wciśnięta jest w kamienny mur kamienicy, wchodzi się wprost z zatłoczonej ulicy. Na progu uśmiechnięty, stary mężczyzna mówi coś po hebrajsku, zapraszając do środka.

Anna wchodzi, przez kilka sekund nic nie widzi, oczy powoli przyzwyczajają się do półmroku. Od stolika w głębi, pod ścianą patrzy na nią dziewczyna w mundurze. Przy dziewczynie, bokiem do wejścia, siedzi pięćdziesięcioparoletnia kobieta, z gładko zaczesanymi do tyłu, siwiejącymi włosami. Nadal jest piękną, trzyma się prosto, jej profil przypomina egipskie rzeźby. Wzrok dziewczyny mówi, że to wszystko, co może zrobić dla Anny.

Anna siada przy stoliku przy oknie. Od matki i córki dzieli ją kilka metrów, dwadzieścia trzy lata, morze cierpienia, porwane prześcieradło przyczepione do kranu nad umywalką.

Są rodziną, nic ich już nie rozdzieli. Nigdy się nie poznają.

Koniec

